



SALVANDA

Kate Atkinson
HISTORIE
JEDNEJ
SPRAWY



Atkinson Kate

Historia jednej spraw

Dla Anny McIntyre

Pragnę podziękować:

Mojemu agentowi Peterowi Strausowi.

Mojej redaktorce Marianne Velmans.

Maureen Allan, Helen Clyne, Umarowi Salamowi, Alemu Smithowi i Sarah Wood za Cambridge w lipcu, a szczególnie Alemu Smithowi.

Reaganowi Arthurowi, Eve Atkinson-Worden, Helen Clyne i Marianne Velmans za pełną dobrych chęci lekturę rękopisu.

Mojemu kuzynowi, majorowi Michaelowi Keechowi. Stephenowi Cottonowi, który wie za co. Davidowi Lindgrenowi za opowieść o owcach. I wreszcie Russellowi Equi'em, bogowi wszystkiego, co porusza się na kółkach.

I poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli.
(J 8,32)

1

Historia nr 1 1970

Rodzinny grób

Ile miały szczęścia? Fala upału w środku wakacji, wtedy, gdy najbardziej go potrzeba. Każdego dnia słońce wstawało długo przed nimi, drwiąc sobie z lichych, letnich zasłon, wiszących nierówno w oknach sypialni. Gorące i obiecujące wisiało na niebie, jeszcze zanim Olivia zdążyła otworzyć oczy, a na Olivii można było polegać nie mniej niż na kogucie. Zawsze budziła się pierwsza i odkąd trzy lata temu przyszła na świat, nikt w domu nie korzystał z budzika.

Olivia była najmłodsza, zajmowała najmniejszą sypialnię na końcu korytarza, tę wytapetowaną wierszykami dla dzieci, tę samą, którą zajmowały wszystkie po kolei i z której musiały się wyprowadzać, by ustąpić nowo narodzonej następczyni. Olivia była śliczna jak pąk róży, co do tego wszyscy byli zgodni, nawet Julia, która najdłużej była domowym pupilkiem. Dzierżyła to słodkie miano przez pięć wspaniałych lat, dopóki nie pojawiła się Olivia.

Rosemary, ich mama, mawiała, że Olivia mogłaby już zostać w tym wieku na zawsze, taka jest kochaniutka. Żadna nie pamiętała, aby mama kiedykolwiek użyła takiego słowa w odniesieniu do nich. Nie przypuszczałyby na-

wet, że taki wyraz może się znajdować w jej codziennym słownictwie, zawężonym zazwyczaj do nużących komend w rodzaju - chodźcie tutaj, idźcie już, uspokójcie się lub tej najczęstszej przestańcie! Mama potrafiła czasem wejść do pokoju lub pojawić się nagle w ogrodzie, spojrzeć na nie i powiedzieć: „Nie wiem, co tu wyrabiacie, ale przestańcie w tej chwili!”, po czym odchodziła bez wyjaśnień, zostawiając je urażone i smutne, w poczuciu doznanej krzywdy i złego potraktowania, nawet jeśli rzeczywiście przyłapała je na gorącym uczynku (popelnianym najczęściej z inspiracji Sylvii).

Wydawało się, że zasób pomysłów na rozrabianie, zwłaszcza pod przywództwem zuchwałej Sylvii, nie ma dna. Trójka najstarszych dziewcząt (każdy to przyznawał) stanowiła jedną, niemal monolityczną grupkę. Dzielili ją drobna różnica wieku, więc mama często widziała w nich jedno zbiorowe dziecko, któremu bardzo trudno było jej nadać indywidualne cechy i do którego zwracała się, nie bacząc na kolejność: „Julia-Sylvia-Amelia-czy-kto-tam” - mówiła zmęczona głosem pełnym skargi, jakby to była ich wina, że tyle ich się narodziło. Olivia wymykała się tej przydługiej litanii. Ciekawe, że Rosemary udawało się nie mylić jej z resztą dzieci.

Myślały, że Olivia będzie ostatnią mieszkanką sypialni na końcu korytarza i że pewnego dnia tapeta z wierszykami dla dzieci zostanie wreszcie zdarta ze ściany (oczywiście przez przepracowaną mamę, bo tato twierdził, że angażowanie dekoratora wewnątrz do takiej roboty jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto) i zastąpiona nieco poważniejszym wzorem, kwiatkami albo kucykami. Zresztą każda tapeta byłaby lepsza od plastrowego rózu, jaki zdobił w tej chwili pokój Julii i Amelii - tapeta, która wyglądała tak obiecująco w katalogu, na

ścianie okazała się katastrofą. Mama jednak wciąż powtarzała że nie ma czasu albo nie ma pieniędzy (albo energii), aby ją zmienić.

Teraz się okazuje, że Olivie czeka ten sam rytuał wędrówki przez pokoje, który przechodziły starsze siostry, że zostawi - brzydko wymalowane - wersy o Humptym-Dumptym i małej pannie Muffet dla jeszcze jednego, niespodziewanego bobasa, na którego mama zdecydowała się, jak ujawniła, „po namyśle”, a którego nadejście zostało zapowiedziane (raczej mimochodem) poprzedniego dnia, w czasie lunchu na trawniku przed domem, kiedy Rosemary naprędce przygotowywała kanapki z konserwową wołowiną i sok z pomarańczy.

- Myślałam, że to Olivia była „po namyśle” - rzuciła w powietrze Sylvia, a Rosemary podniosła brwi i spojrzała głupio na najstarszą córkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

Sylvia, trzynastolatka, jeszcze niedawno dzieciak pełen energii i entuzjazmu (zdaniem wielu zdecydowanie nadmierne), wyrastała powoli na zjadliwą i cyniczną nastolatkę. Trochę ociężała, niezdarna i gapiowata, miała tłuste włosy, tubalny śmiech i długie palce u rąk i nóg, niczym przybysz z kosmosu, na nosie okulary, a na zębach okowy szpetnego aparatu ortodontycznego. Wiele osób w dobrej wierze nazywało ją Brzydkim Kaczątkiem (mówili jej to wprost, jak największy komplement, ale Sylvia nie odbierała tych słów jako komplement), wyobrażając sobie przyszłą Sywiię: dojrzałą, zmienioną w piękną łabędzicę, uwolnioną od aparatu ortodontycznego, ze szklami kontaktowymi i pełnymi piersiami. Ale Rosemary nie dostrzegła w Sywii cienia łabędzicy, zwłaszcza kiedy widziała nitki konserwowej wołowiny wpłątane w druciki jej aparatu. W ostatnim czasie

Sylvia dała się opętać niezdrowej obsesji na punkcie religii, twierdząc uparcie, że przemówił do niej Bóg. Rosemary zastanawiała się, czy to normalny przejaw dojrzewania i czy w tym wieku Bóg może być równie atrakcyjny jak gwiazdy rocka lub kucyki. Koniec końców postanowiła zignorować Sylvii *tête-à-tête* ze Wszechmogącym. Rozmowy z Bogiem miały przynajmniej tę zaletę, że były darmowe, tymczasem utrzymanie kuca kosztowałoby fortunę.

Podobnie miała się rzecz z niezrozumiałymi omdleniami Sylvii, które lekarz rodzinny kładł na karb „przerostu masy ciała nad potencjałem sił fizycznych” - to z punktu widzenia medycznego dość pokrętne wyjaśnienie, jeśli w ogóle można było zachowanie Sylvii jakoś wyjaśnić. Rosemary postanowiła zignorować również omdlenia. Najpewniej dziewczyna chciała zwrócić na siebie uwagę.

Rosemary wyszła za Victora, ich ojca, kiedy miała osiemnaście lat - ledwie pięć lat więcej, niż liczy sobie teraz Sylvia. Myśl, że za pięć lat Sylvia osiągnie wiek, w którym będzie mogła kogoś poślubić, wydawała się Rosemary po prostu śmieszna i umacniała w niej stare przekonanie, że jej rodzice powinni byli stanowczo zareagować i uniemożliwić jej zawarcie ślubu z Victorem. Powinni jej wytłumaczyć, że ona jest jeszcze dzieckiem, a on trzydziestosześcioletnim mężczyzną. Wiele razy miała ochotę wypomnieć matce i ojcu ten brak rodzicielskiej troski, jednak mama zmarła na raka krótko po narodzinach Amelii, a tato ożenił się drugi raz i wyprowadził do Ipswich, gdzie większość dnia spędzał w punktach bukmacherskich, a wieczory w pubie.

Rosemary pomyślała, że jeżeli za pięć lat Sylvia przyprowdzi do domu jakiegoś trzydziestosześcioletniego amatora nimfetek (zwłaszcza takiego, który będzie twierdził, że jest znakomitym matematykiem), to żywcem wytnie mu serce

nożem do mięsa. Ta myśl była w niej tak żywa, że zgryźliwa uwaga na temat dzieci „po namyśle” została na razie zapomniana i Rosemary pozwoliła dziewczynkom pobiec do furgonetki z lodami, której wesoła melodyjka rozbrzmiała właśnie na ulicy.

Trio Sylvia-Amelia-Julia dobrze wiedziało, że o żadnym „namyśle” nie mogło być mowy, a „płód” (Sylvia, obkuta w przedmiotach ścisłych, nalegała, by tak to nazywać), który wprawiał mamę w nieprzewidywalne stany poirytowania i letargu, był najprawdopodobniej rezultatem rzutu na taśmę ze strony ojca, w rozpaczliwej próbie doczekania się syna. Victor nie należał do ojców, którzy rozpieszczają córeczki, żadnej nie okazywał specjalnej sympatii. Jedynie Sylvia potrafiła zaskarbić sobie czasem jego życzliwość, ale tylko dlatego, że była „dobra z matmy”. Victor bowiem był matematykiem i wiódł subtelne życie w królestwie rozumu, do którego rodzina nie miała wstępu. Nie przychodziło mu to trudno, zważywszy na to, jak mało czasu w ogóle spędzał z rodziną: zwykle przebywał albo na wydziale, albo w swoim pokoju w college'u, a kiedy był w domu, zamykał się w gabinecie, niekiedy z jakimiś studentami, ale najczęściej sam. Ojciec nigdy ich nie zabrał na basen w parku Jesus Green, nie grał z nimi w piotrusia ani w osła, nigdy nie podrzucał ich w powietrze, nie bujał na huśtawce, nie zabierał na przejażdżki łódką po Cam, na spacer po Fens ani na edukacyjne wycieczki do muzeum Fitzwilliam. Bardziej był nieobecny niż obecny, wszystko, czym był - i czym nie był - ucieleśniało otoczone najwyższą czcią wnętrze jego domowego gabinetu.

Dziewczynki z pewnością zdziwiłyby się, gdyby im powiedziano, że gabinet ojca był kiedyś jasnym salonikiem z pięknym widokiem na ogród. Pomieszczeniem, w którym

poprzedni mieszkańcy domu cieszyli się wspólnymi śniadaniem, kobiety skracaly sobie dlugie popoludnia lektura i haftami i w ktorym wieczorami gromadzila sie cala rodzina, zeby przy muzyce z radia pograc w karty lub scrabble'a. Te wszystkie zajecia wyobrazala sobie Rosemary, kiedy kupili dom w 1956 roku, za cene znacznie przekraczajaca ich mozliwosci. Jednak Victor natychmiast zaanektowal to miejsce i sobie tylko znany sposobem zdoal je przemienic w pozbawiona swiatla slonecznego grote, zalatujaca wonia cygar Capstana bez kapturka, ktore Victor namietnie palil, zastawiona cięzkimi regalami z ksiazkami i niegustownymi, dębowymi szafkami. Utrata pokoju byla jednak niczym wobec pozniejszej utraty stylu zycia, jaki wowczas Rosemary miala jeszcze nadzieje prowadzic.

To, co Victor robil w gabinecie, pozostawalo dla nich glęboką tajemnicą. Najwidoczniej jednak bylo to cos niepomiernie waznego, bo zycie rodzinne bylo dla niego niewarta zachodu igraszka. Matka mowila, ze tata jest wielkim matematykiem, ze pracuje nad wielkim zagadnieniem, ktore pewnego dnia uczyni go slawnym. Ale kiedy z rzadka udawalo im sie zajrzec do gabinetu przez niedomknięte drzwi, ojciec siedzial przy biurku z nachmurzona mina i patrzyl w siną dal.

Nie wolno mu bylo przeszkadzac, kiedy pracowal, a irytowaly go zwlaszcza dzikie piski i wrzaski rozszalalych dziewczynek. Calkowita niemoznosc powstrzymania sie tych rozszalalych dziewczynek od piskow (nie mowiac juz o krzykach, placzach, beczeniach i wyciu, ktore upodabnialo je do malego stada wilkow, czego juz Victor nie potrafil pojac) uczynila relacje miedzy ojcem a corkami niezwykle napietą i delikatną.

Upomnienia i kary wymierzane przez Rosemary splywa-

ły po nich jak woda, ale widok Victora, który wychodził ciężkim krokiem z gabinetu, przypominając niedźwiedzia opuszczającego swoją gawrę po zimowym śnie, budził w nich trwogę. Choć życie upływało im na ciągłych wysiłkach przełamywania zakazów ustanawianych przez mamę, to nigdy nie przyszło im do głowy, by spenetrować zakazane wnętrze gabinetu ojca. Jedyłą okazją, by wejść w ponurą głębię pokoju Victora, była prośba o pomoc w odrobieniu lekcji z matematyki. O ile takie spotkanie dla Sylvii nie stanowiło problemu, gdyż potrafiła zrozumieć morze ołówkowych znaków, którymi zniecierpliwiony Victor zapełniał nie kończące się strony zrolowanego papieru, o tyle dla Julii i Amelii symbole i cyfry Victora były równie tajemnicze jak egipskie hieroglify. Jeśli w ogóle zdarzyło im się pomyśleć o gabinecie ojca, czego starały się unikać, to kojarzył im się raczej z salą tortur. Za brak zdolności matematycznych u dziewczynek Victor obwiniął Rosemary - to oczywiste, że odziedziczyły niedoskonały, kobiecy umysł matki.

Mama Victora, Ellen, zapewniała mu słodkie i szczęśliwe dzieciństwo, ale tylko do 1928 roku, kiedy trafiła do zakładu dla umysłowo chorych. Victor miał wtedy cztery lata i orzeczono, że będzie lepiej dla jego rozwoju, jeśli zaniecha odwiedzin w tak niespokojnym i niepojętym dla siebie miejscu. Chłopiec rósł więc, wyobrażając sobie matkę jako majaczącą i krzyczącą wariatkę z wiktoriańskiego teatru rozmaitości - bredzącą coś pod nosem jak dziecko i tłukącą się nocą po korytarzach zakładu w długiej białej koszuli nocnej i potarganych włosach. Dopiero dużo później odkrył, że mama wcale nie „zwariowała” (tak to w rodzinie określano), lecz zachorowała na ciężką depresję w wyniku niespodziewanego powodu i ani nie tłukła się po korytarzu, ani nie bredziła pod nosem, tylko zapadła w smutną

apatię i mieszkała samotnie w pokoju obwieszonym fotografiami Victora, a wreszcie zmarła na gruźlicę, gdy Victor miał dziesięć lat.

Oswald, ojciec Victora, po śmierci żony wysłał syna do szkoły z internatem. Kiedy zginął tragicznie, wpadłszy przez przypadek do zimnych wód Oceanu Lodowatego, Victor przyjął tę wiadomość ze spokojem i natychmiast wrócił do szczególnie trudnego zadania matematycznego, które od jakiegoś czasu z mozołem rozwiązywał.

Przed wojną ojciec Victora należał do grona najbardziej tajemniczych i bezużytecznych angielskich stworzeń - był polarnikiem. Victor poczuł raczej ulgę, że nie będzie musiał zmagać się w życiu z heroicznym obrazem Oswalda Landa i że może zająć się sobą i być może zostać kimś wielkim na własnym, mniej męznym poletku.

Victor poznał Rosemary, kiedy musiał jechać do ambulatorium szpitala Addenbrooke, gdzie Rosemary pracowała jako pielęgniarka. Potknął się, schodząc po schodach, i upadł nieszczęśliwie na nadgarstek. Ale Rosemary powiedział, że jechał rowerem na Newmarket Road i nagle „sieknął” go samochód. Słowo „sieknął” zabrzmiało w jego uszach bardzo dobrze, to słowo z męskiego świata - świata, którego nigdy nie udało mu się odziedziczyć (świata jego ojca). Z kolei „Newmarket Road” jasno dawało do zrozumienia (bezpodstawnie), że nie spędza życia zamknięty w ograniczonej strefie między collegeem St Johns a wydziałem matematyki.

Gdyby nie spotkanie w szpitalu, przypadkowe w każdym calu, Victor mógł nigdy nie poderwać żadnej dziewczyny. Dobrze wiedział, że zbliża się do wieku średniego, a jego życie towarzyskie ogranicza się do męskiego klubu szachowego.

Victor nigdy nie czuł potrzeby obecności drugiego człowieka, co więcej, koncept dzielenia z kimś życia wydawał mu się co najmniej dziwaczny. Miał matematykę, która wypełniała mu niemal cały czas, więc nie był pewien, czego mógłby jeszcze pragnąć, mając żonę. W jego oczach kobiety ucieleśniały najmniej pożądane ludzkie cechy, głównie szaleństwo, ale także wielorakie ułomności fizyczne - krew, seks, dzieci - bardzo niewygodne i... wiele innych wad. Jednak coś głęboko w nim łaknęło bliskości i ciepła, których tak bardzo brakowało mu w dzieciństwie. Zanim więc uzmysłowił sobie, co się dzieje, znalazł się w wiejskim domku w Norfolku (jakby otworzywszy drzwi do niewłaściwego pokoju), gawędził przy herbacie, a Rosemary nieśmiało pokazywała rodzicom (niezbyt drogi) pierścionek zaręczynowy z okruczem diamencika.

Jeśli nie liczyć ojcowskich muśnięć bokobrodami na dobranoc, Victor był pierwszym mężczyzną, który pocałował Rosemary (w istocie padł na nią, ciężki jak słoń morski). Ojciec Rosemary, dróżnik kolejowy, i jej matka, gospodyni domowa, byli przerażeni, gdy córka przyprowadziła do domu Victora. Szybko jednak urzekły ich bezsporne przymioty jego intelektu (okulary w czarnej oprawce, podniszczona kurtka sportowa, mina człowieka wiecznie zamyślonego), jak również prawdopodobieństwo (którego nie wykluczał sam Victor), że jest być może *bona fide* geniuszem, nie mówiąc już o tym, że wybrał na towarzyszkę życia ich córkę - dziewczynę uległą i cichą, nie zauważaną niemal przez nikogo.

Fakt, że był od Rosemary dwukrotnie starszy, zdawał się zupełnie ich nie martwić. Choć później, kiedy szczęśliwa para opuściła ich dom, ojciec Rosemary, mężczyzna prawdziwie męski, powiedział do żony, że pod względem fizycznym

Victor nie jest jakimś „nadzwyczajnym gatunkiem”. Jednak jedyną wątpliwością, jaka gryzła matkę Rosemary, było to, że Victor, choć doktor, nie wiedział, co poradzić jej córce na bóle brzucha, które biedaczce doskwierały. Przyparty do muru przy stole nakrytym maltańską koronką i zastawionym herbatą, makaronikami, babeczkami i ciastem z kminkiem, Victor oświadczył wreszcie: „To, jak sądzę, niestrawność, pani Wańe” - całkowicie nietrafna diagnoza, którą przyjęła z poczuciem głębokiej ulgi.

Olivia otworzyła oczy i z uśmiechem powiodła wzrokiem po rymowankach na tapecie. Jack i Jill mozolnie pięli się na szczyt, Jill niosła drewniany cebrzyk na wodę ze studni, do której nie było jej dane dojść, a dalej na zboczu mała Bo-Peep szukała swojej zaginionej owieczki. Olivia nie martwiła się losem stadka, ponieważ widziała, że śliczne jagniątko z niebieską wstążką na szyi chowa się za pobliskim żywopłotem. Olivia nie pojmowała kontekstu słów „po namyśle”, ale z radością czekała na nowego niemowlaka. Dzieci i zwierzęta lubiła bardziej niż wszystko inne. Poruszyła się i poczuła w nogach ciało Rascala, domowego teriera. Rascal owi absolutnie nie było wolno spać w sypialniach dziewcząt, ale codziennie któraś z nich przemycała psiaka na noc do siebie, nad ranem jednak Rascal zawsze potrafił znaleźć sobie drogę do łóżka Olivii.

Olivia potrząsnęła delikatnie Niebieską Myszka, by ją zbudzić. Niebieska Myszka była mięciutką, podłużną przytulanką z flaneli i była wyrocznią Olivii, która konsultowała z nią każdą trudną sprawę.

Po ścianie przesuwawała się wolno jasna smuga słonecznego światła. Kiedy dotarła do schowanego za żywopłotem jagnięcia, Olivia wyszła z łóżka i grzecznie włożyła na nogi

różowe paputki z pyszczkiem królika, na które starsza Julia wciąż patrzyła pożądliwym wzrokiem. Pozostałe dziewczęta nie przejmowały się papciami, a na dworze panowały takie upały, że Rosemary trudno było nakłonić je nawet do wkładania sandałów. Olivia jednak była bardzo posłusznym dzieckiem.

Rosemary leżała w łóżku, rozbudzona, ale ledwie mogła ruszyć kończynami, jakby w jej kościach zamiast szpiku zalegał ołów. Leżała i rozmyślała, co zrobić, by trzy starsze córki nie zepsuły małej Olivii. Nowy bobas w brzuchu sprawiał, że nie czuła się najlepiej i miewała nudności. Pomyślała, jak byłoby cudownie, gdyby Victor obudził się teraz z głębokiego chrapania i zapytał: „Czy mogę ci coś przynieść, kochanie?” a ona odpowiedziałaby: „Och tak, bardzo proszę o filiżankę herbaty bez mleka i kawałek tostu cienko posmarowanego masłem. Dziękuję ci, Victorze”. Prędzej jej kaktus wyrośnie na dłoni.

Gdyby tylko nie była taka płodna. Nie mogła zażywać pigułek antykoncepcyjnych, bo powodowały u niej za wysokie ciśnienie, próbowała użyć spirali, ale wysunęła się z niej jeszcze tego samego dnia, a Victor zawzięcie twierdził, że prezerwatywa to zamach na jego męskość. Po prostu była dla niego klaczą rozplodową. Jediną dobrą stroną ciąży było to, że nie musiała uprawiać seksu z Victorem. Wmówiła mu, że to nie służy dziecku, a Victor uwierzył, ponieważ o płodach nie wiedział nic, absolutnie nic, podobnie jak o niemowlakach, kobietach czy dzieciach, nie wiedział absolutnie nic o życiu. Kiedy wyszła za niego za mąż, była dziewicą, a z tygodnia miodowego w Walii wróciła w stanie szoku. Już wtedy powinna była wstać i wyjść, oczywiście, ale Victor już wówczas zaczął wysysać z niej siły. Czasem zdawało jej się, że najzwyczajniej w świecie on się nią żywi.

Gdyby tylko miała więcej energii, wstałaby, przeszła na czworakach do pustego pokoju dla gości i z ulgą położyłaby się na pojedynczym małym łóżku zasłanym prześcieradłem umocowanym w narożnikach gumkami i białą, świeżą pościelą pachnącą stokrotkami. Pokój dla gości pełnił w domu funkcję poduszki powietrznej, jego atmosfery nie zakłócały niczyje oddechy, jego dywanu nie deptały niczyje nieostrożne stopy. Nie miało znaczenia, ile dzieci urodzi, mogła wydawać je na świat jak krowa, rok po roku (choć prędzej chyba się zabiła), ale żadne z nich, ani jedno, nigdy nie zajęłoby świętego wnętrza pokoju dla gości. Był czysty, nietknięty, nienaruszony. Był jej.

Jeszcze lepsze byłoby poddasze. Położyłaby tam nową podłogę, pomalowałaby ściany na biało i zamontowałaby wypuszczane schody. Mogłaby wówczas wejść na górę, wciągnąć schody, jak zwodzony most w zamczysku, i nikt by jej nie znalazł. Rosemary wyobraziła sobie, jak cała rodzina wałęsa się od pokoju do pokoju, nawołując ją - i roześmiała się głośno. Victor sapnął przez sen. Wówczas wyobraziła sobie jeszcze małą Olivię, która także błąka się po domu i nie może znaleźć mamy, i nagle poczuła, jak strach zaciska się na jej piersi. Oliwię będzie musiała zabrać ze sobą na poddasze.

Tymczasem Victor znajdował się w tym dziwnym stanie między jawą a snem, w miejscu nie skażonym jeszcze gorzkimi doznaniem codzienności, w której przyszło mu żyć w domu pełnym kobiet, istot zupełnie mu obcych.

Olivia, z kciukiem w buzi i Niebieską Myszka pod pachą, przeszła cichutko korytarzem do pokoju Julii i Amelii i wdrapała się na łóżko Julii. Ta śniła coś niespokojnie. Jej zwichrzona, mokre od potu włosy przylegały do czoła, a war-

gi poruszały się nieustannie w niezrozumiałym, cichym bełkocie; najwyraźniej walczyła z jakimś niewidzialnym demonem. Julia spała jak suseł. W czasie snu potrafiła mówić, chodzić, toczyć zapasy z kołdrą i poduszką, budzić się z krzykiem i patrzeć dzikim wzrokiem na jakiś wytwór własnej wyobraźni, który zniknął, zanim zdążyła go zapamiętać. Niekiedy jej sen był tak męczący, że wywoływał atak astmy, i Julia budziła się głośno, śmiertelnie przerażona. Umiała być także bardzo irytująca. Amelia i Sylvia coś

O tym wiedziały. Miała iście lisią osobowość; potrafiła bić

1 kopać w jednej minucie, by w drugiej gruchać wesoło, tulić się i rozdawać buziaki. Gdy była mała, często miewała wyczerpujące napady gniewu, ale jeszcze teraz właściwie nie było dnia, w którym Julia nie wściekłaaby się na kogoś lub na coś i nie miotała po pokoju. Osobą, która chodziła za nią, próbując ją uspokoić i pocieszyć, kiedy nikt już nie zwracał na nią uwagi, była najczęściej Olivia. Ona jedna zdawała się rozumieć, że Julia chce tylko zwrócić na siebie uwagę (co prawda, trzeba przyznać, że pożądała zawrotnych ilości tej uwagi).

Olivia uczepiła się rękawa koszuli Julii, by obudzić siostrę, ale to wymagało więcej czasu i zabiegów. Amelia w łóżku obok już nie spała. Leżała z zamkniętymi oczami, pragnąc ocalić ostatnie krople snu. Wiedziała, że nawet gdyby udawała, że śpi, to Olivia weszłaby jej do łóżka i jak małpka uwiesiłaby się jej słabej ręce albo nogi, przylgnęłaby do niej ciepłą, ogorzałą od słońca skórą, wgniatając między ich ciała miękką flanelę Niebieskiej Myszki.

Przed narodzinami Olivii Amelia dzieliła pokój z Sylvią, co, choć miało swoje ujemne strony, było o wiele lepszym rozwiązaniem niż wspólny pokój z Julią. Między skrajnie przeciwnymi biegunami charakterów Julii i Sylvii Amelia

czuła się osamotniona, wyobcowana i mało ważna. Wiedziała, że niezależnie od tego, ile dzieci „po namyśle” zdarzy się jeszcze w tej rodzinie, ona zawsze będzie w środku, zagubiona i nie zauważana. Amelia była dziewczyną wrażliwszą od Sylvii, bardziej myślącą i pogrążoną w książkach. Sylvia przedkładała emocje nad porządek (i właśnie dlatego, utrzymywał Victor, nigdy nie zostanie wybitnym matematykiem, co najwyżej przyzwoitym). Sylvia była nieźle pokrecona. Powiedziała Amelii, że przemówił do niej Bóg (o Joannie d'Arc nie wspominając, ta mówiła do niej bez przerwy). Jeśli Bóg rzeczywiście zechciałby się do kogoś odezwać, to Sylvia nie wydawała się odpowiednim adresatem.

Sylvia uwielbiała tajemnice i nawet jeśli żadnej nie miała, to robiła wszystko, by inni myśleli, że ma. Amelia nie miała sekretów. Amelia nic nie wiedziała. Postanowiła sobie, że kiedy dorośnie, wszystkiego się dowie, nikomu nie piśnie słowa i będzie miała swój sekret.

Czy pojawienie się dziecka „po namyśle” będzie oznaczać, że mama znowu zacznie je przerzucać z pokoju do pokoju, w kolejnej arbitralnie zarządzanej układance? Do kogo przeniesie Olivie? Kiedyś kłóciły się o to, w którym łóżku będzie spał pies, a teraz zabiegają o względy Olivii. W domu było pięć sypialni, ale jedna pełniła funkcję „pokoju dla gości”, choć żadna z nich nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy jakiś gość został u nich na noc. Teraz mama zaczęła coś przebąkiwać o wyremontowaniu poddasza. Amelii bardzo spodobał się pomysł, by mieć pokój na poddaszu, z dala od wszystkich. Wyobrażała sobie kręcone schody biegnące na górę, białe ściany, białą sofę, biały dywan, a w oknach białe, lekkie, prześwitujące firanki. Kiedy dorośnie i wyjdzie za mąż, będzie chciała mieć tylko jedno dziecko, jedno idealne

dziecko (przypominające Olivie) i będzie chciała mieszkać w białym domu. Gdy próbowała wyobrazić sobie męża, który zamieszkałby z nią w tym białym domu, przed oczami jawił się jej tylko cień mężczyzny, jakiś zamazany kształt, który mijał ją na schodach lub na korytarzu i mruzczał uprzejme słowa pozdrowienia.

Dochodziło wpół do ósmej, gdy Olivia postawiła je wreszcie na nogi. Każda z dziewcząt przygotowała sobie śniadanie, z wyjątkiem Olivii, którą usadzono na poduszce i którą Amelia karmiła płatkami z mlekiem, a Julia kawałeczkami tostów. Olivia należała teraz wyłącznie do nich, była ich uwielbianym jagnięciem, a to dlatego, że mama czuła się wymęczona dzieckiem „po namyśle”, a tata był przecież wielkim matematykiem.

Napychając usta jedzeniem (Rosemary przysięgłaby, że w żołądku Julii kryje się labrador), Julia zacięła się nożem do chleba, ale Sylvia nie pozwoliła jej zbudzić bekiem rodziców, błyskawicznie zamknąwszy jej dłonią usta, jakby założyła jej maskę chirurgiczną. Przynajmniej jeden incydent dziennie, pociągający za sobą mniejsze lub większe krwawienie, to norma. Dziewczynki były bodaj najbardziej „podatnymi na wypadki” dziećmi na świecie, tak twierdziła mama, która miała serdecznie dość ciągłych wyjazdów do szpitala Addenbrooke - a to Amelia złamała sobie rękę, próbując zrobić gwiazdę, a to Sylvia oparzyła się w stopę, napełniając butelkę wrzątkiem, a to Julia rozcięła wargę, skacząc z dachu garażu, a raz Julia usiłowała przejść przez zamknięte szklane drzwi ogrodowe, pod samym okiem Amelii i Sylvii, które stały i patrzyły na nią osłupiałe (jak mogła nie zauważyć drzwi?!), aha, jeszcze tajemnicze omdlenia Sylvii; bez ostrzeżenia zmieniała nagle pozycję z pionowej na horyzontalną, skóra jej bladła, wargi wysychały; istna

próba generalna przed umieraniem - że to tylko próba, zdradzały lekko drżące powieki.

Jedyną osobą całkowicie odporną na te zbiorowe akty wyjątkowej niezdarności była Olivia, która w ciągu trzech lat swego krótkiego życia nie nabawiła się niczego poza paroma siniakami. Jeśli chodzi o pozostałe dziewczynki, matka zawsze mówiła, że opatrywanie ich licznych ran i skaleczeń zajmuje jej tyle samo czasu co praca pielęgniarki w szpitalu.

Oczywiście najstraszniejszy i najbardziej emocjonujący był dzień, w którym Julia odcięła sobie palec (Julia przejawiała dziwną słabość do ostrych narzędzi). Miała wtedy pięć lat. Spokojnie weszła do kuchni, nie zauważona przez mamę. Rosemary zorientowała się, że palec został amputowany, dopiero wtedy, gdy na chwilę odwróciła głowę od siekanej wściekle marchewki i jej wzrok padł na zszokowaną Julię. Dziewczynka w niemym osłupieniu unosiła wysoko dłoń i eksponowała straszną ranę, w pozie jakiegoś umęczonego, dziecięcego świętego. Rosemary jednym ruchem rzuciła na dłoń kuchenny ręcznik, chwyciła Julię na ręce i popędziła do sąsiada, który, z piskiem opon na zakrętach, zawiózł je do szpitala. Amelii i Sylvii pozostała kłopotliwa kwestia, co zrobić z białym paluszkiem leżącym na linoleum.

(Nie w ciemię bita Sylvia natychmiast wrzuciła palec do torebki z mrożonym groszkiem i obie pojechały autobusem do szpitala, a przez całą drogę Sylvia ścisnęła mocno rozmrażającą się torebkę, jakby od tego groszku zależało całe życie Julii.)

Dziś planowały wędrowkę brzegiem rzeki aż do Grantchesteru. W te wakacje odbywały tę wyprawę co najmniej

dwa razy w tygodniu. Kiedy Olivia była zmęczona, brały ją na barana. Włóczęga zabierała niemal cały dzień, bo po drodze zatrzymywało je tyle ciekawych rzeczy - nad rzeką, na pobliskim polu, a nawet w ogródkach mijanych domostw. Jediną przestrogą, jakiej udzielała im Rosemary na odchodnie, był absolutny zakaz kąpieli. Ale dziewczynki zawsze wychodziły z domu z kostiumami kąpielowymi ukrytymi pod spódniczkami lub spodenkami i niemal nie było wyprawy, podczas której nie przebrałyby się i nie kąpały w rzece. Były wdzięczne nowemu dziecku „po namyśle”, że przemieniło ich srogą i surową mamę w tak lekkomyślnego i nieuważnego strażnika. Tamtego lata żadne dzieci w okolicy nie mogły się cieszyć tak bujną i pełną ryzyka wolnością.

Czasem Rosemary dawała im drobne na herbatę w Orchard Tea Rooms (gdzie nie były najmilej widzianymi gośćmi), ale zwykle dziewczęta zabierały przygotowany w pośpiechu suchy prowiant, który zjadały najczęściej jeszcze przed Newnham. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj słońce weszło wysoko nad Cambridge i zatrzymało je w ogrodzie. Dziewczynki próbowały wykrzesać z siebie trochę energii, bawiąc się na pół gwizdka w „chowanego”, ale żadna nie potrafiła się dobrze schować. Nawet Sylvia zadowoliliła się byle kąpą tymotki za czarnymi porzeczkami na końcu ogrodu - Sylvia, której udało się kiedyś ukrywać przez trzy godziny (wyciągnęła się jak leniwiec na grubym konarze buku w ogrodzie sąsiadki, pani Rain, naprzeciwko ich domu). Szukali jej już wszyscy, ale nikt nie umiał jej znaleźć, dopóki nie zasnęła i nie spadła z drzewa, łamiąc sobie rękę. Rosemary wdała się w potworną kłótnię z panią Rain, która chciała, żeby policja zatrzymała Sylvie za najście na teren prywatny (głupia baba!) Dziewczęta często przemykały się do jej ogrodu, kradły kwaśne jabłka z sadu, grały jej na nosie i płatały wy-

myślne figle - była starą wiedźmą i zasłużyła sobie na złe traktowanie.

Po apatycznym lunchu, na który złożyła się głównie sałatka z tuńczyka, zaczęły grać w podwórkowego palanta, ale Amelia się przewróciła i poleciała jej krew z nosa, a Sylvia pokłóciła się z Julią i trzasnęła ją w policzek. Potem się pogodziły i zaczęły splatać łańcuszki ze stokrotek, wplatać je we włosy Olivii i ozdabiać nimi obrożę Rascala. Wkrótce jednak nawet to okazało się zajęciem zbyt męczącym. Julia powlokła się w cień pod krzakiem hortensji, gdzie zasnęła przytulona do psa. Sylvia wzięła Olivię i Niebieską Myszkę do namiotu i zaczęła im czytać. Namiot, staroć nad starociami, pozostawiony w szopie przez poprzednich właścicieli domu, został rozbity na trawniku już pierwszego ciepłego dnia lata i odtąd dziewczynki rywalizowały o miejsce pod pleśniejącym płótnem, choć było pod nim duszniej niż w ogrodzie. Nie upłynęło kilka minut, gdy Sylvia i Olivia zapadły w sen, zapomniawszy o książce.

Amelia, rozmarzona i ospała od upału, leżała na plecach w wysokiej pożółkłej trawie, na spieczonej ziemi, gapiąc się bezmyślnie w bezchmurne niebo, poprzecinane tylko małwami, które rosły w ogrodzie jak chwasty. Obserwowała przecinające niebo brawurowe loty jaskółek i wsłuchiwała się w przyjemne brzęczenie owadów. Po jej piegowatym ramieniu przechadzała się biedronka. Wysoko nad głową zobaczyła sunący leniwie balon i żałowała, że nie chce jej się wstać, obudzić Sylvii i powiedzieć jej o balonie.

W żyłach Rosemary krew płynęła wolno. Wypiła duszkiem szklankę wody z kranu w kuchni i wyjrzała przez okno do ogrodu. Po niebie sunął balon, niczym ptak pochwycony w strumień ciepłego powietrza. Dzieciaki spały w najlepsze.

Niespodziewanie ten rzadki stan błęgiego spokoju wywołał w niej nagły przyływ miłości do dziecka, które nosiła w łonie. Gdyby dzieci spały bez przerwy, nie miałyby nic przeciw matkowaniu. No, może poza Olivią. Rosemary nie chciałyby, żeby Olivia spała przez cały czas.

Kiedy czternaście lat temu Victor się jej oświadczył, nie miała zielonego pojęcia, jak może wyglądać życie żony wykładowcy uniwersyteckiego. Wyobrażała sobie jednak, że będzie ono oznaczać „wyjściowe suknie” (jak nazywała je mama), przyjęcia na łąkach Backs pod zabytkowymi murami collegeo'w, przechadzanie się eleganckim krokiem po trawnikach średniowiecznych dziedzińców i szepty ludzi: „Proszę spojrzeć, to żona słynnego Victora Landa, wie pan, bez niej byłby nikim”.

Oczywiście, prawdziwe życie żony wykładowcy uniwersyteckiego w niczym nie przypominało jej wyobrażeń. Nie było przyjęć i z całą pewnością nie było eleganckich spacerów po średniowiecznych dziedzińcach, których trawę obdarzano tu czcią równą tej, jaką rezerwowano dla wielkich dzieł sztuki. Co prawda krótko po ślubie rzeczywiście została zaproszona z Victorem na przyjęcie w ogrodzie Master's, gdzie jednak natchmiast ujawniła się niedyskretna natura kolegów Victora, powtarzających opinię, że ożenił się (straszliwie) poniżej swego statusu („Pielęgniarka...”, ktoś wyszeptał to takim tonem, jakby ten zawód był tylko trochę bardziej godny szacunku niż prostytutka). Jedno było zgodne z prawdą, bez niej Victor byłby nikim. Ale zgodne z prawdą było także to, że również ona byłaby nikim bez niego. Właśnie w tej chwili Victor śleczął w swoim ciemnym i chłodnym gabinecie, gdzie ciężkie, szenilowe zasłony odgradzały go od lata, zatopiony w pracy, która nigdy jeszcze nie wydała owoców, nie zmieniła świata, nie przyniosła mu sławy. Nie był wybitny

w swej dziedzinie, ledwie poprawny, To dawało Rosemary pewną satysfakcję.

Wiedziała, dzięki życzliwej uprzejmości jednego z kolegów Victora, że w matematyce uczeni dokonywali wielkich odkryć przed trzydziestym rokiem życia. Tymczasem Rosemary miała trzydzieści dwa lata - swoją drogą, trudno jej było uwierzyć, że to wydaje się tak mało, a człowiek czuje się tak staro.

Przypuszczała, że Victor ożenił się z nią, bo uważał ją za osobę, która lubi zajmować się domem (suto zastawione stoliki podczas podwieczorków u jej matki zwiodły go jednak na manowce, ponieważ Rosemary nie potrafiła wtedy upiec nawet zwykłej babeczki), a że była pielęgniarką, to niewątpliwie założył też sobie, że jest osobą bardzo troskliwą i opiekuńczą. Zresztą wówczas sama miała prawo tak o sobie myśleć, ale teraz nie czuła się na siłach, by opiekować się choćby kotem, a co dopiero czwórką, a niebawem piątką dzieci, o wielkim matematyku nie wspominając.

Co więcej, od dłuższego czasu nie opuszczało jej dziwne przekonanie, że praca wielkiego matematyka to jedna bujda. Nieraz, odkurzając tę jego dziuplę, widziała na biurku kartki ze słupkami rachunków i dochodziła do wniosku, że nie różnią się wiele od cyfrowych układanek jej ojca, który wieczorami obliczał wygrane z wyścigów konnych i zakładów bukmacherskich. Victor co prawda nie robił wrażenia hazardzisty. Ojciec, owszem, ku bezgranicznej rozpaczy matki był hazardzistą. Pamięta, jak w dzieciństwie zabrał ją raz na wyścigi do słynnego Newmarket. Posadził ją sobie na ramionach i stanął tuż przy mecie. Była przerażona zgiełkiem na trybunach, tumultem, jaki czyniły kopyta koni galopujących na ostatniej prostej, i gęstym tłumem przy mecie, szalejącym tak, jakby zbliżał się koniec świata, a nie zwycię-

stwo o pół łba konia, na którego przyjmowano zakłady 30 do 1. Rosemary nie potrafiła sobie wyobrazić Victora opętanego szaleństwem wyścigów konnych, nie widziała go też w zadymionym wnętrzu punktu bukmacherskiego.

Po chwili Julia wynurzyła się spod hortensji, nadal wyraźnie zmęczona upałem. Jakim cudem Rosemary uda się zapędzić je po wakacjach do szkoły? Ciągłe przebywanie na świeżym powietrzu przemieniło je w Cyganiątka, ich pełna zadrapań skóra była ogorzała, a zmierzwione, spłowiałe na słońcu włosy nie dawały się już rozczesać. Miała wrażenie, że dziewczynki są permanentnie umorusane, bez względu na to, czy się kąpią czy nie. W wejściu do namiotu stanęła zaspana Olivia. Serce Rosemary zabiło mocniej. Dziewczynka miała ubrudzoną buźkę, jej rozjaśnione warkoczyki sterczały na prawo i lewo; Rosemary nie była pewna, ale wydawało się, że ktoś wplótł w nie zwiędłe kwiaty. Olivia szeptała jakieś sekrety w ucho Niebieskiej Myszki. Była jej jedynym naprawdę pięknym dzieciakiem. Julia, owszem, z czarnymi lokami i zadartym nosem była nawet ładna, ale za to charakter miała paskudny. Sylvia, biedna Sylvia, o czym tu w ogóle mówić? Z kolei Amelia była jakaś... no, słodka. Za to Olivia... Olivia była utkana z promyków światła. Wydawało się nieprawdopodobne, że jest dzieckiem Victora, jednak, niestety, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Olivia była jedyną córką, którą Rosemary darzyła prawdziwą miłością, choć, Bóg świadkiem, w wypadku pozostałych dziewczynek starała się najlepiej, jak umiała. Wszystko jednak z obowiązku, nic z miłości. Obowiązek w końcu zabija.

Coś tu było nie tak. Jakby uczucie, którym miała obdarzyć pozostałe córki, zostało do cna wyssane i przelane na Olivię - do tego stopnia, że kochała najmłodsze dziecko z siłą, która czasem wydawała się nienaturalna. Niekiedy

miała ochotę pożreć Olivie, wgrzyźć się w jej delikatne przedramię albo mięciutki mięsień łydki, a nawet połknąć ją w całości jak wąż i trzymać w swoim wnętrzu, gdzie byłaby najbardziej bezpieczna. Była okropną matką, nie miała co do tego wątpliwości. Ale brakowało jej nawet sił, by mieć w związku z tym poczucie winy. Olivia zauważyła mamę i pomachała jej.

Przy obiedzie dziewczynki nie grzeszyły apetytem. Dłubały od niechcienia w jagnięcinie duszonej z cebulą i ziemniakami, potrawie niewłaściwej na tę porę roku, której przyrządzenie, co gorsza, zabrało Rosemary mnóstwo czasu. Pojawił się Victor, który wyszedł ze swej jaskini, mrużąc oczy w jasnym świetle, niczym człowiek pierwotny. Szybko zjadł, co miał na talerzu, i zaraz poprosił o dokładkę, a Rosemary zastanawiała się, jak jej mąż będzie wyglądał po śmierci. Patrzyła, jak je obiad, jak jego widelec jak automat wędruje w dół i w górę, od talerza do ust, patrzyła na jego dłonie, potężne jak płetwy, i grube palce owinięte wokół sztućców. Miał duże, chłopskie ręce, pierwsza rzecz, która rzuciła jej się w oczy, kiedy go poznała. Matematyk powinien mieć smukłe i delikatne dłonie. Właściwie już patrząc na ręce, powinna była się na nim poznać. Poczowała nagle mdłości i jakieś lekkie skurcze. Może poroni? To byłaby prawdziwa ulga.

Rosemary wstała gwałtownie od stołu. „Czas spać!”, oznajmiła krótko. Normalnie usłyszałyby głosy protestu, ale oddech Julii był już ciężki, a jej oczy zaczerwienione od nadmiaru słońca i pyłków traw - dziewczyna miała wszystkie rodzaje letniej alergii. Sylvia z kolei wyglądała tak, jakby miała udar słoneczny, blada i chlipiąca, wyglądała na chorą i wciąż powtarzała, że boli ją głowa, co nie powstrzymało jej przed histerią, gdy Rosemary kazała jej wcześniej pójść do łóżka.

Niemal każdego wieczoru trzy starsze córki dopytywały się, czy mogą nocować w namiocie, i każdego wieczoru Rosemary odpowiadała „Nie!”, przytaczając zawsze ten sam argument, że nawet kiedy nie śpią w namiocie i tak wyglądają jak Cyganiątka i „nie ma znaczenia”, że Cyganie mieszkają w wozach, a nie w namiotach, co Sylvia starannie podkreśliła. Rosemary starała się jak mogła, by dobrze dbać o rodzinę, wbrew wszelkim przeciwnościom i bez najmniejszej pomocy ze strony męża, dla którego codzienne obowiązki związane z przygotowaniem posiłków, sprzątaniami i opieką nad dziećmi nie znaczyły zupełnie nic i który ożenił się tylko po to, by mieć kogoś, kto by się o niego troszczył. W jeszcze gorszy nastrój wprawiły ją słowa Amelii:

- Mamo, dobrze się czujesz?

Miała bowiem wrażenie, że Amelię najbardziej zaniedbuje. Głównie z tego powodu Rosemary westchnęła ciężko, łyknęła w milczeniu paracetamol i tabletkę nasenną (prawdziwie zabójcza mieszanka dla dzieciaka w jej łonie) i oznajmiła najbardziej zapomnianemu dziecku:

- Jeśli masz ochotę, Amelio, proszę, śpij dzisiaj z Olivią w namiocie.

Jakże cudownie jest obudzić się i poczuć zapach wonnej rosy i mokrego namiotowego płótna, w każdym razie lepiej niż w pobliżu Julii, której oddech w ciągu nocy zawsze staje się nieświeży. Nieokreślona woń Olivii jest tymczasem ledwie wyczuwalna. Amelia przymknęła powieki przed rażącym światłem. Wyczuwała, że słońce jest już bardzo wysoko. Drzemiąc, czekała, aż Olivia się zbudzi i wpełźnie pod jej starą, puchową kołdrę, która znakomicie grała rolę śpiwora. Ale to nie Olivia, lecz Rascal obudził Amelię ostatecznie, lizając ją wesoło po twarzy.

Po Olivii nie było śladu. Wymoszczone gniazdko z koców, którymi się nakrywała, świeciło pustką, jakby ktoś ją stamtąd bezszelestnie wyłuskał. Amelia poczuła zawód, była rozczarowana, że mała siostra wstała sama i jej nie obudziła. Wyszła z namiotu i przeszła bosą po mokrej trawie do domu. Rascal dreptał za nią tuż przy nodze. Sięgnęła do klamki tylnych drzwi, te jednak okazały się zamknięte - najwyraźniej mama w ogóle nie pomyślała, żeby dać Amelii klucz. Co to za matka, która zamyka dom przed własnymi dziećmi?

Wokół panował spokój. Amelii wydawało się, że jest jeszcze wcześnie, ale nie wiedziała dokładnie, która jest godzina. Zastanawiała się, czy Olivia jakimś sposobem nie weszła do domu, ponieważ w ogrodzie jej nie widziała. Zawołała ją głośno po imieniu i przeraziła się drzeniem swego głosu. Nie zdawała sobie sprawy, że się boi, póki nie usłyszała tego na własne uszy. Przez jakiś czas pukała do tylnych drzwi, ale ponieważ nikt nie otwierał, pobiegła ścieżką wzdłuż bocznej ściany domu - mała furka z boku była uchylona, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Amelię. Wybiegła na ulicę, krzycząc: „Olivia!” już o wiele głośniej. Rascal, biorąc to za zabawę, zaczął poszczekiwać.

Ulica była pusta jak okiem sięgnąć, poza mężczyzną, który właśnie wsiadał do samochodu. Zaskoczony spojrzał na dziewczynkę. Amelia była bosą, miała na sobie tylko koszulę nocną, nieco przydługawą, po Sylvii. Domyśliła się, że zapewne wygląda dziwnie, ale nic jej to nie obchodziło. Podbiegła do frontowych drzwi i przycisnęła dzwonek z całych sił. Trzymała palec na przycisku bez przerwy, dopóki ojciec (z wszystkich domowników właśnie on) nie otworzył drzwi. Najwyraźniej dzwonek wyrwał go z głębokiego snu; skóra na jego twarzy wydawała się tak samo zmięta jak pidżama, którą miał na sobie, włosy szalonego profesorka sterczały na

wszystkie strony, a on sam patrzył na nią ze zdumieniem, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu i nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Kiedy w końcu rozpoznał własne dziecko, ogarnęło go jeszcze większe zdumienie.

- Olivia - wyrzuciła z siebie Amelia, tym razem niemal szeptem.

Po południu zagrzmiało i jasna błyskawica rozdarła niebo nad Cambridge, zwiastując koniec upałów. Namiot w ogrodzie domu stanowił już w tym czasie centrum dowodzenia akcji poszukiwawczej, która w miarę upływu dnia zataczała coraz większe koło i angażowała coraz więcej ludzi -najpierw tylko Landów, którzy biegali po ulicy, przedzierali się przez zarośla i żywopłoty, wykrzykując imię Olivii aż do ochrypnięcia. Teraz jednak poszukiwania prowadziła także policja i sąsiedzi, którzy szczegółowo przeszukiwali swoje ogrody, piwnice, altany i dobudówki. Niebawem krąg poszukiwań poszerzył się o nurków policyjnych, penetrujących dno rzeki i zupełnie obcych ludzi, ochotników, którzy przeczesywali łąki i rzeczne rozlewiska. Policyjne helikoptery krążyły nisko nad podmiejskimi wioskami i całą okolicą, docierając aż do granic hrabstwa. Powiadomieni kierowcy tirów obserwowali szosy, a sprowadzona specjalnie jednostka wojskowa sprawdzała rozległe przestrzenie Fens. Jednak nikt - począwszy od Amelii wydzierającej się wniebogłosy w ogrodzie po członków ochotniczej służby obrony kraju pełzających w deszczu na czworaka przez połacie Midsummer Common - nie natrafił na choćby najmniejszy ślad Olivii, bodaj włos, płatek naskórka, różowy kapeć z uszami królika albo Niebieską Myszkę.

Historia nr 2 1994

Zwykły dzień

Theo musiał zażywać więcej ruchu. Oficjalny werdykt brzmiał: chorobliwie otyły. Tak orzekła jego nowa, niezbyt sympatyczna lekarka rodzinna. Theo doskonale wiedział, że nowa lekarka - młoda kobieta o krótko przyciętych włosach, z torbą sportową rzuconą niedbale w kąt gabinetu - użyła tego terminu tylko po to, aby go przestraszyć. Dotychczas nie uważał siebie za osobnika chorobliwie otyłego. Skłonny był raczej myśleć, że jest mężczyzną o radosnej nadwadze, kimś w rodzaju puciołowatego Świętego Mikołaja. Nie miał więc zamiaru przejmować się przestrogą lekarki. Kiedy jednak wrócił do domu i opowiedział o rozmowie w gabinecie swojej córce Laurze, ta naprawdę się przestraszyła. Natychmiast opracowała harmonogram ćwiczeń gimnastycznych i specjalną dietę. Właśnie dlatego Theo jada teraz na śniadanie owsiankę z mlekiem, a do swojego biura w Parkside, oddalonego o trzy kilometry, codziennie rano chodzi pieszo.

Żona Thea, Valerie, zmarła z powodu pooperacyjnego zakrzepu krwi w mózgu w absurdalnie młodym wieku trzydziestu czterech lat. Było to tak dawno temu, że niekiedy z trudem sobie przypominał, że w ogóle był kiedyś żonaty.

Valerie poszła do szpitala na zabieg usunięcia wyrostka robaczkowego. Teraz, z perspektywy czasu, Theo zdaje sobie sprawę, że powinien był podać do sądu szpital albo administrację służby zdrowia za zaniedbanie obowiązków. Był jednak tak pochłonięty koniecznością opieki nad córeczkami -gdy zmarła ich matka, Jennifer miała siedem lat, a Laura dwa - że nie miał nawet czasu ani sił opłakiwać śmierci żony, a co dopiero walczyć w sądzie o odszkodowania. Gdyby nie fakt, że dziewczęta przypominały matkę - coraz bardziej, w miarę jak rosły - to trudno byłoby mu przywołać z pamięci obraz żony, poza bardzo niewyraźnym, odległym zarysem postaci.

Małżeństwo i macierzyństwo uczyniły z Valerie kobietę

O wiele poważniejszą od tamtej studentki, o której względy Theo tak ochoczo i gorliwie zabiegał w młodości. Theo nieraz się zastanawiał, czy osoby, którym gdzieś w górze przeznaczone jest krótkie życie, nie przeczuwają tego, że mają mało czasu, i nie nabierają w życiu intensywności

1 powagi, jak nieodstępного cienia. Valerie i Thea bardziej łączyła wzajemna sympatia niż namiętność. Theo nigdy nie był pewien, czy ich małżeństwo przetrwałoby próbę czasu, gdyby Valerie żyła.

Jennifer i Laura nie przysparzały mu kłopotów jako dzieci i bardzo ułatwiły mu rolę kochającego, dobrego ojca. Jennifer studiowała teraz medycynę w Londynie. Była dziewczyną rzeczową, śmiertelnie poważną i dobrze wiedziała, czego chce od życia. Zabawy i chwile słabości nie leżały w jej charakterze, co nie znaczyło, że nie umie okazywać innym zrozumienia. Theo nie potrafił wyobrazić sobie Jennifer, jak siedzi w gabinecie lekarskim i chłodnym tonem cedzi jakiemuś grubasowi, którego widzi pierwszy raz w życiu, że jest „chorobliwie otyły” i powinien częściej ruszać dupę z domu.

Co prawda jego nowa lekarka rodzinna nie użyła dokładnie takich słów, ale nie zdziwiłby się, gdyby je od niej usłyszał.

Laura, podobnie jak starsza siostra, należała do dziewcząt zdolnych i konsekwentnych, które potrafiły dążyć do swoich celów, nie wkładając w to wcale wiele wysiłku. Jednak w przeciwieństwie do Jennifer Laura miała dość niefrasobliwy charakter. Nie znaczy to, że nie osiągała sukcesów - zdobyła już wszystkie stopnie pletwonurka, a przed dwudziestym rokiem życia zamierzała zdobyć też amatorski certyfikat nurka głębinowego. W najbliższym miesiącu czekał ją egzamin z prawa jazdy, a ze wszystkich szkolnych egzaminów spodziewała się najwyższych ocen. Miała już zapewnione miejsce w college'u w Aberdeen na kierunku biologia morska.

W czasie letniej przerwy znalazła pracę w pubie na King Street. Theo zamartwiał się jej wieczornymi powrotami do domu, wyobrażając sobie, jak jakiś maniak zwała ją z roweru w parku Christs Pieces i robi jej coś nie do pomyślenia. Poczuł niewysłowioną ulgę, kiedy usłyszał, że Laura postanowiła rozpocząć studia zgodnie z planem i jechać w październiku na uczelnię, a nie na jakąś wędrowkę z plecakiem po Tajlandii albo Ameryce Południowej, co czyniła większość jej rówieśników. Świat to niebezpieczne miejsce. „O Jennifer tak się nie martwisz”, wytykała mu Laura i była to prawda. Nie martwił się o Jennifer i udawał (przed sobą i przed Laurą), że jest tak dlatego, że w dalekim Londynie życie Jennifer jest dla niego niewidoczne. Jednak prawda była inna. Theo nie kochał Jennifer tak bardzo, jak kochał Laurę.

Bał się o Laurę za każdym razem, gdy wychodziła z domu, gdy wskakiwała na rower, gdy wkładała strój pletwonurka lub wsiadała do pociągu. Bał się, że spadnie jej dachówka na głowę, kiedy wychodziła w czasie silnego wiatru. Bał się, że

w akademiku dostanie pokój z niesprawnym kotłem gazowym i zatruje się w nocy tlenkiem węgla. Bał się, że spóźni się z kolejnym szczepieniem przeciwężcowym, że wejdzie do budynku publicznego, którego klimatyzatory wtłaczają do wnętrza powietrze skażone bakterią *Legionella*, że pójdzie do szpitala na rutynowy zabieg i nigdy z niego nie wyjdzie, że umrze wskutek wstrząsu anafilaktycznego po użądleniu pszczoły (przecież nigdy nie użądliła jej pszczoła, więc skąd ma mieć pewność, że nie jest uczulona?). Oczywiście nigdy tych obaw głośno nie wyrażał. Laurze wydałyby się śmieszne. Nawet gdyby delikatnie o czymś napomknął („Uważaj przy skręcie w lewo, w lusterku wstecznym masz ślepy punkt” albo „Zanim zmienisz żarówkę, wyłącz korki”), Laura śmiałyby się z niego i powiedziałyby na pewno, że Theo jest starą babą i głupiej żarówki nie potrafi wymienić bez katastroficznej wizji łańcucha nieszczęśliwych wypadków. Ale Theo dobrze wiedział, że jeśli długa podróż zaczyna się od źle wkręconej śrubki, to kończy się wyrwaniem drzwi luku bagażowego w chwili, kiedy samolot leci na najwyższym pułapie.

„Po co się tak zamartwiasz, tato?” - pytała Laura, rozbawiona jego niepokojami. „A dlaczego nie?” - odpowiadał bezgłośnie Theo. Po którejś z kolejnych nieprzespanych nocy, kiedy do świtu czekał na jej powrót z pubu (gdy wchodziła do domu, zawsze udawał, że już śpi), powiedział jej, niby mimochodem, że jego kancelaria poszukuje pomocy biurowej na krótki termin, więc może rozważyłaby taką tymczasową pracę. Ku jego bezmiernemu zdumieniu Laura pomyślała parę minut, powiedziała: „W porządku” i posłała mu swój czarujący uśmiech (godziny wytrwałej i nietaniej pracy dobrego ortodonta, gdy Laura była jeszcze mała), a Theo w myślach podziękował Bogu, bo choć był człowiekiem niewierzącym, często rozmawiał z Bogiem.

W pierwszym dniu pracy Laury w kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton (Wyre to właśnie Theo) nie było go w biurze, czym był oczywiście bardziej rozgoryczony niż Laura. Musiał pojechać do sądu w Peterborough, w sprawie jakiegoś nudnego sporu o granicę między gruntami, którą z urzędu powinien się zająć jakiś lokalny prawnik, ale klient był jego starym znajomym, który niedawno się przeprowadził w tamte rejony. Laura miała na sobie czarną spódniczkę i białą bluzkę. Kasztanowate włosy starannie upięła z tyłu. Patrzył na nią i myślał, jak słodko wygląda, jak pięknie.

- Obiecuj, tato, że do stacji pójdziesz pieszo - powiedziała Laura stanowczym tonem, gdy Theo wstawał od stołu.

- Skoro muszę... - odparł Theo, ale wiedział, że idąc pieszo, nie zdążyłby na pociąg, więc postanowił udać, że idzie pieszo, a za rogiem złapać taksówkę.

Dokończył niskokaloryczne, bogate w błonnik i dobre dla krów płatki z mlekiem, dopił filiżankę czarnej kawy, marząc o cukrze, śmietance i kawałku słodkiego ciasta, tym z morelami i gęstym kremem, które wyglądało jak żółtko wrzucone do wrzątku, i pomyślał z nadzieją, że może będą mieli takie ciastko w bufecie na stacji.

- Nie zapomnij inhalatora, tato - przypomniała jeszcze Laura, a Theo poklepał się po kieszeni kurtki, upewniając córkę, że ma wszystko, co trzeba.

Sama myśl, że nie ma przy sobie Ventolinu, wywoływała w nim paniczny strach, choć nie wiedział dlaczego: gdyby miał atak astmy, prawdopodobnie połowa przechodniów na angielskiej ulicy byłaby w stanie zaoferować mu własny inhalator.

- Cheryl ci wszystko pokaże. - Cheryl to jego sekretarka. - Na pewno zdążę wrócić przed lunchem, więc może wyjdziemy coś zjeść?

- Bardzo dobry pomysł, tato - odpowiedziała Laura. Odprowadziła go do drzwi, pocałowała na pożegnanie w policzek i powiedziała: - Kocham cię, tato.

A on odparł:

- Ja ciebie też, moje słonko.

Kiedy na rogu ulicy jeszcze raz się odwrócił, Laura jeszcze mu kiwała.

Laura, która miała brązowe oczy i jasną skórę, która lubiła dietetyczną pepsi i słone frytki, która była bystra i cięta w słowie, która w niedzielne poranki robiła mu sadzone jajka, która była jeszcze dziewicą (wiedział, bo sama mu to powiedziała, ku jego wielkiemu zakłopotaniu), co sprawiło mu wielką ulgę, choć był świadom, że nie będzie tak do końca świata. Laura, która trzymała w pokoju tropikalne rybki w akwarium ze słoną wodą, której ulubionym kolorem był niebieski, a ulubionym kwiatem przebiśnieg, która lubiła słuchać Radiohead i Nirvany, nienawidziła maskotki pana Blobbyego i dziesięć razy widziała w kinie *Wirujący seks*. Laura, którą Theo kochał z siłą przypominającą kataklizm, katastrofę.

Theo Wyre i David Holroyd założyli spółkę krótko po ślubie Thea i Valerie. Jean Stanton dołączyła do nich parę lat później. Cała trójka znała się jeszcze ze studiów i już wówczas marzyła, by prowadzić „otwarte i wrażliwe społecznie” praktyki adwokackie, które mogą coś zdziałać na rzecz zwykłych i biednych ludzi, i aby zająć się przede wszystkim konfliktami rodzinnymi, małżeńskimi i doradztwem. W miarę upływu lat ich dobre intencje stopniowo gasły. Jean Stanton odkryła, że duże procesy sądowe zajmują ją o wiele bardziej niż burdy uliczne, a jej poglądy polityczne zmieniły się z centrolewicowych na konserwatywne, i to przez duże K. David

Holroyd, wschodnio-angielski prawnik w piątym pokoleniu, uznał z kolei, że we krwi ma wielkie sprawy własnościowe. Tak więc misja zadbania o „stronę etyczną wizerunku ich kancelarii”, jak mawiał David Holroyd, spadała na barki Thea. Kancelaria szybko się rozrastała; poza sekretariatem zatrudniali trzech aplikantów i dwójkę stałych asystentów, a ich biuro w Parkside pękało w szwach. Nikt jednak nie myślał o przeprowadzce.

Budynek, w którym się mieściła kancelaria, był kiedyś zwykłym domem mieszkalnym. Miał wszystkiego pięć kondygnacji, od wilgotnej kuchni w piwnicy po służbówki na zimnym poddaszu. Pokoje wydawały się rozrzucone przypadkowo, lecz mimo to dom doskonale spełniał funkcję przyzwoitego mieszkania dla zamożnej rodziny. Po wojnie wydzielono w nim część mieszkalną oraz część na biura pod wynajem. Teraz z dawnych wnętrz pozostały już tylko fragmentaryczne i raczej upiorne ślady - gipsowy ornament lambrekinowy z urnami nad biurkiem Cheryl i wole oczy pod gzymsem w głównym korytarzu.

Dawny salon, zakończony owalem i bardzo klasycystyczny w swym umiarze, z widokiem na park Parker's Piece, służył teraz jako sala konferencyjna firmy Holroyd, Wyre & Stanton. Zimą w palenisku marmurowego kominka palił się najprawdziwszy węgiel, gdyż David Holroyd był bardzo staroświeckim człowiekiem. Theo stał w tym salonie dziesiątki razy, nieraz wznosił kieliszek wina z aplikantami i asystentami - wszyscy jowialni i dobroduszeni, wszyscy w pełni profesjonalni, odnoszący sukcesy. Oczywiście Jennifer i Laura bywały tu od dziecka, ale mimo wszystko dziwnie było pomyśleć, że Laura będzie tu dzisiaj jako pracownik, że będzie porządkować teczki, coś odbierać, coś przynosić; wiedział, że będzie jak zawsze miła i uprzejma, i czuł się dumny, bo wszy-

scy w kancelarii będą powtarzać do siebie: „Sympatyczna dziewczyna z tej Laury, prawda?” Ludzie zawsze tak o niej mówili.

Owce na torach. Konduktor nie rozwodził się już, czy chodzi o całe stado czy o kilka zabłąkanych sztuk. W każdym razie było ich dość, by wszyscy pasażerowie pociągu do Cambridge poczuli uderzenie, a potem gwałtowne wstrząsy. Pociąg stał dobre dziesięć minut, zanim kierownik pociągu przeszedł przez cztery wagony, informując o zderzeniu z owcami i ucinając tym samym spekulacje i domysły, że może były to krowy, może konie, a może nawet jakiś samobójca. Minęło pół godziny, a pociąg nie ruszał. Theo doszedł więc do wniosku, że chodzi tu raczej o stado niż zbłąkaną owieczkę. Chciałby już być w Cambridge i zaprosić Laurę na lunch, tymczasem teraz, jak ujął to maszynista, „wszystko było w rękach bogów”. Theo się zastanawiał, dlaczego w rękach bogów, a nie w rękach Boga.

W wagonach było coraz duszniej. Ktoś, prawdopodobnie konduktor, otworzył drzwi i pasażerowie zaczęli wychodzić na zewnątrz. Theo nie miał wątpliwości, że jest to naruszenie przepisów kolejowych, ale wzdłuż toru biegł nasyp i wydawał się dość bezpieczny - nie było możliwości, by inny pociąg wbił się w nich tak, jak ich pociąg wbił się w owce. Theo ostrożnie (nie bez trudu) wysiadł z wagonu na nasyp, trochę nawet zadowolony, że niespodziewanie stał się łowcą przygód. Ciekawiło go, jak może wyglądać owca po bliskim spotkaniu z rozpędzoną lokomotywą. Idąc wzdłuż torów, niebawem znalazł odpowiedź na nurtujące go pytanie - niemal wszędzie widział poszarpane kołami ochłapy krwistego mięsa pozlepiane kołtunami wełny, jakby owce padły ofiarą watahy wilków. Patrząc na tę rzeź, Theo dziwił się, ile potrafi

znieść, ale z drugiej strony zawsze twierdził, że w zawodzie prawnika jest coś z profesji policjanta i coś z profesji pielęgniarki, bo wszyscy mają tę samą umiejętność wzniesienia się ponad chaos zwykłych, codziennych tragedii i potraktowania ich bez emocji. Theo doznał dziwnego, pełnego triumfu olśnienia: jechał pociągiem, który miał kolizję i niemal się wykoleił, a nikomu nic się nie stało. Wszelkie znaki na niebie i ziemi każą teraz myśleć, że prawdopodobieństwo udziału (jego i pozostałych jadących z nim osób) w kolejnej katastrofie kolejowej definitywnie zmalało.

Maszynista stał przy lokomotywie z bardzo niewyraźną miną. Theo zapytał go, czy dobrze się czuje, a on w odpowiedzi mruknął:

- Widziałem tylko jedną... Pomyślałem, że dla jednej nie muszę gwałtownie hamować, a potem... - Uczynił niezręczny gest rękoma, jakby chciał zobrazować stado pierzchających owiec. - Potem nagle świat stał się biały.

Ten obraz poruszył wyobraźnię Thea i pozostał w nim przez resztę drogi, którą pasażerowie pokonali innym pociągiem. Wyobrażał sobie, jak opowiada o przygodzie Laurze, wyobrażał sobie, jak reaguje - przestraszona, ale też ponuro ubawiona. Kiedy wysiadł z pociągu, na dworcu wziął taksówkę, ale tylko do połowy drogi. Dalej ruszył pieszo. Co prawda spóźni się jeszcze bardziej, ale ucieszy Laurę.

Przez dobrą minutę Theo odpoczywał na chodniku, nim zdecydował się wreszcie wspiać po stromych schodach na wysoki parter, wprost do siedziby firmy Holroyd, Wyre & Stan-ton. Lekarka miała rację, Laura też ma rację, musi zrzucić parę kilogramów. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież i zablokowane żelazną podpórką. Podziwiał te drzwi za każdym razem, gdy wchodził do budynku. Pomalowane były

połyskującą, ciemnozieloną farbą i miały jeszcze oryginalne, mosiężne zdobienia - okucia szpary na listy, dziurki od klucza i kołatkę z lwim łbem. Na mosiężnym szyldzie, polerowanym każdego rana przez sprzątaczkę, znajdował się napis: „Holroyd, Wyre & Stanton - radcy i adwokaci”. Theo wziął głębszy oddech i zaczął się wspinać po stopniach.

Wewnętrzne drzwi prowadzące do recepcji także były otwarte, co nie było normalne, i z chwilą, gdy Theo przekroczył próg kancelarii, natychmiast do niego dotarło, że stało się coś złego. Sekretarka Jean Stanton siedziała skulona na podłodze, a na jej bluzce widniała smuga wymiocin. Recepcjonistka, Moira, stała przy telefonie i nerwowo, choć cierpliwie, dyktowała w słuchawkę adres firmy. We włosach i na twarzy miała krew. Theo pomyślał, że jest ranna, ale kiedy podszedł do niej, by pomóc, zaczęła machać ręką. Najpierw pomyślał, że chce go odgonić, jednak po chwili zrozumiał, że daje mu znaki, by przeszedł w kierunku sali konferencyjnej.

Później Theo wiele razy składał w całość wydarzenia, które poprzedzały tę jedną jedyną chwilę.

Laura skończyła kserować jakiś wypis z rejestru gruntów, kiedy do recepcji wszedł mężczyzna. Był to człowiek tak pospolitego i nieokreślonego wyglądu, że nikt, absolutnie nikt z pracowników Holroyd, Wyre & Stanton nie potrafił go potem ani opisać, ani podać choć jednej cechy charakterystycznej. Wszyscy za to pamiętali tylko to, że miał na sobie jasnożółty sweter modny wśród gomstów.

Mężczyzna robił wrażenie zagubionego i kiedy recepcjonistka zapytała go: „W czym mogę panu pomóc?” odparł wysokim, zdławionym głosem: „Pan Wyre, gdzie teraz jest?” Moira, nieco zaniepokojona jego nienaturalnym zachowaniem, odpowiedziała: „Pan Wyre powinien już wrócić z sądu, ale niestety się spóźnia. Czy ma pan umówione

spotkanie? Czym ja mogłabym panu służyć?" Jednak mężczyzna się odwrócił i pobiegł korytarzem, dziwnym, niezwykłym krokiem, jak dziecko, i wpadł do sali konferencyjnej, gdzie trwało spotkanie partnerów spółki, choć bez Thea, który był jeszcze w drodze ze stacji (zresztą zupełnie o nim zapomniał).

Wcześniej poprosili Laurę, by kupiła kanapki - z rostbefem i tuńczykiem, a poza tym koktajl z krewetek, ser i surówkę z kapusty, kukurydzę, a dla ojca lekką sałatkę z kurczaka (bez majonezu), bo naprawdę powinien zacząć poważniej traktować zdrowe odżywianie. Poza tym, pomyślała zapewne czule Laura, co za gapa z niego, skoro umawia się na lunch w czasie, kiedy ma naradę w kancelarii. Kanapki, kawa i notatniki - wszystko leżało już na mahoniowym stole w sali konferencyjnej (także owalnym, by kształtem wpasował się w bryłę pokoju), ale nikt jeszcze nie usiadł. David Holroyd stał przy kominku i opowiadał obu aplikantom o „obłędnie fantastycznych” wakacjach, z których właśnie wrócił, kiedy nieznajomy wtargnął do środka, wydobył nie wiadomo skąd myśliwski nóż (zapewne spod jasnożółtego swetra, ale nikt nie był tego pewien) i zaatakował nim Davida Holroyda. Nóż przeciął ciemny wełniany garnitur od Austina Reeda, białą popelinową koszulę od Charlesa Tyrwhitta, tropikalną opaleniznę skóry jego lewego ramienia i wreszcie tętnicę w tym ramieniu. A Laura, ta sama Laura, która lubiła morelowy jogurt i nigdy nie piła kawy, tylko herbatę, która nosiła szósty rozmiar buta i kochała konie, która wolała gorzką czekoladę od mlecznej i która przez pięć lat uczyła się gry na gitarze, ale nigdy potem na niej nie grała, która wciąż nie mogła odżałować, że Makuchna, jej suczka, ubiegłego lata wpadła pod samochód, ta sama Laura, która była dzieckiem Thea i jego największym przyjacielem, wypuściła z rąk

wypis z rejestru gruntów i wbiegła do sali konferencyjnej za nieznanym mężczyzną - może dlatego, że należała do Czerwonego Krzyża, może dlatego, że w college'u przeszła kurs samoobrony, może powodowała nią zwykła ciekawość, może instynkt... Nikt się nigdy nie dowie, co myślała, biegnąc do sali, gdzie nieznanym mężczyzną, zupełnie obcy człowiek, obracał się właśnie na pięcie z gracją i zwinnością tancerki, opuszczając rękę w tym samym, potężnym zamachu, którym ciał ramię Davida Holroyda i którym teraz jak sierpem zahaczył o szyję Laury, przecinając tętnicę szyjną i puszczając pióropusz jej drogocennej, pięknej krwi.

Jak we śnie, jakby w zwolnionym tempie, jakby pod wodą, Theo ruszył w kierunku sali konferencyjnej. Na mahoniowym stole zobaczył filiżanki do kawy i kanapki i dotarło do niego, że zapomniał o spotkaniu służbowym. Kremowe ściany pokoju spryskane były krwią, a David Holroyd leżał przed marmurowym kominkiem, rzucony bezwładnie jak krwawy worek. Bliżej drzwi leżało na podłodze jego rodzone dziecko, jego córka. Z otwartej rany w jej gardle wypływała łagodnymi falami spieniona krew. Do Thea docierało czyjeś chlipanie i czyjeś słowa: „Dlaczego jeszcze nie ma karetki, dlaczego?”

Theo upadł na kolana przy Laurze. Cheryl klęczała obok niego, w samej tylko spódniczce i staniku - absurdalny widok. Zdjęła bluzkę, żeby zatamować krew. Teraz trzymała w dłoni tylko zmiętą, czerwoną ścierkę, a jej skóra śliska była od krwi, która płynęła wąskimi strumykami wzdłuż rowka między piersiami. „Krwawa łaźnia”, tylko te dwa słowa przyszły Theowi do głowy. Krew była wszędzie, Theo klęczał w jej kałuży, dywan był nią przesiąknięty. Krwią Laury. Która była także jego krwią. Jej biała bluzka zabarwiła się na szkarłat-

no. Theo czuł zapach krwi - zapach miedzi i soli, fetor jak w sklepie rzeźnickim. Zastanawiał się, czy jest sposób, by otworzyć sobie żyły i tętnice, by wyssać z nich krew i oddać ją córce. I przez cały czas Theo się modlił: „Proszę, Boże, niech nic jej nie będzie”, szeptał te słowa jak potworną, nie kończącą się mantrę i czuł, że jeśli uda mu się ją w kółko bez końca powtarzać, to zapobiegnie najgorszemu.

Oczy Laury były wpólotwarte i Theo nie był pewien, czy żyje. Pamiętał, jak ubiegłego lata klęczał przy Makuchnie na skraju drogi, kiedy potrącił ją samochód. Był to mały terierek, Theo trzymał go na rękach i czuł, jak uchodzi z niego życie. Widział w jego oczach takie samo mętne spojrzenie, które uciekało w głąb, w niedostępne miejsce, z którego nie ma powrotu. Przycisnął palce do rany na szyi Laury, ale właściwie nie było już co tamować, więc wziął tylko jej delikatną, ciepłą rękę i trzymał, i nachylił się do jej twarzy, i szeptał jej w ucho: „Wszystko dobrze, Lauro”, potem ujął jej głowę w obie dłonie, pogłaskał zlepione krwią włosy, a jego sekretarka, Cheryl, powiedziała: „Bóg jest z tobą, Lauro”.

W chwili kiedy przestał się modlić, gdy dotarło do niego, że Laura nie żyje, Theo zrozumiał, że ta chwila nie będzie miała końca. Laura zawsze będzie stała tu, przy kserokopiarce, odgadywała zawilosci rejestrów gruntów, zastanawiała się, kiedy wróci jej ojciec, bo w brzuchu burczy jej z głodu i ma już ochotę wyjść na lunch. Może żałowała, że przyjęła tę pracę, bo była strasznie nudna, ale zgodziła się, by zrobić ojcu przyjemność, bo lubiła go uszczęśliwiać, bo go kochała. Ta sama Laura, która sypiała zwinięta w kłębek jak kot, która lubiła gorące tosty smarowane masłem i kochała wszystkie odcinki *Indiany Jonesa*, za to nie znosiła *Gwiezdných wojen*, której pierwszym wypowiedzianym sło-

wem było słowo „pies”, która lubiła deszcz, ale bała się wiatru, która planowała urodzić trójkę dzieci, ta sama Laura, która zawsze już będzie stała przy kserokopiarce w kancelarii w Parkside, czekając na nieznajomego z nożem, czekając, aż świat utonie w oślepiającej bieli.

Historia nr 3 1979

Wszystko z obowiązku, nic z miłości

Każdego dnia Michelle nastawiała budzik o pięć minut wcześniej. Tego ranka zadzwonił dwadzieścia po piątej. Jutro zadzwoni kwadrans po piątej. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała z tym skończyć, bo w przeciwnym razie przyjdzie jej się budzić, zanim położy się spać. Ale jeszcze nie teraz. Wciąż niewiele wyprzedzała dziecko, które budziło się razem ze świtem i z ptakami, a o tej porze roku świt i ptaki z każdym dniem budziły się wcześniej.

Potrzebowała więcej czasu, po prostu miała go za mało. Był to jedyny pomysł na jego pomnożenie, jaki jej przyszedł do głowy. Oczywiście nie pomnożenie w sensie dosłownym. Byłoby cudownie, gdyby czas można było wyprodukować od zera - czas „nówka”, prosto z fabryki. Michelle zastanawiała się nad sposobami, po które można sięgnąć, by wyprodukować coś tak abstrakcyjnego. Do głowy przychodziły jej wyłącznie czynności znane z własnego, niewielkiego gospodarstwa domowego - robienie na drutach, szycie, pieczenie ciast. Wyobraźmy sobie, że czas można było zrobić na drutach. Jezu, jej druty fruwałyby w powietrzu jak dzikie, dzień i noc. Jaką miałyby przewagę nad przyjaciół-

kami, z których żadna nie wiedziała, jak zrobić czas na drutach (albo uszyć czas, albo upiec w piekarniku). Ale z drugiej strony żadna z nich nie urządziła się tak głupio jak ona - w wieku osiemnastu lat ma już męża i dziecko i mieszka w zakichanym domku na kompletnym odludziu, otoczona z czterech stron świata wyłącznie liniami horyzontu. Mogła się tu czuć, jakby niebo było gigantycznym kamieniem wgniatającym ją w ziemię. Nie, wcale się nie urządziła. Kochała ich. Naprawdę.

Zresztą, skąd wzięłaby czas na produkowanie czasu? N i e miała na to czasu. W tym szkopuł. Może więc w ogóle przestanie spać? Zamknęłaby się na klucz w jakiejś komnacie na szczycie wysokiej wieży, jak królewna z bajki, i przedłaby czas jak złoto. Mogłaby nie kłaść się spać i uprzedłaby tyle czasu, leżącego w złotych motkach u jej stóp, że wystarczyłoby go do końca życia i nigdy już nie musiałaby się śpieszyć. Pomysł, by żyć w zamkniętej wieży i odciąć się od wszystkich i wszystkiego, działał na Michelle jak obraz raj.

Dziecko było dla niej trochę jak przesyłka wysłana pod zły adres, której nie można już było ani zwrócić nadawcy, ani zamówić dostawy w późniejszym terminie. „Nie mów o niej to «dziecko», ona ma na imię Tanya”, przypominał jej ciągle Keith. Dopiero co sama zostawiła za sobą dzieciństwo (niezbyt szczęśliwe), jak więc teraz ma się opiekować kimś innym? Wiedziała, że cała tajemnica tkwi w słowie „związać się” z dzieckiem, wyczytała to w poradniku, który miała (*Jak wychować szczęśliwe dziecko*, jasne!). Ale Michelle nie związała się z dzieckiem, raczej dała mu się zakuć w kajdany.

Rację mieli ci, którzy radzili jej, żeby przerwała ciążę i zdała chociaż egzaminy maturalne. Gdyby mogła cofnąć wskazówki zegara - to kolejny sposób, żeby wyprodukować trochę czasu - z pewnością tak by postąpiła. Studiowałaby

teraz, gdyby nie miała dziecka - piłaby na umór w pubach, ćpałaby, oddawałaby eseje na temat reform parlamentarnych z 1832 roku lub na temat powieści *Mieszkaniec Wildfell Hall*, a nie chodziłaby, jak teraz, z konewką w ręku i podlewała nasiona kolendry na tacce z kompostem i nie słyszałaby płaczu dziecka, bez względu na to, gdzie je zostawiła, nie mogąc już tego głosu wytrzymać. Prawdopodobnie jest w sypialni i zamiast spać, pełźnie swoim tłustym, gąsienicowatym ciałem na skraj łóżka, skąd lada chwila może spaść, albo wpija się ząbkami w kabel elektryczny, albo wtula twarz w poduszkę i nie może złapać oddechu.

Michelle postawiła tacę z nasionami na parapecie okna w kuchni, gdzie będzie mogła codziennie obserwować, jak kiełki wyciągają się ku światłu. Z tego samego okna widzi też fragment swojego warzywnika, równe kopczyki przekopanej ziemi, geometryczne poletka wyznaczone sznurkami i patykami podtrzymującymi pnący groch. Keith nie mógł zrozumieć, po co jej warzywnik.

- Do cholery, mieszkamy na farmie - mówił, rozkładając szeroko ramiona, niczym strach na wróble. - Dookoła masz pełno warzyw. Możesz zbierać, ile ci się podoba!

Tak naprawdę wszędzie dookoła rosły ziemniaki, a to nie to samo. I jeszcze brukiew, i kapusta pastewna, wszystko na paszę dla bydła, chłopskie żarcie. Michelle chciała mieć cukinię i szpinak, i młode buraki na ćwikłę. I oczywiście kolendrę. I chciała mieć kwiaty. Piękne, pachnące kwiaty, róże i wiciokrzew, i lilie, białe, czyste lilie, takie, jakie wręcza się pannie młodej lub kładzie na grobie.

W miejscu, o które toczyli spór, nie było absolutnie nic poza nierówną połacią trawska z kopczykami piachu, które Michelle ze wściekłością w oczach omijała, pchając wózek i trzęsąc nim tak, że dziecko obijało się o boki jak manekin

w czasie testów zderzeniowych. Ze złości szła tak szybko, że Keith, mimo długich nóg, drobił za nią szybkimi kroczkami, by nie zostać w tyle.

- Co masz do kartofli? - zapytał Keith.

- To, że jest marzec i nie ma żadnych pieprzonych kartofli! - odpowiedziała mu Michelle, tyle że już krzyczała. - Nie ma tu nic. Nic, tylko błoto. Wszędzie błoto. I deszcz. Cholera, tu wygląda jak pod zasraną Sommą!

On powiedział:

- Nie rób z siebie idiotki, zachowujesz się jak walnięta paniusia w teatrze.

Ona pomyślała, że jego prowincjonalny akcent brzmi zabawnie, jak u jakiegoś prostaka w telewizyjnym sitcomie. Niech go szlag trafi, wieśniak, burak, stuknięty kartoflojad. Michelle udało się zgubić akcent dzięki ciągłemu wsłuchiowaniu się w programy telewizyjne z udziałem osób z wyższych sfer i dzięki uważnemu słuchaniu nauczycieli w szkole. W końcu jej wymowa stała się tak neutralna, pozbawiona jakiegokolwiek charakterystycznego akcentu, że trudno byłoby wskazać, skąd pochodzi. Ruszyła jeszcze szybszym krokiem, niemal truchtem.

- Zresztą - krzyknął za nią Keith. - Może wcale nie mam ochoty na kolendrę?!

Michelle zatrzymała się nagle, aż dzieckiem rzuciło w wózek. Odwróciła się.

- Tak? Ale może ja mam? - wycodziła.

Posłała mu przeciągłe, długie, jak najdłuższe spojrzenie, żałując w duchu, że nie ma pod ręką siekiery, która z łatwością rozłupałaby jego czaszkę na dwie części, niczym melon albo dynię. Nie, nie melon. Melony są słodkie i egzotyczne, me dość prozaiczne na tak tępy łeb. Z kolei dynia to warzywo rodem z baśni. Duża rzepa. Dobra byłaby rzepa; warzyw-

ko ordynarne i brutalne, idealne dla takiego kmiotka. Padłby jak bezgłowy strach na wróble, tutaj, na tym swoim polu, i wsiąkłby w ziemię, i nigdy już nie musiałaby go oglądać, i mogłaby oddać dziecko swojej mamie, i zmarnować jeszcze jedno życie.

A może - koszmarny pomysł - wzrósłby w tej glebie, rozplenił się, rozmnożył w niewidoczny sposób, a latem wystrzeliłby nagle nad ziemię łodyżkami, setki Keithów, tysiące Keithów, potakujących głową i kiwających się jak słoneczniki w polu.

Siekiera do rąbania drewna - czy to rzeczywiście absurdalny pomysł? Ludzie mieli dzisiaj w domach centralne ogrzewanie, a przynajmniej pochodzące ze źródła, którym nie musieli sobie zaprzętać głowy. Nie musieli wychodzić z domu bez względu na pogodę, żeby ścinać i rąbać drewno, i nie musieli potem czekać, aż ogień ogrzeje wodę w głównym bojlerze w komórce, żeby mieć w kranie ciepłą wodę.

Oni tymczasem nie kupowali nawet węgla, bo drewno mieli za darmo i na miejscu. Siekiera to także przedmiot rodem z baśni. Może właśnie to się jej przytrafiło, może wpadła w świat złej baśni i nie ucieknie z niego, dopóki nie wyzbiera z pola wszystkich kartofli, co do jednego, i dopóki nie zetnie w lesie wszystkich drzew, co do jednego. Chyba że nauczy się prząść czas. Albo głowa jej eksploduje. Taki znój, taka mordęga, czuła się jak średniowieczny chłop pańszczyźniany. To przecież feudalizm.

- Daj mi wózek - nakazał Keith. - Jak dalej będziesz go tak prowadzić, Tanya dostanie wstrząsu mózgu.

Z Michelle opadł raptem gniew. Była zawsze zbyt zmęczona, by długo znosić różne stany ducha, nawet złość. Szli obok siebie, ramię w ramię, wolnym krokiem, a dziecko po chwili zasnęło spokojnie - co było pierwotnym celem spaceru, kiedyś, dawno, dawno temu.

Po pewnym czasie Keith objął ją ramieniem, pieszczotliwie potarł policzkiem o czubek jej głowy i powiedział:

- Kocham cię, kiciusiu. Wiesz, że cię kocham, prawda?

Mogłaby to być całkiem sympatyczna chwila, gdyby nie zaczął siąpić zimny deszcz i gdyby znowu nie rozdarł się pędrak.

Michelle wychowywała się w trudnej rodzinie w Fen Ditton, jednej z posępnych podmiejskich wiosek, na które skazani byli niezamożni mieszkańcy Cambridge. Ojciec był pijakiem i „zawalidrogą”, jak mówiła mama Michelle, która jednak, mimo wszystko, nie rzuciła go, bo nie chciała zostać sama (co Michelle i jej siostra uważały za żalosne). Zresztą mama także popijała, ale przynajmniej ich nie biła. Młodsza siostra Michelle, Shirley, miała piętnaście lat i mieszkała z rodzicami. Michelle też chciałaby z nimi mieszkać, ale w domu nie było dla niej miejsca. Tęskniła za Shirley. Naprawdę tęskniła. Shirley chciała zostać lekarką, była mądrą dziewczyną, wszyscy mówili, że „Shirley wyrośnie na ludzi”. To samo mówili o Michelle, zanim pojawił się Keith i zanim urodził się pędrak. Teraz wyglądało na to, że nie udało jej się wyrosnąć na nikogo szczególnego.

Domek był ciasny. Sypialnia upchnięta pod skośnym dachem, a pokój dziecka przypominał wielkością garderobę, choć ono akurat rzadko spędzało czas w swoim pokoju, gdzie powinno leżeć w łóżeczku i słodko spać, a nie wydzierać się wniebogłosy i domagać brania na ręce. Odkąd urodziło się dziecko, Michelle nie przeczytała ani jednej powieści. Podczas karmienia piersią próbowała czytać książkę, ułożoną obok krzywo na poduszce, ale dzieciak nie chciał ssać, jeśli czuł, że mama skupia uwagę na czymś innym. Potem, kiedy przestała karmić piersią (Bogu dzięki!), bo skończył

jej się pokarm („Musi pani jeszcze spróbować, trzeba się zrelaksować, cieszyć dzieckiem”, mówiła położna, ale czym tu się właściwie cieszyć?), manewrowanie dzieckiem, butelką i przewracanie kartek w książce wymagało trzech par rąk. Trzy pary rąk - to też dobry sposób na produkcję czasu.

Kiedy Michelle była w ciąży, wiele wysiłku włożyła w urządzenie pokoju dla dziecka. Ściany pomalowała na kolor żółtka, za pomocą szablonu wyrysowała na nich szlaczek z kaczuszek i jagniąt, a na okno uszyła zasłony z materiału w wesołe, żółto-białe pasy - pokój wyglądał jak pudełko pełne słońca. Michelle zawsze robiła wszystko jak należy. Od najmłodszych lat była pedantycznie staranna. Matka śmiała się z niej i mówiła: „Ciekawe, po kim to ma, bo po mnie na pewno nie” (co było szczerą prawdą). Tak samo było w szkole, jej podręczników nigdy nie zbrudził najmniejszy kleks, jej rysunki i mapki w zeszytach były idealnie wykończone, wszystko ładnie podkreślone, ujęte w tabele, zaopatrzone w indeksy, a dziewczynka pracowała tak pilnie i systematycznie, że nauczyciele stawiali jej najlepsze stopnie nawet wówczas, jeśli jej pracom czegoś brakowało. Miała iść na studia, miała uciec, uwolnić się, ale zamiast tego ktoś ją zawrócił z tej drogi, ktoś z certyfikatem technika po szkole rolniczej, ktoś, kto gospodarował na dzierzawionym od państwa majątku, ktoś biedny jak mysz kościelna.

Zaczęła chodzić z Keithem Fletcherem, kiedy miała szesnaście lat, a on dwadzieścia jeden. Niemal wszystkie koleżanki strasznie jej zazdrościły, bo był starszy, bo miał motor, a przede wszystkim bo był cholernie przystojnym i seksownym facetem, z kolczykiem w uchu, czarnymi włosami i łotrowskim uśmiechem na twarzy. Zaczęła widzieć w nim Cygana, co wydawało jej się bardzo romantyczne, choć przecież ani kolczyk w uchu, ani łotrowski uśmiech ni-

kogo nie czynią od razu Cyganem. Właściwie w ogóle nikim człowieka nie czynią. Teraz Keith nie ma nawet motoru, ponieważ sprzedał go i kupił starą furgonetkę.

Dawniej, kiedy Michelle martwiła się tylko o to czy zdąży oddać na czas wypracowanie albo czy ma ładne uda, dawniej, czyli w czasach, gdy była piękna i młoda, Michelle uważała, że dom na wsi jest bardzo romantyczny. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła domek Keitha, pomyślała, że to najpiękniejsza i najbardziej osobliwa rzecz, jaką w życiu widziała, mały i przytulny, i taki stary, liczący ponad dwieście lat, z czerwonej, wypalanej cegły, z wzorami z krzemienia w nadprożach i wzdłuż okiennych parapetów - swego czasu był to domek (tak, tak) leśniczego. Kiedy wzięli ślub, p im domek i gospodarstwo w użytkowanie Bardzo wiążący układ, myślała Michelle z uśmiechem (choć wcale jej do śmiechu nie było), bo wiedziała, że nie tyle układ z domkiem jest wiążący, ile jej nowe życie.

Widziała przebłyski przyszłości, która ją czeka - śliczny wiejski domek, ogród pełen kwiatów i warzyw, pachnący chleb w piekarniku, na stole miska soczystych truskawek i roześmiane dziecko, uczone jej biodra, gdy ona rzuca kurom ziarno. Obrazek niemal z powieści Hardy ego, dopóki wszystko nie zacznie się psuć.

Kiedy wyszła za mąż, w szóstym miesiącu ciąży, rzuciła szkołę i popołudniową pracę w kawiarni.

- To nic - mówił Keith. - Jak się urodzi dziecko, będziesz mogła wrócić do szkoły i do pracy.

Ale oboje wiedzieli, że nie będzie to już uniwersytet, ale jakaś marna wyższa szkoła zawodowa w jakiejś marnej miejscinie (prawdopodobnie Cambridge, Boże), szkoła biznesu albo hotelarska, gdzie zrobi najwyżej dyplom ukończenia studiów technicznych. Mimo wszystko Michelle myślała

Tak, będę się uczyć, oczywiście, że tak, ale jednocześnie miała zamiar idealnie wywiązywać się z roli żony i matki. Dlatego dni upływały jej na sprzątanii, szorowaniu, praniu, pieczeniu i gotowaniu, na pilnym i wytrwałym czytaniu poradników dla gospodyń. Nie mogła wyjść ze zdumienia, ile sztuki i zdolności trzeba, aby zbudować „ognisko domowe” - uszyć patchwork, zmarszczyć firanki, ukusić ogórki, zrobić dżem z rabarbaru i specjalne dekoracje z lukru na bożonarodzeniowy placek - który powinno się zacząć przygotowywać najdalej we wrześniu (Jezus Maria!) - i trzeba pamiętać, by w tym samym czasie zasadzić w domu cebulki kwiatowe, które dzięki temu rozkwitną dokładnie w okresie świątecznym, i tak dalej, i tak dalej, co miesiąc długa lista prac, które powaliłyby samego Herkulesa. Do tego trzeba dodać codzienne przygotowywanie posiłków - robotę podwójnie trudną, odkąd odstawiła dziecko od piersi.

Kiedy jej matka zobaczyła, jak Michelle przygotowuje miazgę z gotowanej marchewki i gotuje dla małej krem jajeczny, załamała rękę.

- Boże miłosierny, Michelle, daj jej po prostu odżywkę Heinza!

Gdyby jednak zaczęła kupować odżywki, Tanya puściłaby ich z torbami, taka była zachłanna i łakoma, tuczyła się jak mała poczwarka. Zawsze była głodna, nigdy nie miała dość. Poza tym odżywki w słoiczkach to jedno oszustwo, bo jak coś już się robi, to trzeba to zrobić porządnie. Choć nawet Shirley, która zwykle brała jej stronę, powtarzała: „Michelle, nie musisz wkładać we wszystko tyle wysiłku”. Ale Michelle nie potrafiła inaczej, czuła, że coś w środku ją prowadzi, choć nie wiedziała, co to jest. Ale nie opuszczała jej pewność, że jeśli któregoś dnia uda jej się wreszcie zrobić wszystko jak należy, to uwolni się od tego „czegoś”, co ją prowadzi.

- Nigdy nie uda ci się zrobić wszystkiego perfekcyjnie, Michelle - ostrzegła Shirley. - To niemożliwe.

Ale to nieprawda. Człowiek może wszystko zrobić perfekcyjnie, jeśli tylko poświęci temu odpowiednio dużo czasu.

Pomyślała, że mogliby hodować kury lub kupić mleczną kozę - bo może ich gospodarstwu po prostu czegoś brakuje? Może jedna tłuściutka, biała wajandotka dopełniłaby całości i stworzyła wymarzoną sielankę? Albo leghorn. Kury mają takie urocze nazwy - brahmy, kochiny, fawerple. Wypożyczyła z biblioteki książkę na ich temat. Właściwie to ukradła, bo nie miała czasu, żeby pojechać do miasta i ją oddać. Nie twierdziła, że kradzież to dobra rzecz, ale też nie twierdziła, że dobre są niewiedza i chłopska ignorancja. Może więc kózkę? Kozę La Mancha albo appejncelską? Książka o rasach kóz także została skradziona. Życie na wsi zrobiło z niej złodziejkę. Angielskie kozy miawały śmieszne nazwy: Karzeł Zachodnioafrykański albo Mdlejąca Koza z Tennessee. Ale poza kozami jest także potrzebna grządka truskawek, namiot wielokwiatowej fasoli albo długi rząd dyni - może wówczas, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko nagle zacznie się układać? Keithowi nie wspomniała słowem ani o fawerolach, ani o Karle Zachodnioafrykańskim, bo chociaż urodził się i wychował na wsi, to wolał jeździć do supermarketu, niż hodować zwierzęta. Zresztą ostatnio w ogóle mało się do niej odzywał, bo gdy wyciągał do niej rękę w łóżku, ona za każdym razem odpychała go i odwracała się do niego chłodnymi plecami. Myślała wtedy: Więc tak to jest, właśnie tak to jest, gdy miłość odchodzi.

Czasem Michelle próbowała sobie przypomnieć czasy,

kiedy nie było jeszcze dziecka, kiedy byli tylko we dwoje i mogli leżeć w łóżku cały dzień, kochać się do utraty tchu, a potem jeść tosty z dżemem i oglądać coś w starym telewizorze, który stał w nogach ich łóżka, dopóki Michelle nie zrzuciła go z wściekłością na podłogę, bo Keith oglądał snookera (w czarno-białej telewizji, co to miało za sens?), niemowlak się rozdarł i po prostu nie mogła już tego wszystkiego znieść.

Kochała ich. Naprawdę ich kochała. Tylko nie czuła miłości. Nie czuli się połączeni, przypominali raczej dwa atomy, które nie umiały się połączyć w jedną cząsteczkę, które krążyły, wpadając na siebie niczym kulki do gry w bingo. Powinna była studiować jakieś nauki ścisłe, a nie zatapiać się w literaturze. Powieści przekazują człowiekowi opaczny i fałszywy obraz życia, opowiadają brednie i sugerują, że wszystko ma swoje zakończenie, a w rzeczywistości żadnego zakończenia nie ma, wszystko trwa, trwa i trwa bez końca.

Wkrótce zaczęła wstawać jeszcze wcześniej, bo jeśli rzeczywiście chciała wydostać się z tego bagna, to musiała przecież przygotowywać się do studiów. Jeśli wstanie o czwartej rano - kiedy wszystko cudnie śpi, nawet ptaki i dziecko - to mogłaby szybko przygotować obiad, posprzątać kuchnię, wziąć prysznic, a wreszcie, przy odrobinie szczęścia, mogłaby sięgnąć po swoje stare podręczniki i kontynuować naukę od miejsca, w którym ją przerwała. Bo czasu nie da się wyprodukować, trochę dała się zbałamucić tą myślą. Czas to złodziej, okrada człowieka z życia, a jedyny sposób na odzyskanie życia to wywieść czas w pole i samemu wydrzeć swoją własność.

To był zwykły dzień (w każdym razie zwykły dla Michelle). Sobota. Michelle była na nogach od wpół do czwartej, szczególnie zadowolona z nowej strategii. Półmisek z lasagną, owinięty ciasno folią do żywności, znajdował się już w lodówce, gotowy do podgrzania w późniejszym czasie. Upiekła też czekoladową babkę - ulubione ciasto Shirley, bo w soboty siostra często przyjeżdżała do nich autobusem. Przeczytała trzy rozdziały *Między dwiema wojnami* Charlesa Mowata i zrobiła notatki do eseju na temat *Króla Lira*. Tanya była już nakarmiona, umyta i ubrana w śliczne ogrodniczki od Oshkosha, w biało-niebieskie pasy, które dostała od Shirley. Dziecko spokojnie bawiło się w kojcu, a Michelle umyła okna. Niebo było błękitne, jej twarz owiewał przyjemny, świeży wiaterek. Michelle dostrzegła na warzywniku pierwsze zielone kiełki. Nawet kolendra puściła pędy.

Kiedy po pewnym czasie zajrzała do kojca, dziecko spało w najlepsze, zwinięte w kłębek jak prawdziwy pędrak. Michelle pomyślała, że to znakomita okazja, by wziąć się do geografii. W tej chwili do domu wtoczył się nagle Keith ze stosem porąbanego drewna, który zrzucił z łomotem obok kominka. Obudził dzieciaka. Tanya, jak sprawny automat uruchamiany przełącznikiem elektrycznym, natychmiast zaczęła krzyczeć. Michelle też zaczęła krzyczeć, tak jak stała na środku pokoju, z opuszczonymi bezradnie rękami. Krzyczała, dopóki Keith nie uderzył jej w twarz. Mocno. Miała wrażenie, że ktoś wypala jej na policzku piętno.

Gardło bolało ją od krzyku i czuła się tak słaba, że bała się, iż zaraz upadnie zemdlna na podłogę. Teraz wypadki powinny się potoczyć następująco - bo przecież, powiedzmy sobie szczerze, nieraz byli w takiej sytuacji (no, co prawda jeszcze nigdy jej nie uderzył) - ona wybuchnie płaczem, Keith położy ręce na jej ramionach i zacznie ją uspokajać:

„Już dobrze, kiciusiu mój, już dobrze”, a ona będzie trochę płakać, potem chlipać, wreszcie się uspokoi, wezmą dziecko między siebie do łóżka i ono także się uspokoi.

Potem mogliby rozpalić ogień w kominku, ponieważ wieczorami nadal panował przejmujący chłód. Mogliby odgrzać lasagnę i obejrzeć jakąś bzdurę w nowym kolorowym telewizorze. Poszliby z pełnymi żołądkami do łóżka, kochaliby się, żeby spalić kalorie, a potem spaliby głęboko, przytuleni przez całą noc, gotowi do kolejnego, zwykłego dnia ich życia. Ale wypadki potoczyły się inaczej. Kiedy Keith wyciągnął rękę, by położyć je na ramionach Michelle, ona splunęła mu w twarz, co również było czymś zupełnie nowym. Potem wybiegła na podwórze, pochwyciła siekierę, wbiła w pień, na którym Keith przed chwilą rąbał drewno, i wróciła z siekierą do domu.

Było bardzo zimno. Ogień w kominku nie został rzecz jasna rozpalony. Michelle siedziała na podłodze. Tanya znowu spała. Dziewczynka wyglądała na wyczerpaną długim płaczem. Raz po raz wydawała jeszcze przez sen cichutkie czknięcia i chlipnięcia. Jak wtedy, gdy Michelle zostawiała ją, by się wypłakała i zasnęła ze zmęczenia. Michelle czuła się, jakby połknęła kamień, coś potwornie ciężkiego i twardego, coś, co przyprawiało o mdłości. Nie miała pojęcia, że człowiek może czuć się tak źle. Spojrzała na Keitha i zrobiło się jej go żal. Kiedy rąbie się drwa, a one rozpryskują się na szczapy, to pięknie pachną i przypominają Boże Narodzenie. Kiedy przerąbuje się na dwie części głowę, pachnie jak w ubojni i ten zapach zabija woń dzikich lilii ściętych rano w ogrodzie i przyniesionych do domu, woń, która należała już do innego świata.

Gdyby mogła teraz mieć jedno życzenie - gdyby, jak

w bajce, pojawiła się raptem jej mama chrzestna (wyraźnie do tej pory nieobecna w jej życiu), gdyby stanęła obok niej w tej zimnej wiejskiej izbie i gdyby podarowała jej jedno jedyne życzenie, Michelle dobrze wiedziałaby, o co poprosić. Poprosiłaby by wolno jej było zacząć całe życie od początku.

Pomyślała, że powinna wstać z podłogi i posprzątać, ale czuła się tak zmęczona, że postanowiła nie ruszać się z miejsca i czekać na przyjazd policji. Wreszcie miała bardzo dużo czasu.

Jackson 2004

Jackson włączył radio i wsłuchał się w spokojny głos Jenni Murray w audycji *Godzina kobiety*. Odpalił od gasnącego niedopałka kolejnego papierosa, bo skończyły mu się zapalniczki, a mając do wyboru palenie jednego papierosa za drugim lub abstynencję, zdecydował się na to pierwsze - dość miał już w życiu różnych abstynencji. Nie musiałby przez całą drogę odpalać papierosa od papierosa, gdyby naprawił samochodową zapalniczkę, ale w samochodzie wiele rzeczy wymagało naprawy, a zapalniczka wcale nie zajmowała na tej liście czołowego miejsca. Jackson jeździł czarną alfa romeo 156, którą kupił od pierwszego właściciela cztery lata temu za trzynaście tysięcy funtów i która dzisiaj była zapewne mniej warta od roweru górskiego emmelle freedom, który sprezentował niedawno córce na ósme urodziny (z zastrzeżeniem, że nie wolno jej jeździć po ulicy co najmniej do czterdziestego roku życia).

Kiedy przyjechał do domu nowo kupioną alfa romeo, żona zmierzyła auto wzrokiem pełnym dezaprobaty.

- No to kupiłeś autko dla policjanta.

Wówczas, cztery lata temu, Josie jeździła własnym volks-

wagenem polo i była żoną Jacksona. Teraz mieszkała z brodatym wykładowcą angielskiego i jeździła jego volvo V70 z nalepką „Uwaga, dziecko!” na tylnej szybie, mającą świadczyć zarówno o stałości ich związku, jak i chorej potrzebie brodacza (zadowolonego z siebie skunksa) zmanifestowania światu swej troski o dziecko innego mężczyzny. Jackson nienawidził tych nalepek.

Jackson był odrodzonym palaczem, pół roku wcześniej znowu zaczął palić. Przez piętnaście lat nawet nie spojrzął na papierosa, a teraz czuł, jakby nigdy nie miał przerwy w paleniu. Wrócił do palenia bez specjalnego powodu, „Ot, po prostu”, powiedział, robiąc do lusterka wstecznego nieszczęśliwą minę a la Tommy Cooper. Oczywiście, nie było to „ot, po prostu”. Nic nigdy nie dzieje się „po prostu”.

Ta kobieta powinna się pośpieszyć. Co ona robi? Drzwi wejściowe pozostawały zamknięte. Zrobione z taniego lakierowanego drewna, z półkolistym oknem mającym imitować styl georgiański były takie same jak wszystkie drzwi wejściowe w Cherry Hinton. Jackson mógłby bez wysiłku wyważyć je jednym kopniakiem. Spóźniała się. Samolot miała o pierwszej. Powinna być już w drodze na lotnisko. Jackson otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i wypuścić trochę/ dymu. Ona zawsze się spóźniała.

Kawa nie była dobrym pomysłem na przerwanie nudy, chyba że miałby butelkę, w którą mógłby się potem wysikać. Ale nie miał. Teraz, po rozwodzie, mógł do woli używać takich słów jak „sikać” albo „gówno” - elementy słownictwa niemal doszczętnie wyplenione u-niego przez Josie. Była nauczycielką w szkole podstawowej i większość dnia spędzała na sztorcowaniu kilkuletnich chłopców. W czasach małżeństwa potrafiła wrócić z pracy do domu i sztorcować dalej Jacksona („Na miłość boską, Jackson, używaj właściwego

słowa, a brzmi ono penis"!) podczas wspólnych wieczorów, przy gotowaniu makaronu i przy ziewaniu przed telewizorem, w którym nadawano jakiś kolejny denny program. Josie chciała, aby ich córeczka Marlee rosła, ucząc się „poprawnych określeń anatomicznych dotyczących genitaliów” Jackson zdecydowanie wolał, żeby Marlee rosła, nie wiedząc nawet, że istnieje coś takiego jak genitalia, nie mówiąc już o informowaniu małej, że została poczęta, kiedy „tatuś włożył penisa do wagi mamusi” - dziwne, niemal kliniczne określenie nagłego, wyciskającego pot z czoła zdarzenia, do którego doszło gdzieś w polu, przy szosie A1066 między Thetford i Diss, w akrobatycznej pozie wewnątrz starego bmw (320i, dwudrzwiowy, w każdym calu autko dla policjanta, bardzo go brakuje, niestety spoczywa w pokoju). To były czasy, kiedy spontaniczny seks był w ich związku czymś częstym i naturalnym. Ten jeden raz był wyjątkowy z powodu nietypowego dla Josie potraktowania kontroli narodzin jak zabawy w rosyjską ruletkę.

Winą za konsekwencje (czyli za Marlee) Josie obarczała później brak odpowiedniego zabezpieczenia z jego strony. Ale Jackson uważał w duchu, że Marlee to konsekwencja godna pochwały. Zresztą czego Josie się spodziewała, łapiąc go za - dobrze, użyjmy poprawnego określenia - penis, podczas gdy jemu zależało wyłącznie na tym, by dojechać do Diss, choć dzisiaj już nie pamięta dlaczego? Jackson sam został poczęty w czasie wakacji, w domku letniskowym w Ayrshire, co jego ojciec, nie wiedząc czemu, uważał za bardzo zabawne.

Nie powinien był nawet myśleć o kawie, bo pęcherz miał tak pełny, że czuł tylko tępy, nieznośny ból. Kiedy skończyła się *Godzina kobiety*, włączył płytę *Alabama song*, Allison Moorer, album, w którym odnalazł odrobinę kojącej me-

lancholii. *Bonjour tristesse*. Jackson uczył się francuskiego z myślą o dniu, w którym zlicytuje wszystkie ruchomości, wyjedzie za granicę i będzie robił to, co robią ludzie, którzy przechodzą na wczesną emeryturę. Grają w golfa? Czy Francuzi grają w golfa? Jackson nie umiał sobie przypomnieć nazwiska ani jednego francuskiego golfisty, co było zresztą dobrym znakiem, bo Jackson nie znosił golfa. Może więc będzie grał w *boules*, a papierosami zapali się na śmierć. Francuzi umieją palić papierosy.

W Cambridge Jackson nigdy nie czuł się dobrze. Jeśli już o tym mowa, w ogóle nie czuł się dobrze w południowej Anglii. Znalazł się tutaj trochę przez przypadek, przyjechał za dziewczyną, a został dla żony. Latami myślał o tym, by przeprowadzić się z powrotem na północ, ale wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Nic tam na niego nie czekało, tylko złe⁷ wspomnienia i przeszłość, która się już nie odstanie. Poza tym po co jechać na północ, skoro zaraz po drugiej stronie kanału rozpościera się Francja, wielki patchwork słoneczników, winorośli i kawiarenek, w których mógłby przesiadywać długimi popołudniami, popijając miejscowe wino i gorzkie espresso, paląc papierosy Gitanes, i gdzie wszyscy mówiliby do niego *Bonjour, Jackson* (tyle że inaczej wymawialiby jego imię: „Żaksą”), a on byłby naprawdę szczęśliwy. Zatem w całkowicie odmiennym stanie ducha niż obecnie.

Oczywiście, biorąc pod uwagę tempo, z jakim wybiera się na emeryturę, nie będzie to wczesna emerytura, ale zwykła. Jackson pamiętał, że w dzieciństwie miał emerytów za zramolałych dziadków, którzy ostrożnymi, małymi kroczkami przemieszczali się między działką a swoim stałym kącikiem w najbliższym pubie. Wówczas wydawali mu się naprawdę wiekowymi ludźmi, ale może wcale nie byli starsi, niż on jest teraz? Jackson miał czterdzieści pięć

lat, ale czuł się o wiele starszej. Był w tym mało ciekawym i mało bezpiecznym dla mężczyzn okresie życia, kiedy nagle zaczynają rozumieć, że umrą, nieodwołalnie i na pewno, i absolutnie nic nie mogą z tym zrobić, a mimo wszystko próbują coś zrobić, mając się różnych sposobów, pieprząc wszystko, co się rusza, słuchając starych piosenek Bruce'a Springsteena, nabywając najnowszy model motocykla (zwykle bmw K 1200 LT, co znacząco zwiększa szanse na wcześniejszą śmierć) albo pakując się w koleiny alkoholowej rutyny - to samotna i zagubiona droga słabszego osobnika płci męskiej, samca „beta” (to był sposób jego ojca). Była też droga wybrana przez Jacksona, droga, która wiodła przez codzienne medytacje o domu we Francji, domu z białymi tynkami, z geranium na parapetach okien i obłazącymi z farby ciemnoniebieskimi drzwiami, bo kto na francuskiej prowincji zaprzętałby sobie głowę remontami w domu?

Kiedy tu przyjechał, zaparkował w cieniu, ale słońce przesunęło się już wyżej i temperatura w samochodzie zaczynała mocno doskwierać. Kobieta nazywała się Nicola Spencer, miała dwadzieścia dziewięć lat i mieszkała na ładnym, zamkniętym osiedlu domków z czerwonej cegły. Według Jacksona wszystkie domy i ulice wyglądały tak samo i gdyby choć na moment stracił orientację, znalazłby się w Trójkącie Bermudzkim identycznych fasad i trawników Jackson miał jakieś dziwne, niemal niedorzeczne uprzedzenie do osiedli. Niewykluczone, że miało to coś wspólnego z jego eksmałżonką i nieudanym małżeństwem. To Josie koniecznie chciała mieć dom na nowo wybudowanym osiedlu, to Josie jako jedna z pierwszych podpisała umowę na mieszkanie w Cambourne, na przedmieściach Cambridge, na osiedlu zaprojektowanym w stylu disneylandu, z polem do krykieta w „tradycyjnej zieleni” oraz terenem rekreacyjnym

„w duchu rzymskim”. To za sprawą Josie wprowadzili się do domu, kiedy ulica była jeszcze terenem budowy, to Josie nalegała, by zdecydować się na funkcjonalne, modernistyczne umeblowanie i wystrój, to ona stwierdziła, że wiktoriańskie meble to rupiecie i przeżytek, i to ona uznała, że nadmiar dywanów i zasłon „dusi” człowieka. Jednak to nikt inny, lecz właśnie Josie zamieszkiwała teraz „świat w zupełnie starym stylu” z Davidem Lasinghamem, nie dom, lecz raczej sklep z antykami - wiktoriańska weranda zagracona była starymi meblami, które David odziedziczył po rodzicach, a draperie, zasłony, chodniki i dywany przesłaniały każdy wolny kawałek płaskiej powierzchni. („Jesteś pewna, że on nie jest gejem?” - zapytał kiedyś Jackson, tylko po to, żeby podrażnić Josie - do diabła, facet chodzi do manikiurzystki! - a ona roześmiała się i odparła: „Ręczę ci, że nie ma problemów ze swoją męskością, Jackson”)

Jacksona znowu rozboleł ząb. Częściej widuje swe ją dentystkę niż swoją żonę w ostatnim roku małżeństwa. Dentystka miała na imię Sharon i, jak zwykł mawiać jego ojciec, była „nadziana”. Miała trzydzieści sześć lat i jeździła bmw Z3, który w opinii Jacksona był raczej samochodem dla fryzjera niż dentysty, ale babka i tak robiła na nim wrażenie. Niestety, absolutnie nie widział możliwości wejścia w bliższy związek z kimś, kto musi zakładać maskę, ochronne okulary i gumowe rękawiczki, by dotknąć drugiego człowieka. (Albo z kimś, kto zagląda mu do jamy ustnej i mówi, kręcąc głową: „Palimy papieroski, co, Jackson?”)

Rozłożył przed sobą stary numer „Le Nouvel Observateur” i próbował czytać artykuły, bo nauczycielka francuskiego powiedziała im, że powinni się zagłębić w kulturze francuskiej, nawet jeśli nie potrafią jej zrozumieć. Jackson umiał najwyżej wyłowić słówko, które coś tam znaczyło, ale

na ogół wszędzie widział rozstrzelony po całym tekście tryb łączący - jeśli w gramatyce niepotrzebny był jakiś czas, to właśnie francuski *subjonctif*. Jego wzrok przesuwiał się wolno po szpaltach. Ostatnio zasadnicza część jego życia upływała na czekaniu. Na czymś, do czego dwadzieścia lat temu zupełnie się nie nadawał, a co dzisiaj przyjmuje niemal z zadowoleniem. Nicnierobienie jest o wiele bardziej produktywnie, niż to się ludziom wydaje. Podczas absolutnej bezczynności Jackson często dokonywał najbardziej wnikliwych analiz. Wcale się nie nudził, po prostu zatapiał się w jakimś pustym miejscu. Niekiedy myślał, że chętnie wstąpiłby do klasztoru, że byłby doskonałym ascetą, pustelnikiem, mnichem zen.

Kiedyś Jackson zatrzymał jubilera, starszego mężczyznę, który sprzedawał kradzioną biżuterię. Kiedy przyszedł po niego do pracowni na tyłach sklepu, zastał go siedzącego w starym fotelu, palącego fajkę i kontemplującego jakiś kamień leżący przed nim na warsztacie. Mężczyzna bez słowa wziął kamień do ręki i położył go na dłoni Jacksona, jakby był to prezent. Jacksonowi przypomniał się nauczyciel biologii, który podawał coś uczniowi do ręki - ptasie jajo albo liść - i zamiast samemu omawiać ów przedmiot, sprawiał, że objaśniał wszystko uczeń. Kamień był jakąś ciemną rudą, wyglądał jak zwęglona kora drzewa, a w samym jego środku, jakby w kanapce, znajdował się mleczny szew opalu, niczym mgliste niebo o zmierzchu w środku lata. „Kamień bardzo trudny do obróbki”, powiedział fachowo stary mężczyzna. Siedział już nad nim od dwóch tygodni i dopiero za następne dwa, jak twierdził, być może będzie gotów do dalszego cięcia i szlifowania. Jackson powiedział mu, że za dwa tygodnie to będzie siedział w celi. Ale leciwy dziadek miał znakomitego adwokata, wpłacił kaucję, a potem dostał wyrok w zawieszeniu.

Rok później Jackson otrzymał paczuszkę adresowaną na posterunek policji. W środku nie było żadnego listu, tylko pudełko, a w nim, na ciemnogrnatowym aksamicie, wisiorek z opalem, miniaturowe sklepienie nieba. Jackson zrozumiał, ale dopiero po wielu latach, że stary człowiek udzielił mu lekcji. Chował wisiorek na osiemnaste urodziny Marlee.

Mąż Nicoli, Steve Spencer, był pewien, że jego żona wzięła sobie kochanka" - tak to dokładnie określił, zatem dość delikatnie, wręcz dworsko jak na uszy Jacksona, ponieważ zdecydowana większość jego klienteli sięgała po daleko bardziej dosadne określenia, by wyrazić swoje podejrzenia. Steve był histerycznym, nawet paranoidalnym typem i do tej pory nie mógł pojąć, jak udało mu się złapać w sieć Nicolę. Bo przecież była „taka boska”. W swoim czasie Jackson znał niejedną „taką boską”, nie same Nicole Spencer rządziły światem. Ale pomyślał sobie, że gdyby był żoną Steve'a Spencera, to też miałby ochotę „kogoś sobie wziąć”. Steve był farmaceutą i pracował w jednej z sieci aptek. Mogło się wydawać, że nie ma innych zainteresowań ani hobby oprócz Nicoli. Była dla niego tą „jedyną na świecie”. Jackson nie wierzył, że istnieje coś takiego jak ta jedna jedyna komuś przeznaczona. Ale jeśli tak, to, znając swoje pieskie szczęście, była to na pewno jakaś kobieta pracująca na polach ryżowych w środkowych Chinach albo wielokrotna zabójczyni, która uciekła z więzienia.

Po pracy Nicola Spencer szła do klubu fitness albo do supermarketu Sainsbury (raz, nie wiadomo z jakiego powodu, poszła do Tesco), czasem wpadała do matki lub jednej z koleżanek - Louise lub Vanessy. Vanessa i jej mąż Mike przyjaźnili się ze Steve'em i Nicolą. Natomiast wszystko wskazywało na to, że Vanessa i Louise w ogóle się nie znają. Nicola regularnie jeździła też na stację benzynową, oczywiście po

benzynę, gdzie w sklepiku często kupowała mleko i bardzo często czekoladę, i jeszcze któreś z kolorowych plotkarskich pisemek, „Hello!” albo „Heat”. Bywała też w centrum ogrodniczym. Raz kupiła tam nasionka, które po powrocie do domu zasiała w ogrodzie i które najpewniej zapomniała podlewać, co zauważył Jackson po krótkim rekonesansie, kiedy wspinał się na ogrodzenie, by sprawdzić, co się dzieje *chez* pani Spencer, a dokładniej *au jardin* pani Spencer.

W ciągu ostatnich czterech dni Nicola była także w markecie Zrób to Sam, gdzie kupiła śrubokręt i nóż marki Stanley, była w sklepie Habitat, gdzie kupiła lampkę na stół, w Top Shopie, skąd wyszła z nowym T-shirtem, weszła do Next po nową bluzkę, do Boots (dwukrotnie, raz po kosmetyki i przybory toaletowe, raz po lek Ponstan na receptę), była też w sklepie Roberta Saylea, gdzie kupiła dwa niebieskie ręczniczki do rąk, a także na stoisku rybnym, gdzie kupiła (bardzo drogą) żabnicę na kolację z Vanessą i Mikeem, która, jak zdradził później Steve Spencer, okazała się „kulinarną katastrofą”. Najwyraźniej Nicola nie należała do wybitnych kucharek. Zresztą prowadziła równie śmiertelnie nudny żywot, chyba że faktycznie, jak podejrzewał mąż, zdarzyło się w nim coś fantastycznego, gdy przepychała wózek z napojami między lotniczymi fotelami klasy ekonomicznej. Czy właśnie coś takiego przytrafiło się Josie, kiedy „wzięła sobie” Davida Lastinghama? Tak bardzo miała Jacksona powyżej uszu, że powiedziała sobie „dość”? Poznała go na przyjęciu, na które Jackson nie mógł pójść, ponieważ musiał pracować. Para początkowo próbowała „panować nad uczuciami”, ale bez szczególnej determinacji, skoro nie minęło pół roku, a nie przepuszczała żadnej okazji na schadzki we dwoje. Teraz David Lastingham może wkładać „penisa do waginy mamusi”, kiedy tylko zapragnie.

Josie bardzo szybko wystąpiła o rozwód. Nieodwracalny rozpad więzi małżeńskiej - jakby Jackson był współwinny, jakby to nie ona gziła się z brodaczem o wyglądzie sutenera. („David”, Mariée nie wymawiała tego imienia z niechęcią, czego życzyłyby sobie Jackson, „jest w porządku, kupuje mi czekoladę, robi świetną pastę”. Przez żołądek do serca Mariée wiodła sześciopasmowa autostrada. „To ja gotuję świetną pastę”, powiedział Jackson i zaraz wyczuł, jak głupio zabrzmiały jego słowa, ale miał to gdzieś. Jackson znał kogoś, kto na jego prośbę sprawdził, czy Lastingham nie był notowany jako pedofil. Tylko dla pewności.)

Jackson palił ostatniego papierosa. W trakcie inwigilacji Nicola nie zrobiła nic podejrzanego. Jeśli więc rzeczywiście ma romans, to gdzieś daleko. Noclegi w lotniskowych hotelach, ciepłe wieczory i tani alkohol stwarzają idealne warunki ku temu, by się źle prowadzić. Jackson próbował wytłumaczyć Steve'owi, że będzie musiał zapłacić za loty z Nicolą, jeśli naprawdę chce się dowiedzieć, czy jego podejrzenia są uzasadnione. Jednak Steve'owi nie uśmiechało się płacić za coś, co w jego mniemaniu było gratisowymi wakacjami Jacksona za granicą. Jackson dopuszczał myśl, że mimo wszystko mógłby polecieć z Nicolą, a później, przy wystawianiu rachunku, dokonać pewnej kreatywnej księgowości; bilet w dwie strony do każdego dużego miasta w Europie bez trudu można by ukryć w pojemnej rubryce „wydatki różne”. Może poczeka, aż będzie leciała do Francji, i wtedy się jej uczepi? Jackson wcale nie chciał wakacji. Chciał nowego życia. Chciał już skończyć z Nicolą Spencer i jej nudnym życiem.

Kiedy dwa lata temu Jackson otworzył biuro detektywistyczne, nie łudził się, że czeka go czarujący zawód. Przez

dwanaście lat służył w policji hrabstwa Cambridge, a przedtem w żandarmerii wojskowej, więc nie miał złudzeń, jak urządzony jest świat. Jackson dobrze znał się na jednym; prowadzeniu dochodzenia tam, gdzie komuś powinęła się noga, gdzie doszło do ludzkich tragedii i nieszczęść. Przywykł już, że jest podglądaczem, kimś obcym, kto zagląda w czyjeś życie i nic, absolutnie nic, nie było w stanie go zadziwić. Alé pomimo to, co widział i czego się nauczył, tliła się w nim wiara - niewielka, poraniona i posiniaczona człowiecza wiara - że to, co robi, robi dla dobra drugiego człowieka, że chce mu pomóc, a nie ukarać za to, że jest zły.

Odszedł z policji i założył biuro po tym, jak ich małżeństwo legło w gruzach. „Co teraz z twoją pensją?” - zapytała wtedy Josie. „A co ma być?” - odparł Jackson; bardzo wojownicze nastawienie, którego zaczynał powoli żałować.

Większość zleceń, które przyjmował, wiązała się z mało satysfakcjonującą, a przede wszystkim nudną pracą - pomoc w procedurach procesowych, wywiady środowiskowe, a poza tym ściąganie długów albo ściganie oszustów i handlarzy, którymi policja nigdy się serio nie zajmie („Zapłaciłem mu z góry trzysta funtów za materiał, a gość mi zniknął!” Och, to ci niespodzianka!). Nie mówiąc już o zaginionych kotach.

Jak na zawołanie zadzwonił właśnie telefon komórkowy Jacksona, dźwięczny motyw z *Carmina Burana*, dzwonek zarezerwowany wyłącznie dla Binky Rain (Binky - co to za imię?). Binky Rain to jego pierwsza klientka. Jackson poznał ją zaraz po otwarciu biura i obawiał się, że nie pozbędzie się jej aż do emerytury. Choć w czarnych snach widział, że nawet wtedy jedzie za nim do Francji, a za nią ciągnie się sznur przygarniętych kotów, biegnących wesoło jak dzieci za Szczurołapem z Hameln. To była szurnięta baba, kociara,

której drzwi były otwarte dla każdego dachowca i kociego próżniaka w Cambridge.

Binky miała ponad dziewięćdziesiąt lat, była wdową po profesorze college'u Peterhouse, wykładowcy filozofii z tytułem „don” (choć Jackson mieszkał w tym uniwersyteckim mieście od czternastu lat, to śmieszne słówko kojarzyło mu się wyłącznie z mafią). Doktor Julian Rain dawno już odszedł do Jego Magnificencji w Niebiesiech. Binky wychowała się w Afryce kolonialnej i traktowała Jacksona jak czarnego służącego, podobnie jak wszystkich innych. Mieszkała w Newnham, przy drodze do Grantchester Meadows, w domu, który w okresie międzywojennym stanowił zapewne przykład klasycznej i najzupełniej normalnej ceglanej zabudowy, ale który wskutek wielu lat zaniedbań popadł w ruinę i przedstawiał już tylko ponury obraz gotyckiej grozy. Wokół domu roilo się od kotów, włóczyły się tam dziesiątki tych diabelskich stworzeń. O zawrót głowy przyprawiła Jacksona myśl o smrodzie, jaki musi panować w środku - kocia uryna, odór kocurów, wszędzie miseczki stęchłej karmy z puszek, jakiejś taniochy zmielonej ze zwierzęcych odpadów, których nie kupują nawet sieci fast foodów do burgerów. Binky Rain nie miała pieniędzy, nie miała też przyjaciół ani rodziny, sąsiedzi unikali jej jak ognia. Mimo to z lekkością zachowywała pozory arystokratycznej *hauteur*, niczym uchodźca z jakiegoś *ancien regimeu* żyjący dawnym życiem, choćby w łachmanach. Binky Rain, ma się rozumieć, należała do tej grupy starszych ludzi, których martwe ciała leżą długo w zamkniętych od wewnątrz mieszkaniach i których zniknięcie tygodniami pozostaje nie zauważone. Choć zapewne w tym szczególnym wypadku starą Binky Rain pożarłyby jej własne koty.

Kiedy pierwszy raz zatrudniła Jacksona, sprawa dotyczyła kradzieży kotów. Jackson nigdy nie potrafił zgadnąć,

czy jej koty rzeczywiście zniknęły, czy też jej się tylko wydawało, że zniknęły. Najczęściej zgłaszała zaginięcia czarnych kotów. „Ktoś je kradnie”, mówiła uparcie skrzeczącym, słabym głosem, z akcentem równie anachronicznym jak cała reszta jej osoby - relik, pozostałość dawnych czasów, innego miejsca, dawno już przemienionego w cząstkę historii. Pierwszym, który znikł, był czarny kot (czaarny koot), imieniem Czarnuch - Binky Rain naprawdę uważała, że nie ma w tym nic niestosownego! Imię wcale nie było aluzją do czarnego człowieka (czaarnego człoowieka), stwierdziła wymijającym tonem, gdy spojrzał na nią nieco zdziwiony. Dała mu je na cześć kota kapitana Scotta, którego widziała w telewizji na kanale Discovery. (Czyżby Binky naprawdę chodziła po spokojnych uliczkach Newnham i nawoływała kota: „Czarnuch! Czarnuch!?”) Jej szwagier był członkiem Instytutu Badań Polarnych im. R. F. Scotta przy Lensfield Road, zimę spędzał na Morzu Rossa i najwyraźniej uczynił Binky wybitnym ekspertem w dziedzinie badań Antarktyki. Scott był „głupcem”, Shackleton „kobieciarzem”, a Peary „Amerykaninem”, co samo w sobie wydawało się godne potępienia. Rozmach, z jakim Binky rozprawiała o ekspedycjach polarnych („Konie! Tylko idiota zabrałby konie!”), zdawał się zadawać kłam faktowi, że najbardziej niebezpieczną podróżą w jej życiu był rejs z Kapsztadu do Southampton pierwszą klasą statku *Dunnottar Castle* w 1938 roku.

Najlepszy przyjaciel Jacksona, Howell, był Murzynem. Kiedy Jackson powiedział mu, że Binky Rain ma kota, którego nazwała Czarnuch, Howell zaniósł się serdecznym śmiechem. Znali się jeszcze z wojska, razem chodzili na swoje pierwsze patrole. „Czaarny człoowiek”, śmiał się Howell, natrzęsając się ze starej białej damy, budząc nawet w Jacksonie trochę niepokoju, bo miał blisko dwa metry wzrostu i był

najczarniejszym z Murzynów, jakich Jackson znał. Po zwolnieniu ze służby Howell wrócił do rodzinnego Birminghamu. Pracował teraz jako portier w dużym hotelu, gdzie obowiązkowo nosił śmieszny, teatralny, szamerowany uniform, ciemnobłękitny surdut obszyty złotym galonem, a na głowie jeszcze śmieszniejszy cylinder. Howell prezentował się w nim jednak bardzo okazale. Lokajski strój nie tylko nie odbierał mu poczucia godności, ale wręcz przydawał dostojeństwa.

Howell zapewne też był w wieku niebezpiecznym dla mężczyzny. Jak sobie z tym radził? Nie rozmawiali ze sobą od pół roku. Tak traci się bliskich ludzi. Trochę nieuwagi i przeciekają przez palce jak woda. Jacksonowi brakowało Howella. Jakoś w ciągu ostatnich lat udało mu się stracić nie tylko żonę i dziecko, ale również przyjaciół. (Z drugiej strony, czy poza Howellem miał jeszcze innych przyjaciół?) Może dlatego ludzie zapełniają domy smrodliwymi kotami, by nie zauważać swojej samotności, by nie mieć obaw, że ich śmierci nie zauważy żadna żywa dusza? On ma zamiar umrzeć we Francji, na leżaku w ogrodzie, po smacznym posiłku. Może przyjedzie Marlee? Razem z dziećmi? W ten sposób Jackson widziałby jakąś część siebie, która zostanie w doczesności i będzie miała jeszcze przed sobą przyszłość. Wiedziałałyby, że śmierć nie jest końcem wszystkiego.

Połączył się ze skrzynką głosową, odszukał wiadomość od Binky Rain i wsłuchał się w władczy ton starszej pani, nakazujący mu natychmiastowy przyjazd, „w sprawie niecierpiącej zwłoki” dotyczącej kotki Frisky.

Od dwóch lat, czyli odkąd zawarli znajomość, Binky Rain nie zapłaciła Jacksonowi grosza. Ale on uważał, że wszystko jest w porządku, bo w ciągu tych dwóch lat nie udało mu się odnaleźć ani jednego kota. Bywał u niej raczej z poczucia obowiązku społecznego. Nikt nie odwiedzał staruszki,

a Jackson tolerował jej manie, choć nieraz zdumiewały nawet jego. Była starą faszystką, ale nie sposób było nie podziwiać hartu jej ducha. Jak tłumaczyła przekonanie, że jej koty padają ofiarą kradzieży? Jackson spodziewał się, że na pewno oskarży złodziei o zabawy w wiwisekcje - klasyczne przekonanie każdego paranoicznego miłośnika kotów - ale nie, według Binky kradli koty, żeby zrobić z ich skóry rękawiczki („czarne” rękawiczki, oczywiście).

Jackson się zastanawiał, czy dać sobie spokój ze spóźniającą się Nicolą i posłusznie wykonać polecenie Binky, gdy raptem drzwi frontowe otworzyły się z hukiem. Jackson zsunął się lekko na siedzeniu, schylił głowę i udał, że jest zatopiony w lekturze „Le Nouvel Observateur”. Z odległości pięćdziesięciu metrów doskonale widział, że Nicola jest w podłym humorze, choć trzeba dodać, że był to u niej standardowy nastrój. Wyglądało, że jest jej bardzo gorąco. Była ubrana w zapięty ciasno pod szyję, kiczowaty uniform linii lotniczych. Ubiór całkowicie skrywał jej kształty, a ciemne półbuty - podobne do reprezentacyjnego obuwia angielskiej królowej - potwornie pogrubiały jej nogę w kostce. Jedyłą sposobnością dla Jacksona, by zobaczyć Nicolę bez makijażu, był jogging. *Au naturel*. Biegała z pasją, jak ktoś, kto trenuje regularnie przed biegiem maratońskim. Jackson także biegał - codziennie rano pięć kilometrów. O szóstej na nogach i na ulicę. Po powrocie lekka kawa -w czasie, gdy większość ludzi zaczyna się dopiero budzić. To wszystko dzięki surowej zaprawie w wojsku. Dzięki armii, żandarmerii wojskowej, a także dzięki szkockim prezbiteriańskim genom. („Nic, tylko biegasz i biegasz”, narzekała Josie. „Jeśli będziesz biegł przez cały czas, to dobiegniesz do miejsca, skąd wybiegłeś, nie słyszałeś o zakrzywieniu przestrzeni?”)

W stroju sportowym Nicola wyglądała szalowo. W uniformie stewardesy wyglądała na starą heterę, ale kiedy biegła labiryntem uliczek w okolicach domu, robiła wrażenie kobiety silnej i wysportowanej. Do joggingu wkładała sprinterskie spodenki i T-shirt klubu baseballowego Blue Jays z Toronto, które zapewne kupiła w Kanadzie, chociaż odkąd Jackson miał ją na oku, Nicola nie odbywała lotów za ocean. Trzy razy była w Mediolanie, dwa razy w Rzymie, raz w Madrycie, Dusseldorfie, Perpignan, Neapolu i Faro.

Nicola wsiadła do samochodu, dziewczęcego forda ka, i z piskiem opon odjechała w kierunku lotniska w Stansted. Jackson nie należał do ślamazarnych kierowców, ale Nicola jeździła z zawrotną prędkością. Myślał nawet o tym, by po wykonaniu zlecenia podać jej numery rejestracyjne policji drogowej. Zanim Jackson trafił do cywila, pełnił czasem służbę w drogówce i teraz niekiedy brała go ochota, żeby zatrzymać Nicolę i doprowadzić na posterunek.

W pobliżu Stansted, gdzie ruch na drodze zgęstniał, znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to jego sekretarka, Deborah.

- Gdzie jesteś? - rzuciła krótko, jakby mógł być nie wiadomo gdzie.

- Dziękuję, u mnie w porządku, co u ciebie? - odparł kąśliwie Jackson.

- Ktoś do ciebie wydzwaniał, skoro więc gdzieś tam jesteś, to podaję ci adres.

Słowa „gdzieś tam” Deborah wypowiedziała takim tonem, jakby Jackson pił od rana w barze i podrywał dziewczyny.

- Byłabyś łaskawa oświecić mnie i podać parę szczegółów? - zapytał.

- Nie sądzę - usłyszał. - Ktoś chce coś znaleźć.

Na lotnisku Nicola zachowywała się rutynowo. Zostawiła samochód na parkingu i przeszła do terminalu. Jackson obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Potem skorzystał z toalety, wypił podwójne espresso (ani trochę nie ochłodziło tego upalnego dnia), kupił papierosy, rzucił okiem na tytuły gazet, których nie kupił, i odjechał z lotniska.

Kiedy samolot do Pragi z Nicolą na pokładzie wzbijał się w niebo, coraz szybciej wznosząc się nad płaskim krajobrazem, Jackson szedł już alejką pod drzwi domu przy Owlstone Road, zatrważająco blisko miejsca, gdzie mieszkała Binky Rain. Drzwi otworzyła mu kobieta po czterdziestce, która zlustrowała go badawczym wzrokiem zza półksiężycowatych okularów. Naukowiec, pomyślał Jackson.

- Pani Land? - zapytał.

- Panna Land - poprawiła go. - Amelia Land. Dziękuję, że pan tak szybko przyjechał.

Amelia Land zaparzyła wstrętą kawę. Już po pierwszym łyku Jackson poczuł w żołądku jej palący efekt. Chwilę później kobieta krążyła po nie wysprzątanej kuchni w poszukiwaniu herbatników, mimo że Jackson dwukrotnie za nie dziękował. W końcu na dnie kuchennego kredensu udało się jej znaleźć napoczętą paczkę zwilgotniałych krakersów. Jackson zjadł jednego, tylko po to, by nie urazić gospodyni. Krakery przypominały smakiem i konsystencją zleżały drobny piach, ale Amelia Land wydawała się zadowolona, że spełniła obowiązek wobec gościa.

Robiła wrażenie osoby bardzo roztargnionej i niespokojnej, można nawet powiedzieć, że trochę zbizikowanej. Mieszkając od dawna w Cambridge, Jackson zdążył już przywyknąć do rozmaitych uniwersyteckich typów, choć panna Land podkreślała, że „nie mieszka w Cambridge, lecz

w Oksfordzie, a to zupełnie co innego", a Jackson pomyślał tylko: Jasne, absolutnie co innego, ale nie odezwał się głośno. Kobieta paplała coś bez przerwy o niebieskich myszkach, a kiedy delikatnie poprosił: „Proszę zacząć od początku, panno Land", ona nadal ciągnęła temat niebieskich myszek, oświadczając, że to właśnie jest początek.

- Proszę mi mówić Amelia.

Jackson westchnął ciężko pod nosem, przeczuwając, że w tej rozmowie będzie musiał używać sporo łagodnej perswazji.

Do pokoju weszła siostra Amelii. Po chwili jednak wyszła, by zaraz znowu się pojawić. W ręku trzymała coś, co na pierwszy rzut oka przypominało starą lalkę. Trudno było obie kobiety wziąć za siostry - jedna wysoka, przyciężkawa, mocno siwiejąca, z włosami niedbale ułożonymi w rozsypujący się kok, a druga niższa i zgrabniejsza, o nader wydatnych kształtach, z całą pewnością flirtująca (Jackson dobrze znał takie typy) z każdym osobnikiem płci przeciwnej, który jeszcze dycha. Ta niższa miała usta umalowane czerwoną szminką. Ubrana była w coś, co wyglądało na ciuchy kupione na wagę, w niezliczone warstwy ekscentrycznej, wymieszanej bez stylu konfekcji. Włosy miała niedbale zgarnięte na czubku głowy, skręcone i spięte ołówkiem. Obie były ubrane tak, jakby panowało przenikliwe zimno, a nie upał. Jackson domyślał się dlaczego. Już kiedy przekraczał próg ich domu, zadygotał z zimna - kiedy porzuciło go ciepłe i jasne słońce, a powitał lodowaty chłód ponurego wnętrza.

- Dwa dni temu zmarł nam ojciec - powiedziała Julia takim tonem, jakby ojciec każdego dnia czynił im taką niegrzeczność.

Jackson zerknął na lalkę leżącą na stole. Uszyta była

z jakiegoś grubego flanelowego gałganu, miała długie, cienkie ręce i nogi i głowę myszy. Była niebieska. Wreszcie go olśniło.

- To o tę mysz chodzi, tak? - Skinął głową w kierunku maskotki, mówiąc do Amelii.

- O Niebieską Myszkę - poprawiła go Amelia, jakby od tej różnicy zależał cały świat.

Amelia Land mogłaby mieć wytatuowane na czole słowa: „Nikt mnie nie kocha”. Rzeczy, które miała na sobie, zdawały się zdradzać, że ostatni raz kupiła sobie coś do ubrania dwadzieścia lat temu, a jeśli już to robiła, to wyłącznie w tradycyjnych sklepach dla gospodyń Laury Ashley. Ten styl nieodparcie przywodził mu na myśl stare fotografie z jarmarcznymi handlarkami - bryłowate obuwie, wełniane trykoty, sztruksowa spódnica typu dirndl i szal owinięty wokół ramion, który tuliła do siebie, jakby marzła. Nie dziwiło to Jacksona, bo pomyślał sobie, że to miejsce to Bałtyk. Zupełnie jakby dom miał własny klimat.

- Zmarł nam ojciec - powiedziała sucho Amelia. - Dwa dni temu.

- Wiem - odparł ostrożnie Jackson. - Siostra już o tym wspomniała. Serdecznie współczuję - dodał na wszelki wypadek, choć widział, że żadnej z nich współczucie nie wydaje się szczególnie potrzebne.

Amelia zmarszczyła brwi.

- Chodzi o to, że... - Spojrzała błagalnie na siostrę, oczekując pomocy z jej strony.

Na tym polega cały kłopot z naukowcami, pomyślał Jackson. Nigdy nie potrafią powiedzieć tego, co myślą, a w połowie przypadków nie mają na myśli tego, co mówią.

- Pozwólcie, że spróbuję zgadnąć. - Jackson wyciągnął do nich pomocną dłoń. - Zmarł wasz ojciec...

Obie przytaknęły gorliwie, jakby z ulgą, że ich gość tak łatwo pojął tę ważką kwestię.

- Zmarł ojciec - ciągnął dalej Jackson - po jego śmierci zaczęłyście porządkować stary rodzinny dom... - Zawahał się, gdyż tym razem w oczach kobiet dostrzegł mniejszą dozę pewności. - To jest stary rodzinny dom?

- Owszem, jest - odparła Julia. - Tylko... - Wzruszyła ramionami. - Wie pan, to brzmi tak... ciepło. Nasz stary rodzinny dom...

- Cóż - powiedział Jackson. - Umówmy się zatem, że pozbawiamy to zdanie wszelkiego emocjonalnego znaczenia i potraktujemy je wyłącznie jako dwa przymiotniki i rzeczownik. Stary. Rodzinny. Dom. Prawda czy nie?

- Prawda - przyznała z ociąganiem Julia.

- Oczywiście, tyle że, jeśli chodzi o ścisłość... - odezwała się Amelia, patrząc w kuchenne okno, jakby mówiła do kogoś w ogrodzie - ...w zdaniu byłyby to raczej przydawki przymiotnikowe niż przymiotniki.

Jackson doszedł do wniosku, że najlepiej będzie pominąć milczeniem to trafne spostrzeżenie.

- Nie miały panie z ojcem dobrego kontaktu? - zapytał Julię.

- Nie, nie miałyśmy - odpowiedziała Amelia, odwracając się wreszcie od okna i poświęcając mu pełną uwagę. - Znalazłyśmy to w szufladzie, która była zamknięta na klucz.

Znowu ta mysz. Ta Niebieska Myszka.

- Jakże zatem znaczenie ma ta Niebieska Myszka? - zapytał Jackson.

Miał cichą nadzieję, że kobiety nie odkryły, że ich stary był fetyszystą i kolekcjonował maskotki.

- Słyszał pan kiedyś o sprawie Olivii Land? - zapytała Julia.

- Coś mi się obilo o uszy - odparł Jackson. - Ale słabo.

- To była nasza siostra - wyjaśniła Amelia. - Zniknęła trzydzieści cztery lata temu. Została uprowadzona.

Uprowadzona trzydzieści cztery lata temu? Och, byle nie przez kosmitów, tego mu jeszcze dzisiaj brakowało! Julia sięgnęła po paczkę papierosów i poczęstowała Jacksona. Wyciągnęła do niego rękę tak uwodzicielskim gestem, jakby zapraszała go do łóżka. W oczach jej siostry dostrzegł cień dezaprobaty, ale nie był pewien, czy chodzi o nikotynę czy o erotyczny podtekst. Zapewne o jedno i drugie. Grzecznie podziękował - nigdy nie palił w obecności klienta - ale kiedy Julia zapaliła, łapczywie wdychał papierosowy dym.

- Została porwana - mówiła dalej Julia. - Z namiotu w ogrodzie.

- Z namiotu?

- To było latem - wtrąciła krótko Amelia. - Zdarza się przecież, że latem dzieci śpią w ogrodzie, prawda?

- Naturalnie - odparł łagodnie Jackson.

Wyczuł, że Amelia Land była tą osobą, która feralnej nocy spała z siostrą w namiocie.

- Miała zaledwie trzy lata - powiedziała Julia. - Nikt już jej nigdy nie widział.

- Naprawdę nie słyszał pan o tej sprawie? - zapytała Amelia. - Było o niej bardzo głośno.

- Nie pochodzę z tych okolic - wyjaśnił Jackson. Pomyślał o dziewczętach, które zaginęły w ciągu tych

trzydziestu czterech lat. Jednak, co oczywiste, z punktu widzenia sióstr Land interesujący był tylko jeden przypadek. Poczul się staro i poczul, jak bardzo mu smutno.

- Było wtedy gorąco - mówiła Amelia. - Potworne upały.

- Jak teraz?

- Tak. Nie będzie pan notował?

- A uszczęśliwi to panie?

- Nie - ucięła Amelia.

W ich rozmowie najwyraźniej nastąpił impas. Jackson spojrział na Niebieską Myszkę. Zdawało się, że maskotka aż krzyczy do niego: „To ja jestem tropem”. Jackson spróbował powiązać wszystko w całość.

- A zatem - zaczął dedukować - ta maskotka należała do Olivii i dziewczynka miała ją przy sobie, gdy została porwana, tak? I nikt tej maskotki nie widział aż do teraz, kiedy odnalazła się po śmierci ojca w jego szufladzie? I nie zawiadomiły panie policji?

Obie podniosły równocześnie brwi. Śmiesznie wyglądały, bo choć nie były do siebie podobne, to robiły dokładnie takie same miny. Jackson pomyślał, że to właśnie jest podobieństwo trudne do uchwycenia.

- Co za niezwykle zdolności dedukcyjne, panie Brodie -jęknęła Julia z zachwytem w głosie i trudno było wyczuć, czy ironizuje, czy też rzeczywiście chce mu schlebić.

Julia mówiła charakterystycznym, ochrypłym głosem, jakby cierpiała na ostry nieżyt gardła związany z chronicznym przeziębieniem. Podobno taki głos u kobiety mężczyźni uważają za bardzo seksowny, co jednak dziwiło Jacksona, bo osoba z takim głosem kojarzyła mu się bardziej z mężczyzną niż z kobietą. Ale może miało to coś wspólnego z gejami?

- Policja nie umiała jej wtedy odnaleźć - powiedziała Amelia, ignorując uwagę Julii - i nie będzie zainteresowana tą sprawą teraz. Zresztą, to chyba nie jest sprawa dla policji.

- Ale dla mnie tak?

- Panie Brodie - odezwała się Julia słodkim głosem, zbyt

słodkim. Były jak dobry policjant i zły policjant. - Panie Brodie, my tylko chcemy wiedzieć, dlaczego Victor trzymał Niebieską Myszkę Olivii w swojej szufladzie. -Victor?

- Ojciec. Wydaje nam się, że...

- ..coś tu nie gra? - Jackson wpadł w słowo.

Jackson wynajmował dom. Bardzo daleko od osiedla w Cambourne. Właściwie był to domek stojący w rzędzie innych podobnych domków, przy ulicy, która kiedyś musiała być polną drogą. Prawdopodobnie jeden z kilku starych wiejskich domków. Nie wiadomo, czy była tu farma, ale bez względu na to, do jakich chłopów należały kiedyś te domki, cały areal dawno już został zabudowany uliczkami z dziesiątkami robotniczych, szeregowych domów wiktoriańskich. Dzisiaj prawdziwą fortunę kosztowały w tej okolicy dużo późniejsze domy, złączone tylnymi ścianami, wychodzące frontem wprost na ulicę. Biedota wyprowadziła się do takich miejsc, jak Milton i Cherry Hinton, ale teraz nawet tam komunalne budynki zostały zasiedlone przez uniwersytecką klasę średnią (i Nicole Spencer całego świata), co z pewnością wkurza tych najbiedniejszych. Biedota zawsze jest wśród nas, ale Jackson mocno się zastanawiał, gdzie ci ludzie mieszkają w dzisiejszych czasach.

Kiedy Josie zostawiła go, by zaznać pozamałżeńskich rozkoszy życia z Davidem Lavinghamem, Jackson rozważał pozostanie w ich małżeńskim domu, jak się okazało, budowanym na piasku. Ta myśl zajmowała go ledwie przez dziesięć minut, nim w końcu chwycił za słuchawkę, wybrał numer biura handlu nieruchomościami i wystawił dom na sprzedaż. Po podziale zysku Jacksonowi nie zostało wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić coś nowe-

go, więc postanowił wynająć domek. Był to ostatni domek w szeregu, po starszej i bardziej zniszczonej stronie ulicy, a ściana dzieląca jego dom od sąsiedniego była taka cienka, że dało się słyszeć byle pierdnięcie i miauknięcie kota u sąsiadów. Meble, które zastał w pokojach, należały do najtańszych. Wewnątrz panowała bezosobowa atmosfera, jak w rozczarującym domku wczasowym. Jednak przynosiła Jacksonowi dziwny spokój.

Kiedy Jackson opuszczał dom, w którym mieszkał z żoną i córką, obszedł wszystkie pokoje i zajrzał w każdy kąt, by upewnić się, że nic nie zostawia (oczywiście jeśli nie liczyć ich wspólnego życia). W łazience zdał sobie sprawę, że wciąż czuje woń perfum Josie - L'Air du Temps - zapach, którego używała, jeszcze zanim się poznali. Teraz skrapiała się perfumami Joy Jeana Patou, które kupił jej David Lastingham, zapachem tak staromodnym, że w jego oczach czynił z Josie zupełnie inną kobietę, którą przecież rzeczywiście była. Josie, którą znał, odrzucała wszelkie atrybuty idealnej żony, charakterystycznej dla pokolenia jej mamy. Była kiepską kucharką, w domu brakowało nawet koszyka z przyborami do szycia, ale za to samodzielnie dokonywała domowych napraw. Powiedziała mu kiedyś, że gdyby kobiety odkryły, że kołki rozporowe nie są tak tajemniczymi przedmiotami, jak się to może początkowo wydawać, to już dawno rządziłyby światem. Jacksonowi wydawało się jednak, że kobiety potrafią rządzić światem, nawet jeśli nie poznały tajemnicy kołków rozporowych, i popełnił błąd, wyrażając tę opinię na głos, co skończyło się długim wykładem na temat statystyk globalnej polityki równouprawnienia płci.

- Dwie trzecie roboty na całym świecie odwalają kobiety, Jackson, a mimo to należy do nich zaledwie dziesiąta część prywatnej własności świata, nie przeszkadza ci to?

(Owszem przeszkadza.) Teraz, rzecz jasna, Josie przemieniła się w kobietę stylu retro, na modłę idyllicznych żon z filmu *Żony ze Stepford*, które wypiekają chleb i chodzą na kurs robienia na drutach. Josie robi na drutach! Zgrywa się przed nim, czy co?

Kiedy wprowadził się do wynajętego domku, kupił flakonik L'Air du Temps i skropił perfumami malutką łazienkę. Ale to już nie było to samo.

Amelia i Julia dały mu fotografię, małe, kwadratowe, wyblakłe kolorowe zdjęcie z dawnych czasów; Olivia szeroko uśmiechała się do obiektywu, szczyrzyła wszystkie swoje białe ząbki. Zadarty piegowaty nos, krótkie warkoczyki przewiązane bawełnianymi wstążkami w zielono-białą kratkę, choć barwy zdążyły już po tylu latach nabrać żółtawego odcienia. Olivia miała na sobie sukienkę, która idealnie pasowała do wstążek we włosach, marszczenia sukienki były częściowo zakryte Niebieską Myszką, którą dziewczynka tuliła do piersi. Jackson mógł sobie wyobrazić, jak dziecko przygotowywało maskotkę do fotografii, niemal słyszał, jak każe jej się uśmiechać do aparatu, jak mówi, że zaraz wyfrunie ptaszek. Jednak rysy na pyszczku maskotki, naszyte czarną, wełnianą nicią, nosiły ten sam pełen powagi wyraz co obecnie, tyle tylko, że nieubłagany czas pozbawił myszkę noska i jednego oka.

Była to fotografia, którą wówczas publikowały gazety. W drodze do domu Jackson przejrzał w bibliotece mikro-fisze starych numerów. Znalazł w nich mnóstwo artykułów opisujących poszukiwania Olivii Land. Historia ciągnęła się na łamach prasy tygodniami. Amelia nie myliła się - poprzednią sprawą, której gazety poświęcały tyle miejsca, była fala upałów. Jackson spróbował przypomnieć sobie te dni

sprzed trzydziestu czterech lat. Sam miał wtedy lat jedenaście. Rzeczywiście było tak gorąco? Nie miał pojęcia. Nie pamiętał, co było, gdy miał jedenaście lat. Ważne było najwyżej to, że działo się to, zanim skończył dwunasty rok życia. Wszystkie lata przed dwunastym rokiem jaśniały nieskażonym i nieskalanym światłem. Po dwunastym roku zapadła ciemność.

Odsłuchiwał wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Jedna była od jego córki Marlee, która skarżyła się, że mama zabrania jej pójść na koncert w Parker's Piece, i prosiła, żeby „tata z nią porozmawiał, proszę, proszę...” (Marlee ma osiem lat, nie ma mowy, żeby sama wybrała się na koncert na wolnym powietrzu.) Dalej kolejna „kocia” wiadomość od Binky Rain i wiadomość od sekretarki, Deborah Arnold, która łajała go, że nie pokazał się jeszcze w biurze. Telefonowała z domu, w tle słyszał głosy dwójki jej nieokrzesanych nastolatków, przekrzykujących jazgot MTV. Deborah musiała wrzeszczeć w słuchawkę, by poinformować go, że od dłuższego czasu usiłuje skontaktować się z nim niejaki Theo Wyre i że nie wie, o co mu chodzi, ale jak się domyśla, zapewne „ktoś chce coś znaleźć”. Nazwisko Theo Wyre zabrzmiało w uszach Jacksona swojsko, ale nie potrafił skojarzyć go z osobą. Stare czasy, pomyślał.

Jackson wziął z lodówki piwo, zrzucił buty (wysokie magnum z serii stealth, zdaniem Jacksona jedyne buty, które można nazwać butami), położył się na niewygodnej kanapie i sięgnął do odtwarzacza CD (dobrą stroną małych mieszkań jest to, że wszystko jest pod ręką bez wstawania z łóżka). Nastawił płytę Trishy Yearwood z 1995 roku *Thinking about You*, z jakiegoś powodu zapomnianą. Być może Trisha nie należy do modnego nurtu, ale to nie znaczy, że nie jest dobra. Umie zrozumieć ból. Otworzył *Wprowadzenie do*

gramatyki języka francuskiego i spróbował skoncentrować się przez chwilę na zasadach konstrukcji czasu przeszłego z użyciem czasownika posiłkowego *être* (choć kiedy będzie już mieszkał we Francji, nie będzie istniała ani przeszłość, ani przyszłość, lecz wyłącznie teraźniejszość), ale rwący ból dziąsła nad zepsutym zębem nie pozwalał mu skupić myśli.

Jackson westchnął, zdjął z kominka Niebieską Myszkę, położył ją sobie na ramieniu i poklepał pieszczotliwie po małych miękkich pleckach, tak jak uspokajał Mariée, gdy była mała. Myszka była zimna, jakby bardzo długi czas przeleżała w ciemnym miejscu. Ani przez moment Jacksonowi nie przyszło do głowy że mógłby odnaleźć dziewczynkę ze wstążkami w warkoczykach.

Jackson zamknął oczy i natychmiast je otworzył, bo raptem przypomniał sobie, kim jest Theo Wyre. Jęknął z rozpacz. Nie chciał pamiętać, kto to jest. W ogóle nie chciał mieć z nim nic do czynienia.

Trisha śpiewała *On a Bus to St Cloud*. Czasem Jacksonowi wydawało się, że świat jest jednym wielkim arkuszem kalkulacyjnym - rzeczy zagubione w lewym słupku, rzeczy znalezione w prawym - na którym jednak obie te wartości nigdy się nie równoważą. Amelia i Julia coś znalazły. Theo Wyre coś zgubił. Jakie życie byłoby proste, gdyby chodziło o tę samą rzecz.

Amelia

Victor zmarł tak, jak sobie tego życzył, we własnym domu, we własnym łóżku, wyłącznie ze starości. Liczył sobie osiemdziesiąt cztery lata i jak sięgały pamięcią, zawsze uparcie przypominał, że po śmierci nie chce być skremowany, lecz pochowany w trumnie. Przed trzydziestoma czterema laty, kiedy zmarła ich nowo narodzona siostra Annabelle, Victor wykupił na miejscowym cmentarzu „grób rodzinny”, miejsce pochówku dla trzech osób. Amelia i Julia nie roztrząsały arytmetyki tego zakupu aż do dnia, w którym zmarł Victor. Dotarło do nich, że grób jest już zajęty w dwóch trzecich - ich matka podążyła za Annabelle w niczym nie uzasadnionym pośpiechu - co pozwalało jeszcze pochować Victora, ale dla pozostałych dzieci brakowało już miejsca.

Julia twierdziła, że to dowód typowego dla ojca lekceważenia innych osób, ale Amelia utrzymywała, że ojciec najprawdopodobniej celowo tak to sobie zaplanował, na wypadek, gdyby się okazało, że nie ma życia po życiu i musiałby leżeć w grobie razem z nimi wszystkimi. Tak naprawdę Amelia sama nie wierzyła w to, co mówiła - Victor był

zatwardziałym ateistą i w jego niezłomnym charakterze nie leżało asekurowanie się z każdej strony - ale mówiła tak, ponieważ przedstawianie opinii całkowicie odmiennych niż Julia weszło jej w krew i robiła to automatycznie. Z kolei Julia, gdy dochodziło do konfliktu, stawała się nieustępliwa i zadziorna (i pyskata) niczym szczekający terier. Nieustannie więc się zdarzało, że obrzucały się argumentami, które wcale ich nie obchodziły, jak para adwokatów dogadujących sobie zajadle na sali sądowej, mimo krańcowego zmęczenia. Niekiedy czuło się, że na powrót wcieliły się w nie małe jestestwa z czasów burzliwego dzieciństwa i lada moment kobiety zaczną się szczypać, ciągnąć za włosy i obrzucać wyzwiskami jak za dawnych lat. Zostały wezwane przez ojca.

- Jak przed oblicze króla na łożu śmierci - stwierdziła Julia z urazą w głosie.

- Pewnie masz na myśli *Króla Lira* - odrzekła na to Amelia.

Julia:

- A jeśli tak? Amelia:

- Potrafisz odnieść się do życia tylko wówczas, jeśli kojarzy ci się z teatrem.

Julia:

- Nawet nie wspomniałam o żadnym popieprzonym Lirze...

Spirały się, zanim jeszcze pociąg zdążył odjechać ze stacji King's Cross. Victor zmarł kilka godzin po ich przyjeździe. „I bardzo, kurna, dobrze”, rzuciła krótko Julia, ponieważ obie się obawiały, że tatko zamierza podstępem zwabić je do rodzinnego domu, by się nim opiekowały. Nie cierpiały słowa „dom”, minęły dziesiątki lat, odkąd ostatnia z nich wy-

prowadziła się stąd, a mimo to nie potrafiły przestać używać tego słowa.

- To przepraszam - odparła Amelia.

Julia wpatrzyła się w ciągnący się za oknem podmiejski Londyn i nie odezwała się słowem, dopóki pociąg nie wjechał między zalane słońcem pola Wschodniej Anglii. Dopiero wtedy powiedziała:

- Lir nie umierał, lecz abdykował.

- To niekiedy jedno i to samo - odparła Amelia, zadowolona, że udało im się pogodzić.

Usiadły po obu stronach ojca, czekając na jego śmierć. Victor leżał przykuty do łóżka w dawnej małżeńskiej sypialni, w pokoju, którego wnętrze wciąż było urządzone w napuszonym kobiecym stylu, w jakim gustowała ich matka. Czy Rosemary przygotowywała się w tej chwili na powitanie Victora w wilgotnej ziemi rodzinnego grobu? Amelia wyobraziła sobie, jak ich rodzice obejmują się ramionami w chłodnym uścisku, i zrobiło się jej żal biednej mamy, która zapewne sądziła, że już na zawsze pozbyła się Victora.

Zresztą, jak zauważyła głośno Amelia, podnosząc ów argument wbrew swym najlepszym intencjom, żadna z nich nigdy nie miała ochoty być blisko ojca za jego życia, dlaczego więc miałyby teraz chcieć towarzyszyć mu po śmierci? Julia odparła jednak, że nie w tym rzecz, ponieważ tu „chodzi o pryncypia”, na co Amelia rzuciła z przekąsem: „Od kiedy ty dbasz o pryncypia?” I tak rozmowa toczyła się dalej, długo, aż wreszcie zmuszone były podjąć o wiele trudniejszy temat, dotyczący ceremonii pogrzebowej, co do której Victor nie pozostawił wskazówek.

Kiedy zaczęły zwracać się do niego po imieniu, zamiast mówić „tato”? Julia czasami mówiła do niego „tato” zwłasz-

cza kiedy przymilaniem chciała wprowadzić go w dobry humor. Ale Amelii spodobał się dystans, jaki dawało jej mówienie do ojca po imieniu: „Victorze”. W jakimś sensie to czyniło go bardziej ludzkim.

Podbródek Victora porastała teraz siwa szczecinka. Ta nowa bródka, w parze z widoczną utratą wagi, sprawiła, że wydawał się kimś obcym. Wydawało się, że nie wychudły tylko jego dłonie, wciąż grube i szerokie, zwierzęce, jak dwie kościste łopaty, a przy nich nadgarstki chude jak szczapa. Nagle wymamrotał coś niezrozumiale i Julia rzuciła Amelii przerażone spojrzenie. Julia spodziewała się umierającego ojca, a nie ojca, który wciąż jest sobą i coś gada.

- Chcesz czegoś, tato? - zapytała głośno, a on potrząsnął głową, jakby odganiał rój niewidocznych muszek, jednak trudno było stwierdzić, czy usłyszał córkę.

Lekarz Victora powiedział im przez telefon, że pielęgniarki z rejonu przychodzą do niego trzy razy dziennie. „Zagładają”, takiego użył sformułowania, co zdawało się nadawać tym wizytom pewien nieformalny, a nawet towarzyski charakter. Jednak ani Amelia, ani Julia nie oczekiwały, by oba te przymiotniki były stosowne w obliczu śmierci Victora, podobnie zresztą, jak nie były stosowne wobec całego jego życia. Łudziły się, że pielęgniarki pozostaną w domu, ale gdy tylko Julia i Amelia przekroczyły próg, jedna z nich sapnęła: „No, nic tu po nas”, a druga krzyknęła przez ramię w kierunku Victora: „Przyjechały!” bardzo wesołym głosem, jakby Victor nie mógł się doczekać ukochanych córek. Oczywiście nie było to prawdą, a jedynym stworzeniem, które ucieszyło się na widok sióstr, był pies Victora, Sammy, wiekowy golden retriever, który powitał je szarmancko, człapiąc wolno w ich kierunku, drapiąc pazurami parkiet korytarza i z trudem poruszając obolałym, zwyrodniałym biodrem.

Lekarz poinformował je również przez telefon, że Victor przeszedł rozległy udar. Miesiąc wcześniej inny lekarz zapewniał je, że z Victorem nie dzieje się nic poważnego, poza tym oczywiście, że ma już swoje lata, ale „ma serce jak wół”. Powiedzenie „ma serce jak wół” wydało się Amelii mało właściwe, lekarz zapewne poplątał frazy, mówi się raczej „silny jak wół”, a serce może być „lwie” czy „gołębie”. Właściwie, co to jest wół? Krowa? Było tyle rzeczy, których Amelia nie była pewna (lub po prostu o nich nie wiedziała). Niebawem bliżej jej będzie do pięćdziesiątki niż do czterdziestki i nie wątpiła, że z każdym dniem coraz dotkliwiej będzie czuła, jak zanikają jej włókna nerwowe - łączą się, napinają, obumierają - i pozbawiają ją możliwości zdobywania informacji. Umysł Victora do samego końca pozostał sprawny i funkcjonalny, jak dobrze zorganizowana duża biblioteka. Tymczasem jej umysł, uważała Amelia, bardziej niż bibliotekę przypominał zagraconą wnękę pod schodami, w której kije do hokeja wepchnięte są obok zepsutych odkurzaczy i pudełek z choinkowymi ozdobami, a jedynych przedmiotów, o których człowiek wie z całą pewnością, że się tam znajdują - pięcioamperowego bezpiecznika, pudełka brązowej pasty do butów i śrubokrętu krzyżakowego - na pewno nie będzie mógł w tym bałaganie znaleźć.

Umysł Victora pozostał w jak najlepszym porządku, ale jego dom bynajmniej nie. Od czasu kiedy się wyprowadziły, stopniowo popadał w ruinę, aż wreszcie przedstawiał sobą prawdziwie nędzny widok. Przywodził na myśl mieszkania, do których wzywano ekipę urzędników sanitarnych, by posprzątały po nieszczęśniku zmarłym parę tygodni wcześniej, leżącym długo w kałuży własnej zgnilizny, ponieważ jego zgonu nikt nie zauważył.

Gdziekolwiek się spojrzeło, leżały książki, niemal wszyst-

kie pożółkłe, ze zniechęcającymi do czytania plamami pleśni. Victor dawno już porzucił matematykę. Minęły lata, odkąd ostatni raz zajął się pracą naukową lub zainteresował jakimś czasopismem czy publikacją. Kiedy były dziećmi, Rosemary mówiła, że Victor jest „wielkim” matematykiem (może sam Victor im to mówił), ale nawet jeśli kiedyś cieszył się estymą w środowisku akademickim, to szybko o niej zapomniano, a on był zwykłym pracownikiem wydziału. Specjalizował się w rachunku prawdopodobieństwa i ryzyka, czego Amelia za grosz nie rozumiała (ojciec niezmiennie usiłował wyłuszczyć jej teorię prawdopodobieństwa za pomocą rzucanej monety), ale wydawało jej się co najmniej śmieszne, że człowiek, który zawodowo zajmuje się ryzykiem, nigdy nie potrafił podjąć go w życiu.

- Milly? Wszystko w porządku? - zapytała Julia.

- Co to właściwie jest wół?

- To krowa, byk, czy coś - Julia wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Dlaczego pytasz?

W dzieciństwie jadły czasem wołowe serce. Rosemary, która przed zamążpójściem potrafiła ugotować najwyżej jajko, nauczyła się gotować według tradycyjnej, trochę może staroświeckiej kuchni, którą Victor zachwalał jako pożywną i jednocześnie tanią - kuchnia stołówkowa, taka, na jakiej sam się wychował w szkole z internatem. Już sama myśl o potrawkach z wątróbki i bekonu albo steku i cynaderek przyprawiała Amelię o mdłości. Do dziś stoi jej przed oczami leżące na desce w kuchni krwawe serce, ciemne i połyskujące, pokryte pasmami tłuszczu, wyglądające tak, jakby dopiero co przestało bić, a obok matka z wielkim nożem kuchennym, która kontempluje ten widok z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Pamiętam zupę ogonową - powiedziała Julia, krzywiąc

się niemiłosiernie. - Myślisz, że mama robiła ją z ogona wołowego?

Rosemary wymknęła się z tego świata bardzo łatwo. Nie okazywała już żadnej chęci do życia, kiedy odkryła, że dziewczynka, którą nosiła w łonie, kiedy zniknęła Olivia, ma bliźniaka, jednak nie tak upragnionego przez Victora chłopczyka, ale guzowatego podrzutka, który bezkarnie rósł i pęczniał w niej. Zanim ktokolwiek się zorientował, że podrzutek oznacza raczej koniec życia niż początek, było już za późno. Annabelle żyła na tym świecie tylko kilka godzin, jej nowotworowy towarzysz został usunięty, a Rosemary zmarła niespełna pół roku później.

Wydawało się, że Victor chrapie - z jego gardła wydobywał się głęboki, chrapliwy, świszczący dźwięk, jakby tchawica zwężała się i rozpruwała z wolna. Charczenie co pewien czas przerywało rozpaczliwe chwytnie powietrza, po którym odruchy nagle zaczynały działać i Victor łapał jeszcze jeden oddech. Julia i Amelia spoglądały na siebie z niepokojem.

- To agonalne rżenie? - zapytała rzeczowo Julia. - Ssz... - uciszyła ją Amelia, bo rozmawianie przy umierającym na temat mechanizmu śmierci wydawało jej się czymś niewłaściwym.

- Przecież nic nie słyszy - stwierdziła Julia.

- Nie o to chodzi - odparła Amelia.

Po pewnym czasie ustały wszelkie odgłosy. Wydawało się, że Victor spokojnie zasnął. Amelia przeszła do kuchni i zrobiła herbatę - wcześniej wyszorowawszy druciakiem dwa nie myte od dawna kubki. Piły herbatę, stojąc przy oknie i wpatrując się w ciemność ogrodu.

- Co z pogrzebem? - zapytała szeptem Julia. - Chyba nie chciałby chrześcijańskiej ceremonii?

Jeśli nie liczyć paru słabych i nieudanych prób Rosemary posłania dziewczynek na niedzielne katechezy, wszystkie wychowywane były z dala od religii. Jako matematyk Victor poczytywał sobie za obowiązek wpoić córkom ateistyczny sceptycyzm, tym bardziej że miał je za lekkomyślne i puste dziewczęta, oczywiście z wyjątkiem Sylvii, która korzystała na tym, że lubiła zakuwać matematykę. Kiedy Sylvia się wyprowadziła, zamiast „kujon” Victor zaczął o niej mówić „cudowne dziecko”, a jeszcze później „geniusz” - im dłużej była nieobecna w ich życiu, tym stawała się mądrzejsza, gdy tymczasem Julia i Amelia im były starsze, tym w oczach Victora głupsze. Był czas, kiedy Amelia toczyła z nim spory, chociaż to raczej Julia była osobą, która potrafiła stawić mu czoło porywającą „siłą sztuki”. Amelii bardzo trudno było się sprzeciwić jego apodyktycznej naturze. Teraz nie była pewna swoich racji. Może ojciec się nie mylił? Może są głupie i rzeczywiście o niczym nie mają pojęcia?

- Jak myślisz - odezwała się Julia - chyba zapisał nam dom, co? Myślisz, że jakieś pieniądze też nam zostawił? Chryste, mam nadzieję!

Victor nigdy nie rozmawiał z nimi na temat testamentu, nie omawiał też z nimi kwestii finansów. Co prawda robił wrażenie osoby biednej jak mysz kościelna, ale wiadomo też, że był potwornym dusigroszem. Julia znowu zaczęła burczeć na ojcowski pomysł rodzinnego grobu, który nie pomieści całej rodziny, ale Amelia jej przerwała:

- Lepiej skremować zwłoki, będzie szybciej. Wydaje mi się, że załatwianie formalności związanych z pochówkiem w trumnie trwa dłużej.

- Będziemy wyklęte do końca życia - szepnęła Julia. - Jak bohaterki greckiej tragedii, które nie pochowały swego ojca króla zgodnie z należytych rytuałem.

- Nie jesteśmy bohaterkami dramatu, Julio - odparła na to Amelia. - To nie Eurypides.

- Milly, doprawdy - westchnęła Julia. - Wystarczy, że go nie kochamy.

- Wielka mi rzecz - odpowiedziała Amelia i zmarszczyła brwi, słysząc ze zgrozą, że mówi jak jej uczniowie.

Julia powiedziała, że musi się zdrzemnąć, i złożyła głowę na rękach na brudnej narzucie na łóżku. Wyglądało to tak, jakby oddawała umierającemu ojcu jakiś dziwny hołd. Potężne dłonie Victora także spoczywały na narzucie, złączone w pobożnym geście, zdającym się mówić, że jest gotów na śmierć. Wystarczyłby jeden niewielki ruch, by unieść dłoń, położyć ją na głowie Julii i udzielić jej ostatniego błogosławieństwa. Czy kiedykolwiek dotknął ich czule? Pocałował? Przytulił? Pogłaskał po policzku? Jeśli tak, to Amelii całkowicie wyleciało to z głowy.

- Obudź mnie, jeśli coś się stanie - wymamrotała Julia.

Julia nadal była wielkim śpiochem - dla świata była równie martwa jak Victor kilka minut później. Amelia spojrzała na ciemne loki na głowie siostry i poczuła wobec niej nagły przypływ czułości, który był raczej bolesnym ukłuciem smutku.

Julia nie miała ostatnio wiele pracy. Kiedyś pracowała bez ustanku, występowała w teatrze prowincjonalnym, w sztukach modernistycznych na offowych scenach londyńskich, a nawet trafiały się jej role w telewizji - grała ofiary zbrodni z marginesu społecznego w serialu policyjnym *Rachunek* czy nieuleczalnie chore pacjentki w telenoweli *Nieszczęśliwe wypadki* (w ciągu dziesięciu lat dwa razy umarła). Ale Amelia już od dłuższego czasu nie słyszała, by ktoś zapraszał ją na castingi. Przed rokiem nakręciła in-

strukturalny film wideo dla dużej korporacji, a właściwie dla jednej z jej spółek rafineryjnych. Amelia była wściekła, że Julia się na to zgodziła, i zauważyła, że: „Powinna zdawać sobie sprawę z tego, że to bagno wielkiej polityki”, na co Julia odparła, że: „Łatwo mówić o polityce, kiedy ma się pełny talerz”, a Amelia zachnęła się wtedy: „To absurd, przesadzasz, ciekawe kiedy ostatni raz byłaś naprawdę głodna”. Ale dzisiaj było jej przykro z powodu tamtej scysji. Julia była taka szczęśliwa, kiedy opowiadała jej o pracy i kontrakcie, a ona wszystko zepsuła.

Amelia widziała prawie wszystkie role Julii, ale choć wytrwale mówiła jej, że wypadła znakomicie i była „cudowna” - wymóg teatralnej etykiety - to w istocie uważała, że Julia nie prezentuje się na scenie jakoś szczególnie błyskotliwie. Najlepszą rolą, w jakiej ją widziała, była rola psa w pantomimie, w jednym z teatrów w Bristolu - sztuka raczej małego kalibru, bodajże *Kopciuszek*, gdzie Julia grała czarnego pudła z lwią grzywą, gadającego z przesadnym akcentem francuskim. Niska i kształtna figura Julii idealnie pasowała do kostiumu, a do tego jeszcze udało jej się nabrać paryskiej arogancji w ruchach, co bardzo się podobało widzowi. Nie potrzebowała nawet peruki, wystarczyło, że własne nieposkromione włosy spinała na czubku głowy w luźny kok. Nigdy wcześniej Amelia nie wyobrażała sobie Julii jako pudła. Prędzej kojarzyłaby ją z terierem odmiany Jack Russell. Amelia znowu poczuła smutek. Było jej żal, że najlepszą rolą w karierze Julii okazała się rola psa. I nie potrzebowała nawet peruki, by zagrać pudła.

Czy on zmarł? Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy spał - leżał na plecach z zamkniętymi oczami i rozwarty-

mi jak u pisklęcia ustami. Jego pierś przestała się wznosić i opadać w rytm niespokojnego oddechu, a cera przybrała ziemistą barwę, która przypomniała Amelii obraz martwej matki w łóżku szpitalnym tak niespodziewanie, że przez chwilę nie potrafiła się ruszyć. Zapewne też zapadła w sen. Złe córki króla, który nie mógł liczyć nawet na czuwanie przy marach.

Sammy wstał niezdarnie z dywanika leżącego pod łóżkiem, poczłapał do Amelii, zarzucając sztywnym biodrem, i niepewnie wcisnął mokry nos w jej dłoń.

- Biedaczysko - szepnęła Amelia do psa. Potrząsnęła delikatnie Julią. - Tato zmarł - zakomunikowała.

- Skąd wiesz, że zmarł? - zapytała półprzytomna Julia. Na jej twarzy widniała bladoczerwona pręga w miejscu, gdzie odcisnęła się tarcza zegarka.

- Bo nie oddycha - wyjaśniła Amelia.

Odejście Victora stworzyło między siostrami prawie świąteczną atmosferę. Choć dochodziła szósta rano, Julia, jakby celebrując jakiś pośmiertny rytuał, nalała brandy do dwóch szklaneczek. Amelia pomyślała, że jeśli wypije choćby łyk, to zrobi jej się słabo, ale ku własnemu zaskoczeniu brandy bardzo jej zasmakowała. Po ósmej, mocno wstawione, wyszły po zakupy do lokalnego sklepiku sieci Spar i zappełniły koszyk produktami, których Amelia w życiu by nie kupiła - parówkami, bekonem, bułkami z białej mąki, czekoladą i dżinem. Chichotały jak małe dziewczynki, którymi kiedyś były, choć dawno o tym zapomniały.

W domu przygotowały bułki z jajkami na bekonie, Julia zjadła trzy, a Amelia jedną. Gdy tylko Julia przełknęła ostatni kęs, zapaliła papierosa.

- Na miłość boską - jęknęła Amelia, odganiając sprzed

oczu dym. - Ty naprawdę masz jakieś fiksacje oralne i dobrze o tym wiesz, prawda?

Pałac papierosa, Julia przybrała teatralną pozę, robiła z tego przedstawienie, jak ze wszystkiego w swoim życiu. Kiedy była nastolatką, ćwiczyła to przed lustrem (Amelia pamiętała, że Julia „przećwiczyła” przed lustrem sporą część swego młodego życia). Kiedy w smudze światła Julia unosiła dłoń z papierosem, widać było srebrzystą pręgę strasznej blizny, jaka pozostała w miejscu, gdzie przyszyto mały palec.

Dlaczego w dzieciństwie miały tyle wypadków? Czy miał to być sposób na to, by zwrócić na siebie uwagę Rosemary (właściwie czyjąkolwiek), by mama zauważyła tę jedną jedyną i wyróżniła ją z kotłowaniny tria Amelia-Julia-Sylvia? Nawet dzisiaj Julia i Amelia poruszały się jakoś niezdarnie, miały mnóstwo siniaków od wpadania na meble lub potykania się o podwinięty dywan. Nie dalej jak w ubiegłym roku Amelia upuściła sobie na nogę żeliwną patelnię i przytrzasnęła palce drzwiami w samochodzie, z kolei Julia uszkodziła sobie w taksówce kręgi szyjne przy raptownym hamowaniu, a potem skręciła kostkę, spadając z domowej drabinki. Amelia doszła do wniosku, że trudno sądzić, by po czterdziestce komuś chciało się jeszcze zwracać na siebie uwagę, zwłaszcza gdy wokół nie ma nikogo, kto mógłby coś zauważyć.

- Pamiętasz, jak Sylvia często mdlała? - zapytała Julię.

- Nie. Trochę.

Amelia czuła zawroty głowy za każdym razem, gdy myślała o tym, że Victor już nie żyje. Czuła się tak, jakby ktoś zdjął z niej wielki kamień i mogła się teraz unieść lekka jak latawiec, jak balon napełniony gorącym powietrzem. Ciało Victora spoczywało na łóżku w pokoju na piętrze i chociaż

wiedziały, że powinny coś zrobić, gdzieś zadzwonić, kogoś zawiadomić, szybko reagować na śmierć, to bezwiednie poddały się atmosferze bezczynności.

Dzień później pojechały do klasztoru sióstr klarysek, gdzie, po nieznośnie długim oczekiwaniu, spotkały się z siostrą Marią Łukaszą - absurdalne imię, do którego żadna z nich nie zdołała przywyknąć nawet po trzydziestu latach. Kiedy powiedziały jej, że Victor zmarł, Sylvia milczała przez chwilę zaskoczona, a potem powiedziała:

- Tato? Nie żyje?

I po raz pierwszy zobaczyły, jak opada z niej klasztorna powaga. Sylvia parsknęła głośnym śmiechem.

Sylvia była zakonnicą w zakonie klauzurowym i pozostawała tak całkowicie wyłączona ze spraw doczesnych, że nawet nie przyszło im do głowy, żeby omawiać z nią sprawy pochówku. Zresztą zdążyły już ustalić szczegóły. Kiedy zakład pogrzebowy zabrał zwłoki Victora, Julia wyciągnęła z szafy dzin i obie upiły się jak nieboskie stworzenia. Amelia nie pamiętała, kiedy była tak pijana, możliwe, że nigdy. Dzin zmieszany z poranną brandy zrobił swoje, obie szybko straciły poczucie rzeczywistości i mniej więcej w połowie pijackiej orgii uznały, że o dalszym losie Victora zdecyduje rzucona moneta.

Julia, komediantka, założyła nogę na nogę, zacisnęła uda i dotykając krocza, zaczęła powtarzać: „O Boże, nie, przestań, zaraz się posikam!” a Amelia, porwana torsjami, wybiegła na trawnik przed domem. Zbliżał się już świt i wilgotne nocne powietrze trochę ją otrzeźwiło.

Amelia wybrała orła, ale moneta spadła reszką do góry (prawdopodobieństwo wyboru jeden do dwóch, dzięki ci, tatusiu, matematyku) i Julia orzekła, że: „Stary pierdziel pójdzie do pieca”.

Amelia obudziła się wcześnie, zbyt wcześnie. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby mogła teraz być w domu, w swoim prawdziwym domu w Oksfordzie, ale nie chciało jej się samej wałęsać po świecie, a Julia na pewno jeszcze będzie spała wieki. Amelia nieraz się zastanawiała, czy geny jej siostry nie są czasem przemieszane z kocimi. Julia zawsze śmiała się z dobowego cyklu „prowincji”, którego trzymała się Amelia. Odkąd tu przyjechały, Julia nie kładła się spać przed drugą w nocy. Wstawała około południa, z mętym wzrokiem, błagając ochryple o filizankę kawy („kochanie, błagam...”), jakby spędziła całą noc w pogoni za czymś, co mocno naraziło na szwank jej nerwy i stan ducha, a nie na sofie przed telewizorem, z butelką czerwonego wina w ręku, oglądając stare filmy na kablówce.

Ze zdumieniem odkryły, że Victor - który, jak sięgały pamięcią, nigdy nie oglądał telewizji - nie tylko miał potężny szerokoekranowy telewizor, ale również opłacony pełny abonament za telewizję kablową, i to nie tylko kanały sportowe, ale również erotyczne. Amelia była zszokowana nie tyle zawartością „świerszczykowych” programów (choć już one budziły wstręt), ile obrazem ojca siadającego co wieczór przed telewizorem w swoim starym fotelu i oglądającego *Napalone laseczki* i Bóg jeden wie, jakie jeszcze świństwa. Z ulgą spostrzegła, że Julia - zwykle beztrąsko tolerancyjna dla słabych stron męskiego życia seksualnego - tym razem również doznała szoku. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiły, było pozbycie się starego fotela.

Amelia oglądała w telewizji wyłącznie wiadomości i filmy dokumentalne. Od czasu do czasu jeszcze program o antykach w niedzielę. Była więc kompletnie wytrącona z równowagi całodobową ofertą bezeceństw. Czy to naprawdę wnosi jakąś treść w życie? Czy ludzie naprawdę uważają, że

take plugastwa świadczą o ich wyższym stopniu rozwoju ewolucyjnego?

- Rozchmurz się, Milly - odezwała się Julia, wyczuwając rozterki siostry. - Jakie znaczenie ma to, co ludzie robią? I tak każdy w końcu umiera.

- Trudno się z tym nie zgodzić - odpowiedziała Amelia.

Gdy tylko pozbędą się ciała Victora i wszystkich jego rzeczy doczesnych, wystawią dom na sprzedaż i będą miały problem z głowy. Przynajmniej poczynią wszelkie kroki ku temu, ponieważ radca prawny Victora urzędowo zatwierdził testament z iście dickensowskim przygnębieniem. Ostatnia wola ojca okazała się jednak w swej formule bardzo prosta. Wszystko zostało podzielone na dwie równe części z pominięciem Sylvii, ponieważ (najpewniej) sama sobie tego życzyła.

- Jak Kordelia - rzuciła smętnie Julia.

- Niezupełnie - odpowiedziała Amelia.

Jednak nieoczekiwane siostry nie ciągnęły wymiany zdań. Od śmierci Victora przed dwoma dniami niemal nie toczyły sporów. Przy przetrząsaniu szafy z ubraniami ojca (sama tandeta), wyrzucaniu starych aluminiowych garnków i książek matematycznych, rozsypujących się w dłoniach przy dotknięciu, zrodziła się między nimi jakaś nowa więź. W domu wszystko robiło przykre wrażenie, zarówno w łazience, jak i w kuchni, które Amelia czyściła w gumowych rękawiczkach, a potem jeszcze spryskiwała środkiem antybakteryjnym w aerozolu.

- Przecież nie miał dzumy - mówiła jej Julia, ale bez przekonania, ponieważ sama wcześniej wygotowała pościel i ręczniki, z których teraz korzystały.

Choć był to lipiec i panował upał, dom Victora miał wła-

sny, zimny i wilgotny klimacik, który zdawał się mieć niewiele wspólnego ze światem zewnętrznym. Odkąd przyjechały, co wieczór rozpałały ogień w kominku i siadały przed nim zadowolone, z rodzajem czci, jaką zapewne otaczali ogień ludzie pierwotni, strzegący płomieni, by nie zagasły. Tyle tylko, że ludzie pierwotni nie mieli drogiej telewizji kablowej Victora, by móc się przy tym rozerwać. Najbardziej niezwykłym doświadczeniem było wyjście w południe do zachwaszczonego ogrodu, napełnienie płuc świeżym powietrzem i odkrycie gorącego, śródziemnomorskiego słońca leżącego się z nieba.

Amelia spała w dawnym pokoju Sylvii, tym samym, w którym Sylvia spała, dopóki nie odkryła w sobie tego absurdalnego, niewytłumaczalnego powołania. Oczywiście już wcześniej otwarcie wyznawała katolicyzm, co doprowadziło Victora do wybuchu furii. Kiedy jednak zrezygnowała z indeksu w college'u Girton, w którym lada dzień miała rozpocząć studia matematyczne, i wstąpiła do klasztoru, wydawało się, że Victor po prostu ją zamorduje. Julia i Amelia, które chodziły jeszcze do szkoły, były zdania, że porzucanie świata i zamykanie się za murami klasztoru to zbyt dramatyczny sposób na ucieczkę od Victora. (Naprawdę już jutro skremują jego ciało, spalą go na popiół? To niezwykle, że człowiek otrzymuje formalne prawo, by zgotować taki los drugiemu człowiekowi. Popiół można wyrzucić jak zwykle śmieci.)

Sylvia nie musiała zawracać sobie głowy żadnymi problemami po śmierci ojca. Być wybranką Chrystusa, cóż za fantastyczny sposób na unikanie kłopotów. Julię niezmiernie bawiło informowanie innych, że ma siostrę zakonnice, bo wszyscy bez wyjątku byli taką wiadomością zszokowani. („Twoja siostra?!”) Jednak Amelia czuła się z tym nie-

zręcznie. Bóg przemawiał do Sylvii codziennie, ale ona nie była skora do ujawniania im treści tych rozmów, pokazując tylko święty uśmiech (tyleż zagadkowy, ile denerwujący). Można by pomyśleć, że Bóg jest jej tajemniczym bliskim znajomym, kimś, z kim przy ustronnym stolczku w uroczej kawiarence nad rzeką Sylvia rozmawia nad lampką taniego wina na tematy egzystencjalne. Ta szczególna konwersacyjna relacja łączyła Boga i Sylvię, odkąd Amelia pamięta. Czy rzeczywiście uważała, że On do niej mówi? Miała omamy? Co najmniej zachowania histeryczne. Słyszała głosy. Jak Joanna d'Arc. Właściwie to rozmawiała też z Joanną d'Arc, czyż nie? Jeszcze przed śmiercią Rosemary i zniknięciem Olivii. Czy komukolwiek przyszło kiedyś do głowy, że Sylvia może mieć schizofrenię? Gdyby do Amelii przemówił Bóg, uznałaby, że pomieszało jej się we łbie. Ktoś powinien był zwrócić baczniejszą uwagę na różne zachowania Sylvii, naprawdę powinni byli o tym pomyśleć.

Sammy, rozłożony jak długi w nogach zbyt małego łóżka Amelii, zaczął cicho skomleć przez sen. Uderzał ogonem w puchową kołdrę, czymś podekscytowany, a pazurami drapał powietrze, jakby śniło mu się, że goni króliki, niczym za dawnych młodych lat. Początkowo Amelia nie miała zamiaru przeszkadzać mu w pełnym szczęścia śnie, ale potem uderzyła ją myśl, że być może to nie Sammy kogoś goni, ale przeciwnie, ktoś goni Sammy'ego, a odgłosy, jakie pies wydaje przez sen, nie świadczą o ekscytacji, ale o strachu (jakim cudem dwa tak odmienne stany uczuć mogą się wyrażać w tak podobny sposób?). Usiadła więc i zaczęła pieszczotliwie klepać psa po boku, dopóki się nie uspokoił. Na starość jego ciało wydawało się jeszcze bardziej zapadnięte. Jak pamiętała Amelia, Sammy był jedynym stworzeniem, które Victor traktował jak równego sobie.

Spodziewała się, że będzie musiała zabrać Sammy'ego ze sobą do Oksfordu. Julia na pewno powie, że weźmie psa do siebie, ale Julia nie poradzi sobie z takim psem w Londynie. Amelia ma w Oksfordzie przynajmniej ogród. Była właścicielką mieszkania na piętrze edwardiańskiego bliźniaka (idealnego dla jednej osoby) i dzieliła ogród z sąsiadem z dołu, spokojnym matematykiem z New College, specjalistą od geometrii, który miał na imię Philip i który mógł uchodzić za sąsiada idealnego („Albo seryjnego zabójcę!" ostrzegala ją Julia), ponieważ wykazywał absolutny brak seksualnego zainteresowania obiema płciami. Philip miał psa (choć był to tylko jazgotliwy pekińczyk) i był niezwykle pomocny przy drobnych naprawach w domu. Co więcej, ku zadowoleniu Amelii Philip nie był ogrodnikiem i zgadzał się, by siała, sadziła i peła w ogrodzie, co tylko zechce. Amelia wierzyła w ogród z mocą nie mniejszą niż Sylvia w Boga. Podobnie jak Sylvia była neofitką. Aż do trzydziestego roku życia, kiedy w październiku posadziła różę biało-kwiatową, a w czerwcu podziwiała, jak strzela z niej kwiat za kwiatem, nie wiedziała, że kocha ogrody. To było rewelacyjne odkrycie - człowiek coś wsadzi do ziemi, a to rośnie! „Phi!" prychnęła Julia (jak zwariowana nastolatka), kiedy Amelia usiłowała wyjaśnić jej ten cud.

Przebywała w Cambridge zaledwie kilka dni, a już jej drugie życie, to prawdziwe życie, wydawało się odległe o tysiące kilometrów. Musiała sobie czasem specjalnie przypominać, że ono jednak istnieje. Jakaś jej częśćka pragnęła pozostać w Cambridge na zawsze i pograć się razem z Julią w pełnej swarów i kłótni starości. Razem, być może, nie dałyby się pokonać samotności i lękowi. Zajęłyby się ogrodem Victora, w którym widziała wiekowe zaległości do nadrobienia. Miała ochotę wylegiwać się godzinami w łóżku,

aranżując w myślach kwietniki (ostróżki, dzwonki, nachełek, przetacznik), projektując na nowo front (może woda, stawek japoński?), ale w końcu z niechęcią wstała i przeszła do zimnej kuchni, a wierny Sammy człapał za nią krok w krok. W kuchni napełniła wodą czajniczek i ze złością stuknęła nim głośno o kuchenkę, żeby pokazać, jak bardzo jest wściekła, że Julia jeszcze śpi.

Amelia pakowała w jadalni nie kończący się pochód kuchennej porcelany, naczyń i rozmaitych ozdóbek. Julia znajdowała się w gabinecie ojca, tam, gdzie powinna. Przebywała tam od momentu, gdy zabrały się do porządkowania dobytku Victora, i powiedziała (jak zawsze melodramatycznym głosem), że ma wrażenie, jakby ktoś rzucił na nią zły urok i już do końca życia będzie skazana na pobyt w tym miejscu. Ciemna grota Victora, zimna, wilgotna i duszna, nic się nie zmieniła. Przez wszystkie te lata pozostawała tą samą czarną dziurą zarzuconą teraz wznoszącymi się aż do sufitu stosami papierzysek, teczek i folderów. Była jak przygotowane palenisko czekające na zapałkę.

Odsłoniły okna.

- Niech się stanie światło - powiedziała patetycznie Julia.

- Całkiem przyjemny pokój - stwierdziła Amelia. Julia miała takie uczulenie na kurz, że mimo tabletek,

które ciągle łykała (traktowała je jak cukierki), założyła na usta maskę, a na oczy okulary ochronne, które kupiła w sklepie z narzędziami. Mimo to jej urywany, suchy kaszel dał się słyszeć chyba na kilometr.

Amelia była zdumiona, że jej siostra do południa nie zeszła, żeby coś przekąsić. Kiedy poszła na górę, znalazła ją opartą o biurko ojca. Wyglądała na zmartwioną.

- Co się stało? - zapytała Amelia.

Julia wskazała palcem na jedną z szuflad w biurku.

- Włamałam się - powiedziała.

- Cóż z tego? - Amelia wzruszyła ramionami. - I tak musimy wszystko przejrzeć, a poza tym, praktycznie rzecz biorąc, wszystko należy do nas.

- Nie o to chodzi. Zobacz, co znalazłam.

Julia otworzyła szufladę i ostrożnie wyjęła z niej jakiś przedmiot, delikatnie trzymając go w dłoni, jak archeolog, który wydobywa na powierzchnię wykopalisko, które na świeżym powietrzu może się rozsypać w proch. Podała Amelii. A przez chwilę stała, jakby zastanawiając się, co trzyma w ręku, ale nagle poczuła, jak wpada w jakąś czeluść, jakby przeszła przez drzwi, za progiem których nie ma już nic. Kiedy padała na podłogę, myślała już tylko o jednym: o Niebieskiej Mysze Olivii, którą kurczowo zaciskała w dłoni.

- Spodobał ci się.

- Nie, wcale nie.

Razem przyrządzały kolację. Amelia gotowała jaja w koszulkach, a Julia odgrzewała w rondlu pieczoną fasolę. Obie znajdowały się u szczytu swoich umiejętności kulinarnych.

- Właśnie, że tak - nie ustępowała Julia. - Dlatego byłeś tak wrogo do niego nastawiona.

- Do wszystkich jestem wrogo nastawiona - odparła Amelia, czując jednak, że oblewa się rumieńcem, pochyliła się szybko nad chlebem i tak została nad nim nachylona, jakby wymagał on psychicznego wsparcia, by wyskoczyć z tosterka. - Tobie też się spodobał.

- To prawda. Pan Brodie ma w sobie coś pociągającego. Ma własne zęby, nie zaczął jeszcze łysieć - odpowiedziała Julia. - Raz, dwa, trzy, zamawiam go dla siebie.

- Dlaczego ty? - zapytała Amelia.

- Dlaczego nie? Przecież ty już masz chłopaka, masz swojego Henry ego.

Amelia pomyślała, że zwrot „masz chłopaka” brzmi dość absurdalnie w odniesieniu do czterdziestopięcioletniej kobiety. W odniesieniu do niej.

Jaka szkoda, że Julia nie wyszła na spotkanie z Jacksonem Brodiem w masce i okularach ochronnych. Nie dostrzegłby w niej nic interesującego. Bo nie ulegało wątpliwości, że dostrzegł w niej coś interesującego. Oczywiście zdarzają się mężczyźni, którzy lubią różne maski, wiązanie sznurem i Bóg wie co jeszcze. (Guma! Dlaczego guma?)

- Och, jaka z ciebie świętoszka, Milly - uśmiechnęła się Julia.

- Powinnaś spróbować czegoś nowego z Henrym, poszukać nowej przygody. Dodaj trochę pieprzu do waszego związku. Tak długo szukałaś chłopaka, szkoda byłoby stracić go tylko dlatego, że nie potrafisz zarzucić pozycji misjonarskiej.

Amelia posmarowała tosty masłem i ułożyła je na talerzu. Julia położyła na nich odgrzaną fasolę. Amelii zaczynało się podobać dzielenie z Julią zadań domowych, choćby tak podstawowych. Od drugiego roku studiów żyła na własny rachunek i zawsze sama; to bardzo długo, ponad dwadzieścia lat. Samotne życie wcale nie było jej wyborem, po prostu nikt nigdy nie chciał z nią zamieszkać. Nie wolno jej się przyzwyczajać do mieszkania z Julią pod jednym dachem. Nie wolno się przyzwyczajać do budzenia się w domu, w którym mieszka także ktoś, kto zna ją od podszewki.

- Kajdanki - rzuciła Julia niedbałym tonem, jakby rozmawiała o ubraniach na różne pory roku. - Troszkę skóry i pejczyk.

- Henry nie jest koniem - odparła Amelia.

Czy w dzisiejszych czasach są ubrania na różne pory roku? Były, gdy żyła ich mama. Latem Rosemary nosiła białe buty i białą torebkę, i nieduży słomkowy kapelusik. Zimą wysokie zamszowe botki, zapinane na zamek błyskawiczny - czy Amelia tylko sobie to wyobrażała? - i wełnianą czapkę. Szkoda, że nie poświęcała Rosemary więcej uwagi, gdy jeszcze żyła.

- Cóż złego w tym, że się człowiek trochę powiąże - perorowała dalej Julia. - Łatwo mogę sobie wyobrazić, że Henry'emu to się spodoba. Mężczyźni lubią takie świństewka. - Słowo „świństewka” wypowiedziała z wyraźnym smakiem.

Kiedyś, jeden jedyny raz i zupełnie niechcący, Amelia weszła z Julią do jakiegoś sex shopu w Soho - ekskluzywny sklep z towarem wyłącznie dla kobiet, jakby miał stanowić etykietę triumfującego feminizmu, a tymczasem było to zwykłe pornograficzne łajno. Amelia weszła za Julią w mylnym przekonaniu, że w sklepie sprzedaje się przybory kąpielowe, i kompletnie zgłupiała, kiedy Julia wzięła do ręki włochaty różowy przedmiot przypominający koński ogon i oznajmiła z uciechą:

- Zatyczka do dupci, ale słodka!

Czasem Amelia zastanawiała się, czy dla kobiet nie byłoby lepiej, gdyby zajmowały się po prostu cerowaniem, szydełkowaniem i wypiekaniem chleba. Co wcale nie znaczyło, że sama świetnie potrafiła to robić.

- Czy dzisiaj wciąż szyje się ubrania na różne pory roku?

- Oczywiście - odpowiedziała Julia pewnym głosem, ale po chwili dodała mniej pewnie: - No, chyba tak... Wiesz, Milly, możesz mówić o wielkim szczęściu, że masz stałego chłopaka.

- Dlaczego, bo jestem tak mało atrakcyjna? - zapytała Amelia.

- Och, moja głupiutka Milly...

„Głupiutka Milly”, tak Julia mówiła do niej czasem w dzieciństwie. Julia lubiła się pośmiać z innych. Potrafiła być bardzo okrutna.

- W twoim wieku - zaczęła Julia (niech się już zamknie!) - kobiety są albo starymi pannami, albo są zaprzężone na amen w stare małżeństwo.

Amelia rzuciła jajka na fasolkę.

- W naszym wieku - poprawiła Julię. - Traktujesz mnie protekcjonalnie.

„Chłopak na stałe” i „Julia” to słowa, które nigdy nie wystąpiły razem w jednym zdaniu.

- Jeśli to dla ciebie nic dobrego, to dlaczego uważasz, że jest to dobre dla mnie?

Mogło się wydawać, że w jedzeniu jajek jest coś złego - pochłanianie i unicestwianie czegoś, co daje życie. Skazywanie na banicję, wygnanie w wewnętrzną ciemność.

Julia zagrała osobę głęboko dotkniętą.

- Och, Milly, wiesz, naprawdę tak myślę. Twój Henry wydaje się dokładnie taki, jaki ma być, to niebywałe szczęście znaleźć kogoś, kto tak idealnie pasuje. Uwierz mi, gdybym to ja kogoś takiego znalazła, szybko bym się ustabilizowała.

- Nie uwierzę.

Amelia patrzyła na jaja - para mdławych, zawistnych oczu - i pomyślała o własnych jajach. Niewiele ich zostało, na pewno są stare, zmurszałe i pomarszczone jak zeschłe owoce, które kiedyś rwały się do światła...

- Milly, jedzmy, bo tosty stygną. Milly?

Amelia wybiegła z kuchni, potykając się po drodze, wpadła po schodach do łazienki i zwymiotowała do muszli

klozetowej. Choć długo szorowały i dezynfekowały muszlę, wciąż jeszcze widać było na niej plamy po wieloletnim niechlujstwie Victora. Sama myśl o nim w tym miejscu wywoływała u niej torsje.

- Milly, co się stało? - dobiegł ją z dołu głos Julii.

Po jakimś czasie Amelia wyszła z łazienki. Zatrzymała się w progu pokoju Olivii. Nic się w nim nie zmieniło - to samo łóżko, bez pościeli, ta sama szafa na ubrania i komoda z szufladami, obie puste, opróżnione z rzeczy. W tym jednym małym pokoju zdawała się skupiać cała przeszłość. Amelia pomyślała, że w domu mieszka duch, ale wcale nie duch Olivii, lecz jej samej. Duch Amelii, którą byłaby - powinna była być - gdyby jej rodzina się nie rozpadła.

Stojąc w zapuszczonej, niszczonej sypialni Olivii, Amelia doznała nagle czegoś, co mogła opisać tylko jednym słowem: objawienie. Pomyślała, że czegoś takiego muszą doświadczać ludzie, którzy miewają mistyczne wizje. Tacy, którzy, jak Sylvia, twierdzą, że słyszeli głos Boga lub poczuli, jak spływa na nich łaska boża (wiedziała, że w istocie rzeczy są to dowody na chwilowe zachwianie równowagi umysłowej). Amelia po prostu wiedziała - a ta wiedza przechodziła przez jej ciało jak fala ciepła - że Olivia powraca. Być może powraca jedynie jako cień swoich popiołów, ale powraca. I ktoś musi tu zostać, by ją powitać.

- Milly?

Théo 2004

Każdego roku pokonywał tę samą drogę. Trzy kilometry pieszo do kancelarii w Parkside i trzy kilometry z powrotem do domu. Ta sama pielgrzymka od dziesięciu lat, sześć kilometrów w obie strony, każdego roku bardziej męcząca z uwagi na jego coraz większą tuszę. Ale dzisiaj żaden doktor nie umiałby wystraszyć Thea swoimi przestrogami.

Kiedy dochodził do Parkside, brakowało mu tchu. Zanim wszedł na schody, stał przez dłuższą chwilę na chodniku i łapał oddech. Lekko pochylony odpoczywał z rękami opartymi na udach, wdychając i powoli wypuszczając powietrze, w regularnych odstępach, jak sportowiec, który właśnie dobiegł do mety. Przechodnie rzucali ku niemu ciekawe, ukradkowe spojrzenia (czasem wcale nie ukradkowe), przejawiające różny stopień niechęci, jakby zachodzili w głowę, jaką to okropną wadą musi być obciążony ludzki charakter, by doprowadzić się do tak chorobliwej otyłości.

W ciągu tych dziesięciu lat tylko trzy razy był wewnątrz budynku. W pozostałych latach po prostu zatrzymywał się na chodniku przed wejściem i oddawał hołd temu miejscu.

David Holroyd przeżył. Kiedy przybyła karetka, jeszcze

żył. Błyskawicznie przewieziono go do szpitala, gdzie zszyto mu rany i wpompowano w niego krew kilku innych osób. Wciąż pracował, ale tylko trzy dni w tygodniu. Resztę czasu poświęcał ogrodowi w domku na wsi w hrabstwie Norfolk.

Sala konferencyjna została odmalowana, a niezmywalne, sine ślady krwi Laury zasłonił nowy dywan. Jednak nikt, kto był obecny w kancelarii tamtego feralnego dnia, nie czuł się już dobrze w tym wnętrzu. W niespełna rok później Holroyd, Wyre i Stanton przenieśli się do brzydkiego budynku z 1960 roku, nieopodal Grafton Centre, ale już pod zmienionym szyldem: „Holroyd & Stanton”. Po śmierci Laury Theo wycofał swoje udziały z firmy i nigdy już nie wrócił do zawodu. Dość miał oszczędności w lokatach, akcjach i obligacjach, by bez problemów wieść skromne życie. Pieniądze, które otrzymał w ramach zadośćuczynienia za szkody, przekazał schronisku dla psów, z którego wzięli kiedyś Makuchnę.

Drzwi wejściowe do budynku, niegdyś w kolorze pięknej butelkowej zieleni, przemalowano później na biały kolor, a mosiężnych okuć nikt od dawna nie polerował. Wejście nie było w żaden sposób chronione - nie było zamków, domofonu, kamery. Byłe przechodzień bez problemu mógł dostać się do środka.

Dawną mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym napisem: „Holroyd, Wyre & Stanton - radcy i adwokaci” zastąpił plastikowy szyld, na którym można było teraz przeczytać: „Świat Rozkoszy - terapia pięknem”. Przed „Światem Rozkoszy” pojawił się tajemniczy szyld „Hellier”, ale na krótko, między trzecią i czwartą rocznicą. Kiedy zniknął szyld „Hellier”, biura długo świeciły pustką, aż wprowadziła się firma JM Business. W szóstą rocznicę Theo wszedł na górę pod pretekstem zasięgnięcia informacji o kursie szkolenia informatycznego dla firm. Dziewczyna w recepcji zmarsz-

czyła zdziwiona brwi i powiedziała, że jej firma nie oferuje takiej usługi, ale też nie wyjaśniła mu, czym się tak naprawdę zajmuje, co utwierdziło Thea w przekonaniu, że niczym specjalnym. Być może pomieszczenia w budynku służyły po prostu jako magazyn. W każdym kącie piętrzyły się wielkie kartony. Theo chciał zerknąć, zobaczyć to miejsce - to konkretne miejsce - ale nie dość, że kartony utrudniały mu swobodne poruszanie się po korytarzu, to wszędzie stały jeszcze jakieś przenośne parawany. Theo nie chciał robić zamieszania i przestraszyć dziewczyny. Wyszedł.

Wspinaczka po schodach wyczerpała go. Odpoczął chwilę, zanim zaczął się przeciskać przez nowe, szklane drzwi, na których romantycznymi wywijasami wypisane były słowa „Świat Rozkoszy” - tchnące uniesieniem romantycznym, wielką obietnicą, jakby człowiek miał lada moment wkroczyć do Elizjum albo Krainy Obfitości, mlekiem i miodem płynącej.

Recepcjonistka w obcisłym, sterylnie białym uniformie, jeśli wierzyć identyfikatorowi, miała na imię Milanda, co bardziej kojarzyło się Theowi z nazwą margaryny niskocholesterolowej niż żeńskim imieniem. Patrzyła na grubego przybysza tyle zaciekawionym, ile przerażonym wzrokiem. Theo miał ochotę zapewnić ją, że otyłość nie jest zakaźna, jednak powiedział tylko, że chce zrobić żonie urodzinową niespodziankę i zafundować jej troszkę „rozkoszy”. Było to kłamstwo szyte grubymi nićmi, ale nie krzywdzące nikogo. Bardzo chciałby móc ofiarować Valerie trochę „rozkoszy”, ale teraz już nie było o czym myśleć. Za późno.

Gdy Milanda ochłonęła i pokonała początkowy lęk przed człowiekiem niezmiernych rozmiarów, uprzejmie zaoferowała pakiet „Pół dnia w spa” - pedicure, manicure i „kuracja wodorostami”. Theo odparł, że właśnie „o coś takiego

mu chodziło", ale, jeśli można, chętnie przejrzałby broszurę i poznał więcej szczegółów. „Proszę bardzo”, odpowiedziała sucho Milanda z urzędowym uśmiechem przyklepionym do ust, bo najwyraźniej zaczynała ją martwić, że tusza tego człowieka może stanowić fatalną reklamę jej salonu piękności. Obawiała się, że Theo będzie odstraszał klientów, siedząc na wiklinowej sofie (za małej i za słabej dla niego) w poczekalni, obok szklanej fontanny, której szmer komponował się z płynącymi z płyty relaksacyjnymi dźwiękami *Medytacji* - dziwnej mieszanki głosu piszczałek, śpiewu wieloryba i plusku fal bijących o brzeg.

Od czasu poprzedniej, nieudanej wizyty biuro bardzo się zmieniło. Ściany były teraz pomalowane na kolor liliowy, a na drzwiach mieniła się paleta purpurowych, różowych i niebieskich odcieni. Za sprawą gipsowych ścian zmieniony został rozkład pomieszczeń. Powstały nowe, większe, otwarte przestrzenie, a także malutkie pokoiki - jak można się było dowiedzieć z napisu na ich drzwiach „studia terapii”.

Czy sala konferencyjna znajduje się na starym miejscu? Nietknięta? Czy może również przeszła metamorfozę i przemieniła się w... W co? W saunę? Pokój parowy? Może została poszatkowana na boksy do „tajskiego masażu” lub nakładania „brazylijskich wosków”? (Broszura zawierała oferty niewiarygodnych wręcz usług.) W recepcji pojawiła się jakaś klientka i Milanda odprowadziła ją do któregoś ze studiów terapii. Theo wstał - zwyczajnie, jakby chciał rozprostować nogi - i bardzo wolnym krokiem, jakby od niechcienia, ruszył korytarzem.

Drzwi do dawnej sali konferencyjnej (pomalowane na sinoniebieski kolor) były uchylone. Kiedy Theo lekko je pchnął, otworzyły się szeroko, odsłaniając całe wnętrze. Nigdy dotąd nie zabrnął tak daleko i nie miał pojęcia, jak bardzo w

cią-

gu tych dziesięciu lat pokój mógł się zmienić. Zdumiał go brak mebli i urządzeń. Deski podłogi były porysowane i zabrudzone, a ze ścian odpadały płaty starej farby. Ten pokój zawsze był sercem kancelarii, a teraz urządzono w nim magazyn zagracony pudełkami kremów, balsamami i olejkami. Składany, przenośny stół do masażu stał oparty o ścianę. Duży kosz na brudy był po brzegi wypełniony zużytymi białymi ręcznikami. Marmurowy kominek znajdował się w tym samym miejscu, na kracie leżał nawet stary, zimny popiół.

W „tym miejscu”, w miejscu, w którym została zamordowana jego córka, stał stolik na kółkach. Bardziej pasowałby do scenerii szpitala, jednak nie było na nim medykamentów, tylko dziesiątki różnokolorowych flakoników z lakierem do paznokci. Kiedyś w Sankt Petersburgu Theo zwiedzał Sobór Zbawiciela na Krwi, zbudowany w miejscu, gdzie dokonano zamachu na cara Aleksandra II. To była cudowna budowla z mozaikami, złotem, iglicami i emaliowanymi cebulastymi kopułami. Ale grające chłodnym echem wnętrze świątyni wydało mu się pozbawione duszy. Teraz zrozumiał, że atmosfera nie ma znaczenia, że liczy się to, co istnieje, bo swym istnieniem nie pozwala zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Miejsce, w którym zginęła Laura, wyznaczał stolik na kółkach z flakonikami lakierów do paznokci. Cóż to za świątynia? Czy w uświęconym miejscu, gdzie połała się krew jego córki, nie powinno trysnąć źródelko lub zakwitnąć drzewko?

Wykrwawiona. To obce, dramatyczne słowo, które, zdawać by się mogło, należało do języka tragicznej zemsty. Ale dla Thea zemsta nie była możliwa. „Szaleniec zamordował przypadkową osobę!” krzyczały nagłówki lokalnych, a nawet krajowych gazet. Przez kilka dni trąbiły o tym wszystkie media, a potem, zdawało się, wszyscy nagle o sprawie zapomnieli. Oczywiście nie policja. Theo nie miał wątpliwości, że

policjanci dali z siebie wszystko. Nadal widywał się z Alison, która była oficerem łącznikowym przydzielonym jego rodzinie. Policja podjęła wówczas każdy możliwy trop i zbadała każdą poszlakę. Wśród klientów kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton nie pozostał ani jeden, którego akta miałyby jeszcze klauzulę poufności. Policja przeczesła wszystkie teczki i całą korespondencję. Media przedstawiały zbrodnię jako „ślepą”, niezaplanowaną, dokonaną przez psychopatę. Ale przecież mężczyzna - szalenciec z nożem - wszedł do kancelarii, pytając o Thea, o „pana Wyre'a”. Theo musiał coś zrobić, coś nierozważnego, co umknęło jego uwagi. Musiał komuś zająć za skórę, komuś w jasnożółtym swetrze golfisty, i to do tego stopnia, że ów ktoś postanowił go zabić. Czy uśmierzył tą zbrodnią swój ból? Czy zabijając córkę Thea, człowiek w żółtym swetrze poczuł jakąś prymitywną satysfakcję? Przelewając krew jego dziecka. Jego krew.

Theo zamierzał przesunąć stolik na kółkach, kiedy nagle otworzyły się jedne z drzwi ukrytych w owalnym końcu pokoju i pojawiła się schludna kobieta. W takim samym białym uniformie jak Milanda. Na widok intruza podniosła w zdziwieniu brwi, ale zanim zdążyła zaprotestować, Theo szybko zareagował:

- Przepraszam, pomyliłem pokoje! - Wycofał się tyłem, kłaniając się nisko, aby rozwiać jej obawy. - Zadzwonię do pani - powiedział jeszcze jowialnie do Milandy, machając do niej broszurką, którą cały czas ścisnął w dłoni.

Ruszył ku schodom, tak szybko, jak tylko pozwalała na to jego tusza, czyli niezbyt szybko - raczej toczył się ciężko kaczkowatym chodem. Wyobraził sobie, jak w parku Parker's Piece Milanda biegnie za nim i chwyta go za nogi niczym rugbysta. Serce zaczęło mu walić ze zdenerwowania.

Schronił się w kawiarni przy Mili Road. Zamówił tylko małą kawę z mlekiem i babeczkę, a mimo wszystko padł ofiarą karcącego spojrzenia kelnerki, które mówiło wszystko: człowiek o takiej nadwadze nie powinien w ogóle jeść.

Czas nie wyleczył ran, jedynie łagodził ból, powoli i nieustannie. Świat pomknął dalej i zapomniał. Tylko Theo podtrzymywał płomyk pamięci o Laurze. Jennifer mieszkała w Kanadzie. Choć rozmawiali czasem przez telefon i wymieniali maile, rzadko poruszali temat Laury. Jennifer nie potrafiła znieść bólu, jaki sprawiało jej rozpamiętywanie tego, co się stało. Theowi natomiast ból pozwalał pamiętać Laurę ciągle żywą. Bał się, że gdyby czas zabił ranę, Laura zniknęłaby z jego pamięci na dobre.

Zaraz po tym, co się stało dziesięć lat temu, Theo nie chciał z nikim rozmawiać. W ogóle nie chciał mówić, nie chciał przyjąć do wiadomości, że życie toczy się dalej, już bez Laury. Ale po powrocie ze szpitala zebrał siły i zmusił się, by zatelefonować do Jennifer. Kiedy podniosła słuchawkę i usłyszała jego głos, powiedziała oschle: „No, co tam?“, tym swoim zniecierpliwionym tonem, jakby dzwonił tylko po to, żeby ją zdenerwować. Zniecierpliwiała się jeszcze bardziej, gdyż Theo długo nie potrafił wydobyć z siebie słowa i tylko niezwykłym wysiłkiem woli udało mu się wykrztusić zdanie: „Jennifer, stało się coś złego, coś bardzo złego“. Jennifer natychmiast odszepnęła głucho: „Laura...“

Theo popełniłby samobójstwo, może nie tego samego dnia, nie przed pogrzebem, ale potem, kiedy pozałatwiałyby wszystkie sprawy. Jednak nie mógł się zabić, bo Jennifer od razu wiedziałaby (choć przecież i tak wiedziała, prawda?), że Laurę kochał bardziej. Theo wiedział, że gdyby to nie Laura, lecz Jennifer straciła życie, myśl o samobójstwie nawet nie przyszlaby mu do głowy.

Theo ciągle żył nadzieją, że mężczyzna, który szukał go w kancelarii i który zamiast niego znalazł jego córkę, któregoś dnia do niego wróci. Wyobrażał sobie, jak otwiera drzwi mężczyźnie w żółtym swetrze i jak otwiera szeroko ramiona, by przytulić do siebie zimną stal noża, przytulić śmierć, która połączy go z Laurą. Pochował ją w trumnie, nie poddał jej ciała kremacji. Potrzebował grobu, na który mógł pójść (chodził tam' ciągle), miejsca, w którym Laura byłaby namacalnie blisko, na wyciągnięcie ręki, niecały metr obok. Przeżywał chwile tak wielkiej rozpacz, że miał ochotę ją wykopać, eks-humować jej nieszczęsne, gnijące szczątki, by móc ukołysać ją raz jeszcze w ramionach, uspokoić i zapewnić, że myśli o niej, nawet gdy inni już zapomnieli.

Theo zapłacił za kawę, zostawiając na stoliku napiwek wyższy od samego rachunku. Im gorsza była obsługa, tym wyższy zostawiał napiwek. Uważał to za dowód słabości swego charakteru. W ogóle miał się za osobę zbudowaną bardziej ze słabości niż z siły. Musiał się przedzierać pod prąd rzeki turystów, oczarowanych uniwersyteckimi gmachami - namacalna tkanka historii; tradycje naukowe, architektura, piękno. Kiedy Theo po raz pierwszy przyjechał do Cambridge, jeszcze jako student, uważał, że to najpiękniejsze miejsce pod słońcem. Wychowywał się na przedmieściach Manchesteru, więc Cambridge wydawało mu się architekturą transcendencji. Kiedy pierwszy raz zajrzał na dziedzińce college'ow, zdało mu się, że ma przed oczami rajske wizje. Nie sądził, że coś tak pięknego może istnieć na świecie. Ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat nawet nie rzucił okiem na uniwersyteckie gmachy. Mijał wspaniałe fasady Queens', Corpus Christi, Clare i King's i widział tylko kamień, zaprawę i ewentualnie pył.

„Sprawa zamknięta”, tak to nazwano. Brzmiało po kaliforniu. Unikał tego słowa, unikał tego czynu, ale wiedział, że trudno będzie mu zejść z tego świata, nie wiedząc, kim był człowiek w żółtym swetrze. Zerknął na zegarek. Nie chciał się spóźnić.

Czekając, przeglądał jakiś numer „Readers Digest”. Można by pomyśleć, że w dzisiejszym świecie poczekalnie to jedyne miejsce, gdzie można znaleźć „Readers Digest”. Kobieta w recepcji poinformowała go, że pan Brodie jest teraz „zajęty”, ale jeśli poczeka, to szef przyjmie go za jakieś dziesięć minut.

- Jestem Deborah, asystentka pana Brodiego - dodała. - Może pan do mnie mówić pani Arnold.

Theo nie umiał stwierdzić, czy kobieta chciała być dowcipna czy nie. Przypomniawszy sobie, że w kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton formułka „jest zajęty” była chętnie używanym przez pracowników frazesem. Nieraz słyszał, jak mówili poważnie do telefonu, „pan Holroyd jest teraz zajęty”, dyszkancikiem sekretarki, który doskonale naśladowali, a po odłożeniu słuchawki w pokoju wybuchała salwa śmiechu. Sekretarka pana Brodiego nie robiła jednak wrażenia osoby, której jest do śmiechu i którą może ubawić myśl, że za drzwiami gabinetu szef znajduje się w niedwuznaczonej sytuacji. Swoją agresję wyładowywała na klawiaturze komputerowej, w sposób sugerujący, że (podobnie jak Cheryl, sekretarka Thea) maszynopisania uczyła się na starych maszynach, zbudowanych jak czołg. Czasami widywał Cheryl. Była na emeryturze, ale Theo odwiedzał ją w jej przegrzanym domku i (raczej niechętnie) wypijał herbatę, zagryzając pełnoziarnistymi herbatnikami.

Cheryl była ostatnią osobą, z którą Laura rozmawiała.

„Mam zrobić jeszcze jedną kopię tego formularza?" co za prozaiczne zdanie na koniec życia.

Deborah Arnold przerwała na chwilę próby zniszczenia klawiatury i zaproponowała kawę, za którą Theo podziękował. Zaczynał podejrzewać, że pan Brodie, nie dość, że nie jest zajęty w swoim gabinecie, to w ogóle go tam nie ma.

Skoro cały aparat policyjny nie zdołał złapać człowieka, który zabił Laurę, to niedorzeczna wydawać się może myśl, że zrobi to jakiś prywatny detektyw z kiepskiej dzielnicy. Ale Theo wychodził z założenia, że nawet bardzo nikła nadzieja na złapanie sprawcy jest lepsza od jej braku. Poza tym jeśli uda mu się dostać mordercę, to może sam nie będzie musiał przytulać stalowego ostrza śmierci. I może nie skończy się tak, że to Theo, jak niepoczytalny szaleniec, będzie się włóczył po ulicach z nożem w ręku.

Nagle do biura wszedł jakiś mężczyzna.

- Wreszcie - rzuciła Deborah Arnold, nie podnosząc oczu znad klawiatury.

- Przepraszam - zwrócił się do niego mężczyzna. Theo domyślił się, że to Jackson Brodie. - Musiałem iść do dentysty.

Deborah parsknęła krótko, jakby to proste usprawiedliwienie było nie wiadomo jak śmieszne.

Mężczyzna potrząsnął serdecznie ręką Thea.

- Jackson. Jackson Brodie. Proszę wejść i usiąść. Wprowadził go do gabinetu. Kiedy zamknął drzwi, ich uszu doszedł sarkastyczny głos Deborah:

- Proszę wejść, pan Brodie już przyjmuje.

- Pan wybaczy - powiedział Jackson do Thea. - Ona ma złudzenia. Jej się wydaje, że jest kobietą.

Caroline

To był kościół pod wezwaniem Świętej Anny. Caroline nie miała zielonego pojęcia, kim była święta Anna, nie była wychowywana w duchu religijnym i nigdy nie była w kościele na żadnej mszy ani ceremonii, w każdym razie nie w zwykłym parafialnym kościele, nawet na własnym ślubie z Jonathanem. Pobrali się w urzędzie stanu cywilnego, ponieważ pierwsza żona Jonathana żyła i miała się całkiem dobrze, choć na szczęście w dalekiej Argentynie, gdzie mieszkała z pewnym hodowcą koni. Kościół stał przy bocznej drodze, mały i bardzo stary, z przysadzistą saską wieżą i cmentarzykiem, na którym od lat nikogo nie pochowano i dlatego był mocno, ale bardzo malowniczo zarośnięty polnymi kwiatami i dziką różą. Caroline nie potrafiła rozpoznać żadnego z kwiatów i pomyślała, że może powinna kupić książkę o roślinach, a raczej zamówić przez Internet w Amazonie, bo przecież mieszkali dziesiątki kilometrów od najbliższej księgarni.

Kościółek stał w połowie drogi między ich małą wsią a następną, jeszcze mniejszą. Caroline przypuszczała, że zapewne w jakiejś średniowiecznej przeszłości władze kościelne postanowiły oszczędzać i przydzieliły obu wsiom jed-

nego kapłana. Oczywiście w tamtych czasach nikomu nie przyszło do głowy, by utyskiwać na pokonywanie pieszo dużych odległości. Wiejskie dzieciaki bez słowa skargi szły rano osiem kilometrów do szkółki, a wieczorem drugie tyle z powrotem do domu. Może się nawet skarżyły, jednak nikt nie zarejestrował ich skarg dla potomności. Przecież historia powstaje właśnie tak, prawda? Jeśli nie została zapisana, to jakby się nie wydarzyła. Człowiek może zostawić po sobie kosztowności, gliniane naczynia, misternie rzeźbione grobowce albo tylko kości, które w następnych stuleciach ktoś może wykopie, ale żaden z tych artefaktów nie oddaje tego, co ów człowiek czuł. Martwi leżący pod jej stopami na cmentarzyku przy kościele Świętej Anny byli głusi i niemi. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że James i Hannah pokonują pieszo jakikolwiek dystans; wydawało się, że oboje nie mają już pojęcia, do czego służą nogi.

Caroline wiele razy przejeżdżała obok kościółka, ale dopiero teraz przyszło jej do głowy, że może zajrzeć do środka. Oczywiście знаła tutejszego pastora. Kiedy jeszcze żył. Zmarł w ubiegłym roku, a jego następca dotychczas się nie pojawił. Obowiązki następcy z pewnością będą wykraczać poza obręb dwóch wsi. Dzisiaj w jego gestii (może to będzie kobieta) znajdą się cztery nieobsadzone parafie, a nawet pięć, bo w tych czasach mało kto już chodzi do kościoła, nie chodziła nawet mama Jonathana.

Uczucia religijne nie odgrywały tu żadnej roli, Caroline chciała po prostu schronić się przed deszczem. Wyszła z psami na spacer - kościół znajdował się półtora kilometra od ich domu (właściwie ogromnej posiadłości). Psy, nie bacząc na deszcz, wybiegły na cmentarzyk z nosami przy ziemi i podniesionymi ogonami i krążyły teraz między grobami jak odkurzacze, a ich psie mózdzki pochłonięte były nowym

terytorium i tysiącem nieznanych woni. Caroline czuła natomiast tylko jedną woń - cierpki, melancholijny zapach bujnej zieleni.

Psy zaznaczyły już kilka grobów i Caroline miała cichą nadzieję, że nikt jej tu nie szpieguje. Widzi, nie szpieguje. „Boże, ty masz jakąś paranoję, Caro”, mówił Jonathan, „Tak właśnie kończą mieszczuchy”. Labradory należały do Jonathana. Wniósł je do małżeństwa; dwa psy i dwoje dzieci, Jamesa i Hannah, Meg i Bruce'a. Meg i Bruce to psy. Dzieci i psy słuchały Jonathana, ale wobec Caroline nie chciały być tak posłuszne, choć psy wykazywały tu więcej dobrej woli niż dzieci. Kiedy na dobre się rozpadało, uwiązała psy na ganku przed wejściem do kościółka (szkoda, że nie mogłaby tego zrobić z dziećmi). Zanim poznała Jonathana, nie sądziła, by zdrobnieniem od Caroline mogło być Caro. Imię „Caro” brzmiało bardzo dostojnie, jak ze staromodnych powieści historycznych, które czytała namiętnie, gdy była młodsza. Dużo młodsza. Oczywiście Jonathan wywodził się ze środowiska - z wyższych sfer - w którym ludziom nadawano takie imiona jak właśnie Caroline. Albo Lucy, albo Amanda czy Jemima, więc na pewno miał rację.

Podejrzewała, że musi istnieć jakiś fachowy, kościelny termin na ganek. Jeśli tak, to ona go nie znała. Wiedziała, że jest wiele słów nazywających szkielet kościoła, jego kręgosłup, kości i żebra, że brzmią one jak średniowieczna poezja - absyda, prezbiterium, nawa, transept, emporia, zakrystia, misericordie - ale nie bardzo była pewna ich znaczeń, z wyjątkiem jednego słowa: misericordie, bo było to jedno z tych słów, które zapamiętuje się od razu, gdy wpadnie w ucho.

Misericordie w kościele Świętej Anny były stare, rzeźbione w dębie, ale nie w takim dębie, z jakiego zrobiono główne drzwi kościoła: szarym i wyblakłym, jakby drewno użyte do

ich wyrzeźbienia zostało wyrzucone na brzeg przez morze. Dąb *misericordii* miał kolor soczystego torfu lub mokrych liści herbaty. Jeśli przyjrzeć im się bliżej, to można dostrzec wyrzeźbione na nich niesamowite, pogańskie stworki, bardziej przypominające gobliny niż ludzi, wkomponowane w liście lub gałęzie, tu za akantem, tam za liściem palmowym. To zapewne elf, tyle że takiego stworka można tu było zobaczyć na końcu każdej ławy kościelnej, więc raczej powinna mówić o elfach. Nie miała pojęcia, że w Yorkshire też są elfy, a również tam, gdzie mieszkała wcześniej, kiedyś, w dawnym życiu, które niekiedy z trudem potrafiła sobie przypomnieć. Ale niekiedy pamiętała aż nadto dobrze.

Bardzo jej się podobało słowo *misericordie*, bo wydawało się tak nieszczęsne, a przecież oznaczało coś innego: „łagodne serce”, tłumacząc z łaciny, gdzie *cor* znaczy serce. Z tego łacińskiego słówka pochodzą też inne słowa, kora albo kordialny, ale kardiologiczny już nie - to słowo przyszło bowiem za pośrednictwem łaciny z greki, w której słówko *kardia* znaczy serce (ale na pewno te słowa są powiązane na jakimś poziomie jakiejś starożytnej etymologii). Caroline nie miała w szkole ani łaciny, ani greki, ale po skończeniu szkoły, kiedy miała mnóstwo wolnego czasu, cierpliwie wczytywała się w kanon tekstów klasycznych i podręczniki, tak że przynajmniej udało jej się poznać pochodzenie słów. Umiała podążyć wstecz, wzdłuż ich gałęzi, konarów, pnia, aż do korzeni. Także jej imię zawierało „sercowy” rdzeń *cor*, jeśli przestawić dwie literki. Caro. Cora. Cor. Podobnie ma się rzecz z krukiem, *Corvus corax*, też można przestawić parę literek. Krukiem, który żywi się padliną - martwymi. A tu, jeśli się uklęknie na posadzce, co w tym kościele oznacza, że klęka się na zimnym kamieniu płyty nagrobnej (nieboszczyk powinien być raczej zadowolony z towarzystwa) i spojrzy

„elfowi" prosto w oczy, to można dostrzec w nich odwieczny błysk szaleństwa i...

- Wszystko w porządku?

- Tak, tak - odparła Caroline. - Myślę, że tak.

Mężczyzna podał jej rękę, ponieważ od klęczenia na kamiennej posadzce, na martwych, zeszywniały jej kolana. Ręka mężczyzny była delikatna i, jak na kogoś, kto z całą pewnością jest żywy, raczej zimna.

- Nazywam się John Burton - powiedział mężczyzna (kordialnie).

- Jest pan bardzo młody - odpowiedziała Caroline. - Albo to znak, że się starzeję, skoro pastorzy i policjanci wydają mi się zbyt młodzi.

Pastor (John Burton) zaśmiał się i powiedział:

- Moja matka zawsze mówiła, że jeśli biskupi wydają się zbyt młodzi, to jest już powód do zmartwienia.

Caroline się zastanawiała, jak to jest mieszkać w świecie, w którym matka stroi sobie żarty z biskupów i w którym na ludzi mówi się „Caro".

- Pan będzie nowym pastorem, tak? - zapytała Caroline.

Miał na sobie sutannę (tak się ten strój nazywa?), nietrudno więc było się domyślić. On spojrzał na swoją szatę i uśmiechnął się smętnie:

- Szanowna pani złapała mnie na gorącym uczynku - odparł zawadiacko, tyle że brzmiało to trochę śmiesznie, bo wypowiedział te słowa zmęczonym i dystyngowanym głosem.

Głos Jonathana zachował (a może nabrał) szorstkie brzmienie, ostre jak krawędź wapienia, co sprawiało, że robił wrażenie mężczyzny poukładanego i silnego. „Prawdziwy Heathcliff" powiedziała kiedyś ironicznie jej przyjaciół-

ka Gillian, bo oczywiście był nadziany i wyedukowany za (bardzo) duże pieniądze, a jego matka przemawiała jak królowa.

- Ja też wiem, kim pani jest - oznajmił John Burton, mrużąc oko.

- Naprawdę? - zapytała. I pomyślała: Czy my flirtujemy, chyba nie...

A John Burton, wielbny John Burton, wyjaśnił:

- Oczywiście. Pani jest nauczycielką w naszej szkole podstawowej.

Caroline przemknęło tylko przez głowę: Cholera!, ponieważ zawsze wolała, żeby nikt nie wiedział, kim ona jest. Absolutnie nikt.

Wcale nie miała w planach powtórnego zamążpójścia. W planach miała tyle, by zaszyć się w jakiejś dziurze i zrobić coś dobrego dla innych, jak dziewiętnastowieczni kwakrzy albo szlachetnie urodzona dama z czasów wiktoriańskich porwana w wir filantropii. Myślała nawet, żeby wyjechać za granicę - do Indii albo Afryki - jak prawdziwa misjonarka, żeby wziąć udział w programie nauki czytania i pisania afrykańskich kobiet albo hinduskich pariasów, bo Caroline aż nadto dobrze rozumiała, co znaczy być wyrzutkiem społecznym.

Przyjechała na północ z nadzieją, że znajdzie tu miejsce z charakterem, surowe, uprzemysłowione. Ale wiedziała, że taki obraz uformowały w jej głowie książki, które czytała. Oczywiście nie było tu jak w *Północy i Południu*, czy *Z soboty na niedzielę*, ale było to miejsce z charakterem i było post-industrialne, i było tu o wiele trudniej, niż sobie wyobrażała. Pierwszy rok, który, jak sama sobie założyła, miał być okresem próbnym, spędziła w Liverpoolu. Następne parę lat

mieszkała w Oldham, aż w końcu osiadła w Manchesterze. Była specjalnie przygotowana do pracy z dziećmi z marginesu społecznego. Miała być ich zbawicielką, załatwiając w gehennie najgorszych dzielnic miasta wiele spraw naraz. Jej przeznaczeniem było trafić pewnego dnia do szkoły, którą rozsadza od wewnątrz, a którą ona będzie musiała spróbować ocalić od zagłady, tak jak kapitan próbuje ocalić tonący statek. Godziła się na to, było w tym coś dobrego, bo przecież miała pokutować, a zamiast wstępować do zakonu pokutniczek (ten pomysł długo ją kusił), została nauczycielką, co prawdopodobnie było dla bliźnich zajęciem bardziej pożytecznym niż zamknięcie się przed wszystkimi i modlenie się przez dzień i noc co cztery godziny - choć oczywiście nigdy nie można być pewnym. Być może nikt inny, tylko właśnie zamknięte w klasztorze kobiety, modlące się na okrągło przez całą dobę, są w stanie zapobiec jakiemuś tragicznemu kataklizmowi, upadkowi meteorytu lub nuklearnej jatce?

Jej życie toczyło się według powziętego planu. Mieszkała w niewielkim i skromnym mieszkaniu; jeden pokój, białe ściany, zapachowe świece, wszystko utrzymane w wielkiej prostocie (żyła jak świecki eremita). Kontakt z innymi mieszkańcami domu ograniczała do minimum. Czasem wychodziła do kina z rozwódkami, czasem umawiała się z nimi na lampkę wina - gdzieś, gdzie nie było zbyt hałaśliwie na prowadzenie spokojnej rozmowy. Osnową tych rozmów było najczęściej biadolenie nad brakiem odpowiednich mężczyzn - „Albo żonaty, albo gej!”, jak zawsze. Jeśli już poruszały prywatne sprawy, to Caroline najczęściej mówiła krótko: »Jedno nieudane małżeństwo w zupełności mi wystarczy”, tonem jednoznacznie sugerującym, że nie ma o czym gadać. Twierdziła, że ma „przerwę w związkach”, ale nie przy-

znawała się, jak długo ta przerwa trwa. Minęły dwadzieścia dwa lata, odkąd po raz ostatni była związana z mężczyzną! Rozwódki w średnim wieku doznałyby szoku, gdyby się dowiedziały. Z drugiej strony celibat przecież jak najbardziej przystoi eremitce. Czy może eremitce? Wielebny Burton z pewnością znalazłby odpowiedź na to pytanie. („Proszę mówić mi John, na miłość boską!” śmiał się pastor.) No tak, oczywiście w tym czasie kochała się z kobietami, trudno więc chyba mówić o prawdziwym celibacie.

John Burton to był wesoły gość. Niski i drobnokościsty, z rudawymi, imbirowymi włosami, w niczym nie przypominał Jonathana. Miał w sobie jakąś słodycz, coś w rodzaju szczerzej, naturalnej dobroci, co było bardzo przyjemne. Także on pokutował wcześniej w parafii w złej dzielnicy, ale poczuł się tym doświadczeniem złamany, więc zagrzebano go na wsi jako rekonwalescenta. Jonathan nie był typem człowieka, który miewa załamania. Jonathan miał niewiarygodnie dobre maniere (wyniósł je z domu, od mamy, i z katolickiego Ampleforth College, choć Weaverowie wcale nie byli katolikami), co bardzo ją w nim pociągało, a pod tą skorupą był mocny i niezniszczalny jak skała, co również ją pociągało. („Nieugięty, adamantowy” to określenie doskonale do niego pasuje, z języka greckiego, ale pochodzenie tego słowa jest jakieś niejasne.)

Gillian, przyjaciółka z college'u nauczycielskiego, zaprosiła ją raz w sierpniu na farmę swoich rodziców - na sierpniowy długi weekend. Szybko się zaprzyjaźniły, bo były starsze niż większość studentów. Nie były bliskimi przyjaciółkami -choć Gillian zdawało się, że bliższymi, niż to było naprawdę. Gillian należała do osób kontaktowych i wesołych, niekiedy cynicznych, ale niekłótliwych. Więc po dłuższym i trud-

nym namyśle Caroline zdecydowała się przyjąć zaproszenie. Weekend na wsi, mówiła sobie, cóż w tym złego? Prawda?

I było cudownie, naprawdę cudownie. Rodzice Gillian okazali się bardzo sympatyczni, jej mama nieustannie podsuwała coś do jedzenia, a one nie odmawiały. Mama Gillian powtarzała, że to wspaniale, że są takimi niezależnymi „dziewczynami”, mają swój zawód, swoją karierę, swój kredyt hipoteczny i własne wybory w życiu, ale tak naprawdę chciała przez to powiedzieć, że Gillian - ich jedyne dziecko - dawno już skończyła trzydziestkę, a wnuka jak nie ma, tak nie ma. Kiedy więc?

Pokój gościnny był schludny i bardzo wygodny. Tak dobrze Caroline nie spała od lat, może dlatego, że panował tu błogi spokój. Do jej uszu docierało jedynie beczenie owiec, pianie koguta, nie kończący się od świtu do zmierzchu śpiew ptactwa i ewentualnie, całkowicie do przyjęcia, odległy terkot traktora. Wokół unosiła się tak słodka woń, że Caroline zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatni raz było jej dane wdychać tak czyste i świeże powietrze. Z okna sypialni otwierał się widok na rozpościerające się aż po horyzont zielone doliny splecione szarymi kamiennymi murkami, końca których nie było widać. Pomyślała, że to najpiękniejszy widok, jaki widziała w życiu (choć zwykle widywała paskudne widoki), i zakochała się w tym krajobrazie, zanim jeszcze zakochała się w Jonathanie, który w pewnym sensie był przedłużeniem i ucieleśnieniem życia na wsi.

Było gorąco, o wiele goręcej, niż mogła się spodziewać po Yorkshire. Choć skąd mogła wiedzieć, czego się spodziewać po Yorkshire, skoro nigdy tu nie była. („Co? Nigdy nie byłaś w krainie Boga?”, śmiał się ironicznie Jonathan. „W ogóle prawie nigdzie nie byłam”, odpowiedziała, bardzo szczerze.)

W sobotę po południu Gillian zabrała Caroline na jar-

mark rolny, bardzo mały, organizowany tylko dla mieszkańców doliny. „To nie to samo co «Targi Yorkshire», ani nic w tym rodzaju, to raczej, wiesz, wiejski festyn”, tłumaczyła Gillian. Jarmark odbywał się w szczerym polu, parę kilometrów dalej, na peryferiach sąsiedniej wsi, która „bardzo się spodoba Caroline”, bo „jest mozaiką niezwyklej pocztówkowych widoków”, a Caroline tylko się uśmiechała i nic nie mówiła, bo, owszem, było tam pięknie. Całe Yorkshire jest piękne (Yorkshire to bardziej stan ducha niż miejsce na ziemi), ale to jednak tylko wieś. Gillian miała oczywiście rację, ta wieś była platońską ideą wsi - kamienny, jednoprzęsłowy most łukowy, potok upstrzony na brzegach żółtymi kosaćcami, wijący się jak wstęga między domkami z szarego kamienia, i jeszcze stara, czerwona budka telefoniczna, mała skrzynka pocztowa na ścianie starego domu, a cała wioska zielona z białawymi plamami puszystych, pasących się wolno owiec. („To owce rasy Yorkshire”, tłumaczył Jonathan, „są większe”, ale kiedy miesiąc później w mieście podzieliła się tą rewelacją z kolegą ze szkoły, ten niemal położył się ze śmiechu, a Caroline poczuła się jak ostatnia idiotka. Wtedy jednak nosiła już na palcu zaręczynowy pierścionek z rubinem i diamentem, który kiedyś należał do babki Jonathana po mieczu. Dopiero później się dowiedziała od matki Jonathana, Roweny, że ona go nie przyjęła i domagała się od ojca Jonathana, Garrarda, nowych diamentów, bo, jak mówiła, „Nie ma zamiaru nosić używanych rzeczy”.)

Nie trzeba dodawać, że Caroline nigdy w życiu nie była na żadnym jarmarku ani targu rolnym i urzekło ją wszystko. Tak, dlatego właśnie to się stało - była urzeczona, zauroczona, oczarowana wyczesanymi owcami, wypielęgnowanymi krowami, czystymi i pokwikującymi wesoło świniami, letnimi namiotami, w których wystawiono nagradzane na

konkursach powidła, biszkopty owocowe, szydełkowe szale i ciepłe kaftaniki robione na drutach; urzekły ją też wystawy cukinii, ziemniaków, porów i róż i indyjska herbata podawana w ciepłym namiocie pachnącym trawą, pastora - zwalisty mężczyzna o czerwonej cerze starego pijaczyny - który dokonał uroczystego otwarcia jarmarku, tryskał humorem i sypał dowcipami jak z rękawa (nie dorównywał jednak swemu następcy, Johnowi Burtonowi). Była też furgonetka z lodami wygrywająca różne melodyjki, były zawody hippiczne dla dzieci i cudowna, wiekowa, kolorowa, mała karuzela. To wszystko było nierzeczywiste. Śmieszne. Caroline się wydawało, że lada moment na stacji zatrzyma się ciuchcia parowa i wyskoczy z niej hałastra z filmu *Heartbeat*. Ale zamiast tego na peronie pojawił się Jonathan Weaver. Nie wyskoczył z pociągu na peron, lecz szedł sprężystym krokiem.

- Ma takie uda, bo uprawiał konne skoki z przeszkodami - szeptała Gillian. - Amatorsko, ale mówią, że mógłby wysoko zejść.

Och, jeszcze trochę i poczuje się jak bohaterka powieści Jilly Cooper.

- Arystokracja bez tytułów - powiedziała Gillian. - Wiesz, stara chłopska rodzina, na wsi z dziada pradziada, tyle że dyletanci, nie prawdziwi rolnicy - dodała gorzko.

- Dlaczego?

- Bo dochody czerpią z innych źródeł, wielu źródeł, mają dzierżawy w Londynie, grunty, no i wiesz, lichwa, sprzedaż niewolników, ludzie zarabiają, gdzie się da... W gospodarstwo tylko się bawią. Pokazowe stada krów Red Devon, owce, które wyglądają tak, jakby wypasała je sama Maria Antonina, a nie zapominajmy, że to region chowu owiec, gdzie owca, to tylko owca. Budynki na ich farmie są zmodernizowane i mają centralne ogrzewanie. Odbudowują też starą kuchnię

ogrodową, oczywiście za publiczne pieniądze, z funduszy ochrony zabytków. Nic dodać, nic ująć.

Caroline nie pojmowała tej diatryby w ustach córki farmera, więc przytaknęła tylko:

- Aha...

Gillian roześmiała się raptem.

- Ale, Chryste, któregoś dnia ostro go wydymam!

Pamięta, że stała przed wystawą „najlepszych dżemów truskawkowych”. Słoiki były przykryte kraciastym płótnem i obwiązane słomianą plecionką, jakby rodem z ilustracji w *Ziemiańskich zapiskach pani domu za króla Edwarda*, i miały też kolorowe rozetki i doczepione do nich etykiety z rekomendacją. Caroline myślała właśnie, że powinna spróbować nagrodzonego dżemu, a nie tylko na niego patrzeć, kiedy nagle u jej boku pojawił się on. Przedstawił się, a ona doznała chyba jakiegoś zamroczenia, bo do dziś ma czarną lukę w pamięci. Następne, co pamięta, to to, że siedzi na tylnym siedzeniu jego rangę rovera i jedzie do jego domu. Powiedział coś kurtuazyjnie o zaproszeniu na „filizankę herbaty”, ale to musiało być pożądanie, czysta chęć, i cholernie długa wstrzeźliwość. Odjechała, zostawiając Gillian, wściekłą jak diabli (i słusznie), że na oczach ludzi odchodzi z mężczyzną, którego ledwie poznała.

Jechali długą drogą, która wiodła przez tereny parkowe, i już po pięciu minutach zorientowała się, że ta droga i ten park, i wszystko należy do niego. Boże kochany, był właścicielem krajobrazu. Choć pożądanie zaprowadziło ją naprawdę daleko, to była pewna, że zaproszenie na herbatę nie będzie oznaczało nic więcej ponad herbatę w wytwornym salonie, przeciętym smugami światła, na którego ścianach wiszą obrazy przedstawiające psy i konie, że będą w tym

salonie stały duże sofy obite blado-cytrynowym jedwabnym adamaszkiem i że będzie tam stał prawdziwy fortepian, a na nim rodzinne fotografie oprawione w ciężkie srebrne ramki (to wyobrażenie pozostało w niej ze szkolnych wycieczek do historycznych posiadłości ziemskich). Widziała siebie, jak siedzi na skraju jednej z cytrynowych adamaszkowych sof, trochę nerwowo, a obok, przy wytwornej tacy do podawania herbaty - ach, cudowna, stara porcelana - siedzi matka Jonathana i zadaje jej uprzejme pytania na temat „fascynującego” życia w mieście.

W rzeczywistości matka Jonathana została na jarmarku, z wdziękiem przyznając rozetki członkom klubu jeździeckiego, a Jonathan i Caroline nie dotarli nawet do salonu (który później okazał się zupełnie niepodobny do tego, który Caroline sobie wyobrażała), ponieważ od razu przeszli na tyły domu, gdzie Jonathan wprowadził ją do czegoś, co kiedyś było pomywalnią, i jeszcze nie weszli do środka, kiedy zaczął zsuwać z niej majtki, a potem położył ją na drewnianym stole, na który kiedyś odstawiano zmyte naczynia, i wszedł w nią z siłą mocarza, nie czekając na nic, a ona uchwyciła się (jakże poręcznych) kranów przy dużym, kwadratowym zlewie, „Słodki Jezu, to się nazywa pieprzenie!” a teraz, proszę, jeździ najnowszym modelem land rovera discovery, kupuje ciuchy w szykownym sklepie Country Casuals w Harrogate i siada naprzeciwko niego przy stole (mahoniowym, chippendale) z dwójką jego dzieciaków. Czy ktoś mógłby jej powiedzieć, do ciężkiej cholery, jak do tego doszło?

- Cóż - odezwał się John Burton. - Na mnie już czas.

Siedzieli w ławie kościelnej, ramię przy ramieniu, blisko, ale nie odzywając się do siebie słowem. Taki właśnie jest kościół, można tu siedzieć godzinami bez słowa i nikt nie

pyta dlaczego. Deszcz prawie już przestał padać, choć przez otwarte drzwi wciąż wyczuwało się jego zapach - woń lata i zieleni.

- Przestaje padać - powiedział.

- Tak, chyba tak - przytaknęła Caroline.

Wstał i odprowadził ją do wyjścia. Psy drzemały na ganku, ale na widok Caroline zerwały się i dały pokaz prawdziwej psiej radości, choć wiedziała, że im na niej nie zależy.

- To... do widzenia - pożegnał się John Burton i jeszcze raz uścisnął jej rękę.

Poczuła w sercu lekkie kołatanie, jakby budziło się w niej coś, co od dawna drzemało. Wsiadł na rower i odjechał. Odwrócił się jeszcze nieporadnie, żeby pomachać jej ręką, i zachwiał się śmiesznie. Stała i patrzyła, jak się oddala, nie zwracając uwagi na podskakujące psy. Zakochała się. Ot tak, po prostu. Co za wariactwo, czyste wariactwo.

Jackson

Ostatnia droga Victora wyniosła minimalizm na nowy poziom surowości i prostoty. Na ceremonii obecni byli bowiem tylko Jackson, Julia i Amelia - chyba że liczyć jeszcze Victora, bezgłośnie rozkładającego się w taniej, fornirowanej dębem trumnie, której (co było uderzająco smutne) nie ozdabiał żaden wieniec ani bukiet kwiatów. Tymczasem Jackson spodziewał się pewnego zainteresowania. Wyobrażał sobie, że ceremonia odbędzie się w kaplicy St Johns, dawnego college'u zmarłego, że koledzy wygłoszą na jego cześć przemówienie podczas nudnego anglikańsko-eklezyjnego nabożeństwa, przerywanego hymnami żałobnymi, śpiewanymi przez fałszujący chórek przy akompaniamencie organów.

Amelia i Julia siedziały w pierwszej ławie kaplicy krematoryjnej. Jackson odmówił, gdy poprosiły go, by usiadł między nimi, na miejscu nie istniejącego syna Victora. Pochylił się do przodu.

- Dlaczego nikt nie przyszedł?

Formalnie Jackson był tu służbowo; chciał zobaczyć, kto się pokaże na pogrzebie Victora. Ostatecznie doszedł do wniosku, że „nikt” jest równie interesujące jak „ktoś”.

- Nikt nie przyszedł, bo nikogo nie powiadomiłyśmy
-wyjaśniła Amelia takim tonem, jakby było to najrozsądniejsze
wytłumaczenie w świecie.

Amelia nie przyszła na pogrzeb ojca ubrana na czarno. Nie włożyła nic, co wskazywałoby na żałobę. Przeciwnie, miała na sobie obcisłe, prążkowane, szkarłatne wełniane rajstopy, które przyciągały spojrzenia. Jackson zastanawiał się, czy nie ma w tym ukrytej symboliki - być może jakiś zapomniany zwyczaj wyniesiony z uniwersyteckich tradycji Cambridge, nakazujący intelektualistkom ubrać na pogrzeb rodzica nie czarne, lecz czerwone rajstopy. Wydawało się zresztą, że zapomniane zwyczaje Cambridge rządziły tu większością spraw (przepraszam, zwyczaje Oksfordu). Po co nosić wełniane rajstopy w środku upalnego lata? W kaplicy krematoryjnej panował co prawda chłód, dzięki klimatyzacji, jednak na zewnątrz żar lał się z nieba. Julia nie była lepsza. Także zignorowała żałobę i od stóp do głów opatulila się w długi po kostki aksamitny płaszcz w kolorze soczystej zieleni (czy one są zimnokrwiste jak gady?). Jej rozszalałe włosy wyglądały, jakby fryzowała je sfora cyrkowych piesków. Jackson, w czarnym garniturze i stonowanym, ciemnym krawacie, zdawał się być jedyną osobą stosownie ubraną i pogrążoną w żałobie po Victorze.

Wyzywające nogi Amelii przypominały mu nogi ptaka, którego widział ostatnio w „National Géographie”, który przeglądał w poczekalni u dentysty.

Julia odwróciła się do Jacksona.

- Zawsze przy tego rodzaju okazjach - powiedziała - no, może nie akurat takich - skinęła bezceremonialnie w kierunku trumny - ale, wie pan, przy okazji rodzinnych spotkań, świąt Bożego Narodzenia, urodzin, myślę sobie, że zaraz pojawi się Olivia.

- To śmieszne - sarknęła Amelia.

- Wiem.

Obie zamilkły i pogrążyły się w smutku, ale po chwili Julia znowu się odwróciła.

- Bardzo panu do twarzy w garniturze, panie Brodie - powiedziała z uwodzicielskim uśmiechem.

Amelia obrzuciła Julię karcącym spojrzeniem. Oczy Julii były wilgotne od łez, a jej głos lekko się załamywał, choć utrzymywała, że to z powodu kataru siennego, a nie żalu po stracie ojca: „Tak mówię, żeby pan sobie źle nie pomyślał”. Julia zaproponowała Jacksonowi przeciwalergiczne krople do nosa w aerozolu, ale Jackson grzecznie podziękował. Nigdy w życiu nie był na nic uczulony (no, najwyżej na ludzi) i uważał siebie za człowieka krzepkiego, mocnej, północnej konstytucji. Widział ostatnio film dokumentalny na kanale Discovery, w którym dowodzono, że ludzie północy zachowali po wikingach dobre, wytrzymałe DNA, tymczasem ci z południa mają w genach coś innego, coś miękkiego, anglosaskiego lub francuskiego.

- Tu są takie ponure dekoracje... - szepnęła dość głośno Julia.

Amelia fuknęła zniecierpliwiona, że to nie teatr i że Julia wszystkich denerwuje.

- Co takiego? - oburzyła się Julia. - Chyba tatuś nie wyskoczy z trumny i nie pogrozi mi palcem, hm?

Na myśl o tym przez twarz Amelii przebiegł gwałtowny skurcz przerażenia. Na szczęście wizja zmartwychwstającego z trumny Victora zamknęła im usta, nawet jeśli miało to trwać tylko chwilę. Najnudniejsze anglikańskie nabożeństwo jest lepsze od nieustannego świergotania siostr Land.

W drodze na pogrzeb Jackson zatrzymał się w dawnej siedzibie kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton, gdzie obecnie mieścił się salon piękności o nazwie „Świat Rozkoszy - terapia pięknem". Terapeuci, tak siebie określali. Jacksonowi bardziej się to kojarzyło z psychiatrią niż z manicurem i maseczką na twarzy. Uzdrawiać ludzi za pomocą piękna? Niby jak? Muzyką? Poezją? Pejzażami? Seksem? A on, Jackson, po co sięga, gdy potrzebuje uzdrowienia? Po piosenkę Emmylou Harris *Front Boulder to Birmingham*. Po twarz córki. Trochę to staromodne, ale prawdziwe.

W domu Thea był pewien pokój. Theo zaprosił do siebie Jacksona specjalnie po to, żeby mu go pokazać. Jackson nie potrafiłby mieszkać w domu, w którym znajdowałyby się takie pomieszczenie. Sypialnia na piętrze. Przypominała bardziej pokój śledczych na posterunku policji niż sypialnię - na ścianach przybite pinezkami mapy i fotografie, wykresy, białe ścieralne tablice, harmonogramy działań. Dwie metalowe szafki z szufladami na akta, wypełnione po brzegi, a jeszcze więcej akt w pudłach na podłodze. Swoje miejsce znalazło w tym pokoju wszystko, co w jakikolwiek sposób mogłoby się wiązać ze śmiercią Laury. Co więcej, wielu ze zgromadzonych tu rzeczy i przedmiotów Theo nie miał prawa posiadać, na przykład fotografii z miejsca zbrodni, które nie wisiały co prawda na ścianie (Jackson dziękował mu w duchu za tę odrobinę litości), lecz które wy dobył z jednej z przepastnych szuflad - potworne zdjęcia zwłok córki, które Theo traktował z chłodnym profesjonalizmem, jakby były to fotki z wakacji mogące Jacksona zainteresować. Jackson wiedział, że czas zrobił swoje, zahartował Thea i uodpornił na każdą *potworność*, ale mimo wszystko był wstrząśnięty.

- Mam trochę kontaktów - wytłumaczył Theo, nie wdając się w szczegóły.

Był prawnikiem, a prawnicy mają kontakty. Jackson wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Ostatnie dziesięć lat życia Theo poświęcił wyłącznie wyjaśnianiu okoliczności śmierci córki. Powinien był tak postąpić czy też było to czyste szaleństwo? Pokój wyglądał tak, jakby urządził go psychopata, nie taki psychopata, z jakimi Jacksonowi zdarzyło się zetknąć, ale taki z powieści kryminalnych albo programów telewizyjnych. Jackson uważał, że w telewizji powinni robić więcej programów dokumentalnych na temat przestępstw popełnianych przez czternastolatków, którzy nawąchali się kleju, byli pijani albo po prostu znudzeni. Takie programy byłyby o wiele bardziej realistyczne, ale za to o wiele mniej interesujące.

Jackson patrzył na trumnę Victora i zaczął myśleć o pogrzebie Laury Wyre. Jeśli wierzyć gazetom, uczestniczyły w nim setki osób. Theo nie bardzo to pamiętał, choć zebrał bodaj wszystkie wycinki prasowe z tamtego dnia. Kiedy Jackson zapytał go o pogrzeb córki, oczy zaczęły mu biegać z lewa na prawo, jakby jego umysł odłączył się raptem od pamięci. Każdy człowiek, który traci najbliższą osobę, przechodzi przez kilka etapów - szok, negacja, poczucie winy, złość, depresja, wreszcie zgoda, chwila, kiedy człowiek ma szansę wyjść z drugiego końca ciemnego tunelu i zacząć znowu normalnie żyć. Jackson przeszedł terapię po stracie bliskiej osoby. Jego szkoła opłaciła kogoś z Ośrodka Pomocy Psychiatrycznej dla Młodzieży w Zachodnim Yorkshire, nazwa dość nadęta jak na reprezentującego ją zgarbionego, niskiego psychologa o rzywawych włosach, którego oddech zalatywał surową cebulą i który rozmawiał z Jacksonem w malutkim prowizorycznym magazynie, pełniącym też w szkole funkcję gabinetu lekarskiego. Rudowłosy brodacz tłumaczył Jacksonowi, że musi nauczyć się żyć dalej, ale Jackson miał

dwanaście lat i nie bardzo wiedział, jak dotychczas żył, by móc tak samo żyć dalej, ani w jakim kierunku ma się jego życie toczyć.

Jackson mógł się tylko domyślać, ile razy ludzie radzili Theowi, by zapomniał o wszystkim i nauczył się żyć dalej. Ale Theo Wyre ugrzązł na początku pierwszego etapu żałoby, w miejscu, które zbudował tylko dla siebie i w którym, jak mu się zdawało, mógł odzyskać córkę, jeśli będzie się starał. To nie było realne. Jackson wiedział, że zmarli nigdy nie wracają do życia. Nigdy.

Jasnożółty sweter golfisty. To trop. Trop, który powinien zaprowadzić do zabójcy. Żaden z klientów Wyrea nie grał w golfa (golf był „królewską dyscypliną” czy tenis?). Obojętność wobec tej dyscypliny sportu wśród jego klienteli brała się stąd, że zdecydowaną jej większość stanowiły kobiety. Sprawy, które prowadził, dotyczyły niemal wyłącznie kwestii małżeńskich i rodzinnych. (Dlaczego więc w dniu, kiedy zginęła Laura, pojechał do Peterborough w sprawie sporu o granicę między gruntami?) Niezwykle przygnębiającym zajęciem było przeglądanie spraw prowadzonych przez Thea, przedstawiających nie kończący się pochód kobiet bitych, maltretowanych, poniżanych i pokonanych, nie wspominając już o tych, które po prostu nie były w małżeństwie szczęśliwe, bo nie mogły już znieść widoku capa, za którego zdarzyło im się wyjść za mąż. Była to swego rodzaju bezcenna lekcja (której tematem bywał także Jackson), ponieważ Theo okazał się znakomity w wytrawnym gromadzeniu pozornie banalnych szczegółów historii upadku, całej litanii drobnych uchybień i ledwie widocznych szczelin, do których ktoś z zewnątrz nie przywiązywałby wagi, ale które od środka wyglądają jak przepaście nie do pokonania: „Kupuje mi goździki, pan sobie wyobrazi, goździki to gówno, każda kobieta wie,

że to gówno, ale on oczywiście nie wie!" „Nigdy nie pomyśli o tym, żeby spłukać muszlę klozetową płynem dezynfekującym, choć podstawiam mu butelkę tak, że mógłby się o nią potknąć, i proszę o to, setki razy proszę". „Jeśli już prasuje, to patrzy na mnie, tak jakby mówił: popatrz, jak trzymam żelazko, umiem bardzo dobrze prasować, lepiej od ciebie, jestem najlepszy, robię to dokładnie tak, jak trzeba". „Owszem, przyniesie mi śniadanie do łóżka, jeśli go o to poproszę, ale ja nie chcę go o to prosić!" Czy faceci wiedzą, jak bardzo potrafią wkurzyć kobiety? Theo Wyre wiedział na pewno.

Jackson taki nie był. Zawsze był dobry. Nie zostawiał po sobie podniesionej deski sedesowej i tak dalej, i tak dalej, ale w domu przegrywał z kobietami liczebnie: dwie na jednego. Wyrastanie na mężczyznę zabiera chłopcom trochę czasu, a dziewczęta stają się kobietami jak na zawołanie. Jackson miał nadzieję na jeszcze jedno dziecko, nie miałby nic przeciwko drugiej córce, szczerze mówiąc, nie miałby nic przeciwko pięciu lub sześciu córkom. Chłopców znał nadto dobrze, a dziewczęta były nadzwyczajne. Jednak Josie nie wyrażała zainteresowania rodzeniem kolejnych dzieci, a kiedy przy jakiejś okazji Jackson poruszył tę kwestię, spojrzała na niego spode łba i powiedziała, że jeśli chce mieć jeszcze dzieci, „to niech sobie ma".

Czy ktoś, kto nie interesuje się golfem, może chodzić w swetrze golfisty? Jeśli tak, to co czyniło taki sweter „golfowym", skoro niewiele się różnił od zwykłego swetra? Jackson przeglądał policyjne fotografie, aż w końcu znalazł zdjęcie kogoś w żółtym swetrze, co do którego świadkowie się zgadzali, że „bardzo podobny" sweter miał na sobie morderca Laury Wyre. Świadkowie mogli pleść bzdury. Jackson przysunął fotografię do oczu i przyjrzał się logo wyszytemu na

swetrze, emblematowi jakiegoś klubu golfowego. Czy ktoś chodziłby w takim swetrze, gdyby nie był golfistą? Owszem, można taki sweter kupić w sklepie z używaną odzieżą i cieszyć się z zakupu, bo to materiał dobrej jakości (60% owczej wełny i 40% kaszmiru), a w komisie każdego na taki sweter stać.

Żółty kolor ostrzega przed niebezpieczeństwem. Żółte są małe, jadowite żaby. Włosy bezdomnej dziewczyny na St Andrews Street dziś rano też miały kolor jadowitej żaby. Jackson niemal przewrócił się o nią, idąc do „Świata Rozkoszy”. Był z nią pies, mieszaniec charta i owczarka.

- Może mi pan pomóc? - zapytała go bezdomna dziewczyna
Jackson przykucnął, żeby nad nią nie górować.

- W czym miałbym ci pomóc? - zapytał.

Ona spojrzała gdzieś daleko nieobecny wzrokiem.

- Nie wiem.

Miała zaniedbaną, zniszczoną skórę, wyglądała na ćpun-kę, zupełnego wykolejeńca. Był spóźniony, więc zostawił dziewczynę o żółtych włosach, ale odchodząc, pomyślał, że jak będzie wracał, to zapyta ją, jak się nazywa.

Może to któryś z małżonków tych niezadowolonych kobiet, których aktaapełniały szuflady Thea? Czy któryś z nich grał w golfa? Policja dokładnie sprawdziła każdego z nich i znalazła dwóch zapalonych golfistów, obaj mieli żelazne alibi. Śledczy przejrzeni na wylot wszystkich „byłych” pod kątem resentymentów, żalów i uraz, jakie pozostają po rozwodach, romansach, sporach o opiekę nad dzieckiem, o alimenty czy utrzymywanie dzieci. Nie byli w stanie wytypować ani jednego podejrzanego. Każdego przesłuchali, każdy musiał przedstawić alibi. Od każdego pobrali nawet próbki DNA i odciski palców, chociaż na miejscu zbrodni nie odnalezio-

no ani odcisków, ani śladów DNA, bo zabójca niczego nie dotknął, nie otworzył nawet drzwi do biura - drzwi były niedomknięte i, jak zeznała recepcjonistka (Moira Tyler), mężczyzna otworzył je łokciem. Nic więcej nie było mu trzeba, szybki marsz do sali konferencyjnej w końcu korytarza, ciach, ciach i odwrót. Bez awantur, bez krzyków, bez imion, bez upustu wściekłości. Zachowywał się raczej jak zawodowy zabójca niż zbrodniarz działający w afekcie. *Crime passionel. Zabrał ze sobą nóż, którego nikt nigdy nie znalazł.*

Jackson wnikliwie przyjrzał się „byłym”, wobec których sąd orzekł zakaz kontaktowania się z byłymi żonami. *Nada. Rien.* Przesłuchano wszystkich i wszyscy przedstawili alibi nie do obalenia. Jeśli natomiast chodzi o podejrzenie, że zabójca pochodził z kręgu osobistych znajomych Thea, to... Cóż, Theo nie miał osobistego życia poza córkami, poza Laurą. Właściwie ani razu nie wspomniał o drugiej córce, Jennifer. (Dlaczego?)

Julia zdawała się drzemać. Amelia, rozparta na krześle, wpatrywała się ponuro w dywan. Zachowywała się okropnie. Jackson się spodziewał, że ktoś powie kilka słów na temat zmarłego, że nie wiadomo skąd pojawi się pastor i zanim wyśle Victora w nieznane, wypowie kilka zwyczajowych zdań. Był więc zdumiony, gdy raptem trumna z Victorem, bez najmniejszej zapowiedzi, drgnęła, zaczęła się powoli oddalać, aż wreszcie zniknęła za kotarą. Tyle było w tym ceremonii, ile przy odbiorze bagażu na taśmie w hali przylotów lotniska.

-To wszystko? - zapytał Julię zdziwiony Jackson.

- A czego się pan spodziewał? - odpowiedziała Amelia, wstając i wychodząc z kaplicy powolnym krokiem, w swych kardynalskich rajstopach.

Julia ujęła Jacksona pod ramię, przyciągnęła go lekko do siebie i wyszli z kaplicy razem, niczym nowożeńcy.

- Wszystko odbyło się zgodnie z przepisami - powiedziała ożywionym głosem. - Sprawdziłyśmy.

Było gorąco, pogoda absolutnie nie na pogrzeb, a Julia, która natychmiast po wyjściu z kaplicy zaczęła kichać, zachichotała i powiedziała wesoło:

- Gorąco, ale nie tak jak tacie.

Jackson założył okulary przeciwsłoneczne, a Julia powiedziała:

- O la la! Jak serio pan wygląda, panie B. Jak tajny agent.

Amelia wydała zniecierpliwiony dźwięk, przypominający chrupnięcie świni. Stała na chodniku i czekała na nich demonstracyjnie.

- To naprawdę wszystko? - zapytał jeszcze raz Jackson, zręcznie wyzwalając się z uchwytu Julii.

- Oczywiście, że nie - odparła Amelia. - Teraz zapraszamy pana na herbatę i ciasto.

- Gdyby był pan psem, to jakiej rasy? Jak pan myśli? - Julia wpakowała sobie do ust duży kawałek ciasta.

- Nie mam pojęcia. - Jackson wzruszył ramionami. - Może labradorem.

- Nie! - krzyknęły równocześnie z niedowierzaniem w głosie, jakby był nienormalny, że pomyślał właśnie o tej rasie.

- W żadnym razie nie pasuje pan do labradora, panie Jacksonie! - oznajmiła Julia. - Labradory są takie prozaiczne.

- Czekoladowe labradory nie są takie złe - uściśliła Amelia. - To żółte są takie... marudne.

- Czekoladowe... - Julia roześmiała się głośno. - Zawsze mi się wydaje, że można je spałaszować.

- Ja myślę, że pan Brodie byłby pointerem - orzekła Amelia zdecydowanym tonem.

- Doprawdy? - zapytała Julia. - Ojejku! Nigdy bym nie pomyślała.

Jackson nie sądził, że w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze może mówić „Ojejku!” Siostry Land były bardzo głośne. Tak głośne, że wprawiały go w zakłopotanie. Wolałby, żeby zachowywały się trochę powściągliwiej. Choć, owszem, ludzie w Cambridge są stuknięci, to tutejsza choroba zakaźna, zatem niczym szczególnym się nie wyróżniały. Spaliłby się ze wstydu, gdyby przyszło mu siedzieć z nimi w kawiarni w jakimś miasteczku na północy, gdzie od zarania dziejów nikt nigdy nie powiedział czegoś takiego jak „Ojejku!” Obie wydają się dzisiaj wyjątkowo wesołe i kokieteryjne, obie w nastroju, który raczej mało oddaje stan duszy po skremowaniu zmarłego ojca.

Julia zamówiła drugą filiżankę herbaty. Było za gorąco na herbatę. Jacksonowi marzył się kufel lodowatego piwa. Na białej filiżance Julii pojawił się czerwony ślad szminki. Jacksonowi przypomniała się nagle jego siostra. Malowała usta mniej jaskrawo, pastelowy róż, i na każdym kubku, na każdej filiżance, z której piła, pozostawiała ten upiorny ślad po szmince. Myśl o Niamh zaciążyła mu na sercu, wcale nie w przenośni, ale dosłownie. Poczul ten ciężar fizycznie.

- Nie sądzę - odezwała się po dłuższej chwili Julia, zastanowiwszy się nad kwestią psa. (Czy one kiedykolwiek się zgadzają?) - Nie, na pewno nie pointer, a już na pewno nie angielski, powiedzmy może, że wyżeł duński, stary wyżeł duński, owo „stary” to tylko nazwa, panie Brodie, niech pan nie myśli, że wytykam panu wiek. Lub może du-

ży francuski, „duży”, to także nazwa, panie Brodie. Ale wiesz, Milly, ja myślę, że pan Brodie to owczarek niemiecki. Można w ciemno powiedzieć, że dzielnie wyciągnąłby cię z płonącego budynku lub wezbranej rzeki. On by cię uratował! - Odwróciła się do Jacksona i posłała mu wspaniałą, teatralny uśmiech. - Czyż nie?

- Czy tak?

Amelia wstała z krzesła i oświadczyła donośnym głosem:

- Wszystko pięknie ładnie, ale nie możemy spędzić całego dnia na zabawie.

Julia także wstała.

- Co racja, to racja. Chodźmy, Milly, raz-dwa, muszę zrobić zakupy - i dodała: - Jako tajny klient.

- Nie znoszę tych twoich tajnych zakupów - jęknęła Amelia.

Jackson wyciągnął portfel, by zapłacić rachunek. Trzymał w nim zdjęcie Olivii i za każdym razem, kiedy go otwierał, by wydobyć jedną ze swych ledwie zipiących kart kredytowych, widział jej buzię uśmiechającą się do niego szeroko. Oczywiście nie do niego, ale do tego, kto robił zdjęcie.

- To mama - wyjaśniła Julia. - Tato nigdy nie robił fotografii.

Cała trójka patrzyła teraz smutno na zdjęcie.

- Zostałyśmy tylko my, Julia i ja - powiedziała Amelia. - Jedyne dwie osoby na całym świecie, które jeszcze pamiętają Olivię. Nie możemy iść do grobu, nie wiedząc, co się z nią stało.

- Dlaczego teraz, po tylu latach? - zapytał Jackson.

- Wcale nie po tylu latach - odparła Amelia trochę urażona. - Nigdy nie zapomnialiśmy o Olivii. To przez to, że znalazłyśmy Niebieską Myszkę. Zresztą nie wiem, może to ona nas znalazła.

- Wszystkie trzy pamiętamy Olivię - poprawiła siostrę Julia. - Nie zapominajmy o Sylvii.

- Sylvia?

- To nasza najstarsza siostra - rzuciła Amelia obojętnym tonem.

Jackson czekał. Pozwolił, by długie milczenie jeszcze raz postawiło to pytanie. Wreszcie odpowiedziała Julia.

- Jest zakonnicą.

- Kiedy szanowne panie miały zamiar mnie o niej poinformować? - zapytał, starając się powstrzymać narastającą złość.

- Właśnie mówimy - oświadczyła niczym nie zrażona Julia, jakby była ucieleśnieniem rozsądku. - Niech pan nie będzie takim zrzędą, panie Brodie, jest pan o wiele sympatyczniejszą osobą, niż usiłuje pan to okazać.

- Nie, nie jestem. -Ależ tak!

(Boże, niech już sobie pójdą.) Nagle, ku zaskoczeniu Jacksona, Julia wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, że przyszedł pan na pogrzeb, i w ogóle za wszystko.

Jackson zaczynał się martwić, że się spóźni. W drodze na parking musiał się przedzierać przez stada zagranicznych studentów, zupełnie niepomnych na to, że poza dorastającymi nastolatkami na planecie żyją też inni ludzie. Cambridge latem, zalane mieszaniną turystów i nastolatków z zagranicy, zesłanych na ziemię, by śmiecić - tak Jackson wyobrażał sobie piekło! Wydawało się, że wśród tych uczących się angielskiego studentów nie było ani jednego, który nie byłby ubrany w stylu wojskowym, w khaki i panterki, jakby się toczyła wojna, a oni byli żołnierzami. (Boże, uchron nas przed taką

armią.) Do tego jeszcze rowery. Dlaczego ludziom się wydaje, że rower to dobra rzecz? Dlaczego rowerzyści czują się tacy zadowoleni z siebie? Dlaczego jeżdżą po chodnikach, gdy obok mają wspaniałe ścieżki rowerowe? I kto wpadł na idiotyczny pomysł, żeby wypożyczyć rower małolatu z Włoch, który przyjechał tu, by uczyć się angielskiego? Jeśli piekło rzeczywiście istnieje, w co Jackson nie wątpił, rządzą w nim piętnastoletni Włosi na rowerach.

Jeszcze turyści... Ślepo zauroczeni uniwersytetem i historią, jakby nie chcieli dostrzec tego, co się za tym kryje - pieniądze i władza. Wielkie połacie ziemi należące do college o w. Nie tylko w Cambridge, choć tu należała do nich przeważająca część gruntów. To collegee miały największy wpływ na to, komu wydać licencje, oddać ziemię w dzierżawę i Bóg wie co jeszcze. Ktoś mu kiedyś powiedział, że mógłby przemierzyć Anglię wzdłuż i wszerz i nigdy nie zejść z ziemi należącej do Trinity College. Żeby obejrzeć wszystkie te piękne zakątki i ogrody, trzeba zapłacić. Bogactwo i przywileje są w rękach tak niewielu osób, a na ulicach miasta pełno bezdomnych, żebraków, pijaków i pomyleńców. Można odnieść wrażenie, że społeczność Cambridge charakteryzuje szczególnie wysoki odsetek ludzi obłąkanych.

Mimo wszystko - choć mało brakowało - Jackson nadal wolał ten letni zalew niż snobów i paniczyków, od których roiło się tu w ciągu semestru. Może to zazdrość człowieka z dołów? Może to głos ojca słyszał w głowie? Jackson martwił się, że rzeczywiście powoli się zamienia w starego zrzędę. Może nie ma nic złego w byciu starym zrzędą? W każdym razie permanentny ból zęba nie pomagał mu w zmianie takiego wizerunku. („Konieczne jest leczenie endodontyczne”, mruknęła Sharon nad jego uchem podczas ostatniej wizyty.)

Przed domem nie było miejsca, więc Jackson zaparkował na drugiego, blokując jakiś samochód. Drewniane żaluzje w oknach domu były podciągnięte tak, że Jackson widział z daleka wnętrze salonu - regały z książkami po sufit, palmy w donicach, duże kanapy - stare i zaniedbane, silące się na artystyczny gust. Ulica zastawiona była dużymi samochodami terenowymi, motoryzacyjna moda młodych matek z klasy średniej, na tylnych szybach obowiązkowo naklejka „Małe dziecko” albo „Uwaga, dziecko!” Jackson zapalił papierosa i jako antidotum włączył *Sweet Old World* w wykonaniu Lucindy Williams. Nad bramą wjazdową unosiły się uwiązane do filarów balony, oznaczające, że dom jest *en fête*. Z ogrodu na tyłach domu dobiegały piski dziewczynek wypełniające powietrze niczym krzyki przerażającego prehistorycznego ptaka. Samochody były puste, ich kierowcy znajdowali się wewnątrz. Ale Jackson postanowił pozostać w samochodzie. Nie czuł się na siłach, by stanąć oko w oko ze wścibskim kobiecym światkiem, którego mdłe ciepłko wydawało się otaczać go zawsze, gdy zdarzało mu się znaleźć w stadku matek.

Przejrzał pobieżnie kilka z dziesiątek kart i teczek, które zabrał z domu Thea. Tamten pokój - pokój śledczych, bo tylko tak już o nim myślał - nie należał wcześniej do Laury. Jej sypialnia, z oknem wychodzącym na ogród, znajdowała się w tyle domu. Jackson spodziewał się, że pokój Laury pozostał w stanie nienaruszonym od dnia, w którym Laura po raz ostatni w nim przebywała - bywał już wcześniej w takich świątyniach, z każdym rokiem coraz smutniejszych i coraz bardziej wyblakłych. Jednak, ku swemu zaskoczeniu, w sypialni nie dostrzegł żadnej pamiątki po dziewczynie. Pokój był urządzony skromnie, w kolorach neutralnych, jak zwykle pokoje hotelowe, i pełnił teraz funkcję pokoju dla gości.

- Nie, żebym miał gości... - tłumaczył Theo ze swoim smutnym, słabym uśmiechem na ustach.

Przypominał któregoś z tych wielkich melancholijnych psów, nowofundlandczyka albo bernardyna. Och nie, zaczyna myśleć jak Julia. Jakim miał być psem? Powiedział, że labradorem, bo była to pierwsza rasa, jaka przyszła mu wtedy do głowy. Jackson nie znał się na psach, nigdy nie miał psa, nawet kiedy był dzieckiem. Jego ojciec nienawidził psów.

Jackson pamiętał, jak dziesięć lat temu wyglądał pokój Laury Wyre - patchworkowa narzuta, akwarium z tropikalnymi rybkami, a na łóżku stos pluszowych misiów. Wszędzie książki, ciuchy na podłodze, kosmetyki, fotografie. Nieporządek, jakiego można się spodziewać w sypialni osiemnastolatki. Ale dzisiaj nie tak Theo widział swoją córkę. W obliczu śmierci nieporządek i ludzkie słabości nie sięgały Laury. W pamięci Thea pozostała święta. Jacksonowi wydawało się to naturalne.

Dziesięć lat temu na ścianie jej sypialni wisiała oprawiona w ramkę fotografia - zdjęcie Laury z psem. Była ładna i miała uroczy uśmiech. Wyglądała na sympatyczną dziewczynę, niekoniecznie świętą, po prostu sympatyczną. Pomyślał o fotografii Olivii, zamkniętej bezpiecznie w portfelu w jego kieszeni, niewidocznej w ciemności, szczerzącej zęby w uśmiechu. Zamkniętej. Tak Amelia powiedziała o Sylvii, gdy Jackson zapytał, dlaczego nie przyszła na pogrzeb ojca. („Nawet Sylvia nie przyszła?”) „Och, oczywiście zawiadomiliśmy ją, ale nie mogła przyjść, nie pozwolono jej. Jest zamknięta.

Czy Olivia też jest gdzieś zamknięta? Pod podłogą? W ziemi? Czy da się znaleźć coś więcej niż garstkę kości, cienkich jak piszczel zająca?

Jackson znalazł się w sypialni Laury dość przypadko-

wo. Pracował wtedy nad zupełnie inną sprawą. Chodziło o Kerry-Anne Brockley, dziewczynę, która zaginęła w dzielnicy Chesterton. Kerry-Anne miała szesnaście lat, nie była nigdzie zatrudniona i bez wątpienia nie była dziewicą. Została zamordowana w drodze powrotnej do domu po wieczornym spotkaniu z przyjaciółmi - zgwałcona, uduszona i porzucona na polu za miastem. Wracała sama o drugiej w nocy z klubu nocnego, mocno umalowana i skąpo odziana, i potem cicho sugerowano, że w jakiś sposób sama sprowokowała to, co ją spotkało. Nie w zespole Jacksona. Gdyby się dowiedział, że tak myśli któryś z jego oficerów, obdarłby go ze, skóry.

Sprawca nie został jeszcze zatrzymany, ale Jackson wracał do domu, by po raz pierwszy od wielu dni spokojnie przespać całą noc. Uprosił kolegów, żeby podrzucili go radiowozem pod sam dom. Siedział na tylnym siedzeniu z oficerem łącznikowym (miała na imię Alison, to z nią powinien się być ożenić, a nie z Josie). Po drodze Alison miała oddać Theowi rodzinne fotografie Laury. Zdjęcia, zdjęcia. Zawsze te zdjęcia. Chwytające za serce twarze dziewcząt, które zniknęły na zawsze. Olivii, Kerry-Anne, Laury, wszystkie tak samo bezcenne, wszystkie utracone na zawsze. Wszystkie święte. Poświęcone jakiemuś nieznanemu bóstwu zła. Proszę, Boże, tylko nie Marlee.

Drzwi otworzył im Theo Wyre, człowiek zniszczony rozpaczą, jego twarz przypominała kolorem ser Wensleydale. Gospodarz zaprosił ich na herbatę, a Jackson pomyślał - nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni - jakie to dziwne, że ludzie starają się żyć dalej, gdy cały świat przestał istnieć. Theo nawet wyczarował skądś placek i powiedział: „Wiśniowo-migdałowy, upiekłem go dzień przed jej śmiercią, ale dobrze się trzyma". Pokiwał bezradnie głową, jakby nie mógł uwierzyć, że placek jest jeszcze na tym świecie, a jego cór-

ki już nie ma. Nie trzeba dodawać, że nikt nie miał ochoty na placek i nikt go nie ruszył. „Nie ma pan nic przeciwko temu, bym zajrzał do pokoju córki, panie Wyre?” - zapytał wówczas Jackson. Dla Thea Jackson był tylko jeszcze jednym śledczym, kimś, kto zajmuje się tą sprawą. Jacksonem kierowała wyłącznie ciekawość, bo nic nie wskazywało, by morderstwo „jego” Kerry-Anne Brockley i morderstwo Laury Wyre mogło cokolwiek łączyć. Sypialnia była tylko sypialnią, zabałaganionym pokojem, do którego dziewczyna już nigdy nie wejdzie, już nigdy nie rzuci w kąt swojej torby, nie zdejmie butów, nie położy się na łóżku, nie poczyta książki, nie posłucha muzyki, nie zaśnie niespokojnym, niewinnym snem żyjącego człowieka.

To było dwa lata przed narodzinami Mariée i Jackson nie wiedział wówczas tego, o czym dobrze wie dzisiaj - co to znaczy kochać dziecko, że chciałoby się oddać za nie życie, że jest skarbem drogocenniejszym od wszystkich skarbów świata. Nie brakowało mu już Josie, w każdym razie nie tak jak na początku, ale Mariée brakowało mu bez ustanku. Właśnie dlatego nie chciał wziąć sprawy Thea Wyre'a. Przerazała go. Uprawdopodobniała śmierć jego własnego dziecka, zmuszała go, by ją sobie wyobrażał, by wyobrażał sobie Mariée na miejscu Laury Wyre. Ale co mógł zrobić? Nie mógł odmówić temu biednemu człowiekowi, facetowi postury sterowca, nieustannie sapiącemu i dyszącemu nad inhalatorem, któremu nie zostało nic poza pamięcią - przestrzenią, którą powinna wypełniać dwudziestoosmioletnia kobieta.

Theo miał ciało. Julia i Amelia poszukiwały ciała. Olivia stanowiła innego rodzaju przestrzeń, cielesną tajemnicę, pytanie bez odpowiedzi. Była zagadką, która mogła człowiekowi grać na nosie, aż wpadał w obłęd. Nigdy nie znajdzie

Olivii, nigdy się nie dowie, co się z nią stało. Wiedział tylko tyle, że musi poczekać na stosowny moment, by to siostrom powiedzieć. Nigdy też nie będzie mógł wystawić im rachunku, prawda? „Bardzo mi przykro, ale wasza siostrzyczka nie żyje, nigdy jej nie zobaczycie, a to rachunek, proszę, pięćset funtów za wykonane zlecenie”. („Jesteś za miękki na ten biznes”, wytykała mu co miesiąc Deborah Arnold, kiedy podsumowywała przychody i rozchody. „Za miękki albo za głupi”.)

Gdyby to chodziło o Marlee, gdyby musiał zdecydować, czy woli Marlee martwą czy zaginioną, co by wybrał? Nie, nie może tak myśleć, nawet nie jest w stanie sobie tego wyobrazić, nie może kusić losu. Każdy z tych scenariuszy oznaczał najgorszą rzecz, jaka może się przytrafić. Co człowiek robi, kiedy przytrafia się to najgorsze, co może się przytrafić - jak wygląda jego dalsze życie? Jedno trzeba Theowi Wyrebwi oddać. Dalsze życie wymaga odwagi, której brakuje większości ludzi.

Drzwi wreszcie się otworzyły i po chwili przez bramę z balonikami wyszły na ulicę dziewczynki i ich matki, rozgadane na cały głos. Jackson pośpiesznie schował zdjęcia Laury do koperty i wsunął ją pod przednie siedzenie dla pasażera. Chciał wysiąść z samochodu i wejść do domu, ale właśnie wybiegła z niego Marlee. Boże, ubrana jak ulicznica. Czy ta Josie zwariowała, żeby wypuszczać z domu dziecko wyglądające jak żywe marzenie pedofila? Nawet usta miała umalowane szminką. Przypomniał sobie Jon Benet Ramsay. Kolejna zaginiona dziewczynka. Kiedy był wcześniej w „Świecie Rozkoszy”, przysłała tam też jakaś dziewczyna, przyjaciółka recepcjonistki (Milandy - czy ona sama sobie wymyśliła to imię?), i umówiła się na „brazylijskie woski”, Milanda

trochę się zdziwiła: „Tak?“, a dziewczyna na to: „Mój chłopak mnie namawia. Mówi, że chciałby udawać, że kocha się z małą dziewczynką“, a Milanda znowu tylko „Tak?“ Jakby był to wystarczający powód.

Jackson doskonale znał dane statystyczne, wiedział, ilu pedofilów wałęsa się w tej czy tamtej okolicy, wiedział, że lubią się gromadzić (licznie, niczym muchy) wokół placów zabaw, szkół, pływalni (i domów, oznakowanych kolorowymi balonikami). Gdyby Jackson był pedofilem, wiedziałby, gdzie pójść: do jednego ze sklepów z lalkami sieci Claire's Accessories. A jeśli istnieje reinkarnacja? Jeśli w przyszłym wcieleniu wróci na ziemię jako pedofil? Ale w takim razie jakie straszne czyny musi popełnić teraz, żeby sobie na to zasłużyć? Kim w następnym wcieleniu będą święte dziewczęta? Białymi gołębicami? Drzewami w oliwnym gaju?

- Siemasz, złotko, fajna zabawa? - (Chciałaś wyjść na ulicę, nie wiedząc, czy ktoś na ciebie czeka?!) - Dokąd tak pędziłaś? Wiedziłaś, że już przyjechałem?

- Uhm.

- Nie zapomniałaś ładnie podziękować?

- Uhm. Powiedziałam: „Bardzo serdecznie dziękuję państwu za gościnę“.

- Cyganisz.

- Nie cyganię.

- Tak, cyganisz. To podstawy przesłuchania, jeśli ludzie mówią prawdę, patrzą w górę i w lewo, jeśli zmyślają, to w prawo. Ty spojrzełaś w prawo. - Och, zamknij się Jackson. Nawet ciebie nie słucha.

- No dobra, dałam plamę - powiedziała obojętnym głosem.

- Plamę?

Co to za język? Wyglądała na wykończoną, miała cienie

pod oczami. Co oni wyczyniają na tych przyjęciach? Cała była złana potem.

- Tańczyliśmy - wyjaśniła. - Do piosenek Christiny Aguilery, jest nieźle zakręcona.

Zrobiła lekki ruch biodrami, by pokazać, jak tańczy, i był to ruch tak erotyczny, że Jacksonowi załomotało serce. Cholera, przecież ona ma tylko osiem lat.

- To ślicznie, złotko.

Pachniała słodyczami i potem. Pamiętał, jak pierwszy raz brał ją na ręce, kiedy jej główka mieściła się w jednej jego dłoni, a Josie mówiła „Tylko ostrożnie!” (jakby zamierzał być nieostrożny). Obiecał sobie wówczas, że nic jej się nigdy nie stanie, przenigdy, że ustrzeże ją przed wszystkim. Uroczyste ślubowanie. Czy Theo Wyre składał takie samo ślubowanie, gdy po raz pierwszy wziął Laurę na ręce? Prawie na pewno. (A Victor Land?) Ale Jackson nie jest w stanie zapewnić Marlee bezpieczeństwa. Nikomu nie jest w stanie go zapewnić. Człowiek jest bezpieczny dopiero wtedy, kiedy jest martwy. Może nikt inny na świecie nie potrafi martwić się tak jak Theo Wyre. Ale o jedno Theo Wyre nie musi się już martwić: o bezpieczeństwo swojej córki.

- Jesteś umazany szminką - zauważyła Marlee. Jackson przejrzał się we wstecznym lusterku i spostrzegł

na policzku jaskrawy ślad szkarłatnych warg Julii. Potarł go energicznie palcami, jednak czerwony kolor pozostał na policzku jak rumieniec wstydu.

-Ona jest taka ty-ci-ty-ci... - mówiła Binky Rain, choć Jackson jej nie słuchał.

Kiedy w samochodzie Jackson usłyszał płynące z telefonu dźwięki *Carmina Burana*, zapytał Marlee: „Masz ochotę na wizytę u pewnej starszej pani w drodze do domu?” To nie-

zbyt zachęcające zaproszenie osłodził obietnicą spotkania z miłutkimi kociakami, toteż Mariée snuła się teraz po zarośniętej chwastami dżungli ogrodu Binky, z kręcącym się u jej nóg stadkiem rozleniwionych kotków.

- To pańska córka? - pytała Binky, obrzucając Mariée pełnym zwątpienia spojrzeniem. - Nigdy bym nie przypuszczała, że może pan mieć dziecko.

- Nie? - Jackson puścił uwagę mimo uszu.

Myślał o Olivii Land; ona także była tycki-tycki. Czy sama oddaliłaby się od domu? Amelia i Julia twierdziły, że nigdy. Że była bardzo posłuszną dziewczynką. Posłuszną na tyle, by w środku nocy wyjść z namiotu i odejść z kimś obcym, kto ją o to poprosił? Odejść dokąd? Jackson próbował uśmiechnąć się do Wendy, koleżanki z dawnych czasów, która pracowała w policyjnych archiwach, żeby znalazła mu akta sprawy Olivii. Ale choć Wendy wykazała dobrą wolę, nic z tego nie wyszło, ponieważ akta się nie zachowały.

- Przykro mi, Jackson, wyparowały. - Wendy rozłożyła ręce. - Tak bywa. Trzydzieści cztery lata to szmat czasu.

- Wcale nie tak wiele - odpowiedział Jackson. Chociaż sprawa Olivii nie została formalnie umorzona,

to spośród osób, które przy niej pracowały, niewiele jeszcze żyło. Na miłość boską, to czasy, kiedy nie było ani drobiazgowych analiz DNA, ani nowoczesnego konstruowania profilu przestępcy, ani komputerów. Gdyby Olivia została porwana dzisiaj, szanse na jej odnalezienie byłyby o wiele większe. Chyba. Wszyscy kolejni śledczy, którzy nadzorowali sprawę, zeszli już z tego świata. Jackson znalazł tylko jedną osobę, która mogła coś na jej temat powiedzieć; Marian Foster, zastępca inspektora, która, o ile dobrze wiedział, przesłuchiwała siostry Land. Niedawno, będąc już wyższym oficerem policji w jednej z jednostek na północy, przeszła na emeryturę.

Mieszkała jednak zbyt blisko rodzinnego domu Jacksona, by perspektywa wyjazdu w te rejony go uszczęśliwiała. Oczywiście dzisiaj na pierwszy ogień dochodzenia poszliby rodzice, zwłaszcza ojciec. Jak daleko w swej dociekliwości posunęła się policja podczas przesłuchiwania Victora Landa? Gdyby Jackson prowadził sprawę, Land byłby głównym podejrzanym.

Bacząc, by słowa nie dotarły do uszu Marlee, Jackson zapytał Binky.

- Pamięta pani sprawę zniknięcia Olivii Land? Dziewczynki porwanej trzydzieści cztery lata temu?

- Frisky - Binky trzymała się własnego tematu - to ledwie wyrośnięty kociaczek...

- Czy znała pani rodzinę Landów? - nie ustępował Jackson - Victor Land był wykładowcą w St John's College, mieli cztery córki, z pewnością pamięta pani zniknięcie dziecka z sąsiedniej ulicy, prawda?

- Ach, chodzi o te dziewczynki - przypomniała sobie Binky. - To były diabllice w ludzkiej skórze, niewychowane dzikuski. Moim zdaniem dzieci nie powinno być widać ani słyszeć. Doprawdy, rodzinki takie jak ta spotyka w końcu to, na co sobie zasługują.

Jacksonowi przyszło do głowy kilka odpowiedzi na taką uwagę, ale ostatecznie wszystkie zatrzymał dla siebie.

- Poza tym - ciągnęła Binky - to syn Oswalda Landa, nazywanego polarnym bohaterem, ale mogę pana zapewnić, że to był prawdziwy szarlatan.

- Nie pamięta pani, by kręcił się tutaj ktoś nietutejszy? Jakiś obcy człowiek?

- Raczej nie. Policja nikomu nie dała tu spokoju, chodzili od domu do domu i zadawali pytania. Zabierali się nawet do przeszukania mojego ogrodu, wyobraża pan sobie?

Przyznam, że rozprawiłam się z nimi krótko, nie ma o czym gadać. Ach, ona była jakaś... dziwna.

- Kto? Pani Land?

- Nie, ta najstarsza, kawał łobuza.

- Dlaczego dziwna?

- Szelma jak się patrzy. Przełaziły do mojego ogrodu, wrzeszczały na mnie i kradły jabłka z moich pięknych jabłoni, uwierzy pan? To był taki piękny sad.

Jackson pociągnął wzrokiem po pięknych „jabłoniach”, dzisiaj równie, starych i sękatych jak Binky Rain.

- Sylvia?

- Właśnie, tak miała na imię.

Jackson wyszedł od Binky przez furtkę w ogrodzie na tyłach domu. Nigdy wcześniej nie wychodził tą drogą i ze zdziwieniem zauważył, że znalazł się na ścieżce biegnącej na tyłach ogrodu Landów. Nie zdawał sobie dotychczas sprawy, że obie posiadłości leżą tak blisko siebie - znajdował się dosłownie parę metrów od miejsca, w którym stał niegdyś feralny namiot. Czy ktoś w tym miejscu przeszedł przez mur i porwał śpiącą Olivie, a potem uciekł z nią tą samą drogą? Czy trudno pokonać mur z trzyletnim brzdącem na rękach? Jackson potrafił to sobie wyobrazić. Mur porastał bluszcz, który dawał wiele punktów podparcia dla rąk i nóg. Jednak taki sposób wejścia na posesję oznaczałby najście obcej osoby, dlaczego więc tamtej nocy nie czekał pies? Rascal. Według Amelii i Julii pies zaszczekałby na pewno. Zatem znał porywacza Olivii. Na kogo pies nie zaszczeka?

Jackson rozgarnął bluszcz i znalazł w murze furtkę. Przyszedł mu do głowy *Tajemniczy ogród*, film, który oglądał z Marlee na wideo i który ją oczarował. Nikt nie musiał się wspinać na mur, wystarczyło przejść przez otwór w murze. Ale może wcale nikt nie wszedł tędy do ogro-

du i nie wyszedł potem z Olivią - może ktoś wyszedł z nią, a potem wszedł bez niej? Victor? Rosemary Land?

Kiedy zajechali pod dom Davida Lastinghama, Marlee już prawie spała. Czy nastanie dzień, kiedy będzie potrafił nazwać ten dom domem Davida i Josie? (Nie.) Objedzona słodyczami Marlee zaczynała być niezdolna, w miarę jak poziom cukru w jej organizmie wracał do normalnego stanu. Cała była pokryta nasionami traw i kocią sierścią, co z pewnością wywoła awanturę z Josie. Jackson zaproponował Marlee, by spała u niego, mógłby przynajmniej wyczyścić jej sukienkę, ale Marlee odparła, że to niemożliwe.

- Rano idziemy na jagody!

- Jagody? - zdziwił się Jackson, dzwoniąc do drzwi Davida Lastinghama. Przez głowę przemknęła mu myśl o chłopach na wsi i ludziach z epoki łowiectwa i zbieractwa.

- Mama robi konfitury.

- Konfitury? Twoja mama?

Nowo nawrócona żona, wiejska gospodyni, która smaży konfitury, wyszła właśnie z kuchni, oblizując koniuszki palców. Kobieta, która jeszcze niedawno twierdziła, że nie ma czasu na gotowanie - królowa Islandii - teraz spędzała wieczory, przyrządzając smaczne omlety i mieszając beztrudnie sałatki dla nowej, odrodzonej rodziny. Trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta, która robiła mu loda, gdy prowadził auto, która potrafiła przyprzeć go do pierwszej lepszej ściany i jęknąć: „Teraz, Jackson, szybko”, która we śnie tuliła swoje ciało do jego ciała, która budziła się rano, odwracała do niego i mówiła zaspanym szeptem: „Nadal cię kocham”, jakby z ulgą, że noc nie zdołała jej odebrać tego uczucia. Aż do pewnego ranka, trzy lata po narodzinach Marlee, Josie obudziła się i nie odezwała się ani słowem.

- Spóźniłeś się - powiedziała teraz. - Gdzie byliście?

- Pojechaliśmy zobaczyć czarownicę - odpowiedziała Mariée.

Le chat noir. Les chats noirs. Czy chats mają rodzaj żeński? Czy mówi się chatte?

- *Bonsoir, Jackson* - powitała go Joan Dodds, wyraźnie akcentując *soir*, a nie *bon*.

Nie znosiła spóźnialskich.

- *Bonsoir, Jackson* - zaśpiewała chórem cała grupa, gdy Jackson nieśmiało zajrzał do sali.

- *Vous êtes en retard, comme toutes les semaines* - orzekła Joan Dodds.

Była emerytowaną nauczycielką z charakterem, który sprawiał, że świetnie grałaby rolę dominy w zabawach sado-maso. Jackson pamiętał czasy, kiedy kobiety w jego życiu robiły wszystko, żeby go uszczęśliwić. Teraz wydawało mu się, że wszystkie się na niego uwzięły. Czuł się jak mały, raczej niegrzeczny chłopczyk.

- *Je suis désolé* - powiedział cicho.

Doprawdy, francuski daje dużo do myślenia o Francuzach. Ile skrajnych uczuć, smutku i zgnębienia wkładają w proste „przykro mi”.

W „Świecie Rozkoszy” Jackson pokazał Milandzie licencję detektywa i zapytał, czy mógłby zobaczyć miejsce, gdzie zamordowano Laurę Wyre. „Makabryczne” - to był jedyny komentarz, jaki usłyszał z jej ust. Sala konferencyjna, zgodnie z tym, co mówił Theo, była teraz wykorzystywana jako pomieszczenie magazynowe. Stolik na kółkach z armią lakierów do paznokci stał już w innym miejscu i nie służył jako nagrobek Laury Wyre. Ślady krwi nadal były widoczne na deskach podłogi - mocno wyblakła (ale nie zmyta do końca) plama.

- Chryste - jęknęła Milanda, wreszcie wyrwana z odrętwienia.
- Zawsze myślałam, że to ślady po rozlanej farbie czy coś w tym rodzaju. To obrzydliwe... - Odprowadzając go do drzwi, powiedziała jeszcze: - Ona tu nie straszy. Wiedziałybym. Mam dar. Gdyby jej duch tutaj przebywał, wyczułabym go na pewno.

- Naprawdę? - zapytał Jackson.

Milanda nie robiła wrażenia osoby o zdolnościach parapsychicznych.

- Och tak, jestem siódmą córką siódmej córki. Wsobny chów, znachorstwo, pomyślał Jackson. Milanda

spojrzała na niego niemowlęco błękitnymi oczami - jakiś nienaturalny, uderzający kolor, zapewne szkieł kontaktowych - i powiedziała:

- Wiem na przykład, że czarne koty przynoszą panu szczęście.

Niespodziewanie Jackson poczuł rozczarowanie, bo przez dziwną, niepokojącą chwilę myślał, że Milanda przepowie mu coś złowieszczego.

Amelia

„Niech pan nie będzie takim zrzędą, panie Brodie"- Amelia małpowała Julię. - Jak ty się zachowujesz, Julio? - (Do tego go pocałowała! No tak, pocałowała, nie inaczej!) - Może jeszcze się rozbierzesz na ulicy?

- Och, Milly, bo zacznę myśleć, że jesteś zazdrosna! -Julia roześmiała się z (okrutnym) rozbawieniem. - Co powie Henry, jeśli się dowie?

- Nic już nie mów, Julio!

Amelia poczuła, jak krew się w niej gotuje, i przyśpieszyła, byle dalej od siostry. Julia musiała biec, by dotrzymać jej kroku. Amelia słyszała za plecami dychawiczny oddech siostry i pomyślała, że trzeba być stukniętym, żeby tyle palić, mając katar sienny. Amelia nie miała dla niej współczucia.

- Musisz tak sadzić? Masz dłuższe nogi.

Były na St Andrews Street i zbliżyły się do dziewczyny siedzącej na ziemi, na kawałku brezentu, a obok niej rozciągnięty był pies - mieszaniec charta z owczarkiem.

Jackson w najmniejszym stopniu nie przejął się tym, że widziała w nim pointera, ale kiedy Julia uznała, że byłby owczarkiem niemieckim, wydawał się płonąć ze szczęścia.

Julia wybrała wilczura, bo rzeczywiście dla Jacksona był to pies idealny. Nie doberman, nie rottweiler, a już na pewno nie pointer. Jackson był wilczurem jak się patrzy. Okłamała też Jacksona. No, może nie okłamała, ale dała mu do zrozumienia, że jest wyższym wykładowcą w Oksfordzie z tytułem „don”, a tymczasem prowadzi tylko zajęcia z „umiejętności porozumiewania się” (co za śmieszna nazwa) na przysposobieniu zawodowym dla praktykantów murarskich, uczniów na dekarzy i dla innej hołoty. Bardzo chciała lubić swoich uczniów, wierzyć, że to dobre chłopaki - może nadto hałaśliwi, ale w głębi przyzwoite istoty ludzkie. Jednak tak nie było, jej uczniowie to gówniarze, nie słuchają ani jednego jej słowa.

Oczywiście uwagę Julii natychmiast przykuł pies bezdomnej dziewczyny, co oznaczało, że któraś z nich będzie musiała wysupłać trochę grosza, bo przecież nie sposób narobić zamieszania wokół psa, a potem odejść jak gdyby nigdy nic, prawda? Julia klęczała na chodniku, pochylała się nad psem, a ten lizał ją po twarzy. Amelia wolałaby, aby Julia na to nie pozwalała, nie wiadomo przecież, gdzie taki psi język przedtem bywał - a właściwie doskonale wiadomo i właśnie dlatego nikt nie chce, by bywał także na jego twarzy.

Dziewczyna miała żółte włosy, w dziwnym, kanarkowym kolorze, także skóra jej twarzy była żółtawa, niezdrowa, jakby dziewczyna miała żółtaczkę. Zwykle Amelia dawała drobne żebrakom lub bezdomnym roznosicielom gazetki „Big Issue”, ale tym razem zachowała powściągliwość. Kiedyś natknęła się na własną uczennicę, która zebrała na Oxford High. Amelia wiedziała, że Lisa - przyuczająca się do zawodu fryzjerskiego - mieszkała z rodzicami w całkiem wygodnym domu, a pies, z którym pojawiła się na ulicy (bo przecież oni wszyscy mają psy), był ich domowym pupilkiem. Tajemnicą

poliszynela był fakt, że wielu spośród żebraków ma własne domy, a niejeden posiada nawet samochód. Czy to tajemnica poliszynela? Skąd to wiedziała? Najpewniej z lektury „Sun”. Dekarze zawsze mieli stare numery tego brukowca. W jej głowie pojawił się naraz niezwykle obraz - numery „Sun” krążące w kosmosie we wszystkie strony, jak słońca, jak złote monety. Zaśmiała się cicho, a dziewczyna podniosła na nią oczy i zapytała:

- Pomoże mi pani?

- Nie - odpowiedziała Amelia.

- Och, Milly, na miłość boską - zachnęła się Julia, która przestała nagle mówić do pieska, wstała i sięgnęła do torebki w poszukiwaniu portmonetki. - Nie do każdego los się uśmiecha.

Julia wyjęła z portmonetki pięć funtów - te same pięć funtów, które była dłużna Amelii - i podała dziewczynie, a ona przyjęła je takim gestem, jakby robiła Julii wielką łaskę. Nie chodziło o pieniądze, dziewczyna wcale o nie nie prosiła, w każdym razie nie do końca. Zapytała Amelię, czy może jej pomóc, a Amelia powiedziała prawdę. Nie potrafi jej pomóc. Nikomu nie potrafi pomóc. Najmniej sobie samej.

- Wszystko wyda na narkotyki - powiedziała Julii, kiedy oddalały się od dziewczyny.

- Niech wyda, na co ma ochotę - odparła Julia. - Prawdę mówiąc, narkotyki wcale nie wydają się złym pomysłem. W jej sytuacji też wydałabym wszystko na narkotyki.

- Ale ona znalazła się w tej sytuacji właśnie dzięki narkotykom.

- Tego nie wiesz. Nic o niej nie wiesz.

- Wiem, że ile się da, wyciąga z ludzi, którzy ciężko pracują na życie.

Boże, na stara lata staje się faszystką. Jeszcze trochę i zacznie nawoływać do przywrócenia szafotu i kary chłosty, no może chłosty nie, ale kary śmierci tak - właściwie dlaczego nie? Dość jest ludzi na ziemi, to pewne, by trzymać jeszcze miejsce dla zwyrodniałych bandytów znęcających się nad dziećmi, zwierzakami, dokonujących maczetami rzezi niewinątek, „maczetujących” ludzi. Zwyrodniali bandyci, język brukowców, który znała z numerów „Sun”, czytanych przez jej dekarzy. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie mogła zrezygnować z prenumeraty „Guardiana”.

- Czy można powiedzieć „maczetować”? -zapytała Amelia.

- Nie sądzę - odpowiedziała Julia.

No tak, to już koniec, kaleczy język, wprowadza amerykańizmy. To początek upadku cywilizacji.

Zatrzymały się przed barem z hamburgerami. W środku wrzało jak w ulu, gwar czynili głównie letni studenci z zagranicy, na których widok Amelia tylko ciężko westchnęła. Nie miała wątpliwości, że jedynym językiem, jaki dobrze opanują w czasie swego pobytu w Cambridge, będą wulgaryzmy i jadłospisy barów szybkiej obsługi.

W Londynie Julia często kupowała towary i usługi jako tajny klient, marketingowy szpieg, wynajęty za niewielkie pieniądze przez agencję - sprawdzała w ten sposób obsługę w barach i pizzeriach, sklepikach z ciuchami przy głównej ulicy i dużych sieciach aptek. Dla Julii najważniejsze było przekonanie, że taka praca wymaga prawdziwie aktorskich umiejętności, a dodatkowy bonus stanowił fakt, że miała prawo zatrzymać dla siebie zakupiony towar lub najeść się do syta. Agencja była zachwycona, gdy się dowiedziała, że Julia przebywa w Cambridge, gdzie nie miała jeszcze tajnych klientów.

- Tak... - Julia posiłkowała się jakimiś zapiskami na luźnej kartce. - Musimy zamówić raz hamburgera z frytkami, raz kurczakowego burgera, bez frytek, dużą colę, koktajl bananowy i truskawkową papkę.

- Truskawkową papkę? Co to takiego?

- Lody. Powiedzmy, że lody.

- Nie mam najmniejszego zamiaru zamawiać kurczakowego burgera - zaperzyła się Amelia. - Nie zamówiłabym, nawet gdyby to miało uratować ci życie.

- Och, zamówiłabyś. Ale nie musisz. Sama wszystko zamówię. I nie na wynos. Wszystko na miejscu.

- To nawet niegramatyczna nazwa.

- W żarcie mało co jest gramatyczne. Nie chodzi przecież o gramatykę. Patrzymy na stosunek do klienta, na obsługę, oceniamy jakość całej usługi.

- Nie mogę zamówić po prostu kawy?

- Nie.

Julia znowu zaczęła kichać. Te ataki zawsze były krępujące. Gwałtowne, głośne, niekontrolowane kichnięcia następowały jedno po drugim i brzmiały jak kanonada artyleryjska. Amelia słyszała kiedyś, że po tym, jak kobieta kicha, można poznać, jak wygląda jej orgazm. (Tak jakby ktoś chciał to wiedzieć.) Już na wspomnienie tej wesołej uwagi poczuła się nieswojo. Amelia postanowiła sobie, na wypadek gdyby to była prawda, że w miarę możliwości nigdy nie będzie kichać w miejscu publicznym.

- Boże miłosierny, nie możesz zażywać więcej Zyrtecu? - zapytała Julię ze złością.

Miejsca takie jak ten kiepski bar fatalnie wpływały na samopoczucie Amelii. Czowała się w nich tak, jakby należała do elity, i czowała się w nich staro, a nie chciała ani tego, ani tego, nawet jeśli była to prawda. Z kolei Julia czowała się tu

jak ryba w wodzie, jak kameleon potrafiła się przystosować do każdego nowych warunków. Do przyszczatych żółtodziobów za ladą (czy oni chociaż myją ręce?) wykrzykiwała zamówienie, z akcentem z Essex, który zapewne uważała za odpowiednio plebejski, a który brzmiał co najmniej dziwnie, zważywszy na to, jak była ubrana. Płaszcz, który nosiła Julia, był doprawdy cudaczny, przywodził na myśl secesyjne rysunki Beardsleya. Nigdy dotąd Amelia mu się dobrze nie przyjrzała. Był w takim kolorze, że nie sposób było nie zauważyć Julii, chyba że położyłaby się na zboczu wzgórza porośłego zieloną, letnią trawą, która uczyniłaby ją niewidzialną. Kiedy Olivia stawała się niewidzialna, miała na sobie bawełnianą koszulę nocną, która wcześniej należała po kolei do każdej z nich, i która kiedyś była różowa. Do czasu, kiedy przeszła w ręce Olivii, zdążyła jednak na tyle wyblaknąć od prania, że straciła wszelki kolor. Amelia widziała ją jak dzisiaj, jak wchodzi do namiotu w tej szarawej koszuli, w różowych paputkach z pyszczkiem królika, przyciskając do piersi Niebieską Myszki.

Płaszcz Julii był za duży. Kiedy z tacą pełną jedzenia przebijala się przez zwartą ciżbę studentów, jego poły rozchylały się szeroko i ciągnęły za nią po podłodze. Amelia szła przodem, torowała drogę i powtarzała w kółko „Przepraszam przepraszam, przepraszam...”, ale bez efektu; jedynym skutecznym środkiem, by ustąpili z drogi, były bezpardonowe dźgnięcia łokciami.

Kiedy wreszcie dotarły do stolika, Julia wpiła zęby w hamburgera i zaczęła pochłaniać go z wilczym apetytem.

- Mmm... mięcho... - rzuciła do Amelii.

- Jesteś pewna?

Rozchorowałyby się, gdyby zjadła coś takiego.

- Mięso na mur beton - zapewniła Julia. - Jakiego zwie-

rzęcia to już inna sprawa. Albo z jakiej części zwierzęcia. Ale cóż, same kiedyś jadałyśmy ogony, pamiętasz? Ogon woła. Wołu. Co to w ogóle za słowo?

- Ma prาดawną etymologię. Tak mi się wydaje. Dzisiaj całe pokolenie dzieciaków uważa, że mówi się wyłącznie „kurczakowy”, a nie na przykład „drobiowy”.

- Są gorsze rzeczy.

- Jakie?

- Meteoryty.

- To, że jakiś meteoryt może kiedyś uderzyć w Ziemię, nie oznacza, by poddawać się amerykańizacji naszego języka i kultury.

- Och, Milly, zamknij się, błagam.

Julia zjadła jeszcze kurczakowego burgera, ale przed truskawkową papką skapitulowała nawet ona. Amelia dla próby łyknęła bananowego koktajlu. Smakował sztucznie, jakby sporządzono go w laboratorium.

- To jest zrobione z jakichś chemikaliów - rzuciła z obrzydzeniem.

- Jak wszystko na świecie, czyż nie?

- Czyżby?

- Daj spokój - Julia machnęła ręką. - Dość pogaduszek, czas zabrać się do pracy.

Wyjęła na stół formularz i zaczęła go wypełniać.

- „Czy obsługa cię przywitała?” Hm, na pewno tak...

- Dlaczego nie nosisz okularów? Bez nich nic nie widzisz.

- Co powiedział ten chłopak?

- Jesteś taka próżna, Julio.

- Powiedział chyba „dzieńdoberek”, czy coś w tym rodzaju.

- Nie wiem. Nie przysłuchiwałam się. Julio?

- To Australijczycy. Cała brytyjska siła robocza pochodzi z Australii.

- Julio, posłuchaj, Julio, kiedy Victor sprawdzał ci zadanie domowe, u siebie w gabinecie... czy wtedy, wiesz, robił ci coś? Molestował cię?

- Ciekawe, kto stanowi dziś główną siłę roboczą w Australii, jak myślisz? No nic, Milly, musimy to skończyć. Proszę bardzo, nowe pytanie: „Czy obsługa się uśmiecha?” Ten chłopak się uśmiechał? Rany, naprawdę nie pamiętam.

Była prawie pewna, że Jackson ma ją za idiotkę, głupią babę. Wyczuwała w nim tę chłodną męską bezduszość, która może doprowadzić do szału - typ faceta uważającego, że kobieta to puch *marny*, spętany jarzmem okresu, czekolady i kotów (to nawet pasuje do Julii), ale Amelia wcale taka nie jest. No, może te koty. Chciałaby, by myślał o niej lepiej, chciała, by ją lubił. „O la la. Jak serio pan wygląda, panie B. Jak tajny agent”. Julii tak brakuje subtelności. „O la la!”, Jezu Chryste.

- Chcesz jeszcze herbaty? - zapytała Julię, która weszła do kuchni z pustą szklanką w dłoni.

- Nie. Chcę jeszcze džinu - odpowiedziała Julia, szukając w szafce czegoś do jedzenia.

Czy Julia zawsze tyle piła? Czy piła sama? Dlaczego picie w samotności ma być gorsze od picia w towarzystwie?

Julia mu się spodobała, to oczywiste. Julia podoba się wszystkim mężczyznom, czemu się nie można dziwić, skoro podsuwa się im jak na talerzu. Julia powiedziała jej kiedyś, że uwielbia raczyć panów seksem oralnym (pewnie dlatego malowała usta czerwoną szminką). Amelia miała już przed oczami niepokojący obrazek, jak Julia klęka przed Jacksonem i bierze do ust jego... - chciała powiedzieć „kutasa”,

jednak to słowo nie zdołało się nawet uformować w jej głowie, gdyż jest zbyt wulgarne, z kolei „penis” wydaje się takie śmieszne. Amelia wcale nie chciała być taka pruderyjna - czasem czuła się jak ktoś, kto pomylił drogę i trafił do niewłaściwego pokolenia. O wiele lepiej pasowałaby do epoki, w której obowiązywała silna struktura społeczna, jasna hierarchia i niezachwiane zasady obyczajowe. Epoki, w której oznaką rozwiązłości byłby odpięty guziczek rękawiczki. Doskonale dałaby sobie radę wśród takiego rodzaju ograniczeń. Zbyt dużo czytała Jamesa i Wharton. Zapewne nikt ze świata Edith Wharton nie chciałby się naprawdę w nim znaleźć, ale Amelia w świecie z powieści Edith Wharton czułaby się znakomicie. Zresztą, czułaby się znakomicie w świecie każdej powieści napisanej przed drugą wojną światową.

Słyszała, jak na piętrze leci woda do wanny (będzie lecieć bez końca), i wiedziała już, że Julia zamierza wziąć kąpiel z dżinem w ręku (prawdopodobnie także ze skrętem) i zajmie łazienkę na długie godziny. Amelia zastanawiała się, jakie to uczucie mieć wobec siebie tyle pobłażania. Julia oderwała od bochenka kawałek chleba i włożyła go do ust. Czy nie może wziąć noża i odkroić kromki? Jak ona to robi, że zjedzenie głupiego kawałka chleba wygląda tak cholernie seksownie? Amelia wolałaby, aby w jej głowie nie powstał obraz, jak Julia robi Jacksonowi - powiedzmy to głośno - loda. Ona sama nigdy w życiu nie zrobiła żadnemu facetowi loda, ale nigdy Julii o tym nie powie, bo zaczęłaby się z niej natrzęsać i znowu gderać o „Henrym” i jego potrzebach seksualnych. Ha!

- Na pewno nie chcesz? - Julia machnęła jej przed oczami butelką dżinu. - Rozluźnisz się trochę.

- Nie chcę się rozluźnić. Dziękuję bardzo.

Jak to się mogło stać? W jaki sposób została osobą, którą wcale nie chce być?

Amelia nie miała pojęcia, jak to się stało, że bycie „dobrą z literatury” przemieniło się w zajęcia z „umiejętności porozumiewania się”. Jeszcze w szkole średniej złożyła podanie do Oxbridge. Chciała pokazać nauczycielom i Victorowi, szczególnie Victorowi, że jest wystarczająco zdolna. Nauczyciele mieli wątpliwości i w ogóle jej nie pomagali w przygotowaniach. Sama więc starała się przebrnąć przez wstępne testy z ich niezgłębionymi pytaniami na temat *Królowej wieszczek* lub *Duncjady* Pope'a - żadnej z tych pozycji nie czytała - i absurdalnymi pułapkami mającymi sprawdzić pomysłowość w pisaniu esejów. „Wyobraź sobie, że masz opisać wynalezienie koła” - pomyśleć, że mogłaby zadać taki temat swoim dekarzom i murarzom. Oczywiście, już po paru zdaniach przeszliby na temat seksu. Wszystko sprowadzają do seksu. Amelia nie wiedziała, czy robią tak, żeby ją zawstydzić (śmieszne, człowiek skończył już czterdzieści lat, a wciąż się rumieni), czy też robią to naturalnie, bez względu na nią.

Ku zdziwieniu Amelii zaproszono ją na rozmowę kwalifikacyjną do Newnham. Dużo czasu minęło, nim zaświtało jej w głowie, że prawdopodobnie maczał w tym palce Victor lub też uczelnia skojarzyła nazwiska i zaprosiła ją w geście grzeczności. Odkąd pamięta, chciała studiować w Newnham. W dzieciństwie zaglądały przez główną bramę do ogrodów. Właśnie tak wyobrażała sobie niebiosą. Oczywiście w żadne niebiosą nie wierzyła. Nie wierzyła w religię. Ale to nie znaczyło, że w ogóle nie miała ochoty wierzyć w niebiosą.

Przed rozmową kwalifikacyjną wyobraziła sobie, jak spaceruje po tych samych ogrodach, jak podziwia przepiękne klomby przy alejkach i żarliwie dyskutuje z najlepszą przyjaciółką na temat *Miasteczka Middlemarch* lub *Wojny i pokoju* albo pływa łódką po rzece z przystojnym, niegrzecznym

studentem medycyny, albo że jest kimś, kogo każdy chciałby poznać - „Och, patrz, to Amelia Land, chodź porozmawiamy z nią, to taka ciekawa osoba” (albo „taka miła”, albo „taka ładna”, a niechby nawet „taka wstrętna”), jednak rzeczywistość daleko odbiegała od wyobraźni. Rozmowa kwalifikacyjna okazała się katastrofą - egzaminatorzy byli bardzo uprzejmi, nawet przejęci, wręcz zatroskani. Traktowali ją, jakby była na coś chora albo niepełnosprawna. Jednak pytania, jakie stawiali, dotyczyły dzieł i pisarzy, o których nigdy nie słyszała, gorszych niż Spenser i Pope: teraz chodziło o *Rasselasa*, *księcia Abisynii* i *Unto this Last* Johna Ruskina. Amelia nie sądziłaby nawet, że to może być literatura. Literatura to duże książki (*Miasteczko Middlemarch* i *Wojna i pokój*), w których można się zakochać i zatracić na zawsze. W taki sposób skończyła na nieco odległej i dość miernej uczelni, bez wielkich tradycji i bez intelektualnych pretensji, na której za to pozwalano pisać długie opracowania na temat miłości do *Miasteczka Middlemarch* i *Wojny i pokoju*.

Julia wróciła do kuchni i dołała sobie dzinu. Powoli zaczynała grać Amelii na nerwach.

- Myślałam, że się kąpiesz - powiedziała z irytacją w głosie.

- Kąpię się. Kto cię tak rozsierdził? -Nikt.

Amelia wzięła herbatę i przeszła do pokoju gościnnego, gdzie włączyła telewizor. Po chwili Sammy położył się obok niej na kanapie. Leciał jakiś reality show z gwiazdami telewizyjnymi. Amelia nie potrafiła rozpoznać żadnej z „gwiazd”

i doszła do przekonania, że w ich rzekomo kłopotliwym położeniu nie znajduje ani cienia realności. Nie miała ochoty

kłaść się do łóżka. Nie chciała spać w zimnej sypialni Sylvii, do której wpadało światło ulicznej latarni i której ściany zna-czyły ciągnące się od sufitu wilgotne zacieki. Może mogłaby się przenieść do pokoju dla gości? O ile Amelia dobrze wie-działa, nikt tam jeszcze nigdy nie spał. Czy mama rzuci na nią klątwę z za grobu? Jeżeli w tym domu znajduje się duch mamy (Amelia nie wierzy w duchy), to na pewno mieszka w pokoju dla gości. Wyobraziła sobie mamę, jak leży tam na wąskim łóżku, którego biała narzuta jest zabrudzona cmentarną gliną i błotem, leni się tygodniami, czyta kolorowe czasopisma i objada się czekoladowymi bombonierkami, a papierki po cukierkach wyrzuca na podłogę, bo przecież teraz nie musi już sprzątać. Może w pokoju Olivii? Czy Amelia mogłaby w nim spokojnie spać? Potrafiłaby bez drżenia serca leżeć na jej małym łóżeczku z oczami wbitymi w odchodzącą od ściany tapetę z wierszykami?

Kto porwał Olivię? Czy to Victor zakradł się nocą, czołgając się po trawie, i wyłuskał ją z namiotu swoimi wielkimi jak szufle łapskami, gdy Amelia słodko spała? Jej własny ojciec? Dlaczego nie, takie rzeczy się przecież zdarzają, prawda? A Niebieską Myszkę zatrzymał sobie jako upiorną pamiątkę? Może istnieje bardziej niewinne wyjaśnienie. (Tylko jakie?)

Zawsze znajdowały pociechę w myśli, że Olivia nie umarła, lecz mieszka gdzieś w innym domu. Wszystkie trzy latami tkwały historię losów Olivii. Porwała ją w nocy istota podobna do Królowej Śniegu, ale łaskawsza, bardziej kochająca i pochodząca z królestwa o bardziej umiarkowanym klimacie. Potężna królowa zapragnęła mieć własne dziecko, małą dziewczynkę, i jej wybór padł na Olivię, ponieważ Olivia była idealna w każdym calu. Owa wyimaginowana Olivia wychowywała się w najbardziej zbytkownym raju, jaki tylko

potrafiła wymyślić dziewczęca wyobrażenia - otulona w jedwabie i futra, karmiona słodyczami i ciastkami, otoczona psami, kotami i (nie wiadomo dlaczego) pawiami, zażywająca kąpeli w złotych wannach, śpiąca w srebrnych łóżach z baldachimem. Chociaż wiedziały, że Olivia jest szczęśliwa i niczego jej nie brakuje, to wierzyły, że pewnego dnia odzyska wolność i wróci do domu.

Dorastały, a wraz z nimi rosła Olivia i wystarczyło, że Julia osiągnęła wiek dojrzewania (jej hormony produkowały wystarczająco dużo energii, by zasilić małe miasteczko), by bajkowe życie Olivii zaczęło gwałtownie blaknąć. Mimo to tak mocno zdążyło się wryć w świadomość Amelii, że nawet teraz trudno było jej pomyśleć, że Olivia nie jest trzydziestosiedmioletnią kobietą, która mieszka samotnie w jakimś arkadyjskim buduaru, lecz od dawna nie żyje.

Do pokoju weszła Julia i wcisnęła się na kanapę między Sammy'ego i Amelię, gdzie absolutnie nie było miejsca.

- Idź stąd - burknęła Amelia.

Julia miała czekoladowy baton, przełamała go i podała część Amelii i część psu.

- Moim zdaniem, nie jest niemożliwe, by Olivia żyła - powiedziała Julia, jakby czytając w myślach Amelii (co za straszny pomysł). - Może porwał ją ktoś, kto chciał mieć dziecko, i jakaś rodzina wychowała ją jak własne. Więc zapomniała nas, zapomniała, że ma na imię Olivia, myśli, że jest kimś innym, na przykład Charlotte...

- Charlotte?

- Tak. Ale potem, na łożu śmierci porywacze wyjawili jej całą prawdę: „Charlotte, tak naprawdę nie nazywasz się Charlotte, tylko Olivia Land, mieszkałaś w Cambridge przy Owlstone Road. Masz trzy siostry, Sylwię, Amelię i Julię”.

- Czy to jest prawdopodobne, Julio?

Amelia zaczęła zmieniać kanały, aż w końcu trafiła na stary romans *Trzy kamelie*.

- Och, zostaw to! - krzyknęła zadowolona Julia.

- Woda w wannie ci się przeleje.

- Milly?

- Co?

- Wiesz, co powiedziałaś o Victorze?

- Co takiego?

- Pytałaś, czy mnie molestował. To głupie określenie. Po co ten eufemizm? Chodzi przecież o to, czy kazał mi ssać kutasa albo czy wkładał we mnie palucha, waląc sobie konia, prawda?

Amelia nie mogła znieść tych słów. Skupiła się na rozpaczającej Bette Davis i usiłowała zagłuszyć sprośności, które wyrzucała z siebie Julia.

- Tak czy siak, mowa o gwałcie - zakończyła Julia. - Skoro już zadałaś to pytanie, to odpowiem ci, że nie. Nic takiego nie zrobił. Ale próbował.

Amelia miała ochotę zasłonić uszy. Chciała teraz być głucha.

- Próbował? Czego próbował?

- Próbował wsadzić mi rękę w majtki, ale uciekłam z piskiem z pokoju. Miał mi wyjaśnić działania na ułamkach - dodała, jakby to miało jakieś znaczenie.

Taka była Julia. Krzyczała, uciekała z piskiem. Ale Amelia pozwoliłaby mu na to. Tyle że on nigdy nie próbował nic jej zrobić. Nie molestował jej.

- Tobie coś zrobił, Milly? - zapytała łagodnie Julia, kładąc dłoń na ramieniu Amelii, jakby była chora albo pogrążona w żałobie.

Kiedyś Amelia przyłapała go z Sylwią. Weszła do gabinetu bez pukania, rzecz absolutnie niedopuszczalna, pewnie

musiała być rozkojarzona, jak to ona, a w środku zobaczyła tatę i Sylwię i od tamtego czasu usilnie próbowała usunąć ten obraz z pamięci. Sylvia na biurku ojca, twarzą do blatu, jak wpółukrzyżowany męczennik, odsłonięte chude pośladki, a za nią Victor przygotowujący się...

Amelia strząsnęła dłoń Julii i odparła szorstkim głosem.

- Nic. Nic mi nie zrobił. Nie pozwoliłabym mu. Idź już się kąpać, Julio.

Amelia obudziła się nagle. W domu panowały cisza i mrok. Nie krążył tu żaden duch. Tylko latarnia za oknem miarowo brzęczała. Amelia nie pamiętała, czy Julia wyszła z łazienki, więc musiała wstać i sprawdzić, czy siostra nie utopiła się cichutko w wannie. Wanna była pusta. Na ścianach błyszczała skroplona para wodna. Dookoła leżały rozrzucone ręczniki. Julia, cała i zdrowa, spała w łóżku, jej rzeczy, jak zwykle, wisiały przerzucone bezładnie przez krzesło, a jej zmierzwione włosy były jeszcze mokre od kąpieli. Oddychała głęboko i regularnie, choć dało się słyszeć lekkie charczenie. Jej płuca zawsze rzeziły, jakby trzeba było je wyżyć po ręcznym praniu. Co robi, jeśli Julia umrze pierwsza? Jeśli zostanie zupełnie sama? (Sylvii nie można liczyć.) Sammy, który leżał na łóżku z Julią, dostrzegł Amelię i zamerdał ogonem. Amelia poprawiła Julii kołdrę i wyszła z pokoju. Pies zsunął się niezdarnie z łóżka i podążył za nią.

W drodze do sypialni Amelia zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Olivii. Sammy spojrzał na nią zdziwiony. Amelia chwyciła gałkę, przekręciła ją i weszła do środka. Przez brudne okno wlewała się do wnętrza księżycowa poświata. Położyła się na plecach na małym łóżeczku. Sammy położył się obok na podłodze z takim wysiłkiem, że aż sapnął głośno.

Właśnie w tym łóżku Olivia obudziła się ostatniego dnia swojego życia, patrzyła na te ściany. Czy żyłaby, gdyby spała tutaj, a nie w namiocie? Gdyby tylko Amelia mogła cofnąć czas, zająć miejsce Olivii tamtej nocy i przepędzić złoczyńcę, który ją zabrał. Gdyby tylko Amelia mogła być wybrana zamiast Olivii.

Theo

Dziewczynka ścisnęła w dłoni plastikową tubę z okrągłymi cukierkami - jaskrawymi kuleczkami, najprawdopodobniej wyprodukowanymi wyłącznie z chemikaliów i polepszaczy smaku. Poczęstowała nimi Thea, a on, z poczucia grzeczności, wziął cukierka. Miał smak etyliny lub benzyny do zapalniczek. Taki smak nie może raczej dobrze wpływać na rozwijające się umysły i kości. Theo nie kupował słodczy. Uwielbiał czekoladę, ale nie znosił jej kupować w sklepach, gdzie zawsze patrzono na niego z dezaprobatą. Otyli ludzie w ogóle nie mają prawa jeść, ale już na pewno powinni się trzymać z daleka od słodczy. Theo należał do internetowego klubu testerów i co miesiąc od producenta wyrobów czekoladowych otrzymywał pudełko nowej serii czekoladek, które recenzował w liście („syte i smakowite, orzechowe pralinki dają idealny kontrast smakowy”), co było jednak dość uciążliwe, bo czuł się, jakby musiał odrabiać trudne, dość osobliwe zadanie domowe. Ale w taki sposób automatycznie racjonował sobie konsumpcję czekolady - jedno pudełeczko wybornej smakołyku miesięcznie.

Tak naprawdę nie obchodził go poziom cholesterolu ani

ciśnienie krwi, byłby nawet zadowolony, gdyby mógł zejść z tego świata za sprawą zawału lub udaru. „Nie tak łatwo umrzeć od udaru, tato”, ostrzegła go przez Internet Jennifer z Toronto. „Jest bardziej prawdopodobne, że wylew przy-kuje cię do łóżka. Czy o to ci chodzi?” Może się obawiała, że będzie musiała się nim opiekować, choć on nigdy by jej tego nie zrobił. Theo uważał, że relacja między rodzicami a dzieckiem przebiega tylko w jednym kierunku; dzieciom daje się całą swoją miłość, a one nie mają obowiązku spłacać ani jednego grosza długu. Oczywiście cudownie, jeśli także darzą rodziców miłością, to już sam lukier na torcie z wisienkami i jeszcze wiórki czekoladowe, i dekoracje ze srebrnych kuleczek, i słodkie kuleczki w nadzieniu. Laura uwielbiała te kuleczki. Theo zawsze dekorował torty, które robił. Torty, ciasta, babeczki, bo po śmierci Valerie nauczył się w kuchni wszystkiego. Okazało się, że jest lepszym kucharzem od swojej żony.

Zatrudnił panią do sprzątanía, która przychodziła dwa razy w tygodniu, zatrudnił też studentkę, która odbierała córki ze szkoły i opiekowała się nimi, dopóki Theo nie wrócił z pracy. Poza tym wszystko robił samodzielnie - miał na głowie dom i dzieci, uczestniczył w spotkaniach Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, w wieczorkach rodzicielskich, zawoził dziewczynki na urodzinowe przyjęcia, sam organizował córkom huczne urodziny. Inne matki traktowały go jak honorową kobietę i twierdziły, że byłby idealną żoną, co przyjmował jako komplement.

Dziewczynka powiedziała, że ma osiem lat, ale ubrana była raczej jak nastolatka. Cóż, takie czasy. W przeszłości dzieci także ubierały się jak dorośli, więc to nic nowego. Kiedy Laura miała osiem lat, chodziła w spodniach ogrodniczkach, w dżinsach, a w najlepszym razie w ładnych su-

kienkach. Valerie mówiła na nie „sukieneczki”. Poza tym białe skarpetki powyżej kostki, sandały, bluzeczki z krótkimi rękawami i krótkie spodenki. Kupował Laurze nowe rzeczy i nigdy nie kazał jej ubierać się w to, z czego wyrosła Jennifer. Wielu ludzi uważało, że Theo rozpieszcza i psuje swoje córki, ale czy można zepsuć dziecko? Zaniedbaniem, owszem, ale miłością? Dziecku trzeba oddać całą swoją miłość, nawet jeśli oddawanie całej miłości może przynosić ból, złość i strach i nawet jeśli ostatecznie miłość może zniszczyć. Bo w końcu dzieci odchodzą, idą na uniwersytet, wychodzą za mąż, wyjeżdżają do Kanady, odchodzą do grobu. Theo odmówił drugiego cukierka.

- Powinno się poczęstować wszystkich, tak jest grzecznie - zwróciła dziewczynce uwagę Deborah Arnold.

Z pewnym ociąganiem, jak zauważył Theo, dziewczynka zsunęła się z krzesła, podeszła do biurka Deborah i nie mówiąc słowa, wyciągnęła do niej tubę z cukierkami. Deborah wzięła od razu trzy cukierki. Było w tej kobiecie coś dziwnie pociągającego. Coś budzącego lęk, ale również podziw.

- Gdzie pan pracuje? - zapytała dziewczynka.

- Jestem już na emeryturze - odpowiedział Theo, zastanawiając się, czy dziewczynka wie, co to znaczy.

- Bo jest pan już stary - skostatowała rozsądnie.

- Tak, bo jestem już stary - przyznał Theo.

- Mój tata też się wybiera na emeryturę - oświadczyła dziewczynka. - Będzie mieszkał we Francji.

Deborah zaśmiała się drwiąco.

- We Francji. - Theo nie potrafił sobie wyobrazić Jacksona we Francji. - A ty już byłaś we Francji?

- Tak, na wakacjach. Niektórzy jedli tam drozdy.

- Boże... - jęknęła Deborah Arnold. - Właściwie ani pa-

na, ani tej małej nie powinno tutaj być - dodała, jakby oboje byli winni temu, że we Francji jedzą Bogu ducha winne ptaki.

- Chciałem tylko porozmawiać z panem Brodkiem, żeby się zorientować, jak postępuje sprawa - wyjaśnił przeproszającym tonem Theo.

Deborah robiła wrażenie potwornie zajętej - stuknęła na komputerze, kserowała coś, porządkowała jakieś dokumenty, jak opętana. Czy Jackson Brodie rzeczywiście wymagał tyle zaangażowania w pracy? Wydawał się człowiekiem zbyt jowialnym i niewymagającym, by kazać asystentce tak się zapracowywać. Ona utrzymywała, że jest asystentką. On, że sekretarką.

- Pan Brodie wyszedł służbowo? - zapytał Theo, by podtrzymać konwersację.

Deborah spojrzała na niego z politowaniem zza okularów, jakby nie mogąc uwierzyć, że poważny mężczyzna daje się wpuścić w maliny i sądzi, że Jackson rzeczywiście pracuje. Odpowiedziała dopiero po pięciu minutach.

- Jest u dentysty. Znowu.

- Tatuś robi do niej piękne oczy - powiedziała dziewczynka, pakując sobie kolejnego cukierka do pełnej buzi.

Wydawało się smutne, że takie małe dziewczynki wiedzą co to znaczy „robić piękne oczy”, że w ogóle coś wiedzą o seksie. Ale może nie wiedzą, może znają tylko słowa. Ta dziewczynka, Marlee, wydawała się nad wiek rozwinięta, bardziej przypominała osiemnastolatkę niż ośmiolatkę. Nie jego osiemnastolatkę (bo Laura zawsze pozostanie dla niego osiemnastolatką): Laura miała w sobie jakąś świeżość, niewinność, bijące z wnętrza jasne światło. Jackson nigdy nie wspomniał, że ma córkę, ale z drugiej strony, kto o tym mówi i po co, prawda? Dyrektorzy banków ani kierowcy au-

tobusów nie spędzają całego czasu, mówiąc: „A tak na marginesie, mam córkę”.

- Ma pan dzieci? - zapytała Marlee.

- Tak - odpowiedział Theo. - Mam córkę w Kanadzie. Ma na imię Jennifer. Jest już dorosła.

Oczywiście czuł, że wypiera się Laury, za każdym razem, gdy odpowiadał na to pytanie, spodziewał się usłyszeć pianie koguta, ale ludzie przecież nie pytali go po to, żeby usłyszeć w odpowiedzi: „Tak, mam dwie córki, jedna żyje, mieszka w Toronto i ma się bardzo dobrze, a druga nie żyje i leży w grobie”.

- A wnuki? - pytała dalej Marlee.

- Nie. - Theo pokręcił głową.

Jennifer i jej mąż Alan - nowojorski Żyd, dobroduszny kardiochirurg - zdecydowali, że nie będą mieli dzieci, a Theo zdecydował, że nie wypada wypytywać Jennifer, skąd taka decyzja. Jennifer robi karierę zawodową, jest konsultantem ortopedycznym, oboje wiodą szczęśliwe i dostatnie życie, mieszkają wygodnie na przedmieściu i mają domek nad jeziorem Ontario, „chatę”, jak mieszkańcy Toronto osobliwie nazywają swoje duże domy nad brzegiem jeziora. Theo pojechał tam raz na całe lato. Dom był z trzech stron otoczony drzewami. Nocą wydawało mu się, że znajduje się w najspokojniejszym i najciemniejszym miejscu na ziemi, a jedynym źródłem światła, jakie dostrzegął, były robaczki świętojańskie, które do świtu tańczyły za oknem sypialni. To było cudowne miejsce, mieli tam canoe, którym wypływali na jezioro, w pobliżu zaczynały się piesze szlaki turystyczne prowadzące przez stare bory, na tarasie z widokiem na jezioro codziennie robili grilla - dla dzieciaków istny raj. Oczywiście człowiekowi nie brakuje tego, czego nigdy nie miał. Ale jeśli już posiadał i utracił, zawsze będzie mu tego

brakowało. Być może Jennifer kierowała się tylko rozważą? Skoro nie miała dziecka, nie mogła go stracić.

- Pan jest smutny?

- Nie. Tak. Czasem trochę. (Zawsze i bardzo.)

- Proszę, niech pan zje jeszcze cukierka.

- Dziękuję.

Po dziesięciu latach Theo nagle stracił cierpliwość. Dziesięć lat zbierania dowodów, dziesięć lat wytrwałego i uporczywego kolekcjonowania każdego drobiazgu, każdego szpargału, każdego skrawka czegoś, co może mieć znaczenie. Już nie chciał zbierać, chciał wiedzieć. Jackson zabrał akta spraw wszystkich jego klientów. Bagażnik i całe tylne siedzenie samochodu zapakował pudłami z historiami innych ludzi - sprawami rozwodów, domów, testamentów. Czy Jackson dostrzegł już coś w tych informacjach, niczym dobra wróżka, niczym jeden z jasnowidzów, których kiedyś zatrudniano, których Theo sam zatrudniał. Nawet policja poprosiła wtedy o pomoc jakiegoś jasnowidza, ale nie poinformowali go dokładnie o sprawie i wydawało mu się, że poszukują ciała, podczas gdy, rzecz jasna, ciała nie trzeba było szukać. Jasnowidz powiedział, że „ciało dziewczynki znajduje się w jakimś ogrodzie w pewnej odległości od rzeki”, co zawężyło poszukiwania do połowy Cambridge, jeśli ktoś miałby ochotę rozpocząć poszukiwania. Ale Laury nikt nie zamierzał szukać. Ile dziewcząt tam się znajdowało, nie obróconych przez lemiesz pługa, nie zauważonych przez przechodnia? Gdyby można było zamknąć dziewczęta w jakiejś wysokiej wieży, w lochu, w zakonie, bodaj we własnym pokoju, gdziekolwiek, gdzie byłyby bezpieczne.

Była taka dziewczyna, którą mijał niemal codziennie, cza-

sem na Regent Street, często na Sydney Street, a raz widział ją w Grafton Centre. Siedziała na starym brezencie, z kocem narzuconym na ramiona. Mała żebraczka, postać jakby wyjęta z historii, z osiemnastego wieku. Theo natknął się na nią rano przy St Andrews Street. Dał jej pięć funtów, wszystkie drobne, jakie przy sobie miał.

Dziewczyna wyglądała na schorowaną, ale pies, mieszaniec charta z owczarkiem o czarnej, lśniącej sierści, robił wrażenie zadbanego. Dziewczyna kremowo-żółte włosy miała krótko przystrzyżone, raczej wystrzępione, i wydawało się, że nikt nie daje jej pieniędzy. Może dlatego, że wcale o nie nie prosiła, nigdy nie nawiązywała kontaktu wzrokowego, nigdy nie powiedziała do nikogo nic wesołego, nic, co miałoby przechodnia wprawić w dobry humor i pozwolić mu dostrzec w niej osobę potrzebującą. Może dlatego, że wyglądała na kogoś, kto wyda każdy grosz na narkotyki. Theo uważał jednak, że dziewczyna raczej kupuje karmę dla psa. Zawsze dawał jej pieniądze, ale gryzła go myśl, że powinien zrobić coś więcej - kupić jej coś dobrego do jedzenia, znaleźć własny kątek, zapytać, jak się nazywa, cokolwiek, nim zaćpa się na śmierć, ale brakowało mu śmiałości, bał się, że próba nawiązania kontaktu zostanie opacznie zrozumiana, że dziewczyna naskoczy na niego i warknie: „Spierdalaj, dziadu, z boku jeden!”

- Czy twój ojciec wie, że tu jesteś? - Deborah Arnold zapytała Marlee.

- Mama zostawiła mu wiadomość na komórce.

- Hm, ja niestety muszę wyjść - oświadczyła Deborah. - Muszę zdążyć wrzucić list do skrzynki, zanim ją opróżnią.

Ostatnie słowa były głównie skierowane do Thea, który zastanawiał się teraz, co ma zrobić.

- Będzie ją pan miał na oku? - zapytała Deborah i skinęła głową w kierunku Marlee.

Theo miał ochotę odpowiedzieć: „Ależ jestem kimś zupełnie obcym, skąd pani wie, że nie zrobię jej krzywdy?” Deborah po swojemu zinterpretowała jego milczenie.

- To potrwa najwyżej kwadrans, a może wcześniej wróci szanowny tatuś.

Marlee usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję.

- Proszę, proszę, pan jest taki miły, niech pan się zgodzi - powiedziała.

Na co Theo pomyślał: Dobry Boże, czy nikt jej nigdy nie powiedział, że nie wolno się zadawać z nieznajomymi? To, że przypomina Świętego Mikołaja, nie oznacza, że jest pełen życzliwości i dobroci, choć Theo oczywiście jest życzliwy i dobry. Zanim zdążył zgłosić wątpliwości, Deborah wyszła z pokoju i już biegła po schodach.

- Mój tatuś zaraz wróci - pocieszyła go słodko Marlee.

„Mój tatuś”, już same słowa sprawiły, że poczuł, jak coś chwyta go za gardło. Drugim ulubionym filmem Laury, poza *Wirującym seksem*, był film *Pociągi jadą do taty*, i parę lat przed jej śmiercią kupił ten film na taśmie wideo. Wielokrotnie go oglądali i za każdym razem płakali na końcu, kiedy pociąg się zatrzymuje na stacji, kłęby pary i dymu rozpraszają się powoli, odsłaniając postać taty Bobbiego, a Jenny Agutter (która przypominała mu małą Laurę) krzyczy: „Tatuś, mój tatuś!” Było to bardzo dziwne, bo przecież dla Bobbiego była to taka szczęśliwa chwila, a mimo to nieznośnie smutna. Oczywiście od śmierci Laury ani razu nie oglądał filmu. Chyba umarłby, gdyby miał go jeszcze kiedyś zobaczyć. Theo nigdy ani przez chwilę nie wątpił, że po śmierci znowu spotka się z Laurą, a w jego głowie wyglądało to dokładnie tak

jak finałowa scena filmu *Pociągi jadą do taty* - wynurzy się z mgły, prosto w ramiona Laury, która zawoła: „Tatusiu, mój tatusiu!” Theo nie był religijny. Nie wierzył ani w Boga, ani w życie po śmierci. Po prostu wiedział, że to niemożliwe, by kochać tak mocno i nagle przestać.

Marlee się nudziła. Spalaszowała już wszystkie cukierki, więc zaczęli grać w kółko i krzyżyk, które już trochę знаła, i w wisielca, którego zupełnie nie znała, więc Theo ją nauczył, ale niebawem zaczęła marudzić, że jest głodna. Z okna Jacksona na pierwszym piętrze rozciągał się kuszący widok na witrynę sklepiku z kanapkami.

- Skręca mnie z głodu - oświadczyła melodramatycznie Marlee, zginając się przy tym w pól, by unaocznic, jak bardzo ją skręca.

Może Deborah Arnold już nie wróci? Może Jackson nie wróci? Może nie odsłuchał wiadomości od byłej żony? Może jego organizm źle zareagował na środek znieczulający u dentysty, ba, może nawet zmarł po znieczuleniu? Może wpadł pod samochód, wychodząc z gabinetu?

Theo pomyślał, że mógłby zostawić Marlee samą i wyskoczyć do sklepiku po kanapki dla nich obojga. Ile to może zająć, najwyżej dziesięć minut? Cóż może jej się stać w ciągu dziesięciu minut? Co za głupie pytanie. Theo doskonale wiedział, co się może stać w ciągu dziesięciu minut - samolot może eksplodować nad miastem albo uderzyć w budynek, pociąg może się wykoleić albo jakiś maniak w żółtym swetrze może wpaść do biura, wymachując nożem. Zostawić ją samą w biurze - co mu przyszło do głowy! Na liście niebezpiecznych miejsc biura zajmowały o wiele wyższą pozycję od samolotów, gór czy szkół.

- No to chodź - powiedział do dziewczynki. - Skoczymy

szybko na drugą stronę ulicy i kupimy sobie po smacznej kanapce.

- A jeśli wróci tatuś i nas nie zastanie? Thea bardzo wzruszyło słówko „nas”.

- Cóż, zostawimy mu na drzwiach wiadomość.

- Wracamy za dziesięć minut! - wykrzyknęła Marlee. - Tatuś zawsze zostawia taką wiadomość.

Oczywiście nie było to takie proste, jak się wydawało. Minęła piętnasta, właściciel zamykał sklepik, nie miał już wielkiego wyboru, a na widok kanapek, które im zaproponował - z jajkiem i majonezem lub wołowiną i chrzanem - Marlee zaczęła udawać, że wymiotuje. Kiedy wychodzili ze sklepiku, dziewczynka wsunęła swoją małą, suchą rączkę w dłoń Thea i ścisnęła przyjaźnie. Nagle podskoczyła z przejęcia, widząc po drugiej stronie ulicy bar z hamburgerami, i niemal siłą zaciągnęła tam Thea. Przemknęła mu przez głowę myśl o chorobie Creutzfeldta-Jakoba, ale spróbował nie dopuścić jej do siebie. Tym bardziej że dziewczynka mówiła, że ma ochotę na jakiegoś „kurczakowego burgera”, więc Theo miał nadzieję, że w burgerze znajdzie się mięso z kurczaka, a nie z szalonej krowy, ale z której części kurczaka? Czy świeże? Czym karmiono tego kurczaka? Prawdopodobnie mączką z szalonej krowy.

Kupił jej kurczakowego burgera („z frytkami”, błagała) i colę. Jak na fast food trwało to bardzo długo i Theo zaczął się zastanawiać, czy ktoś w ogóle pilnuje obsługi w tym barze. Większość pracujących tu osób wyglądała na dzieciaki, jeśli chodzi o ścisłość, australijskie dzieciaki.

Nie było ich w biurze dłużej niż dziesięć minut. Jeśli Jackson wrócił, to na pewno rozpoczął już poszukiwania na szeroką skalę. Nagle w gwarnym tłumie zagranicznych stu-

dentów pojawiła się postać Jacksona, jakby Theo wyczarował go swoimi myślami. Wyglądał na bardzo wzburzonego i z taką siłą chwycił Marlee za rękę, że dziewczynka aż pisnęła z bólu.

-Tatusiu, rozlejesz mi colę!

- Gdzie byłaś? - krzyknął do niej i spojrzał gniewnie na Thea. Co za tupet, przecież Theo tylko pilnował jego córki z troską nie mniejszą, niż robiłby to niejeden rodzic.

- Jestem tylko niańką - wyjaśnił Jacksonowi Theo. - Nie porywaczem.

-Tak... - powiedział Jackson. - Oczywiście, przepraszam, przestraszyłem się.

- Theo się mną opiekuje. - Marlee uśmiechnęła się szeroko i odgryzła duży kawałek bułki. - I kupił mi frytki. Bardzo go lubię.

Kiedy Theo wracał St Andrews Street, dziewczyny o kremowożółtych włosach już nie było i zmartwił się, że może już nigdy jej nie zobaczy. Bo tak się w życiu dzieje; człowiek jest, śmieje się, rozmawia, oddycha, a chwilę później już go nie ma. Na zawsze. I na świecie nie pozostaje po nim najmniejszy ślad, nawet cień uśmiechu, nawet szept. Nic.

Jackson

Masz mocno zaczerwienione podniebienie miękkie -mruknęła jakby do siebie Sharon. - Nie boli?

- Neeah... hrrm...

- Podejrzewam, że pękł tu jakiś wrzód, Jackson.

Wywieszka na drzwiach głosiła: „Panna S. Anderson, dyplomowany chirurg stomatolog”. Nigdy nie zaproponowała mu, by mówił jej po imieniu, choć nie widziała przeszkód, by samej tak się do niego zwracać. Dzisiaj lekarze, dyrektorzy banków, ludzie zupełnie sobie obcy mówią do siebie po imieniu. Powszechne tykanie było prawdziwym utrapieniem Binky Rain. „No więc mówię temu panu w banku, temu kasjerowi, przepraszam cię, młody człowieku, ale nie przypominam sobie, byśmy przechodzili na ty, jak dla pana, młodzieńcze, jestem pani Rain i nie obchodzi mnie, jak pan się nazywa”. Słowo kasjer zabrzmiało przy tym w ustach Binky Rain w taki sposób, że za nic w świecie nie chciałbyś wdepnąć w nie na ulicy.

Czuł się absurdalnie bezbronny i słaby, leżał na fotelu, Przybity i bezsilny, zdany na kaprysy Sharon i jej milczącej asystentki. Obie, Sharon i asystentka, miały czarne, tajem-

nicze oczy i w podobnie obojętny sposób spoglądały nimi na niego zza białych masek, jakby roztrząsały w myślach, co jeszcze by mu zrobić, niczym sadystyczne tancerki wykonujące taniec brzucha z narzędziami chirurgicznymi.

Jackson usiłował o nich nie myśleć ani o słynnej scenie z *Maratończyka*, próbował za to wyczarować w głowie jakiś obraz Francji. Mógłby tam uprawiać warzywa. Nigdy w życiu nie uprawiał warzyw, to Josie zajmowała się ogrodem, on tylko wykonywał jej polecenia, „wykop to”, „przenieś tamto”, „zetnij trawę”. We Francji warzywa z pewnością rosną same. Taka żyzna i płodna ziemia. Pomidory, brzoskwinie. Winnice, mógłby uprawiać winogrona. Oliwki, cytryny, figi - jak w Biblii. Wyobraził sobie płożące się pędy, dorodne owoce, Boże, miał erekcję. (Myśląc o warzywach! Coś z nim jest nie tak?) Spanikowany zakrztusił się własną śliną. Sharon ustawiła fotel w pionowej pozycji.

- Wszystko w porządku? - zapytała, przekrzywiając głowę i patrząc z troską w oczach, a Jackson kaszlał głośno.

Milcząca asystentka podała mu wodę w plastikowym kubku.

- Niedługo kończymy - zełgała Sharon, sprowadzając go znowu do pozycji leżącej.

Tym razem Jackson skupił myśli na czymś mniej przyjemnym, na zwłokach Laury Wyre. Powalona jak zwierzę, jak łania.

„Pan Wyre, gdzie teraz jest?” Dziwnie postawione pytanie - czy normalnie nie zapytałoby się: „Czy jest pan Wyre?” Czy rzeczywiście tak powiedział zabójca? Może pytał o panią Wyre? Może o pannę Wyre? Może Moira Tyler (jedyna osoba, z którą zabójca rozmawiał) się przesłyszała? W takim chaosie? Ale przecież w tym momencie nie było jeszcze chaosu, zabójca był po prostu petentem w żółtym swetrze golfisty, pytającym o jednego z radców.

A życie prywatne Laury? Czy było tak przejrzyste, jak mogło się wydawać? Dziewica pełna poświęceń. Czy była dziewicą? Jackson nie przypominał sobie, by wspominał o tym raport z sekcji zwłok. Oczywiście Theo wierzył, że tak. Jackson mógł sobie wyobrazić, że nawet gdyby Marlee trzy razy wychodziła za mąż, trzy razy się rozwodziła i miałyby dziesięcioro dzieci, to on wciąż ufałby, że jest dziewicą.

Prasa szybko kupiła nieskazitelność Laury. Zawsze to lepiej dla mediów, jeśli ofiarą zbrodni pada sympatyczna, przyzwoita dziewczyna z klasy średniej z uniwersyteckimi aspiracjami niż jakaś prostytutka albo opryskliwa, bezrobotna nastolatka (taka Kerry-Anne Brockley). Ale kto powiedział, że Laura Wyre nie miała tajemnic? Na przykład romansu z żonatym mężczyzną, który ukrywała przed ojcem, by go nie ranić? Może przypadkiem wpadła w sidła chorego wielbiciela, zboczeńca i kanalii, który nie dawał jej spokoju? Może była dla niego miła (czasem to wystarczyło), a on zaczął sobie wyobrażać nie wiadomo co; że jest w nim zakochana, że łączą ich jakieś kosmiczne fluidy. Było na to jakieś określenie, ale Jackson nie potrafił go sobie przypomnieć, jakiś zespół, Miinchhausena, chyba nie. W grę wchodziły cztery możliwości. Albo mężczyzna znał osobiście Thea, albo Theo był mu całkowicie obcy. Albo znał osobiście Laurę albo nie. Erotomania, tu leżał klucz do rozwiązania zagadki. To pachniało jakimś kiepskim holenderskim pornołem.

Pewne badania przeprowadzone kilka lat wcześniej wykazały, że kobieta nie czuje zagrożenia ze strony mężczyzny, który trzyma w ręku numer „Guardiana” albo ma przypiętą na piersi pacyfkę. Jackson zastanawiał się kiedyś, ilu gwałcicieli zaczęło wówczas chodzić z „Guardianem” pod pachą. Choćby taki Ted Bundy: wsadził sobie rękę w gips i żadna kobieta nie pomyślała, że coś jej grozi. Tymczasem żadna ko-

bieta nie powinna się czuć bezpieczna. Nieważne, czy jest silna jak Sigourney Weaver w *Obcym: Przebudzenie* lub Linda Hamilton w *Terminatorze 2*, bo gdziekolwiek się znajdzie, może się znaleźć także mężczyzna. Szalony mężczyzna. To, co podobało mu się najbardziej w silnych kobietach, takich jak Ripley czy Sarah Connor (tak, wie, to tylko postacie fikcyjne), to miłość macierzyńska. Bo bez względu na to, czy były rzeczywiste czy nie, motywy ich działania wyrastały z prawdziwej miłości macierzyńskiej, miłości do całego świata. Nie, Jackson, nie wchodź w to, nie myśl o Sarah Connor, pomyśl raczej o czymś złym, o rurze wydechowej w samochodzie, którą trzeba naprawić, pomyśl o czymś nudnym. O golfie.

- Wyciągnęłam ropę, Jackson - szepnęła Sharon łagodnym głosem. - Założę teraz opatrunek. Ale tymczasowy. Nie wolno leczyć objawów, trzeba wyeliminować przyczynę. Korzeń.

Najbliższy krąg przyjaciół Laury w szkole tworzyli Christina, Ayshea, Josh, Joanna, Tom, Eleanor, Emma, Hannah i Pansy. Jackson wiedział to, bo Theo miał planszę, zatytułowaną „Znajomi Laury ze szkoły”. Obok wisiała inna plansza, zatytułowana „Znajomi Laury spoza szkoły” (z klubu pletwonurków, z pubu, w którym pracowała, i tak dalej). Istniała też trzecia tablica, zatytułowana „Przypadkowe znajomości Laury” (gdzie Theo umieścił właściwie wszystkie osoby, których drogi przecięły się z drogami Laury).

„Znajomi Laury ze szkoły” tworzyli numerowaną listę, gdzie kolejny numer miał świadczyć o stopniu zażyłości znajomości - numer jeden to najlepsza przyjaciółka i tak dalej. Theo wymienił na niej wszystkich uczniów i uczennice ze szkoły. Ile czasu zajęło mu określenie, czy dana osoba powinna znaleźć się na sto ósmym czy też może sto dziewię-

tym miejscu na liście? Żeby chociaż opracował tę listę na komputerze, ale nie, Theo wykonał benedyktyńską pracę i wypisał nazwiska odręcznie. Facet jest chyba szurnięty.

Wszyscy mieli kolorem oznaczoną płeć - dziewczęta były wypisane niebieskim flamastrem, chłopcy czerwonym. Jeden rzut oka na tablice pozwalał się zorientować, że znakomitą większość znajomych Laury stanowiły dziewczęta. Cała pierwsza dziesiątka była niebieska poza dwoma wyjątkami, Joshem i Tomem. Laura Wyre najwyraźniej była dziewczyną lubiącą przebywać wśród dziewczyn, której jednak nie było dane zostać kobietą lubiącą przebywać wśród kobiet. Listę kończyła długa, czerwona falanga nazwisk -spora grupa chłopaków, których Laura prawdopodobnie nawet nie zauważała, nie mówiąc już o zamienieniu z nimi choćby paru słów. Pomysł użycia czerwonego koloru jakoś szczególnie wyróżniał chłopców i zdawał się czynić ich bardziej niebezpiecznymi lub w jakimś sensie niepoprawnymi. Jacksonowi przypomniały się jego sprawdziany z czasów szkolnych, z pajęczyną uwag zapisanych gęsto czerwonym nauczycielskim piórem. Dopiero kiedy skończył szkołę i poszedł do wojska, odkrył, że wcale nie jest taki głupi.

Policja przesłuchiwała wszystkie dziewczęta ze szkoły Laury z wyjątkiem tych z pierwszej dziesiątki na liście. „Urlopy dziekańskie”, wyjaśnił Jacksonowi Theo. Bał się, że Laura również wpadnie na pomysł, by wziąć rok wolnego od nauki i odwiedzić jakieś niebezpieczne zakątki świata. A przecież bezpieczniejsza byłaby w zapchlonej, pełnej heroiny noclegowni w Bangkoku niż w kancelarii własnego ojca. *Mea culpa*, mówił Jacksonowi Theo ze swoim smutnym, psim uśmiechem.

W ciągu całego śledztwa policja ani przez chwilę nie wątpiła, że Laura była nieszczęśliwą, zupełnie przypadko-

wą ofiarą, a głównym celem zabójcy miał być Theo Wyre. Jackson przypominał sobie Boba Pecka w serialu *Na krawędzi mroku* - nie ma już dzisiaj takich produkcji w telewizji, to bodaj ostatni najlepszy serial BBC, jaki Jackson oglądał. 1984? 1985? O ile dobrze pamiętał, to był 1985 rok. Trzy lata po wojnie o Falklandy. Howell odszedł z wojska, a Jackson zaciągnął się na następne pięć lat. Chodził wtedy z dziewczyną o imieniu Carol, która jednak niebawem przyłączyła się do kampanii na rzecz rozbrojenia nuklearnego, przypięła pacyfkę i oświadczyła, że jej poglądy polityczne są niekompatybilne z tym, co ją łączy z Jacksonem. Co prawda Jackson przekonywał ją, że specjalnie nie gustuje w broni nuklearnej, ale ona mimo wszystko wyżej przedkładała przykuwanie się łańcuchami do różnych nieruchomych obiektów i wykrzykiwanie sprośności pod adresem policjantów w Thames Valley.

W 1985 roku Laura Wyre miała dziewięć lat, a Olivia Land nie żyła od piętnastu lat. W filmie *Na krawędzi mroku* Ronald Craven, postać grana przez Boba Pecka, też miał obsesję na punkcie swojej córki. Miała na imię Emma - takie samo imię nosiła dziewczyna uwzględniona na piątym miejscu czerwono-niebieskiej listy Thea, jedyna z czołówki, która nadal mieszkała w miarę niedaleko Cambridge. Numer jeden, Christina, wyszła za mąż i mieszkała w Australii, Ayshea była nauczycielką w Dorset, Tom pracował ostatnio w parlamencie Unii Europejskiej w Strasburgu, Josh zdawał się zupełnie zniknąć z mapy świata, Joanna była lekarką w Dublinie, Hannah wyjechała do Stanów Zjednoczonych, Eleanor była radcą prawnym w Newcastle, a Pansy pracowała w jakimś wydawnictwie w Szkocji. Prawdziwa dziewczęca hidzra. Uciekały przed czymś, od czegoś? („Jeśli biegiesz bez opamiętania, dotrzesz do miejsca, z którego wystarto-

waleś, Jackson".) Chciał porozmawiać z kimś, kto patrzył na Laurę innymi oczami niż Theo. Nie dlatego, że obraz Laury w oczach ojca nie był autentyczny. Bez względu na to, jak silna więź łączyła go z córką, były z pewnością rzeczy, których u niej nie zauważał lub nie rozumiał. Nie mogło być inaczej. One zawsze kryją tajemnice, choćbyś nie wiadomo jak tego nie znoś.

Emma Drake mieszkała w dzielnicy Crouch End i pracowała w redakcji BBC. Kiedy do niej zadzwonił, chętnie zgodziła się na rozmowę i zaproponowała „małego drinka” po pracy, naprzeciwko siedziby BBC przy ulicy Langham.

Była to bardzo sympatyczna dziewczyna, taktowna i rozmowna. Wypiła trzy Manhattany, jeden po drugim, jakby jak najszybciej chciała zapomnieć o trudach dnia. Nie jest już dziewczyną, poprawił się w myślach Jackson. Jest dorosłą, dwudziestoosmioletnią kobietą.

- Pamiętam, jak myślałam, że to mogłam być ja - powiedziała i wrzuciła do ust orzeszka. - Nie jadłam cały dzień, pan wybaczy - dodała przeproszającym tonem. - Nie mogłam wyjść ze studia. To było chyba egoistyczne myślenie, prawda?

- Niezupełnie - odparł Jackson.

- Choć właściwie wiem, że to nie mogło mi się przytrafić, nie było mnie tam, w tej kancelarii, dokładnie w tamtej chwili, ale w ślepej przemocy jest coś takiego...

- Czy na pewno ślepej? - przerwał jej Jackson. - Nie pomyślała pani, że mężczyzna, który zabił Laurę, chciał zabić właśnie ją, że to ona była jego celem, a nie ojciec?

Przy fortepianie w kącie sali usiadł starszy mężczyzna w smokingu, teatralnym gestem uniósł dłonie nad klawiaturą, jak Liberace, zanim uderzył w klawisze i z rozmachem

zaczął grać kwiecistą wersję standardu *Some Enchanted Evening*.

- O rany... - Emma Drake zrobiła minę i parsknęła śmiechem.
- Nie wiem - ciągnęła po chwili. - Może kogoś poznała. Miałam wrażenie, że po szkole wszyscy wyjechali za granicę, w podróż albo do pracy. Laura była jedną z nielicznych osób, które postanowiły rozpocząć studia zaraz po wakacjach. Ja byłam w Peru, o jej śmierci dowiedziałam się dopiero parę tygodni później. Co gorsza, odniosłam wrażenie, że dla wszystkich sprawa przeszła już do historii.

- Może jednak przypomni pani sobie jakiś drobiazg, który dotąd umknął uwagi innych? - nie ustępował Jackson

Zastanawiał się, czy kolejny Manhattan rozwiąże jej język, czy raczej go zapłaci i czy powinien poić młode kobiety alkoholem, a potem puszczać je na niebezpieczne ulice Londynu, by same sobie radziły. Czy tak samo będzie z Marlee? Zdobędzie dobre wykształcenie, dostanie się na uniwersytet i skończy na jakimś marnym etacie w BBC? Któregoś dnia wypije jednego za dużo i będzie wracać sama metrem do wynajętego mieszkania na szarym końcu Crouch End? Jackson zaproponował Emmie Drake kawę i odetchnął z ulgą, gdy się zgodziła.

- Przepraszam, ale jakoś nic nie przychodzi mi do głowy - odpowiedziała, marszcząc brwi i rzucając kose spojrzenie pianicie, który przerzucił się właśnie na składankę Andrew Lloyda Webbera. - No, nie wiem, była ta sprawa z panem Jessopem.

- Panem Jessopem?

- Stanem. - Zmarszczyła brwi jeszcze bardziej, ale chyba nie miało to związku z *Upiorem w operze*. - To był jej nauczyciel biologii.

- Sprawa? Coś ich łączyło?

To nazwisko nie było mu obce. Stan Jessop. Widział je już na jednej z tablic w domu Thea, zatytułowanej „Nauczyciele Laury”. Policja przesłuchiwała go dwa dni po morderstwie i wykluczyła z kręgu podejrzanych. Emma Drake zagryzła wargi i zakręciła resztką drinka na dnie kieliszka.

- Nie wiem, musiałby pan zapytać Christinę, ona była bliżej z Laurą niż ja. Zresztą też miała zajęcia z panem Jessopem.

- Christina hoduje owce na jakiejś farmie w australijskim buszu.

- Co pan powie! - Emma ożywiła się na moment. -Niesamowite. Wszyscy straciliśmy ze sobą kontakt. Nie do pomyślenia, prawda? Aż trudno uwierzyć.

Och, wcale nie tak trudno, pomyślał Jackson. Prędzej czy później z każdym traci się kontakt.

Podano kawę i Jackson pomyślał, że powinien chyba zamówić dla niej także jakąś kanapkę. Co takie dziewczyny jak ona jedzą w domu, kiedy w końcu wieczorem tam dotrą? Czy takie dziewczyny w ogóle coś jedzą?

- Wie pan, obiecaliśmy sobie, że spotkamy się dokładnie po dziesięciu latach, licząc od dnia, w którym pożegnaliśmy szkołę - powiedziała. - Umówiliśmy się wtedy przed pawilonem Hobbsa. Termin minął parę tygodni temu. Oczywiście nikt nie przyszedł.

- A pani?

Przytaknęła głową, a w jej oczach zakręciły się łzy.

- Głupia. Czułam się jak kretyńka, stałam i czekałam, nie wiadomo na co. Nie sądziłam, że ktoś się pojawi. Naprawdę. Ale uważałam, że powinnam przyjść, tak na wszelki wypadek. Nie chodzi o to, że nikt nie przyszedł, chodzi o to, że nie przyszła Laura. To znaczy, wiem, że nie żyje, i przecież się jej nie spodziewałam, tylko że to mi otworzyło oczy...

Dla Laury nie było żadnego „po dziesięciu latach”, nie było dla niej przyszłości. Dla niej zatrzymał się cały świat. Tak po prostu.

Jackson podał jej papierową chusteczkę (zawsze miał przy sobie chusteczki, połowa osób, z którymi się spotykał, kończyła rozmowę we łzach).

- Co było z panem Jessopem?

- To były właściwie tylko plotki. Laura nie należała do osób bardzo skrytych, ale była dyskretna. Nie lubiła o sobie dużo mówić. Boże, mówię jak moja matka. W sumie nie myślę o Laurze. To okropne, prawda? Okropne, że koniec końców o człowieku nikt nie pamięta, a jeśli ktoś pamięta, to powtarza tylko frazesy. Bo przecież myślałam o niej, kiedy stałam przed pawilonem Hobbsa, ale wiedziałam, że nawet jeśli ktoś się zjawi, to nie ma nadziei, by przyszła Laura. Ale poza tą jedną chwilą, to... - Jeszcze mocniej zagryzła wargi i Jackson chciał ją powstrzymać, bo bał się, że przegryzie sobie skórę. - ... jakby nigdy jej nie było - zakończyła matowym głosem.

- Podobno nie była dziewicą - napomknął Jackson, ciekawy, co z tego wyniknie.

Emma westchnęła.

- Cóż, a która z nas była? Laura nie była przecież święta. Była normalna, jak każda dziewczyna.

- Ale zdaje się, że nie miała chłopaka. W każdym razie policja żadnego nie przesłuchiwała.

- Tak naprawdę z żadnym nie chodziła. Przespała się z jednym czy drugim i to wszystko.

Czy to normalne? Tak zachowywały się dziewczęta dziesięć lat temu? Jeśli tak, to co dziewczęta w tym wieku robią teraz? I co będą robić za dziesięć lat? Kiedy Marlee osiągnie wiek, w którym Laura zeszła z tego świata? Jezu.

- Najbardziej przyjaźniła się z Joshem. Znali się jeszcze z podstawówki. Nie przepadałam za nim. Wydawał mi się zarozumiały. Ale to był bystry chłopak.

- Nie udało mi się ustalić, co się z nim teraz dzieje - powiedział Jackson.

- Nie skończył szkoły, o ile wiem, jest didżejem w Amsterdamie. To właśnie z nim Laura straciła dziewictwo.

- Jej ojciec uważa, że była dziewicą. Emma się roześmiała.

- Ojcowie zawsze tak myślą o córkach.

- Nawet jeśli mają dowód wskazujący na coś wręcz przeciwnego?

- Zwłaszcza wtedy.

- Co z tym Jessopem? - Jackson wrócił do tematu.

- Och, wszystkim nam wpadł w oko. - Na wspomnienie nauczyciela twarz Emmy rozjaśniła się uśmiechem. - Był naprawdę słodki, o wiele za przystojny jak na nauczyciela. Laura i Christina miały z nim zajęcia. Laura była jego pupilką, najlepszą uczennicą, gwiazdą i w ogóle. Ale bez podtekstów, on miał żonę i dziecko.

(Jakby to miało znaczenie.)

- Laura często się opiekowała ich dzieckiem. Czasem chodziłam tam z nią dla towarzystwa. Laura twierdziła, że nie umie się opiekować dziećmi, ale z Niną, córeczką Jessopów, szło jej znakomicie. Laura polubiła żonę pana Jessopa, Kim. Świetnie się rozumiały. Mnie to się wydawało śmieszne, bo Kim była pospolita... - Emma przyłożyła dłoń do ust. - Boże, wiem, że nieładnie tak mówić, to trąci snobizmem. Ale wie pan, co mam na myśli, wysztafirowana blondyna z prowincji. O rany, lepiej będzie, jak się zamknę.

Dziewczyna była kopalnią informacji. Jednak nikt jej nie przesłuchał. Nikt nie przesłuchał też Kim Jessop.

- Dotychczas nikt nie wspominał o Laurze i Jessopie -powiedział Jackson.

- Hm, przecież to nie on był tym szaleńcem, który zabił Laurę, prawda? Wie pan, to były tylko plotki, takie tam zadurzenie. Żle, że w ogóle o tym mówię.

- W dzisiejszych czasach to nic nadzwyczajnego, gdy uczennica podkochuje się w nauczycielu. Laura na pewno nie miałaby nic przeciwko temu, byśmy o tym rozmawiali.

Jakby Laura żyła, jakby istniała gdzieś w rzeczywistości. Laurze Wyre wszystko jest już obojętne.

- Och nie, nie, pan mnie źle zrozumiał, wcale nie mówiłam, że Laura się podkochiwała w panu Jessopie, to raczej pan Jessop się podkochiwał. W Laurze.

Jackson wsadził Emmę Drake do taksówki i pańskim gestem dał taksówkarzowi dwudziestopięcioletni banknot, z prośbą, by zawiózł dziewczynę na Crouch End i odprowadził ją pod same drzwi mieszkania. Potem ruszył w swoją tańszą podróż do stacji Kings Cross i przez całą drogę do domu patrzył tępo w okno.

- Gotowe, Jackson, wszystko połatane, można używać.

Sharon ściągnęła z twarzy maskę i uśmiechnęła się do niego czule, jak do trzyletniego dziecka. Pomyślał, że zaraz wręczy mu lizaka albo kolorową nalepkę.

- Umówimy teraz jakiś termin na usunięcie tego korzenia, dobrze?

Był pewien, że Sharon w przenośni mówiła o eliminowaniu przyczyn, że chodziło jej o ukryte znaczenia, a nie o prawdziwy korzeń. W jego głowie.

Dopiero na ulicy sprawdził skrzynkę głosową w telefonie. Znalazł wiadomość od Josie, która prosiła, aby po południu zaopiekował się Marlee, i informowała, że córka czeka w jego biurze. Tyle tylko, że wcale nie czekała. Biuro było puste i otwarte. W drzwiach znalazł kartkę z informacją „Wracamy za dziesięć minut”, napisaną znanym mu pismem, ale nie było to pismo ani Deborah, ani Marlee. Dopiero po dłuższym namyśle zdał sobie sprawę, że to pismo Thea (Bóg jeden wie, ile notatek napisanych tą ręką widział w ostatnich dniach). Tym razem jednak słowa skreślone były neutralnym czarnym kolorem. Zdanie „Wracamy za dziesięć minut” nie mówiło wiele, jeśli nie znało się godziny, od której należy liczyć upływ minut. Jackson poczuł nagle paniczny strach: Kim właściwie jest Theo? Co on o nim wie? Robił wrażenie sympatycznego człowieka, dobrodusznego misia, całkowicie nieszkodliwego, ale przecież psychopaci nie mają na czole wytatuowane: „Jestem psychopatą” Dlaczego uważał, że Theo to dobry człowiek? Bo jego córka tragicznie zginęła? Czy to gwarancja?

Jackson rzucił się ku schodom i po chwili wybiegł na ulicę. Gdzie ona jest? Z Theem? Z Deborah? Sama? Z nieznanym? Kiedyś chciał kupić Marlee telefon komórkowy, ale Josie się nie zgodziła (kiedy właściwie stała się jedyną osobą, która podejmuje decyzje w sprawie ich dziecka?). Pomyśleć, jak bardzo by się teraz przydał. Kątem oka Jackson dostrzegł sylwetkę Thea, który wychodził z baru nieopodal, po tej samej stronie ulicy. Był tak wielki, że nie sposób go było nie zauważyć. Marlee była z nim. Bogu dzięki. Miała na sobie krótką spódniczkę i top. Jezu, w Internecie roi się od zdjęć tak skąpo ubranych dziewczynek.

Nie bacząc na uprzejmości, Jackson zaczął się przepychać przez zbity tłumek mówiących po hiszpańsku nasto-

latków. Po chwili złapał Mariée za ramię i krzyknął: „Gdzie byłaś?” Miał ochotę uderzyć Thea, ale nie bardzo wiedział za co, bo było oczywiste, że Mariée ma się całkiem dobrze i napycha sobie buzię frytkami. Za cukierka poszłaby prawdopodobnie z byle nieznajomym.

- Jestem tylko niańką - odezwał się Theo. - Nie porywaczem. Jackson zawstydział się.

- Tak... Oczywiście, przepraszam, przestraszyłem się.

- Pan Theo się mną opiekuje - dodała Mariée. - I kupił mi frytki. Bardzo go lubię. - Jezu Chryste, to jest aż takie proste?

- Mama tak po prostu cię tu zostawiła? - zapytał Jackson, kiedy wrócili do biura.

- Nie, David mnie przywiózł.

- Ach, więc to David cię zostawił. ¹ Co za palant.

- Była Deborah.

- Ale teraz jej nie ma. - (Gdzie ona jest, u diabła?)

-Zostawiliście otwarte biuro, każdy mógł wejść, a ty oddaliłaś się z zupełnie obcym człowiekiem! Masz pojęcie, czym to się mogło skończyć?

- Nie znasz Thea?

- Znam, ale nie w tym rzecz. Ty go nie znałaś. Warga Mariée zaczęła drzeć.

- To nie moja wina, tatusiu - wyszeptała.

Jackson poczuł nagle skruchę i przyływ winy. '

- Przepraszam, złotko. - powiedział. - Masz rację, to ja zawiniłem. - Objął ją i pocałował w czubek głowy. Pachniała cytrynowym szamponem i tłuszczem hamburgera. - Dałem plamę - szepnął jej we włosy.

- Przepraszam, można wejść?

W progu stała niepewnie jakaś kobieta. Jackson uwolnił z objęć Marlee, która cierpliwie pozwalała mu się ścisnąć.

- Chciałam się umówić na rozmowę - oznajmiła kobieta.

Kobieta pod czterdziestkę, dzinsy, T-shirt, sandały wiązane na rzemyki, dość wysportowana sylwetka (Jackson postawiłby na kick boxing), ale oczy podkrążone. Typ Sarah Connor. Albo pielęgniarki z serialu *Ostry dyżur*, o której wszyscy mężczyźni mówili, że traktowaliby ją lepiej niż jej koledzy z ekranu. (Od rozwodu Jackson zaczął częściej oglądać telewizję.) Dostrzegł w niej coś swojskiego. Większość osób, które wydały się Jacksonowi swojskie, okazywała się potem przestępcami, ale ta kobieta nie wyglądała na przestępczynię.

- Ee... proszę. - Niepewnie zatoczył ręką koło. - Możemy porozmawiać teraz, jeśli pani chce.

Kobieta zerknęła na małą Marlee.

- Jednak wolałabym się umówić - powiedziała, a Jackson od razu wiedział, że chodzi o coś, o czym nie chciałby wcale wiedzieć.

Umówili się w środę na godzinę jedenastą, bo, jak wyjaśniła: „W środę mam nockę”, a Jackson znowu pomyślał: pielęgniarka. Zapewne dlatego dostrzegł w niej coś swojskiego; pielęgniarki i policjanci zbyt często się spotykali przy okazji swych powinności służbowych. Lubił pielęgniarki i to wcale nie z powodu serialu komediowego *Do dzieła* ani z powodu szmirowatych pocztówek z ich podobiznami, ani rajcujących strojów, ani z innych podobnych powodów; nie lubił tych grubych, z wielkimi zadkami, przyziemnych i pozbawionych wyobraźni (a było takich wiele), lubił te, które rozumiały cudze cierpienie, które same cierpiały, te z podkrążonymi oczami, które przypominały Sarah Connor. Te,

które rozumiały ból, tak jak rozumieją go w swoich piosenkach Trisha, Emmylou albo Lucinda. A może one rozumieją ból także wówczas, kiedy nie śpiewają, kto wie.

Z całą pewnością coś w sobie miała. Jakieś je *ne sais quoi*. Miała na imię Shirley, tak się przedstawiła, i dobrze wiedział, po co tu przyszła. Straciła kogoś. Widział to w jej oczach.

- Wracamy do domu? - zapytała Marlee i westchnęła demonstracyjnie, wsiadając na tylne siedzenie samochodu.-Umieram z głodu.

- Chyba nie jesteś głodna?

- Właśnie, że jestem. Przecież rosnę - dodała na swoją obronę.

- Nigdy bym nie zauważył.

- W samochodzie śmierdzi papierosami, ohyda. Tatusiu, nie powinieneś palić.

- Teraz nie palę. Usiądź z drugiej strony, nie za mną.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie?

(Bo jeśli z jakichś powodów pas bezpieczeństwa zawiedzie, to wylecisz z auta przez przednią szybę, co statystycznie rzadziej kończy się tragicznie niż bezpośrednio uderzenie w kierowcę.) Marlee przesunęła się na lewą stronę. (Miejsce księżnej Diany.) Zablokowała zamek w drzwiach.

- Nie blokuj drzwi, Marlee.

- Dlaczego.

- Po prostu nie blokuj.

(Łatwiej będzie cię wydostać z zewnątrz, jeśli w samochodzie wybuchnie pożar.)

- Czego chciała ta pani?

- Panna Morrison? - (Shirley. Ładne imię.) - Zapięłaś pasy?

-No...

- Nie mówi się „no...”, tylko „tak”. Nie wiem, czego chciała pani Morrison.

Wiedział. Widział to w jej oczach. Straciła coś albo kogoś. Jeszcze jeden punkt po stronie strat w wielkim arkuszu zysków i strat.

Najbardziej interesującą sprawą od miesiący była sprawa Nicoli Spencer (co mówi samo za siebie), wszystkie pozostałe to nuda i rutyna. I nagle ni stąd, ni zowąd, w ciągu niespełna paru tygodni zlecają mu sprawę morderstwa, tajemniczego zniknięcia dziecka, do którego doszło z górą trzydzieści lat wcześniej, a teraz jeszcze zrozpaczona Shirley Morrison.

Zerkał w lusterku wstecznym na Marlee, która wierciła się na tylnym siedzeniu niczym miniaturowy Houdini. Raptem zniknęła mu z oczu.

- Co robisz? Masz zapięty pas?

-Tak, chcę tylko zobaczyć, co to jest, tu... na podłodze... - Jej słowo przerywało stękanie z wysiłku.

- Co takiego?

- O, to! - krzyknęła triumfująco, pojawiając się raptem jak nurek na powierzchni wody. - To chyba jakaś puszka.

Jackson spojrział w lusterko na przedmiot, który dziewczynka uniosła wyżej, by mógł mu się przyjrzeć. Jezu Chryste, prochy Victora.

- Odlóż to, kochanie.

- Ale co to jest?

Usiłowała otworzyć brzydki, metalowy pojemnik. Jackson wyciągnął rękę do tyłu i wyrwał jej urnę z rąk. Samochodem lekko zakołysało, a dziewczynka pisnęła ze strachu. Postawił prochy z przodu na podłodze, przed siedzeniem pasażera. Julia poprosiła go, by rano odebrał prochy z zakładu kremacyjnego, „bo przecież pan ma samochód, panie

Brodie, a my nie", niepodważalny argument, który jednak nie do końca przekonywał Jacksona, zważywszy na to, że w ogóle nie znał Victora. „Ależ był pan jedynym gościem na pogrzebie", powiedziała Julia.

- Chyba nie będziesz płakać, kochanie?

- Nie - odparła bardzo zagniewana. Kiedy Marlee się gniewała, budziły się w niej demony. - O mało nie rozbiłeś samochodu.

- Ależ nie.

Zajrzał do schowka koło kierownicy w poszukiwaniu cukierków, ale nic nie znalazł poza papierosami i drobnymi na parkometry. Dał jej monety.

- Co jest w tej puszcze? - nalegała Marlee, łaskawie przyjmując pieniądze. - Coś złego?

- Nie. Nic złego.

Dlaczego nie miałby jej powiedzieć, co znajduje się w urnie. Przecież dziewczynka pojmuje już, czym jest życie i śmierć. Podczas swego ośmioletniego pobytu na ziemi pochowała niejednego chomika, a przed rokiem Josie zabrała ją na pogrzeb swojej mamy.

- Wiesz, kochanie... - zaczął niepewnie - Wiesz, jak to jest, gdy człowiek umiera?

- Nudzę się!

- Zagrajmy w coś. - W co?

Dobre pytanie. Jackson nie znał wielu słownych gier.

- Już wiem. Gdybyś miała być psem, to jakiej rasy?

- Skąd mam wiedzieć. - I tyle. Marlee zaczęła się niecierpliwić. - Jestem głodna, tato. Tato.

- No... dobrze, zjemy coś po drodze.

- Nie mówi się „no" Po drodze dokąd?

- Do klasztoru.
- Co to klasztor?
- Ten akurat, to miejsce, w którym mieszka w zamknięciu grupa kobiet.
- Dlatego, że są złe?
- Nie. Dlatego, że są dobre. Mam taką nadzieję.

Hm, to dobry sposób, by zapewnić kobiecie bezpieczeństwo. Po prostu zamknąć ją w klasztorze. „Wstąp do klasztoru”, radzi przecież Hamlet Ofelii. W klasztorze pachniało jak w każdym katolickim kościele, w którym Jacksonowi zdarzało się bywać - nadmiar kadzidła i pasty do podłogi. Ludzie zawsze mu mówili: „Jeśli ktoś zostaje katolikiem, to na zawsze”, ale nie była to prawda, Jackson nie wszedł do kościoła od wielu lat - nie licząc pogrzebów (śluby i chrzciny jakoś nie zajmowały miejsca w jego kalendarzu towarzyskim) - i nie wierzył w żadnego Boga. Jego mama, Fidelma, robiła wszystko, by wychować dzieci w duchu religijnym, ale w pamięci Jacksona jakoś niewiele z tego nie zostało. Czasem fragmenty, dawno zapomniany głos matki: *Anima Christi, sanctifica me.*

Rodzice wyjechali do północnej Anglii. Jackson nigdy się nie dowiedział, jak i dlaczego. Jego ojciec, Robert, był górnikiem z Fife, a mama pochodziła z hrabstwa Mayo - niezbyt to harmonijny celtycki związek, można powiedzieć. Jackson miał starszego brata Francisca i starszą siostrę Niamh. Francis otrzymał imię po dziadku ze strony matki, a Jackson po babce ze strony ojca. Oczywiście babka nie miała na imię Jackson, ale tak brzmiało jej nazwisko panieńskie (Margaret Jackson), a taka była, jak oznajmił mu ojciec, stara szkocka tradycja.

Jackson nie miał pojęcia, po kim (jeśli w ogóle po kimś)

otrzymała swoje imię Niamh. Jego wspaniała siostra, o rok młodsza od Francisa i pięć lat starsza od Jacksona. Po urodzeniu Niamh mama zaczęła stosować kalendarzyk małżeński, przez długi czas z powodzeniem, i w ten sposób Jackson stał się spóźnionym, nieoczekiwanym dodatkiem, poczętym w domku letniskowym w Ayrshire. Beniaminek całej rodziny.

- O czym myślisz, tato?

- O niczym, kochanie.

Oboje mówili szeptem, chociaż siostra Michaela, gruba i głośna zakonnica, pod której opieką się znaleźli, mówiła tubalnym głosem, odbijającym się echem po całym korytarzu.

Siostra Michaela, wiedział to od Amelii i Julii, mogła wychodzić poza mury klasztoru. W klasztorze mieszkało sześć sióstr utrzymujących kontakt ze światem zewnętrznym także w imieniu sióstr pozostających w klauzurze, czyli tych, które nie opuszczały budynku i które wszystkie chwile, aż po te ostatnie, spędzały na modlitwie i kontemplacji. Sylvia pozostawała w klauzurze.

Marlee zafascynował ten nowy dla niej świat.

- Dlaczego ta siostra ma na imię Michaela? - zapytała.

- Przybrała imię po świętym - wyjaśnił Jackson. - Świętym Michale.

Ciekawe, dlaczego święty Michał jest znakiem firmowym sieci Marks & Spencer? Żeby brzmiało mniej po żydowsku? Czy siostra Michaela zna odpowiedź na to pytanie? Oczywiście nie miał zamiaru pytać. Jackson wiedział, że święty Michał jest patronem spadochroniarzy. Czy z powodu skrzydeł? Ale przecież skrzydła mają wszystkie anioły. (Jackson oczywiście nie wierzył w istnienie aniołów.) Długi korytarz, który przechodził w następny korytarz, a potem w kolejny, zdobiły rzeźby i obrazy - święty Franciszek, na-

turalnie święta Klara i mnóstwo sarniokich Chrystusów na krzyżu, krwawiących i bolejących *Corpus Christi, salva me.*

Boże, zupełnie zapomniał, jak wielką rolę odgrywa tu cierpienie fizyczne. „Sadomasochistyczny, homoerotyczny nonsens”, podsumowała to zgryźliwie Amelia. Dlaczego jest taka drażliwa? Z pewnością nie ma to nic wspólnego z Olivią. Ani ze śmiercią ojca. Wiedział, że to najbardziej politycznie niepoprawna myśl, jaka mogła przyjść mu do głowy, i że nigdy, Boże broń, nie odważyłby się nikomu powiedzieć tego głośno, nawet za milion lat, ale powiedzmy to szczerze, Amelię po prostu powinien ktoś przelecieć.

- To Matka Boska z Krakowa - tłumaczyła Marlee siostra Michaela, pokazując jej statuetkę w szklanej gablotce. - W czasie wojny figurkę wywiózł z Polski pewien ksiądz. W obliczu zagrożenia narodowego z jej oczu płyną łzy.

Jackson pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby ksiądz uratował parę żydowskich istnień niż gipsową statuetkę.

- Płacze? - Marlee była zdumiona.

- Tak, po jej policzkach płyną prawdziwe łzy.

Jackson miał ochotę się wtrącić: „To wierutne bzdury, Marlee, nie słuchaj tych bredni”, ale siostra Michaela odwróciła się i rzuciła mu srogie spojrzenie. Mimo okrągłej, wesołej twarzy, miała oczy zakonnicy, a oczy zakonnicy, Jackson to wiedział, potrafią czytać w myślach innych ludzi, więc z szacunkiem skinął tylko głową w kierunku statuetki. *Sanguis Christi, inebria me.*

Siostra Michaela powiedziała, że siostra Maria Łukasza czeka, i ruszyła dalej, prowadząc ich głębiej w meandry klasztornych korytarzy. Jej habit trzepotał, gdy szła naprzód zdecydowanym krokiem. Jackson pamiętał, nie wiadomo skąd, że zakonnice potrafią szybko się poruszać, choć nigdy nie biegają, jakby były na kółkach (może to wchodzi

w zakres klasztornych ćwiczeń). Dziwił się, że przestępcy nie wykorzystują habitów do maskowania się. To idealne rozwiązanie - nikt nie zapamiętałby twarzy, każdy pamiętałby tylko ubiór. Weźmy choćby przypadek morderstwa Laury Land, żaden ze świadków nie zapamiętał twarzy, a wszyscy mówili o jasnożółtym swetrze golfisty.

Jackson myślał, że Julia powiedziała o Sylvii, że jest „chartem”, ale być może chodziło jej o to, że Sylvia ma charta - ponieważ rzeczywiście go miała. Siedział przy niej spokojnie, kiedy stanęli twarzą w twarz. Dzieliło ich tylko lekkie przepierzenie. Ona stała z jednej strony okratowania, oni z drugiej - układ, który trochę przypominał spotkania w więziennej sali widzeń, a trochę harem, choć Jackson nie bardzo wiedział, z jakiego zakątka pamięci pochodził ulotny obraz haremu. Uznał, że od biedy Sylvia może wyglądem przypominać charta, ponieważ była wysoka i chuda, jednak nie była powabna, jak powiedziała jego ojciec. Miała okulary i wystające zęby, podczas gdy chart jest przecież lśniącem, moregowatym stworzeniem, psem myśliwskim, który na średniowiecznych malowidłach towarzyszy szlachetnej białogłowie na polowaniu. Jackson znowu nie był pewien, skąd pojawiło mu się w głowie takie wyobrażenie. Być może tylko dlatego, że w każdym klasztorze panuje jakiś średniowieczny duch. Kiedy stanęli przy przepierzeniu, pies wolno wstał i przez kraty polizał palce Marlee.

Klaryski, przypomniał sobie Jackson. „Raczej jakieś zgromadzenie hippisów, latem chodzą boso, na zimę szyją sobie sandałki, trzymają jakieś zwierzaki i są wegetariankami”, wyłuszczyła mu Julia. Amelia i Julia dość szczegółowo nakreśliły mu obraz życia w zakonie; jak się wydawało, obie szczerze pogardzały powołaniem Sylvii. „Tylko nie daj się

ogłupić tą świętoszkowatością", ostrzegła Julia. „Pod tym pingwinim fraczkiem Sylvia jest ciągle Sylwią”. „To forma eskapizmu”, dodała lekceważąco Amelia. „Nie musi płacić rachunków, zastanawiać się, skąd wziąć coś do jedzenia, nie musi być sama”. Czy dlatego Amelię zatruwał taki jad? Bo była sama? Zaraz, przecież Julia wspominała o jakimś Henrym. Jakoś trudno sobie wyobrazić Amelię w objęciach mężczyzny. Diabli wiedzą, co to za typ, ale jedno było pewne: Henry tego z nią nie robi. (Kiedy przestał mówić o niej „panna Land”, a zaczął mówić „Amelia”?)

Amelia powiedziała, że rzadko odwiedza Sylwię w klasztorze, ale utrzymuje z nią regularną, choć nieczęstą, korespondencję. „Tak naprawdę Sylvia nie ma o czym pisać, wciąż tylko modlitwa, modlitwa i modlitwa, poza tym oczywiście ma jakieś zajęcia, takie domowe, wypiekają hostie, krochmalą i prasują szaty liturgiczne dla księży i takie tam... Do tego kopie czasem w ogródku i dzierga coś dla biedaków”, dodała pogardliwie. Julia zaraz wtrąciła: „Wcale nie dzierga, ona zmyśla”, a Amelia się zaperzyła: „Wcale nie zmyślam!”, na co Julia: „Właśnie że tak, ja bywam u niej częściej”, a Amelia odparowała kąśliwie: „O tak, oczywiście, zwłaszcza kiedy przygotowujesz się na casting do roli zakonnicy w musicalu *Dźwięki muzyki*”, a Julia się zdenerwowała: „Wcale nie dlatego!”, aż wreszcie Jackson nie wytrzymał: „Zamknijcie się wreszcie! Obie!” a one umilkły zaskoczone, wolno odwróciły głowy w jego kierunku i spojrzały na niego tak, jakby widziały go pierwszy raz w życiu. „Hm”, chrząknął, „Pohamujcie się trochę, miłe panie”, powiedział i zaczął się zastanawiać, od kiedy przemawia jak jego matka.

- To było ciekawe, prawda? - zapytał Jackson, spoglądając na Marlee we wstecznym lusterku.

Wydawało się, że dziewczynka lada moment zapadnie w sen. Kiedy poznała psa siostry Marii Łukaszy (Tester - to imię bardziej pasowało do wyścigów, choć był psem ratowniczym), siostra Michaela zabrała ją na jakieś klasztorne smakołyki. Pozostałe siostrzyczki kaluzurowe krzątały się wokół Marlee, jakby nigdy w życiu nie widziały dziecka, a jej nie trzeba było więcej do szczęścia; podsuwano jej to tosta z fasolką, to biskopt na białkach, to lody. Prawdopodobnie gdyby zaproponowały jej frytki, nawróciłyby ją już do końca życia.

- Tylko nie mów mamie, że byliśmy w klasztorze - zastrzegł Jackson.

Właściwie wizyta nie była interesująca. Amelia uprzedziła Sylvię telefonicznie, że Jackson przyjedzie, i wyjaśniła, że jeszcze raz bada sprawę zniknięcia Olivii. Nie zdradziła jednak, co skłoniło siostry do wynajęcia detektywa. Kiedy Marlee odeszła z siostrą Michaelą, Jackson niespodziewanie sięgnął do kieszeni, gdzie leżała wciśnięta („zamknięta”) Niebieska Myszka, i pokazał ją Sylvii. Liczył na efekt zaskoczenia. Pamiętał, co mówiła Julia, że Amelia zemdląca, kiedy zobaczyła maskotkę, a przecież to nie Amelia zwykła mdleć przy byle okazji. Sylvia wbiła wzrok w Niebieską Myszkę. Jej suche, wąskie wargi zacisnęły się, małe muliste oczy ani drgnęły.

- Niebieska Myszka - powiedziała po chwili i wysunęła palec przez kratę.

Jackson podsunął maskotkę bliżej, a ona delikatnie musnęła palcem stare, słabiutkie ciało. Po jej policzku cicho popłynęła łza. Ale nie, nie widziała jej od dnia zniknięcia Olivii i nie potrafi nawet spróbować sobie wyobrazić, jakim cudem mogła się znaleźć wśród rzeczy osobistych ojca.

- Nigdy nie łączyły mnie z ojcem bliskie więzi - wyjaśniła.

- Biskop był pycha - powiedziała Mariée sennym głosem.

Zadzwoił telefon Jacksona. Spojrzał na numer - Amelia i Julia. Jęknął. Nie odebrał i poczekał, aż rozmówca nagra wiadomość, kiedy jednak po chwili ją odsłuchał, tak się przeraził tym, co usłyszał, że zjechał na pobocze i odsłuchał jeszcze raz. Amelia spazmatycznie chlipała w słuchawkę, wydawała z siebie jakiś nieopanowany pierwotny lament, pełen rozpacz i cierpienia. Jackson pomyślał, że Julia nie żyje. Uznał, że nie ma wyjścia i musi oddzwonić.

- Oddychaj, Amelio, na miłość boską - mówił. - Co się stało? Czy chodzi o Julię?

Ale potrafiła tylko odpowiedzieć:

- Jackson, proszę... - (Jackson? Nigdy się tak do niego nie zwracała. Zabrzmiało to w jego uszach o wiele bardziej poufale, niżby sobie tego życzył.) - Jackson, proszę... Przyjedź, jesteś mi potrzebny.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane, najprawdopodobniej odłożyła słuchawkę. Musi pojechać na Owlstone Road i sprawdzić, co się stało (chyba nie Julia?).

- Co to było, tato?

- Nic, kochanie. Musimy tylko pojechać do domu inną, okrężną drogą.

Czasem Jackson czuł, że całe jego życie pędzi jakąś okrężną drogą.

- Byliśmy w klasztorze! - krzyczała Mariée już od drzwi.

- W klasztorze? - zaśmiał się David Lastingham, chwytając dziewczynkę, która przebiegała obok niego. Podniósł ją wysoko, a potem przycisnął do siebie.

Jackson postanowił błyskawicznie, że jak tylko postawi ją na ziemi, to mu przysoli. Ale w tej samej chwili z kuchni

wyszła Josie w kuchennym fartuchu, na litość boską! Jackson nigdy nie widział Josie w fartuchu.

- W klasztorze? - powtórzyła jak echo. - Co robiliście w klasztorze?

- Siostry miały biskopt.

Zdumiona Josie spojrzała na Jacksona pytającym wzrokiem, ale on tylko wzruszył ramionami.

- W klasztorze jak to w klasztorze... - powiedział.

- I pies zdechł - dodała już ciszej Mariée, przygnębiona nagłym wspomnieniem.

- Jaki pies? - zaniepokoiła się Josie. - Przejechałeś psa, Jackson? - zapytała ostrzejszym tonem.

- Nie, mamó - odpowiedziała Mariée. - Pies był stary i chory, a teraz jest szczęśliwy u Pana Boga w niebie, razem z innymi psami.

Mariée zrobiła minę, jakby znowu miała płakać (dość już było dzisiaj łez), więc Jackson przypomniał jej szybko, że przecież widzieli też wspaniałego, jak najbardziej żywego pieska.

- Tak, Jester! - przypomniała sobie uradowana. - Był w więzieniu z zakonnicą i mieli tam gipsową figurkę, która płacze, a tata ma w samochodzie metalową puszkę, w której jest zmarły pan w proszku.

Josie spojrzała na Jacksona z niesmakiem.

- Jackson, czy zawsze musisz jej fundować taką dużą dawkę emocji? - I zanim zdołał odpowiedzieć, odwróciła się do Davida i powiedziała: - Kochanie, zabierzesz ją na górę i wykąpiesz?

Jackson poczekał, aż Mariée i David - uzurpator w jego życiu, obcy mężczyzna, który wieczorami kładł spać jego córkę i rznął jego żonę - znikną w domu, i dopiero wtedy powiedział:

- Naprawdę uważasz, że to mądre?
- Mądre? O czym ty mówisz?
- Mówię o zostawianiu nagiej córki z facetem, którego niemal w ogóle nie znasz. Naszej nagiej córki. Aha, jeszcze jedno, uważasz, że to dobry pomysł, by ubierać ją jak dziecięcą prostytutkę?

Tosie, z szybkością atakującego węża, uderzyła go pięścią w twarz. Skulił się odruchowo, bardziej ze zdumienia niż z bólu - (jednak był to tylko babski cios) - ponieważ od czasu, kiedy się pobrali, ani razu żadne z nich nie użyło siły wobec drugiego.

- To, kurwa, za co?
- Za to, że jesteś ohydny, Jackson. Mężczyzna, z którym mieszkam, to mężczyzna, którego kocham. Naprawdę sądzisz, że zamieszkałabym pod jednym dachem z kimś, do kogo nie miałabym zaufania w sprawach mojej córki?

- Zdziwiłabyś się, ile razy to słyszałem.

David Lastingham musiał usłyszeć ich podniesione głosy, bo zbiegł po schodach, z daleka krzycząc do Jacksona:

- Co jej robisz?
- Jackson uznał to za śmieszne, a Josie grzecznie powiedziała:
- Twierdzi, że możesz... obcować z Mariée.
 - Obcować? - naigrawał się Jackson. - Tak się to nazywa w klasie średniej?

Ale w tym momencie David Lastingham zdołał już zbiec ze schodów i wyprowadził dość nieudolnie, ale za to z furją, prawy sierpowy, którego Jackson nawet nie zauważył, ale z całą pewnością poczuł. Przysięgłby nawet, że słyszał chrzęst kości policzkowej. Doigrał się! - błysnęło w głowie Jacksona. Teraz go zabij. Raptem na schodach pojawiła się Mariée.

- Tato?

Josie splunęła mu pod nogi.

- Wynoś się z tego pieprzonego domu, Jackson - syknęła przez zęby. - Aha, przy okazji, przenosimy się do Nowej Zelandii. Miałam zamiar zaprosić cię do środka na herbatę i spokojnie ci o tym powiedzieć, sympatycznie porozmawiać, jak dorośli ludzie, ale nie zasługujesz na takie traktowanie. David dostał propozycję pracy w Wellington i ją przyjął, a my jedziemy razem z nim. To tyle. Jak ci się to podoba, Jackson?

Jackson zaparkował alfę w garażu, który wynajmował na końcu ulicy, jak zwykle mając chwilowe poczucie winy z powodu hałasu, jaki czyniła rura wydechowa jego auta. Myślał o Sylvii, o tym, jak zrezygnowała z życia i dała się zamknąć. Był pewien, że wie więcej, niż mu powiedziała. Nie chciał jednak myśleć o Sylvii, chciał myśleć o gorącej kąpieli i zimnym piwie. Wciąż był wściekły, że tak łatwo dał się zaskoczyć Lastinghamowi. Był pewien, że ten dzień nie mógł się gorzej skończyć, choć doświadczenie nauczyło go, że każdy dzień może się gorzej skończyć. Jakby na poparcie tej tezy, z cienia za garażem wyłoniła się nagle ciemna postać, która rzuciła się na niego i zdzieliła go w głowę czymś, co na wyczucie musiało być kolbą pistoletu.

- Taa... wiesz, powinnaś zobaczyć tego drugiego - zażartował słabo Jackson, ale Josie się nie śmiała.

Pachniała owocami, słońcem i przypomniał sobie planowaną wyprawę na jagody. Jej brązowe ręce były podrapane, jakby toczyła zapasy z kotami.

- Agrest - odparła, kiedy Jackson wskazał je palcem.

- Przepraszam - bąknął Jackson. - Znaleźli przy mnie kartę dawcy narządów, jesteś w niej wpisana jako najbliż-

szy krewny. To tylko wstrząs mózgu. Niepotrzebnie się przejęli.

- Przeleżałeś prawie całą noc, Jackson. Masz szczęście, że było ciepło, wyobraź sobie, co by się stało, gdyby była zima. - W jej głosie zagrała raczej nuta oskarżenia niż pocieszenia, jakby to była jego wina, że został napadnięty.

Naprawdę miałby ochotę zobaczyć tego faceta, bo nie pozostał mu dłużny i był pewny, że też go mocno uszkodził. Jackson miał cholerne szczęście, reagował błyskawicznie. Kiedy zobaczył atakujący go cień, intuicyjnie się odchylił, unikając głównego impetu uderzenia, dzięki czemu skończyło się tylko na wstrząsie mózgu, a nie zgruchotaniu kości czaszki jak kurzego jajka. W kontrze na pewno raz trafił, nie był to żaden szkolny prawy sierpowy ani klasyczne kopnięcie z półobrotu, nic z wyrafinowanych sztuk, jakich uczono go na zajęciach w policji - była to po prostu automatyczna brutalna odpowiedź w pijany sobotni wieczór i z całą pewnością kropnął napastnika w twarz. W uszach brzmiał mu jeszcze chrzęst łamanej kości, gdy jego twarde czoło lądowało na miękkiej tkance nosa. Oczywiście niewiele mu to pomogło, zapewne właśnie wtedy stracił przytomność, bo następną rzeczą, jaką pamiętał, był świt i mleczarz, który nerwowo usiłował go ocucić.

Josie odwoziła go do domu.

- Mówili, że ktoś powinien zostać ze mną przez dwadzieścia cztery godziny - powiedział Josie przepraszającym tonem. - Na wypadek, gdybym znowu stracił przytomność.

- Cóż, w takim razie musisz znaleźć sobie kogoś innego - orzekła i zatrzymała się u wylotu jego ulicy, nawet nie Podjeżdżając pod dom.

Zrozumiał, że na próżno oczekuje współczucia. Niezdarnie wysiadł z przedniego siedzenia volvo. Miał wrażenie, że prze-

suwają mu się w czaszce wszystkie kości, niczym płyty tektoniczne skorupy ziemskiej, trące o siebie bezustannie. Każdy ruch rozlegał się echem w jego czaszce. Czuł się poważnie kontuzjowany.

Josie opuściła okno. Przez ułamek sekundy pomyślał, że wychyli się i pocałuje go serdecznie na pożegnanie albo zaproponuje, że zostanie i zaopiekuje się nim. Ale zamiast tego powiedziała:

- Może powinieneś zastanowić się nad zmianą „najbliższego krewnego” w swoich dokumentach, Jackson.

Kiedy wszedł do mieszkania, ustawił Niebieską Myszka na kominku. Wiedział, że prędzej czy później to cholerstwo zacznie spłacać mu swój dług. Urnę z prochami Victora (w całym zamieszaniu zapomniał ją oddać Julii i Amelii) postawił między Niebieską Myszka i jedyną ozdobą, jaka stała na jego kominku - tanim glinianym dzbanuszkim, na którym widniały słowa: „Wszystkiego dobrego ze Scarborough”. Po rozwodzie majątek małżeński został podzielony na dwie części, jak twierdziła Josie, „sprawiedliwie” - Jacksonowi przypadł cały „jego własny szajs” (tak Josie nazywała jego kolekcję płyt z muzyką country i dzbanuszek z życzeniami), a Josie przypadła reszta. Może teraz Niebieska Myszka będzie sprawowała nad nim pieczę, skoro nie ma nikogo innego. Łyknął dwie tabletki przeciwbólowe, które dostał w szpitalu (choć domagał się morfiny), położył się na kanapie i włączył” płytę Emmylou Harris *From Boulder to Birmingham*, jednak ból był zbyt silny i nawet Emmylou nie potrafiła go ukoić.

Caroline

Caroline spoglądała na swoje przybrane dzieci siedzące na tylnym siedzeniu discovery i dziękowała Bogu, że nie chodzą do jej szkoły. Uczęszczały do jakiejś małej prywatnej szkółki na odludziu, gdzie uczniowie mają dużo relaksujących zajęć na świeżym powietrzu, a w każdą środę mówią tylko po francusku. W zasadzie nie było w tym nic złego i byłoby nawet ciekawe włączyć takie zasady do programu którejś z miejskich szkół, w jakich Caroline uczyła. Ledwie dwa lata temu, a wydaje się, jakby upłynęło całe życie. Ale przecież było to nowe życie. Ile razy człowiek może zmieniać skórę? W lusterku widziała, jak Hannah i James stroją do niej miny, co znaczyło, że albo są niewiarygodnie głupi i nie wiedzą, że ma je na oku, albo wiedzą i mają to w nosie. Tak czy tak, byli przykładem złych skutków wsobnego chowu. Matka Jonathana, Rowena, potrafiła bez końca opowiadać o chowie, ponieważ miała stadninę koni do polowań (duże bestie, budzące strach). Mogłoby się jednak wydawać, że podobne koncepcje stosowała także w rodzinie. Caroline nieraz miała ochotę zrobić jej uwagę, że dobór naturalny prowadzi do utrzymania żywotnego i zdrowego gatunku, podczas gdy

„hodowla” i rozmyślny dobór genów kończy się na wadach wrodzonych i na bladych, blondynkowatych dzieciach, które w środy mówią po francusku i których puste twarze, rodem z horroru *Wioska przeklętych*, kryją utajony debilizm. To tylko zawodowa opinia Caroline.

Po ich ślubie Rowena wyprowadziła się do odziedziczonego po mężu mniejszego domu na tej samej posiadłości, o którym mówiła zawsze „moja chatynka”, choć owa chatynka mieściła cztery sypialnie i dwa salony. Rowena podkreśliła jednak, że nie chce wtrącać się w nie swoje sprawy, co znaczyło tyle, że wtrącała się za plecami Caroline. Przynajmniej umiała robić dobrą minę do złej gry. Podczas wesela nie zniknął z jej twarzy życzliwy uśmiech, jakby dała sobie w żyłę **Valium**. Jeszcze sfinansowała całą imprezę, namiot ogrodowy, kwartet smyczkowy, lokajów podających do stołów, zimnego łososia, pieczoną sarninę, olbrzymie wazy z białymi liliami, z których niestety sprzedawca zapomniał usunąć pręciki i goście raz po raz byli obsypywani pyłkiem. Nikt słowem nie wspomniał, że był to ślub cywilny ani że to drugie małżeństwo Jonathana, choć latorośli z pierwszego nie sposób było nie zauważyć, bo ganiały między stołami jak wcielone diabły, ubrane w białe, atlasowe ubranka, które nie wyglądałyby niestosownie nawet na skazanym na zgubę dworze Ludwika XVI.

Przyleciały samolotem z Bueons Aires kilka dni przed ślubem i już tam nie wróciły, bo Jemima - pierwsza żona Jonathana - zdecydowała, że dzieci będą chodzić do szkoły w Anglii, w czym zresztą byli z Jonathanem jednomyślni. Wówczas Caroline w ogóle to nie przeszkadzało, ponieważ wiedziała, że wspaniale radzi sobie z dziećmi (tak, rozumie tę ironię) i dlatego tak świetnie potrafi wykonywać swój zawód - a obie te rzeczy nie zawsze idą w parze, znała nauczy-

cieli, dla których dzieci były bardziej ubocznym produktem wykonywanej profesji niż *raison d'être*. Po prostu nie spodziewała się, że Hannah i James to takie ziółka.

Tego dnia opiekunka do dzieci miała wolne, więc Caroline sama zaproponowała, że odbierze je ze szkoły. Opiekunka była Hiszpanką, miała na imię Paola, a Caroline próbowała podtrzymywać ją na duchu serdecznością i kieliszkami wybornego wina rioja, bo czuła, że w dziewczynie nie gaśnie ochota, by jak najszybciej odejść. I trudno się jej dziwić, bo ugrzęzła na kompletnym odludziu, w paskudnie zimnym klimacie, z dwójką zepsutych bachorów, bez ustanku przykręcających jej śrubę. Nawet nie chciało im się poprawnie wymówić jej imienia - „Paoola”, poprawiała ich przy każdej okazji, wyraźnie przeciągając egzotyczne głoski, otwierając buzię, niczym ziewający kot, a one nadal swoimi eleganckimi, cienkimi głoskami powtarzały „Porla”. Boże jedyny, dwa bite lata mieszkały w kraju hiszpańskojęzycznym i nie potrafiły nawet wydukać *fauenos dias*, a może potrafiły, tylko nie chciały.

Zajęcia w małej, elitarnej szkole trwały znacznie dłużej niż w publicznej szkole we wsi. Caroline skończyła pracę już przed godziną, tymczasem Hannah i James mieli po lekcjach cały zestaw zajęć dodatkowych: klarnet, krykiet, „głos” (jakby nie miały głosu), tańce ludowe (mój Boże!) i fechtunek - kiedy dzieciaki pierwszy raz wspomniały jej o fechtunku, Caroline sądziła, że chodzi o jakieś zajęcia techniczne, dopiero potem skojarzyła to z szermierką. Czasem miała ochotę wrzucić je (najlepiej z dużej wysokości) do klasy w Toxteth albo Chapeltown i zobaczyć, na co im się tam przyda fechtunek.

Mijali właśnie szkołę publiczną we wsi i usłyszała za plecami, jak James chrząka prowokacyjnie. Kiedyś słyszała, jak

o uczniach tej szkoły mówi lekceważąco „krum-krumy”, i o mało nie dała mu w twarz. Podejrzewała, że jego tępy samczy umysł myli „krum” ze świńskim „chrum, chrum” i dlatego chrząkał znacząco za każdym razem, kiedy zbliżał się na odległość oddechu do osobników z niższych klas. Nie była pewna, czy jeszcze długo uda się jej powstrzymać od użycia siły.

Tak się złożyło, że kiedy wrócili z podróży poślubnej, dyrektorka miejscowej szkoły przechodziła na emeryturę. Nie było trudno awansować na to stanowisko. Jej kwalifikacje i referencje znacznie przewyższały wszystkie wymagania stawiane w trzyletniej szkole publicznej na wsi. W ten sposób poczuła się jak u siebie w domu już parę dni po powrocie z Jersey - gdzie spędzili swój tygodniowy „miesiąc” miodowy, w hotelu Atlantic, w pokoju z widokiem na zatokę St Quen (choć niewiele oglądali ocean, ponieważ większość czasu spędzili w łóżku). „Och, Atlantic”, westchnęła rzewnie Rowena, kiedy wrócili do domu. „Uroczy hotel! Co robiliście przez cały tydzień?” a Jonathan odpowiedział: „No wiesz, byliśmy w ogrodzie zoologicznym, na latarni morskiej La Corbière, oglądaliśmy słynne orchidee, a popołudniami chodziliśmy na herbatkę do Tajemniczego ogrodu. Na twarzy Roweny, wsłuchującej się w ten drętwy, burżuazyjny dziennik podróży, malował się uśmiech tak błogi, że Caroline z trudem się powstrzymywała, by nie powiedzieć bez ogródek: „Tak naprawdę Roweno, cały tydzień robiliśmy tylko jedno: rznąliśmy się, ile wlezie”. „Zatem zaraz po weselu zaczynasz pracę?” zapytała ją Rowena w dusznym ogrodowym namiocie weselnym, a Caroline odparła krótko: „Tak”, nie mając zamiaru dłużej się nad tym rozwodzić. Kremowy kołnierz jedwabnego kostiumu Roweny upstrzony był ciemno-pomarańczowymi plamkami pyłku kwiatowego z lilii. Ca-

roline miała cichą nadzieję, że w pralni będą mieli spore problemy, by te ślady usunąć.

Wszyscy we wsi ją przestrzegali, że kierowanie szkołą to ciężki kawałek chleba, a tymczasem przeciwnie, nic łatwiejszego. Dzieciaki były słodkie, ot, szczerza i miła wiejska dzia-twa - jeden tylko, drobny przypadek zaburzeń koncentracji uwagi, parę dzieciaków ze świerzbem i jeden huncwot jak się patrzy. Statystycznie rzecz biorąc, powinno być jeszcze dziecko molestowane seksualnie, ale jak na razie Caroline nie udało się jego, czy też jej, zidentyfikować. Niemal wszystkie potrafiły płynnie i szybko czytać (cud), znały stare zabawy podwórkowe, a ich życie toczyło się w rytm kalendarza prac polowych, toteż dożynki były dla nich prawdziwym świętem. Wiosną na zajęcia, na których dzieci mają zaprezentować coś przed całą klasą, ktoś przyprowadził prawdziwe, żywe jagnię! Na wiejskim skwerze ustawiony był ozdobny słup, wokół którego dzieci się bawiły, świętując nadejście wiosny, i w którym nie widziały żadnego fallicznego podtekstu. Caroline kochała tę pracę i miała nadzieję, że nawet jeśli weźmie rozwód, to nadal będzie pracować w tej szkole, bo wszystko wydawało się tutaj tak cholernie feudalne, że i ta praca to prawdopodobnie dar pana, którym, jakkolwiek by na to spojrzeć, był tutaj Jonathan. Nie, żeby miała zamiar się rozwodzić, w każdym razie nie natychmiast, ale nie umiała sobie wyobrazić, by taka sytuacja trwała wiecznie, nic nie trwa wiecznie, więc dlaczego to miałoby trwać? Nie można przecież przez cały czas się ukrywać i wyprzedzać wszystkich o krok. Choćbyś nie wiadomo jak długo był zaginionym, to prędzej czy później cię znajdą.

Zresztą to byłoby niemożliwe, aby tu mieszkać i nie pracować. Co robiłaby przez cały dzień? Jonathan wymy-

ślał sobie zajęcia. To szedł do biura na farmie, to snuł się po wzgórzach, oglądając pola i ogrodzenia - choć palcem przy nich nie kiwnął. Zatrudniał za to zarządcę, który nadzorował gospodarstwo, i wszystko funkcjonowało jak w zegarku bez względu na to, czy Jonathan wychodził do biura czy nie lub czy patrzył tępo w płot. Często wychodził z domu ze śrutówką, żeby zabijać, jakby był to ważny element funkcjonowania gospodarstwa, ale tak naprawdę wychodził z tą strzelbą, bo lubił sobie postrzelać (lub zabijać). Był dobrym strzelcem i dobrym nauczycielem, a Caroline odkryła w sobie wcale niemały talent snajperski. Oczywiście nie strzelała do żywych istot jak Jonathan, lecz do tarczy, glinianych gołąbków albo puszek ustawionych pod ścianą. Lubiła broń. Lubiła czuć w dłoni jej ciężar. Lubiła ten moment równowagi, tuż przed pociągnięciem za spust, kiedy ogarnia ją pewność, że nie chybi celu. To niezwykle, że człowiek może sobie chodzić po polach i lasach (nawet jeśli były jego prywatną własnością), wymachując strzelbą, i nikt nie może go powstrzymać.

Kiedy Jonathan nie udawał, że prowadzi gospodarstwo, lub kiedy nie strzelał do czegoś, co było mniejsze i bardziej bezbronne od niego, to wyprawiał się na przejażdżki na jednym z koni swojej mamy. Wszyscy pytali Caroline, czy jeździ konno, i nie mogli wyjść ze zdziwienia, słysząc odpowiedź przeczącą. Rowena wspaniale jeździła na koniu (jakby była centaurzycą). Jemima, jak można się domyślić, większą część ich małżeństwa spędziła w siodle. Ludziom trudno było uwierzyć, że Jonathan poślubił kogoś, kto nie odróżnia chrap od pęcín. Tymczasem to, czy Caroline lubi konie czy nie, obchodziło Jonathana tyle co zeszłoroczny śnieg. Ale była to jedna z jego dobrych stron - było mu obojętne, co Caroline robi, zresztą było mu obojętne, co robią wszyscy inni. Nie miała wątpliwości, że obluzowało się w nim jakieś ogniwo, że

nie potrafi utrzymywać więzi społecznych; w innym życiu być może zostałby uznany za psychopatę. Psychopaci byli wszędzie. Niekoniecznie mordowali, gwałcili, rabowali bądź ćwiczyli się w rzemiośle seryjnego zabójcy. „Tendencje psychopatyczne” - tak powiedziano kiedyś o Caroline. To znaczy nie Caroline, ale ta osoba, którą kiedyś była. Caroline nie miała wątpliwości, że to była błędna diagnoza. Ale lames to socjopata, bez dwóch zdań. Takie są złe skutki hodowli.

Jemima, ich matka, przyjechała ubiegłego lata. Była jak idealna figurka z angielskiej porcelany - znakomicie rozumiała się z Roweną, z którą łączyły ją rozmowy o popręgach i wy-tokach, o pokazowych krowach rasy Red Devon albo o kłopotach z „górną łąką”. Caroline nie wiedziała nawet, że mają jakąś „górną łąkę”, a co dopiero, że są z nią kłopoty.

„Właściwie dlaczego się rozwiodłeś?” zapytała kiedyś Jonathana, trzymając go w pomysłowych objęciach mokrymi od potu ramionami, podczas gdy niespełna kilometr dalej, w jednej z trzech pustych sypialni „chatynki” Roweny, Jemima składała swą delikatną blond główkę na poduszkach z puchu węgierskiej gęsi (sto dwadzieścia funtów każda). „Boże...” jęknął Jonathan, „Jem jest potwornie nudna. Nawet nie masz pojęcia, Caro...”, zaśmiał się wulgarnie, obrócił ją na brzuch i wziął od tyłu - co jak co, ale facet miał wigor - a ona, wpółduszając się w poduszkach (nie tak miękkich i drogich, ale zawsze), zastanawiała się, czy Jemima kiedykolwiek dała mu tyłka, i pomyślała, że trudno to sobie nawet wyobrazić, choć z drugiej strony bywa, że takie wytworne dziewczyny zdolne są do takiej rozwiązłości, o jakiej zwykłym „krum-krumom” nawet się nie śniło.

Miesiąc miodowy spędzili w Jersey, ponieważ Caroline trochę za późno uświadomiła sobie, że nie ma paszportu. Dla

Jonathana nie grało to roli, nie był specjalnie zainteresowany wyprawą w dalsze rejony niż północne Yorkshire. Mogła jeszcze zdobyć paszport. Miała akt urodzenia na nazwisko Caroline Edith Edwards. Caroline przypuszczała, że Edith to imię jakiejś babki, bo brzmiało zbyt staroświecko jak na kogoś urodzonego w 1967 roku. Caroline Edwards była o sześć lat młodsza od Caroline, choć oczywiście nigdy nie osiągnęła wieku Caroline. Tamta Caroline zmarła, nie skończywszy pięciu lat. „Zabrana przez anioła”, jak głosił napis na nagrobku, choć według aktu zgonu zabrała ją znacznie bardziej prozaiczna przyczyna, mianowicie białaczka. Caroline była na grobie w Swindon i złożyła na nim mały bukiet kwiatów, żeby podziękować Caroline Edith Edwards za dar nowej tożsamości, nawet jeśli została raczej odebrana niż podarowana.

Kiedy wreszcie dojechali do domu, dochodziło wpół do szóstej. Hannah i James natychmiast zaczęli się domagać jedzenia. Paola siedziała przy stole kuchennym, jak się wydawało w minorowym nastroju, ale kiedy zobaczyła dzieci, zerwała się na równe nogi i zaczęła przetrząsać zamrażarkę w poszukiwaniu pizzy. Caroline kazała jej usiąść i nic nie robić, bo ma wolny dzień. Paola nie musiała siedzieć w domu, czasem wychodziła na spacer, jednak ponieważ pochodziła z Barcelony, w ogóle nie pociągały jej wilgotne wiejskie okolice. Jadąc do szkoły, Caroline nieraz podwoziła ją na przystanek autobusowy i Paola cały dzień włóczyła się po Richmond albo Harrogate. Jednak wówczas problemem okazywał się powrót do domu. Częściej więc siedziała po prostu w swoim pokoju. Parę razy Caroline dała jej pieniądze na weekendowy wyjazd do Londynu, bo wydawało się, że zna tam setki mieszkających w stolicy Hiszpanów. Zawsze

wtedy drżała, że Paola już nie wróci. Była jej najbliższą osobą, niemal przyjaciółką, kimś, kto był tu jeszcze większym outsiderem niż ona. Gillian dawno już wyjechała i pracowała teraz jako wolontariuszka w Sri Lance. Caroline żałowała, że nie zrobiła tego samego.

Rowena nie widziała powodu, by trzymać w domu opiekunkę do dzieci, i przy byle okazji okazywała Paoli wrogość. „Dzieciaki cały dzień spędzają poza domem”, przekonywała Caroline. „Co innego, gdybyś miała dziecko”. Kryło się w tym pewne nie wypowiedziane głośno pytanie. Czy chce mieć dziecko? Rowena z pewnością wolałaby, aby wspaniałej krwi Weaverów nie rozrzedzało jakieś podejrzané DNA Caroline. („Tak konkretnie, to czy mój ojciec zajmował, moja droga?” Ojciec Caroline Edith Edwards był rzeźnikiem. Ponieważ byłoby to nie do zniesienia dla Roweny, Caroline wspomniała coś o księgowości.) Nie potrzebowali więcej dzieci. Mieli dziedzica, Jamesa, a w zapasie była jeszcze Hannah. Stanowili pełną rodzinę: dwoje dorosłych, dwoje dzieci, cztery kąty, solidne, prawie baszta zamczyska. Właściwie brakuje tu miejsca na kolejne dziecko wielkości pchły, które dopiero się wykluwa w brzuchu Caroline. Jonathan prawdopodobnie będzie uszczęśliwiony. Ile razy Caroline powtórzy ten błąd? Istota rzeczy tkwi przecież w tym, że kiedy raz zrobi się duży błąd, to człowiek się na nim uczy i nie popełnia go po raz drugi. Zresztą, uczy się czy nie, cóż to ma za znaczenie, jeśli to wlecze się za nim przez całe życie. Gdziekolwiek wyjedzie, cokolwiek zrobi, to zawsze w jakimś momencie znajdzie się w ślepych zaułku, gdzie odwróci głowę i zobaczy małego pędraka na podłodze, małego pędraka, który tak płakał, że zapadł w niebyt snu. Pędraka w nowych ogrodniczkach Oshkosh.

John Burton miał przerzedzone włosy, a na czubku jego głowy formował się słaby zarys tonsury. Kiedy Caroline zobaczyła małe wygolone kółko, serce zabiło jej mocniej. Zawsze dziwiły ją absurdy namiętności. Klęczał przed ołtarzem. Sądziła, że robi coś bardzo religijnego, ale kiedy podeszła bliżej, spostrzegła, że zamiata podłogę miotełką z szufelką. Zaśmiał się zakłopotany, kiedy dostrzegł ją kątem oka.

- Pani, która sprząta kościół, wyjechała na wakacje - wyjaśnił.

- Dokąd?

Bardzo jej się spodobało, że powiedział „pani”, a nie „kobieta”.

- Na Majorkę.

- Płaci jej ksiądz?

- Oczywiście - odparł ze zdziwieniem w oczach.

- Sądziłam, że kościoły pełne są kobiet, które pracują wyłącznie dlatego, że lubią to robić, układają kwiaty, polerują mosiężne naczynia i tak dalej...

- Coś mi się wydaje, że ma pani na myśli bardzo odległe czasy - stwierdził. - Albo jakiś serial telewizyjny.

Caroline usiadła na ławce w pierwszym rzędzie.

- Zapaliłabym papierosa.

On usiadł przy niej, w rękę wciąż trzymał szufelkę i miotełkę.

- Nie wiedziałem, że pani pali.

- Właściwie nie palę.

Miał na sobie proste czarne spodnie nieokreślonego kroju, raczej tanie, do tego biały T-shirt i stary, szary, rozpinany sweter, który miała ochotę pogłaskać jak zwierzaka. Nawet w ubraniu cywilnym wyglądał jak pastor. Nie potrafiła wyobrazić go sobie w dzinsach albo w garniturze. Nie sądziła, by w ogóle się domyślał, co do niego czuje. Jeśli mu powie,

zniszczy jego niewinność. Oczywiście nie znała go ani trochę. Ale czy to coś zmienia? Może i nie był dla niej odpowiednim mężczyzną (w gruncie rzeczy oczywiście nie był), nie zapominajmy też, że ona sama była mężatką (doprawdy, co z tego?), ale przecież nie jest tak, że człowiekowi pisana jest jedna jedyna osoba na świecie, prawda? Gdyby tak było, to prawdopodobieństwo, że na nią trafi, byłoby niewielkie, a znając szczęście Caroline, nawet gdyby trafiła na nią jakimś cudem, to nie miałyby pojęcia, że to właśnie ta osoba. A jeśli osoba jej przeznaczona mieszka w rozwalającej się budzie z dykty w Meksyku albo jest więźniem politycznym w Birmie, albo jednym z milionów ludzi, z którymi najpewniej nigdy nic nie będzie jej łączyć, choćby takim przedwcześnie łysiejącym anglikańskim pastorem w wiejskiej parafii w północnym Yorkshire?

Nagle zrobiło jej się smutno.

- Opiekunka do dzieci prawdopodobnie odejdzie - powiedziała z westchnieniem.

Boże, to musiało żałośnie zabrzmieć w jego uszach! Co znaczyła jedna nieszczęśliwa opiekunka z Hiszpanii wobec niepewnych losów pokoju na świecie i nędzy w krajach Trzeciego Świata? Ale on był dobry. Wiedziała, że jest dobry.

- Bardzo mi przykro - powiedział takim tonem, jakby rzeczywiście było mu przykro.

Potem siedzieli w milczeniu, patrzyli na ołtarz i słuchali, jak krople deszczu stukają o stare łupki dachu.

Amelia

Julia przydźwigała do salonu kubek węgla eskortowana przez utykającego Sammy ego.

- Nie chce mi się wierzyć, że Victor nie zainstalował centralnego ogrzewania - podsumowała, dysząc z wysiłku.

Gruchnęła kubkiem o podłogę, tak że w powietrze podniósł się tuman węgielnego pyłu, a drobiny węgla rozprysły się po dywanie niczym wypolerowane gagaty. Amelia zmarszczyła groźnie brwi.

- Właśnie sprzątałam - burknęła ze złością.

- Taki napis będziesz miała na nagrobku, dobrze, Milly? - rzuciła Julia.

- Och, sama go wypiszesz?

- Boże, nie mogę już wytrzymać, a ty?

- Konkretnie o co ci chodzi?

- Dwa tygodnie przymusowego celibatu, odkąd tu jesteśmy - poskarżyła się Julia. - Już mi pada na głowę, naprawdę. Co wieczór muszę się sama podymać.

- Julio, na litość boską, jesteś taka ordynarna, to po prostu obrzydliwe!

Amelia nie znosiła tego słowa, codziennie słyszała je z ust dekarzy i murarzy, a nawet od fryzjerek, bo dziewczyny wcale nie są lepsze. „Tee, Dymalska!”, krzyczą do siebie przez całą klasę.

- W takim razie jak to inaczej nazwać? - zapytała logicznie Julia.

- Nie wiem, może się samozadowalać - stwierdziła Amelia, a Julia wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

- Samo... co? Boże, Milly, tylko mi nie mów, że tego nie robisz. Wszyscy to robią, to normalne, dam nawet głowę, że kiedy to robisz, myślisz o Henrym, och nie, ty przecież nie myślisz o Henrym, ty myślisz o Jacksonie! - Julii wyraźnie spodobała się ta myśl.

Amelia miała ochotę jej przyłożyć.

- Mam rację, Milly? Mam rację? Pieścisz się i myślisz o Jacksonie!

- Jesteś wulgarna, Julio, obrażasz mnie, to wstrętne.

Amelia wiedziała, że zrobiła się czerwona jak rajstopy, które włożyła dziś specjalnie na wypadek, gdyby zjawił się Jackson. Wydawało jej się nawet, że wpadły mu w oko na pogrzebie Victora. Obudziła się rano i czuła, jakby to nie krew płynęła w jej żyłach, a ciepły miód, i pomyślała, że dzisiaj przyjdzie, więc wymalowała się kosmetykami Julii, nie upięła włosów (bo tak wyglądała bardziej dziewczęco), zaparzyła dzbanek kawy i odgrzała zleżale croissanty, które Julia kupiła dzień wcześniej. Zerwała też w ogrodzie bukiet kwiatów (odnalezienie ich wśród chwastów graniczyło z cudem) i włożyła do wazonu, by Jackson mógł zobaczyć, że jest kobietą. Ale nie przyszedł. Oczywiście, że nie. Brakowało jej intuicji, kobiecej czy w ogóle jakiegokolwiek. To były tylko pobożne życzenia.

Julia śpiewała sobie pod nosem.

- Milly ma chłopaka, nowego chłopaka, Henry, biedaczysko, Milly kocha Jacksona... - Jakby miała osiem lat.

Jakaś część Julii zawsze będzie miała osiem lat, tak jak jakaś część Amelii zawsze będzie miała jedenaście lat, tyle, ile miała, gdy zatrzymał się świat.

- Ile ty masz lat, Julio?

- Nie tak dużo jak ty.

- Wychodzę z pokoju, zanim cię walnę!

Amelia skropiła sobie twarz zimną wodą z kuchennego kranu. Słyszała, jak Julia chichocze w salonie; jeśli znowu coś powie, urwie jej głowę! Oczywiście Julia nie potrafiła się powstrzymać i weszła za Amelią do kuchni.

- Boże, Milly, jesteś taka drażliwa, wiesz, czasem nie potrafię sobie wyobrazić, co wy z Henrym robicie w łóżku.

Amelia również nie potrafiła, bo żaden Henry nie istniał. Był całkowitym wymysłem, postacią wziętą z kapelusza, narodzoną w chwili rozpaczy, pod wpływem nieustannego nagabywania Julii na temat jej panieństwa i ciągłych propozycji (potworne), że „kogoś z nią umówi”.

- Już kogoś mam, dziękuję - odpowiedziała raz zniecierpliwiona, po kolejnych nieznośnych indagacjach ze strony siostry. - Kolega z pracy - dodała, a szukając pośpiesznie w myślach jakiegoś męskiego imienia, wyskoczyła z Henrym, ponieważ tak wabił się pies jej sąsiada z dołu, mały, ujadający pekińczyk, którego wyłupiaste oczy zdawały się wyskakiwać z łba.

- Gdyby Henry był psem, to jakim? - zapytała proroczo Julia.

- Pekińczykiem - odparła bez zastanowienia Amelia. Julia zmarszczyła brwi i wyrzuciła z siebie tylko:

- Jezu, biedna Milly...

Od tamtego czasu fikcyjny Henry stopniowo zaczął na-

bierać cech osobowych. Był osobnikiem lekko łysiejącym, z brzuszkiem, przedkładającym dobre piwo nad mocny alkohol. Kiedyś, dawno, miał żonę, która umarła na raka i którą opiekował się z wielkim oddaniem do samego końca. Henry nie miał dzieci, ale miał kotkę, szarą w ciemne prążki, która nazywała się Molly i która fantastycznie potrafiła łapać myszy. Amelia szybko odkryła, że dobre kłamstwo musi się opierać na przekonujących szczegółach.

Henry i Amelia wiedli (wymagowane) stateczne życie we dwoje; obracało się ono wokół wizyt w teatrze, seansów w ambitnym kinie, obiadów we włoskiej restauracji, wieczorów w karczmach za miastem i krzepiących spacerów. Dwukrotnie wyjeżdżali na weekendy, raz do Mendips i raz do północnego Devonu. Oba miejsca Amelia dość dokładnie przeanalizowała w Internecie na wypadek, gdyby Julia zainteresowała się ich charakterystyką geograficzną lub historią, ale naturalnie Julię interesowały jedynie dwie rzeczy; jedzenie i seks („Och, Milly, daj spokój, nie bądź taka święta”). Ważne było, aby nie przedstawiać Henryego w zbyt interesującym świetle, ponieważ któregoś dnia Julia może zechcieć go poznać, zatem seks był raczej niczym specjalnym, „rutyną” ale „miłą” - słowo, które odrzucało Julię. W ostatnim czasie Amelia ujawniła, że Henry to namiętny golfista, a ten sposób spędzania czasu gwarantował absolutny brak zainteresowania ze strony Julii.

Henry odniósł tak wielki sukces u Julii, że Amelia zaszczepiła pomysł także w pracy. Służył jako znakomite antidotum na poszeptywanie i ukradkowe spojrzenia, pełne litości albo rozbawienia, które stały się jej niedolą. Nieraz słyszała, jak inni wykładowcy mówią o niej „stara panna”, i wiedziała, że niejedni mają ją za lesbijkę. Na samą myśl o homoseksualizmie robiło się jej trochę niedobrze. Julia przyznała kiedyś,

że kochała się z kobietami, wtrąciła to przy okazji jakiejś rozmowy, zupełnie zwyczajnie, jakby mówiła o tym, w którym markecie lepiej robić zakupy, albo o książce, którą skończyła czytać. Amelia dała z siebie wszystko, aby nie wyglądać na zaskoczoną, ponieważ Julia uwielbiała u niej, rzecz jasna, takie reakcje. Czy istniała granica tego, na co stać Julię w łóżku? Czy zrobiłaby to z psem?

- Zoofilia? - Julia zamyśliła się na dłuższą chwilę. - Hm, chyba tylko, jeśli bym musiała.

- Musiała? Na przykład, żeby dostać rolę?

- Nie, oczywiście, że nie. Na przykład, gdyby to miało uratować ci życie.

Czy dla ocalenia Julii Amelia zdobyłaby się na seks z psem? Przeróżające pytanie.

Dla współpracowników w pokoju nauczycielskim Henry był mężczyzną, którego Amelia poznała poprzez swoją siostrę. Ponieważ Julia była aktorką, wszystkim się wydawało, że prowadzi życie pełne blasku i świetności, co złościło Amelię, ale w wielu przypadkach okazywało się nader pomocne. Henry mieszkał w Edynburgu, co czyniło go osobą mało dostępną, a jej pozwalało stworzyć wrażenie, że w weekendy bywa bardzo zajęta. „Och, nie mogę, lecę do Szkocji, Henry zabiera mnie na ryby”, bo wyobrażała sobie, że tym właśnie zajmują się w wolnym czasie mieszkańcy Szkocji. Zawsze miała w głowie absurdalny, zupełnie nie na miejscu, obraz królowej matki, stojącej w nieprzemakalnym płaszczu z kapturem i wysokich rybackich gumiakach w płytkiej brązowej wodzie (na pewno gdzieś w okolicach Brigadoon) i zarzucającej wędkę na pstrągi. Amelia nigdy nie wyjechała dalej na północ niż do Yorku, a i to tylko po to, żeby zobaczyć Julię w pantomimie, w której grała kota Dicka Whittingtona,

w aktorskiej interpretacji zdającej się udowadniać, że kot jest stale roznamiętniony. Amelia wyobrażała sobie, że między Yorkiem a rojącymi się od członków rodziny królewskiej szkockimi górami rozciąga się ponury krajobraz ziemi jałowej, z porzuconymi żurawiami, wiatrakami i zdradzonymi, jednak wciąż lojalnymi ludźmi. Och, jeszcze wrzosowiska, oczywiście, rozległe melancholijne pejzaże pod melancholijnym, ponurym niebem, a wśród wrzosów kroczą melancholijni, ponurzy mężczyźni ze zwieszonymi głowami, zmierzający do swoich rodzinnych domów, gdzie otworzą z rozmachem drzwi i surowo skarżą osierocone, choć rezolutne guwernantki. Albo lepiej, melancholijni, ponurzy mężczyźni, ze zwieszoną głową, jadą na koniach, karych koniach o potężnych zadach, lśniących od potu...

- Milly?

-Co?

- Mówię do ciebie, w ogóle mnie nie słuchasz. Powiedziałam, że część pieniędzy ze sprzedaży domu mogłybyśmy przeznaczyć na jakieś nieziemskie wakacje.

Julia rozpałała w kominku, mnąc i skręcając kawałki gazet na podpałkę. Amelia spojrzała na nią krzywo i włączyła telewizor. Najpierw zaproponowała Julii, by przełączyły na jakiś kulturalny kanał, Performance albo Discovery, albo, jeśli będzie trzeba, na TV5, żeby odświeżyć ich zaniedbany francuski (choć niestety odnalezienie TV5 wiązałoby się z przeskakiwaniem po kanałach erotycznych i sportowych), jednak pomysł Amelii został kategorycznie odrzucony („Daj coś z życia, Milly!"). W ten sposób spędziły długie godziny przy ciepłym kominku, oglądając powtórki sitcomów i kiepskich melodramatów z lat siedemdziesiątych, *Bergeraca*, zaraz potem *Rodzinę Poldarków*, a w końcu serial *Tylko głupcy i konie*, nadawany dosłownie na okrągło.

- Wiesz, myślę o naprawdę wystrzałowych wakacjach. - Julia wróciła do tematu. - Jakieś safari w Afryce albo trekking w Nepalu, albo wspinaczka na Machu Picchu, albo statek na Antarktykę. Co o tym myślisz, Milly?

Amelia nigdy nie podróżowała, ponieważ nie miała z kim podróżować. Jediną osobą, z którą wybrała się na wakacje, była Julia - raz do Portugalii (całkiem przyjemna wyprawa) i raz do Maroka (koszmar). Amelia miała wrażenie, że na świat patrzy tylko przez okienną szybę, ale mimo to na samą myśl, że mogłaby wybrać się tam, w nieznane, wysoko w góry, na środek oceanu, w jakieś groźne i obce miejsce, z dala od bezpiecznego angielskiego pokoju gościnnego, robiło jej się słabo ze strachu.

- Możesz zrobić niespodziankę Henry'emu - ciągnęła wesoło Julia. - Zabierz go do Nowego Jorku albo na weekend do Paryża, zamów nocleg w jakimś boskim hotelu, George albo w Bristolu...

- Dorzuć do ognia, bo ci zgaśnie.

Henry często przyjeżdżał na weekend do Oksfordu. Zanim ktokolwiek zdążył o niego zapytać w poniedziałkowe przedpołudnie, Amelia zdawała sprawozdanie z „cudownego” weekendu, wycieczki do Clivedon albo „genialnego” lunchu w Bray. Co prawda niewiele osób ją o to pytało, ale wśród kolegów i koleżanek w pracy zapanowało zgodne przekonanie, że odkąd Amelia poznała Henry'ego, stała się mniej chłodna i burkliwa.

Dla znajomych w pracy Amelia przygotowała trochę inną wersję Henry'ego, mniej wyłysiałą i brzuchatą, w porównaniu z postacią, którą wykonywała dla Julii. Był mężczyzną bardziej aktywnym, wysportowanym, lubiącym wyjść z domu - stąd łowienie ryb - i zdecydowanie lepiej sytuowanym („je-

go finanse, och, nawet nie pytajcie, to dla mnie chińszczyzna"). Bardziej ognistymi opowiadaniem szczególnie lubiła się popisywać przed Andrew Vardym, także nauczycielem „umiejętności porozumiewania się”, jedynym mężczyzną, z którym Amelia uprawiała seks - w rzeczywistości.

Kochała się z nim dziesięć lat temu, ponieważ bała się, że umrze jako stara panna. Ponieważ wydawało jej się śmieszne, że u schyłku dwudziestego stulecia można być dziewicą w wieku trzydziestu pięciu lat. Ponieważ nie potrafiła zrozumieć, jak będzie mogła być martwa, skoro nigdy naprawdę nie żyła. Tłumaczyła sobie, że pozostawała tak długo w stanie dziewiczym, bo była nieśmiała i nieufna, krępowała się byle czym, a seks wydawał się jej czymś potwornie zniechęcającym (powiedzmy szczerze, raczej budzącym odrazę). Na studiach cieszyła się reputacją prymuski, cichej i ułożonej, ale w skrytości ducha marzyła, że jakiś chłopak (albo melancholijny, ponury mężczyzna ze zwieszoną głową) przełamie tę strategię obronną, przełamie jej zahamowania i wniesie w jej życie namiętności seksu. Jednak wydawało się, że żaden mężczyzna po prostu jej nie chce, ani melancholijny, ani ponury, ani żaden inny. Czasami się zastanawiała, czy nie wydziela niewłaściwego zapachu albo w ogóle nie wydziela zapachu, bo przecież tak prymitywna rzecz do tego się właśnie sprowadza, czyż nie? Jak u kotów, pszczoł czy piźmowców.

Być może ciekawszym aspektem tej sytuacji był fakt, że poza tym, iż (jak się zdawało) nikt nie chciał Amelii, ona też nikogo nie chciała - poza bohaterami dziewiętnastowiecznych powieści, którzy słowu „nieosiągalny” nadawali dramatycznie nowy wymiar. Pomyśleć, że nawet Sylvia nie była dziewicą. Przed „nawróceniem” spała z dziesiątkami chłopaków. A skoro Sylvia potrafiła sobie znaleźć chłopaka, Sylvia, która nie wyrosła na piękną łabędzicę, lecz brzydką

kaczkę, to dlaczego Amelia nie miałyby znaleźć sobie chłopaka? Długo czekała na kogoś, kto przyśpieszy bicie jej serca, zaćmi umysł, rozkruszy intelekt. Ale kiedy nic takiego nie następowało, Amelia zaczęła poważnie podejrzewać, że panieństwo jest jej przeznaczeniem, że powinna raczej się radować (przynajmniej w duchu) stanem westalki, niż histeryzować z powodu nienaruszonej błony, że powinna widzieć w nim trofeum nieosiągalne dla innych śmiertelnych (wątpliwa to, co prawda, nagroda).

Umrze więc jako szlachetna królowa dziewica, nowa Gloriana. Było to w okresie, gdy przechodziła załamanie nerwowe, spowodowane częściowo niemożnością „porozumienia się” z dekarzami, murarzami i fryzjerkami, a częściowo zupełną płytkością życia (chyba każdy, kto żyje tylko jedną półkulą mózgu, musi być przez cały czas zanurzony w egzystencjalnym mroku), i właśnie wtedy, w chwili największej słabości i największej niepewności, Andrew Vardy powiedział do niej: „Wiesz, Amelio, jeśli masz ochotę na seks, służę uprzejmie”. Ot tak, po prostu, jakby była krową, którą trzeba wydoić. Albo dziewicą, którą trzeba pozbawić dziewictwa. Czy wystarczyło mu spojrzeć na nią, by odgadnąć, że jest kobietą nietkniętą, że jej hymen pozostaje nieuszkodzony? O ileż piękniejsze były te dawne określenia. Co dzisiaj powiedzieliby dekarze? Wątpliwe, by kiedykolwiek poznali prawdziwą dziewicę. Nie znali też przyzwoitych określeń dotyczących seksu. Potrafią tylko mówić „dymać, dymać” (w każdej danej im przez Boga godzinie). Dziewczyny to samo.

Przyniosła do szkoły błonczatkę, *hymenocallis*, aby rozjaśnić ponure i bezbożne wnętrza pokoju nauczycielskiego. Ścięła ją na klombie Philipa, sąsiada z dołu, właściciela wspomnianego pekińczyka. Jakiś ciężki cymbał, któremu się zdawało, że pokój nauczycielski to salon londyńskiego klubu

dla dżentelmenów, powiedział: „Cudowny kwiat, *hymeno-callis*, ach, te stare dobre nazwy są takie... cnotliwe, dziewicze łono, czy może być coś bardziej smakowitego?” co wywołało u niektórych chichoty (także wśród kobiet, Boże kochany, takie babsko powinno przecież coś więcej rozumieć). Amelia miała ochotę roztrzaskać mu wazon na głowie. „Albo weźmy taki pręcik kwiatowy, może zapylimy błonczatkę?...” Ciekawe, jak by się czuł, gdyby mu odcięła jego pręcik? Na pewno wreszcie by się zamknął. Zatopiła się szybko w jakichś książkach, jakby zaraz miała ważną lekcję (co nie było prawdą), i udawała, że jej twarz wcale nie oblała się purpurowym rumieńcem wstydu i upokorzenia. Szczęściem błonczatka szybko uschła, a Amelia nie dopuszczała do siebie myśli, że może to być metafora. Kiedy jednak parę tygodni później Andrew Vardy czynił jej awanse, swą reakcją zaskoczyła samą siebie.

Dzisiaj, gdy przez zadymiony, przesycony wonią błyskawicznych zupek pokój nauczycielski patrzy na Andrew Vardyego, nie potrafi za grosz zrozumieć, jak to możliwe, że się przed sobą obnażyli - samo to wspomnienie wywoływało w niej mdłości - nie mówiąc już o tym, że połączyli intymne części swych ciał, najdelikatniejszą część jej anatomii i jego obrzydliwą, pokrytą gęsią skórką część. Jedyne mężczyzna, z którym się przespała, nawet z daleka nie wydawał się przystojny. Dziobata cera po trądziku i delikatne, gejowskie wąsiki, które żona dawno powinna była kazać mu zgolić. Wcale nie był gejem. Był porządnym katolikiem i miał pięcioro dzieci. Był niewysoki, nawet trochę niższy od Amelii, ale potrafił być zabawny i co więcej, Boże, to było coś, przez dwa lata potrafił wymieniać z nią krótkie uwagi przy kawie, a niekiedy prowadzili dłuższe, filozoficzne rozmowy podczas okropnych lunchów w kafeterii. Andrew należał do dusigro-

szy (w końcu musiał wyżywić piątkę dzieci) i tylko raz za- fundował Amelii lunch, kiedy studenci pierwszego roku hotelarstwa mieli w kuchni praktykę i sprzedawali swoje posiłki za pół ceny (chyba dlatego, że dwukrotnie wzrosło w kuchni ryzyko śmiertelnego zatrucia).

Amelii schlebiało, że Andrew Vardy lubi jej towarzystwo (bo wydawało się, że jest jedyny), i w ten sposób, pod koniec jakiegoś męczącego dnia, kiedy zostali sami w pokoju nauczycielskim, a on wypowiedział słodkie jak miód uwodzicielskie słowa (dla przypomnienia: „Wiesz, Amelio, jeśli masz ochotę na seks, służę uprzejmie”), Amelia pomyślała sobie: Tak, dlaczego nie?

Oczywiście nie natychmiast, nie w tym pokoju - byłoby potworne, gdyby rzucił się na nią tutaj, na stole, wśród pomiętych gazet i nie domytych kubków z resztkami kawy, a ona myślałaby tylko o tym, że w każdej chwili do pokoju może zajrzeć portier. Ale nie, wziął swój plecaczek i pożegnał się: „Do jutra, do widzenia”, jakby nie zaszło między nimi nic godnego uwagi.

Przed spotkaniem z Andrew Vardym Amelia wyobrażała sobie, że seks będzie (jakoś będzie, Bóg jeden wie jak) mieszaniną czegoś mistycznego i ordynarnie animalistycznego, że będzie ciepłym i niewyrazistym doznaniem, które wykroczy poza mechaniczne działanie. Nie wyobrażała sobie natomiast, że seks może być banalny i męczący. Ale, niestety, nie pozbyła się przekonania, że na pewno jest czymś budzącym odrazę.

Odwagi, pomyślała i zaprosiła go na „filizankę kawy któregoś wieczoru”. Doskonale zdawała sobie sprawę, że on rozumie, co to zaproszenie oznacza, ale jeśli spotkanie miałoby okazać się niczym więcej ponad filizankę kawy, to przy-

najmniej nie wypadnie w jego oczach głupkowato. Kupiła kolorowe czasopismo dla kobiet z dołączoną broszurką pod tytułem: *Co robić, żeby mężczyzna oszalał w twoim łóżku* i próbowała tych kilka porad dobrze zapamiętać, choć bez skutku. Czytając broszurkę, miała wrażenie, że przygotowuje się do egzaminu z nie lubianego przedmiotu, który na pewno obleje. Zresztą, komu sprawiłoby przyjemność kapanie gorącym woskiem na sutki? Czy będzie jej to robił? Z pewnością nie. Broszurka radziła, żeby „rozbierać się powoli”, bo „mężczyzna lubi mały, seksowny striptiz”. Amelia nie traciła jednak nadziei, że uda im się to zrobić bez ściągania ubrań. Niemniej wydepilowała sobie nogi i ogoliła się pod pachami, choć przez całe życie nie mogła zrozumieć, co jest złego w owłosieniu na ciele. Pomalowała też sobie (raczej fatalnie) paznokcie u stóp, a wieczorem się wykapała i pokropiła francuskimi perfumami, które zostały po ostatniej wizycie Julii. Przez cały czas wydawało jej się, że przygotowuje się do złożenia z siebie ofiary. Miała w pogotowiu butelkę dobrego bordeaux, kupiła nadziewane oliwki i fistaszki, jakby w planie miała prezentację plastikowych naczyń firmy Tupperware. Była kiedyś na takim pokazie, na zaproszenie jakiejś kobiety z wydziału kosmetyki i fryzjerstwa, na którym promowano produkty tej firmy, i kupiła sobie bardzo użyteczny pojemnik na płatki zbożowe do kuchni. Była to jedyna impreza od pięciu lat, na którą się wybrała.

Co prawda ani oliwek, ani fistaszków nie znalazła wśród porad erotycznych, ale w broszurze była za to mowa o prażonej kukurydzy, co Amelii bardziej kojarzyło się z filmami porno niż poważnym czasopismem dla kobiet. Czytając tę broszurkę, człowiek nigdy by nie pomyślał, że seks ma służyć prokreacji i utrzymaniu gatunku, że chodzi w nim tylko o to, by męskie i żeńskie organy płciowe połączyły się dla

celów biologicznych. Według autorów broszurki w seksie generalnie chodzi o to, żeby w byle otwór ciała wpychać każdy przedmiot, jaki nawinie się pod rękę.

Amelia czekała przez pięć kolejnych wieczorów. Szóstego dnia zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrozumiała to, co mówił do niej Andrew Vardy. Może „służył jej uprzejmiem” w zupełnie innej sprawie? Może chodziło o pożyczenie książki albo programu komputerowego. W pokoju nauczycielskim nie padło już między nimi ani jedno słowo na temat seksu lub filiżanki kawy. Jedyna rozmowa, jaką odbyli od tamtego dnia, dotyczyła kwestii naciągania ocen semestralnych w klasie dekarzy, by spełnili kryteria, przeszli na następny poziom, tak żeby wreszcie mieć ich z głowy. Amelia prze-, stała się przygotowywać wieczorami, na jej nogach pojawiła się szczecinka, a z głowy wyleciały jej wszystkie porady. Nic więc dziwnego, że zgodnie z prawem Murphy'ego Andrew Vardy zadzwonił do jej drzwi, kiedy miała na sobie stare, domowe ciuchy i lakierowała nocną szafkę, którą kupiła na aukcji.

Bez kwiatów, bez czekoladek, bez umizgów - o tak, spodziewała się umizgów - a kiedy zapytała: „Napijesz się kawy?”, tylko głupio się uśmiechnął. Nalała więc dwa kieliszki wina (które jakoś się uchoowało), bo wiedziała, że nie będzie w stanie przejść przez to na trzeźwo. Wysypała fistaszki i oliwki do szklanych miseczek i postawiła je na stole. Czy wszyscy tak robią? Wszystkie kobiety, przygotowujące się na przyjęcie kochanka? Czyż nie smarują ciała wonnymi olejkami i maściami, czyż nie rozczesują włosów i nie kładą się na delikatnym jedwabiu, podając kochankowi bujne piersi do pocałunku? Czyż nie *serwują najpierw smacznych hors d'oeuvres*?

Kiedy tylko usiedli na kanapie, Andrew zaczął ją cało-

wać. Amelia poczuła, jak bardzo wyschnięte i spękane są jego wargi. Miał na sobie te same rzeczy, w których przed południem przyszedł do pracy, i wydzielał przykrą woń. Już po kilku sekundach zaczął podnosić jej poplamiony farbą T-shirt i chwycić za piersi. Ugniatał je niemiłosiernie, jakby były kawałkami plasteliny, a jednocześnie drugą ręką zaczął odpinać sobie spodnie. Amelia dziwiła się, po co to całe zamieszanie, te oliwki, te broszury, te porady na temat gry wstępnej. Wciśnięta w poduszki na kanapie nie bardzo mogła dostrzec, co on robi, a kiedy się zorientowała, że nakłada sobie prezerwatywę, poczuła się wyjątkowo skrępowana (to było śmieszne). Jakaś jej część mówiła jej, by mu przeszkodzić, powiedzieć, żeby się wstrzymał, że powinni poważnie porozmawiać o katolickiej etyce i antykoncepcji. Miał w końcu pięcioro dzieci, czyżby inne zasady stosował wobec żony, a inne wobec kochanki (poczuła drżenie, uświadamiając sobie, że określa tym słowem samą siebie)? Poza tym czy wierzy w nieomylność papieża? Nieraz zastanawiało ją, że w taki nonsens wierzą czasem bardzo inteligentni ludzie (jak choćby Sylvia). Jednak chwila na ewentualne dyskusje o słuszności dogmatów bezpowrotnie minęła, ponieważ Andrew już się w nią wsuwał (było zimniej i o wiele łatwiej, niż się spodziewała) i cały wysiłek musiała skupić na powstrzymaniu odruchu, by go wypchnąć, takie to było niewygodne i nienaturalne. Potem trochę zmienili pozycję, obrócili się raz w jedną, raz w drugą stronę, strącając przy tym ze stolika wino (co za nieostrożność z jego strony!), a potem nagle wydał z siebie głośnie, zwierzęce stęknięcie, jak rodząca krowa, i już po sekundzie jego zwiotczała, mokra część wysunęła się z niej i pacnęła na jej udo niczym martwa mała złota rybka.

Amelia patrzyła w sufit i zauważyła pęknięcie, którego nigdy wcześniej nie widziała. Od dawna tam jest? Może dom

zaczyna już osiadać? Zerknęła na podłogę, gdzie rozsypały się fistaszki i na jasnym dywanie zobaczyła plamę po bordeaux, przypominającą plamę krwi. Zastanawiała się, czy profesjonalna firma czyszcząca dywany będzie w stanie ją usunąć.

Andrew Vardy podniósł się, zebrał swoje ubranie. Na rękawie jego marynarki Amelia zobaczyła ślad jakiejś zaschłej, białej pianki, która, jak podejrzewała, mogła być resztką niemowlęcych wymiocin. Poczowała pieczenie w środku. „Przepraszam cię, Amelio, ale muszę już iść”, powiedział to takim tonem, jakby błagała go, by został. „Obiecałem Bernie, że kupię mleko”. Amelia domyśliła się, że została włączona w harmonogram zakupów. Litr mleka i numerek. Odprowadziła go do wyjścia. Pocałował ją w policzek i powiedział: „Kurczę, było obłędnie”. Na koniec wrzucił sobie do ust nadziewaną oliwkę, jakby chciał się popisać przed gośćmi na przyjęciu, i znikł za drzwiami. Pędził w dół na złamanie karku, skacząc po parę stopni, a piętro niżej pekińczyk Henry rozszczeakał się na niego zajadle. Na kanapie zobaczyła jeszcze jedną plamę i trwało kilka sekund, nim zorientowała się, że to wcale nie bordeaux, lecz jej własna krew. Zrobiło jej się miękko w kolanach. Poczowała się zdruzgotana. Usłyszała, jak sprzed domu odjeżdża zabrudzony przez dzieciaki passat Andrew Vardy ego i rozpłakała się.

Pragnęła Jacksona. Rozpaczliwie. Tak, leżała w łóżku i rozmyślała o nim i sama się zadowalała (Boże, co za kretyńskie określenie). „Pan Brodie by cię uratował”, powiedziała Julia, kiedy stwierdziła, że Jackson byłby owczarkiem niemieckim. Amelia bardzo chciała, aby Jackson ją uratował, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek. Jackson, sama myśl o Jacksonie była nadzieją, obietnicą i spokojem. Była roz-

grzanym przez słońce kamykiem na dłoni, zapachem wilgotnych róż w deszczu, możliwością odmiany. Może powinna mu powiedzieć: „Wiesz, Jackson, jeśli masz ochotę na seks, służę uprzejmie”.

Zaczęła się rozbierać do snu. Było wcześniej, dużo za wcześnie, by kłaść się spać. Za oknem jeszcze nie zapadł zmierzch. Przypominała sobie, jak w dzieciństwie lubiła chodzić spać latem, kiedy wieczorem długo było jasno, ponieważ bała się ciemności. Tak było przed zniknięciem Olivii. Potem nigdy nie czuła się bezpieczna, ani gdy było ciemno, ani gdy było jasno.

Oglądała swoje nagie ciało w starym, pokrytym rudymi i srebrzystymi plamami lustrze, które znajdowało się w małej garderobie Sylvii. Przypominało twaróg. Miała wałki tłuszczu niczym ludzik z logo Michelina. Brzuch zwisał ciężkim fałdem, a piersi kołysały się pod własnym ciężarem. Wyglądała, jakby wydała na świat dziesiątkę dzieci, jak wykuty w kamieniu starożytny symbol płodności. Tyle tylko, że w jej przypadku trudno mówić o płodności, prawda? Dla niej mijał już powoli punkt krytyczny płodności, macica kurczyła się w niej niedostrzegalnie. „Mam jeszcze czas, żeby coś z siebie wyprzeć”, powiedziała jej wczoraj Julia w typowy dla siebie, niesmaczny sposób. Amelii brakowało już czasu, by „coś z siebie wyprzeć”, i niebawem planeta przestanie być dla niej użyteczna. Nikt nigdy nie dostrzegł w niej atrakcyjnej kobiety, nikt nigdy jej nie zapragnął, nawet Victor, własny ojciec uznał, że jest zbyt brzydka, by ją uwieść...

Nagle jej rozmyślenia przerwał potworny wrzask Julii, przeraźliwy krzyk, jakby Julia wyrwała sobie wnętrzności, krzyk, który mógł wróżyć tylko coś okropnego. Amelia porwała szlafrok i zbiegła po schodach.

Julia leżała na podłodze w kącie kuchni i najpierw Amelia pomyślała, że coś jej się stało, ale potem zauważyła, że obejmuje ciało Sammy ego. Pies miał drętwe spojrzenie. Cały był jakiś zeszywniały, jakby gasł, ale kiedy usłyszał pełen niepokojem głos Amelii, lekko uderzył ogonem o podłogę.

- Wezwę weterynarza - zaproponowała nerwowo Amelia. Julia, z twarzą wtuloną w szyję psa, odpowiedziała stłumionym głosem:

- Myślę, że już za późno. To był chyba wylew.

- Tym bardziej powinniśmy wezwać weterynarza.

- Nie, Milly, to nic nie da, on wyruszył już w swoją ostatnią drogę, to stary pies, nie ma sensu go stresować.

Julia wzięła w dłoń jego łapę i pocałowała ją. Szeptala -czułe słowa w ucho zdychającego psa, całowała jego uszy, nos, pysk, głaskała po głowie, lekko tarłosiła siwą sierść na mordce. Amelia nienawidziła Julii za to, że wydaje się jej, że zawsze ma rację i wie, co należy robić w każdej sytuacji.

- Po prostu go pogłaszcz - poradziła Julia.

Ale Amelia już wertowała żółte strony książki telefonicznej, w poszukiwaniu weterynarza, który przyjeżdża w nagłych wypadkach, i w ten sposób przegapiła chwilę, w której Sammy skonał. Zdała sobie sprawę, że pies nie żyje, dopiero wtedy, kiedy Julia podniosła się z podłogi ze ściągniętą twarzą, cała w psiej sierści. Wyglądała, jakby od dłuższego czasu tuliła się do psa.

Nie umiała dać sobie z tym rady. Musiała zadzwonić do Jacksona, bo chciała, by uśmierzył jej ból. Nie chciała, by zrobił to ktoś inny, tylko Jackson. Pragnęła, by wziął ją w ramiona i ukoił, jak Julia ukoila psa. („Jackson, proszę... Przyjedź, jesteś mi potrzebny" - w tych słowach ostatecznych, pełnych rozpacz i namiętności było coś przejmują-

cego dreszczem. Bo czuła namiętność. Czuła rozpacz.) Nie chciała jednak, żeby stanął w jej drzwiach taki wkurwiony (Boże, język dekarzy) ani żeby stanął w jej drzwiach z małym dzieckiem u boku. Swoim dzieckiem. Nie wyobrażała sobie, że Jackson może mieć dziecko, ale oczywiście nigdy go

o to nie pytała. Miał żonę? Zadała mu to pytanie, ledwie przekroczył próg, z oskarżeniem w głosie, jak kompletna idiotka. Wiedziała, że wygląda jak idiotka, rozczochrane włosy, zapuchnięta od płaczu twarz, piersi bujające się na boki w zbyt obszernym, starym szlafroku.

- Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie Brodie - powiedziała Amelia, cedząc słowa, jakby ją zdradził.

Dziewczynka się nachmurzyła, Jackson wściekł się jeszcze bardziej, ponieważ Amelia zdenerwowała jego córkę,

1 tylko Julii udało się załagodzić całą sytuację.

- Przepraszam, panie Brodie, nie możemy jakoś dojść do siebie, zdechł nasz biedny Sammy.

Potem wszystko było niewyraźne, Julia dolewała sobie brandy, a dziewczynka, niemal nienaturalnie zainteresowana zdechłym psem, głaskała jego sierść i powtarzała smutno: „Biedny piesek, biedny piesek”. Amelia miała ochotę dać jej klapsa, bo przecież pies wcale do niej nie należał, zapominając, że do niej właściwie też nie, lecz do Victora. Jackson zaczął tłumaczyć dziecku, że piesek jest teraz szczęśliwy i mieszka w niebie dla piesków, a potem Julia pomogła Amelii pójść do łóżka, gdzie już została, gdzie wypłakiwała w poduszkę swoje żale, cicho, ale mimo wszystko jakoś dojmująco, a był to płacz nieutulony, bo niósł w sobie za wiele ciężaru.

Płakała z poczucia ogólnej niedoli (do czego każdy miał prawo raz na jakiś czas), płakała nad sobą i nad swoim płytkim, nic nie znaczącym życiem. Nie potrafiła tego wytrzymać, po prostu nie potrafiła. Płakała nad Victorem, Olivią

i Rosemary, nad Rascalem (który zdechł dwa lata po zniknięciu Olivii). Płakała, bo tylko raz w życiu uprawiała seks, z Andrew Vardym, bo Mozart umarł tak młodo, a Sammy tak staro, płakała, bo była gruba i brzydka i musiała uczyć kandydatów na dekarzy i murarzy i nigdy, nigdy nie znajdzie się w ciepłych objęciach Jacksona.

Płakała też, bo nie wierzyła w Chrystusa ani w niebo dla piesków i dlatego że nikt nigdy nie będzie przy niej leżał w łóżku w niedzielny poranek, czytał jej gazety, masował kark i pytał: „Masz na coś ochotę, kochanie?” Ponieważ nie było w niej szczęścia, tylko pustka. Ponieważ chciała być szesnastolatką z długimi jasnymi włosami (których nigdy nie miała) i chciała wyglądać z przejęciem przez okno na piętrze i usłyszeć z dołu głos mamy, która krzyczy: „Już przyjechał!” a wówczas zbiegłaby lekko po schodach i wsiadłaby do samochodu, obok swego przystojnego chłopaka, i odjechałaby w siną dal, i kochaliby się gdzieś gorąco i namiętnie, a potem on odwiózłby ją do domu, w którym czekałaby na nią rodzina. Victor, widząc ją w drzwiach, powitałby ją burkliwym, ojcowskim skinięciem głowy, przekorna, nastoletnia Julia udawałaby, że jej nie widzi, a smukła Sylvia, już na pierwszym roku studiów, posłałaby jej pełen wyższości uśmiech. Gdzieś, może w pokoju dla gości, majaczyłby niewyraźny zarys pięcioletniej, śpiącej Annabelle. Rosemary, jej mama, konspiracyjnym tonem, „tak między nami kobietami”, zapytałaby ją, czy miło spędziła czas, i przyniosłaby jej mleko z miodem (czego nigdy nie robiła, Amelia była tego pewna) i być może, zanim zapadłaby w spokojny, niczym nie zakłócony sen ślicznej szesnastolatki, zajrzałaby jeszcze do ośmioletniej Olivii śpiącej bezpiecznie w swoim łóżeczku.

W środku nocy Julia weszła do jej pokoju i położyła się

przy niej w łóżku. Objęła ją i przytuliła tak, jak wcześniej przytuliła umierającego Sammy ego.

- Wszystko dobrze, Milly, wszystko dobrze, naprawdę -szeptała. Było to tak wierutne i cudowne kłamstwo, że nie było sensu oponować.

Jackson

Jeżu, Jackson, co ci się stało?

W głosie Deborah Arnold, podobnie jak w głosie Josie, Jackson usłyszał raczej nutę wyrzutu niż litości i zainteresowania.

- Dziękuję, już mi dużo lepiej - odpowiedział sucho, przechodząc wprost do swego sanktuarium, gdzie czekała na niego Shirley Morrison.

Wyraźnie drgnęła, zobaczywszy jego twarz (była pielęgniarką, więc naprawdę musiał źle wyglądać). Nie dość, że miał zdrowo podbite oko przez Davida Lastinghama (tę kanalię), to najpewniej jego aparycji w niczym nie poprawiał porządny cios w łeb i całonocne leżenie bez przytomności pod gołym niebem.

- Nie jest tak źle, jak wygląda - rzucił na powitanie Shirley Morrison, choć prawdopodobnie było tak źle.

Shirley Morrison siedziała niemal w pozycji kwiatu lotosu. Była wyprostowana jak struna, miała smukłe ciało tancerki. Skończyła już czterdzieści lat, ale równie dobrze można było jej dać trzydziestkę, chyba że spojrzało się w jej oczy i zobaczyło, że kobieta przeszła więcej niż niejeden człowiek

w całym życiu. Jackson wiedział, kim jest, nigdy nie zmieniła nazwiska; to było dawno, zanim Jackson przeniósł się do Cambridge, ale kiedy poprosił Deborah, by dowiedziała się czegoś na temat Shirley Morrison, od razu odpowiedziała: „Morrison, Morrison... Czy to nie siostra Michelle Fletcher? Morderczyni z siekierą?”

- ...Siedziała na podłodze, w ręku nadal trzymała siekierę. Nie mam pojęcia, jak długo tak siedziała, według patologa Keith nie żył od godziny.

Shirley Morrison trzymała w obu dłoniach filiżankę kawy, jakby chciała się ogrzać, choć w gabinecie Jacksona było gorąco jak w piekle, a kawa już dawno musiała ostygnąć. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Jackson odniósł wrażenie, że rekapitułuje w myślach sekcję zwłok Keitha Fletchera.

- ...Kiedy weszłam - ciągnęła po chwili - uśmiechnęła się i powiedziała do mnie: „Cześć, Shirley, cieszę się, że przyjechałaś, upiekłam ci ciasto czekoladowe”. Od razu wiedziałam, że postradała zmysły.

- Obrona powoływała się na chwilową niepoczytalność - zauważył Jackson.

To Deborah znalazła dla niego tę informację. Zebrała także krążące na ten temat plotki. Michelle Rose Fletcher, z domu Morrison, lat osiemnaście, skazana na dożywocie, według słów szacownego sądu: „Za umyślne, dokonane z zimną krwią morderstwo małżonka, człowieka całkowicie niewinnego”. Jackson nie wierzył w całkowitą niewinność nikogo poza dziećmi i zwierzętami, choć i wśród dzieci znalazłby wyjątki. Zaproponował jej drugą kawę, ale ona potrzęsła głową, jakby Jackson był natrętnym owadem.

- Michelle miała bzika na punkcie kontrolowania wszyst-

kich i wszystkiego dookoła. To znaczy, wie pan, kochałam ją całą duszą, była moją wspaniałą starszą siostrą.

Jackson przytaknął. Wiedział, jakie są starsze siostry. Sam miał wspaniałą starszą siostrę, Niamh.

- Ale wszystko musiało być zawsze tak, jak chciała Michelle, zawsze. Przez cały cholerny czas. Rozumiem dlaczego, to znaczy jak nas wychowywano, to było... - Shirley wzruszyła ramionami, szukając odpowiedniego słowa. - Bezhołowie. Mama nie potrafiła dać sobie rady z naszym pieskiem, a cóż dopiero z domem i dziećmiakami. Ojciec pił, mama też zaglądała do kieliszka, nic do niej nie docierało. Michelle bardzo zależało, by nie być taka jak oni. Ale to dziecko ją dobiło. Małego dziecka nie da się przecież kontrolować.

- Myśli pani, że cierpiała na depresję poporodową?

Jackson pamiętał, jak po urodzeniu Marlee Josie płakała przez cały dzień z przygnębienia, a w nocy Marlee ryczała z powodu kolki. Jackson czuł się kompletnie zagubiony i bezradny, nie miał zielonego pojęcia, jak pomóc jednej i drugiej. I nagle wszystko się skończyło jak ręką odjął. Któregoś dnia Josie, patrząc na słodką Marlee śpiącą spokojnie w kołysce, spojrzała wesoło na Jacksona i powiedziała: „Milusia jest, może ją jednak zatrzymamy, co?” To było w czasach, gdy jeszcze byli ze sobą szczęśliwi.

Shirley Morrison spojrzała na niego tak, jakby się zastanawiała, co on może wiedzieć na temat poporodowych cierpień. W końcu znowu wzruszyła ramionami.

- Może. Prawdopodobnie. Mało spała, a człowiek dostaje kręćka, jeśli nie może spać. Ale oni od razu wydali wyrok, prasa, rodzina Keitha. Chłopak nie zrobił nic złego, nie bił jej ani nic. Był nawet sympatyczny, wyrozumiały. Lubiałam go. Wszyscy go lubili. No i wprost uwielbiał Tanyę.

- Michelle miała siniaka na twarzy - zauważył Jackson. Shirley spojrzała na niego zaskoczona.

- Naprawdę?

- Tak zapisał w raporcie oficer dokonujący aresztowania. Dlaczego obrona nie wykorzystała tego faktu w procesie?

- Nie wiem.

Szczupłe stopy Shirley Morrison były opalone na brązowo, jakby chodziła bosą po ulicach. Na nogach miała lekkie indiańskie sandały z wytłaczanej skóry, które jeszcze bardziej podkreślały smukłość jej stóp. Jacksonowi podobały się kobiece stopy, nie w sensie fetyszystycznym (miał nadzieję) i nie wszystkie stopy, bo z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wiele pięknych kobiet miało brzydkie stopy. Po prostu uważał, że ładne stopy kobiece są nadzwyczaj atrakcyjne. (Chciał coś przed sobą usprawiedliwić?) Zauważył na przykład, że Nicola Spencer ma duże stopy. Poprzedniego wieczoru wyleciała nagle do Kopenhagi, diabli wiedzą, co tam robi...

- Odór był nie do zniesienia, okropny, to najbardziej pamiętam... odrażający. Tanya siedziała w kojcu, krzyczała, potwornie wrzeszczała, nigdy wcześniej ani potem nie słyszałam tak krzyczącego dziecka, a pracuję jako pielęgniarka na pediatrii, na oddziale intensywnej opieki medycznej - dodała wyjaśniająco.

Jackson zdążył to już wcześniej sprawdzić. Zatelefonował do szpitala i spytał: „Shirley Morrison, na jakim oddziale pracuje?” i powiedzieli mu. Zdobyć informację jest o wiele prościej, niż się ludziom wydaje. Wystarczy zadać pytanie, a otrzyma się odpowiedź. Oczywiście, nie na poważne pytania, jak na przykład kto zabił Laurę Wyre albo gdzie znajdują się zwłoki Olivii Land. Poważne pytania, na przykład dlaczego kobieta, której ślubował, że będzie ją kochał i bronił

jej, dopóki mu tchu starczy, postanowiła zabrać ich jedyne dziecko i wywieźć na drugą stronę kuli ziemskiej. Ot tak, po prostu. („Tak, Jackson, ot tak, po prostu!”)

- ...pierwsze, co zrobiłam, to wzięłam Tanyę na ręce, ale ona nie przestawała krzyczeć. Była w opłakanym stanie, cała zabrudzona, Bóg wie kiedy i kto ostatni raz ją przewijał, cała była zbryzgana krwią.

Ten obraz, i wszystko, co za sobą w wyobraźni pociągał, zbił ją na chwilę z tropu. Shirley Morrison utkwiała wzrok za oknem, ale nie patrzyła na nic, co się tam znajdowało.

- Miała na sobie nowe ogrodniczki Oshkosh, które jej kupiłam. W tamtym czasie w soboty pracowałam dorywczo w butik. Zawsze z Michelle pracowałyśmy, gdy tylko było można. Gdybyśmy nie pracowały, nie miałybyśmy nic. Pamiętam, że pomyślałam, ile te ogrodniczki kosztowały i że nie da się już doprać plam krwi. Mój szwagier zginął z rąk mojej siostry, a ja się zastanawiałam, jak usunąć plamy ze spodni.

- To dysocjacja, umysł zwodzi myśli na inne tory, by człowiek nie oszalał.

- Myśli pan, że tego nie wiem, panie Brodie? Paznokcie u nóg miała pomalowane jasnym lakierem,

a nad kostką nosiła delikatny złoty łańcuszek. Jackson pamiętał czasy, kiedy łańcuszki na nogach nosiły tylko kurwy i ulicznice. Kiedy był mały, na tej samej ulicy co on, parę' domów dalej, mieszkała prostytutka. Powieki malowała szmaragdowym cieniem, a na białych, żyłastych nogach nosiła intensywnie czerwone szpilki. Czy miała łańcuszek? Czy miała imię? Jackson zwykle mijał jej dom biegiem, bojąc się, że wyjdzie z bramy i go złapie, ponieważ mama mówiła, że to „służebnica szatana”. Słowa mamy poważnie mąciły mu w głowie, bo Szatan było to imię psa - potężnego rottweile-

ra - należącego do pewnego faceta z ogródków działkowych. Jackson od dawna nie myślał o tamtej ponurej ulicy, z ciągiem niskich czynszówek po obu stronach. Kiedy Jackson miał dziewięć lat, przeprowadzili się do lepszej części dzielnicy. Tam nie było już dziwek wysiadujących na schodach przed domami, wypalających sobie płuca. Czy Shirley Morrison jest mężatką? Miała na palcu obrączkę, ani ślubną, ani zaręczynową, srebrną - celtycką lub skandynawską - czy to ma znaczenie?

- Kiedy wzięłam Tanyę na ręce, Michelle się zaśmiała i powiedziała: „Płacze i płacze, co?” Widzi pan, to jest dysocjacja.

- Musiała mieć jakiś powód, żeby go zabić - zastanawiał się głośno Jackson. - Nawet jeśli nie było w tym premedytacji. Coś musiało to wyzwolić.

Było przeraźliwie duszno, choć nie wybiło jeszcze południe. Można było odnieść wrażenie, że całe powietrze w gabinecie zostało już zużyte. Jasnobrązowe włosy Shirley były niedbale spięte na czubku głowy. Drobne włoski na jej karku były ciemne od potu. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby zaprosił ją na lunch, do restauracyjki z ogródkiem, albo gdyby kupili po sandwiczu i poszli na spacer nad rzekę. Oczywiście służbowo, tyle tylko, że przeniósłby miejsce umówionego spotkania na zewnątrz. Kogo chciał oszukać? Kierował się całkowicie niezawodowymi motywami.

Gdyby Josie nie żyła, sąd przyznałby mu pełną opiekę nad dzieckiem. Marlee nie zniknęłaby na drugim końcu kuli ziemskiej. („Wiesz, *Władca pierścieni*”, oznajmiła mu bardzo Przejęta, jakby rzeczywiście Bilbo, Gandalf i reszta kompanów mieszkali w Nowej Zelandii i czekali, aż Josie dołączy do drużyny. Nawet nie czytała książki, oglądała tylko film

na DVD, film, który, zdaniem Jacksona, był zbyt okrutny dla ośmioletniego widza, ale widać David Lastingham miał na ten temat inne zdanie.)

Co było do przewidzenia, Josie nie udało się dotrzymać żadnej z obietnic - by kochać go, szanować i być wierną aż do śmierci - jeszcze dzisiaj dźwięczy mu w uszach to pełne emocji drżenie w jej głosie, gdy powtarza słowa: „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Zdecydowali się na proste, tradycyjne wesele. Teraz planowała ceremonię na tropikalnej plaży, z maoryskim chórem gospel i ułożonym osobiście tekstem ślubowania. Miała zamiar wyjść za kutafona, by „zacząć nowe życie”.

Jackson zaczął się zastanawiać, czy byłby zdolny zabić Josie. Można powiedzieć, że pozycję startową miał lepszą od innych - znał wszystkie sposoby i wiedziałby, jak się do tego zabrać. Nie sam czyn byłby tu problemem. Rzecz w tym, by potem nie dać się złapać. Nie czekałby przecież godzinami na policję z siekierą na kolanach. Jak brzmiała ta rymowanka o Lizzie Borden? „Chwyta Lizzie siekierczkę, robi Lizzie z mamy sieczkę”. Jeśli miałby zabić Josie, musiałoby to być morderstwo doskonałe, „umyślne, dokonane z zimną krwią” - ogień, materiały wybuchowe, broń palna. Choćby snajperski karabin wyborowy L96 A1, z celownikiem optycznym Schmidta & Bendera, z którym można się ustawić bardzo daleko. Nie potrafiłby zabić Josie z bliska, w sposób osobisty, na przykład dusząc ją czy atakując nożem. Nie mógłby być przy niej i patrzeć, jak jej wiarołomne serce przestaje tłoczyć krew, jak w jej oczach gaśnie życie. Ani trucizna. Trucizna jest dobra dla psychopatów i obłąkanych staruszek w starych koronkach. Czy rzeczywiście ostatniego wieczoru napadł go zwykły rabuś? Nic mu nie zginęło - ani portfel, ani zegarek, ani samochód. Ale z drugiej strony, zanim ten facet

zdołał cokolwiek wziąć, zdążył zdrowo od Jacksona oberwać. Doświadczenie mówiło mu, że uliczni rabusie raczej nie usiłują strzaskać czaszki swej ofierze. „Sporo łajdaków buszuje po Bożym świecie”, powiedział mu policjant („Śledczy Lowther, dzień dobry”), który spisywał protokół. Ciekawe, przysłali śledczego do przypadku, do którego powinni wysłać zwykłego stójkowego. Jackson uznał, że właściwie powinno mu to schlebiać. Śledczego Lowthera pamiętał jeszcze z czasów, kiedy był on w policji umundurowanym rekrutem. „W ostatnim czasie mamy do czynienia z plagą rozbojów, inspektorze”, powiedział śledczy Lowther, a Jackson sprostował: „Teraz już po prostu panie Brodie, jestem w cywilu”. Zabawne, nigdy w cywilu nie był „panem Brodiem”, wstąpił do wojska, kiedy miał szesnaście lat, a do tego czasu był albo „Jacksonem”, albo, kiedy zwracali się do niego nauczyciele, po prostu „Brodie”. Potem był „szeregowy Brodie!” i dalej, w miarę awansów na kolejne stopnie, aż wreszcie, po zakończeniu służby w wojsku, znowu stał się „szeregowym Brodiem”, tyle że w policji. Jeszcze nie wiedział, jak czuje się „cywilny pan Brodie”. „Ma pan jakichś wrogów, proszę pana?” zapytał śledczy Lowther z nadzieją w głosie. „Właściwie nie”, odpowiedział Jackson. Bodaj każdy, z którym się zetknął.

Koszula kleiła się Jacksonowi do ciała. Było zbyt parno i gorąco, by siedzieć w biurze.

- Nie wiem, jaki mogła mieć powód - powiedziała Shirley. - Po prostu wpadła w szal.

Zawsze jest powód. Obrona mogła sięgnąć po mnóstwo argumentów - zaburzenia psychiczne, brak snu, trudne dzieciństwo, depresja poporodowa, działanie w obronie własnej (co z tym sińcem na twarzy?).

- W sądzie Michelle powiedziała, że Keith obudził dziec-

ko - przypomniał Jackson. - „Dziecko spało, a on wszedł i je obudził”, w tym zdaniu zdaje się kryć motyw.

Ale Jackson wiedział, jak sąd może odebrać taki motyw. Równie dobrze mogła się przyznać do winy. Michelle Fletcher nie uciekła z miejsca zbrodni i nie wymyśliła żadnego kłamstwa, po prostu czekała, aż ktoś ją znajdzie. Aż znajdzie ją siostra.

Jeśli Michelle Fletcher odsiedziała dwie trzecie wyroku ' i dobrze się sprawowała, to musiała wyjść na wolność w 1989 roku w wieku dwudziestu ośmiu lat. Tyle samo miałyby dzisiaj Laura Wyre, gdyby żyła. Jackson mógłby się założyć, że Michelle była idealną więźniarką, że jeszcze przed 1985 rokiem trafiła do otwartego zakładu karnego i prawdopodobnie zdała egzaminy, by po wyjściu móc zacząć „nowe życie”. Jak Josie. Nowy początek, przekreślenie przeszłości. Co teraz robi Michelle? Shirley Morrison nie wiedziała. Oczywiście, że nie. Dlatego właśnie przyszła do Jacksona.

- Obiecałam Michelle, że zajmę się Tanyą - mówiła Shirley. - I zajęłabym się nią, na pewno bym się zajęła, ale miałam piętnaście lat, a opieka społeczna orzekła, że nasi rodzice się nie nadają, co było prawdą, i oddali Tanyę rodzicom Keitha. Ale ci nie byli wiele lepsi. Po raz ostatni widziałam siostrę w sądzie w dniu ogłoszenia wyroku. Potem nie chciała się z nami widzieć, odrzucała nasze próby spotkań w sali widzeń, nie chciała czytać naszych listów, nie pisała, nic nie mogliśmy zrobić. Mogłam zrozumieć, że nie chciała widzieć matki i ojca, zresztą rodzice zmarli, nigdy już nie widząc swej starszej córki. Ale mnie... Wie pan, nie obchodziło mnie, że zabiła Keitha, była moją siostrą i już, nadal ją kochałam. - Wzruszyła ramionami i dodała: - Każdy jest zdolny zabić, jeśli tylko zaistnieją odpowiednie okoliczności.

Znowu utkwiała wzrok w jakimś odległym punkcie za oknem, a Jackson pomyślał, że mógłby teraz powiedzieć: „Tak, wiem, też zabijałem ludzi”, ale nie wydawało mu się, by był to rodzaj dialogu, jakim chciałby rozpocząć ostatnie pół godziny przedpołudnia w ten upalny poniedziałek, więc milczał.

- Poinformowali nas, że została wypuszczona na wolność - mówiła dalej Shirley - ale nigdy się z nami nie skontaktowała. Nie wiem ani gdzie jest, ani co teraz robi. Koniec końców rozpoczęła nowe życie, a my utknęliśmy w starym. Morderstwo to potworny stygmat, prawda? To takie... takie nędzne. Chciałam pójść na medycynę, zostać lekarzem, ale to było niemożliwe, nie po tym, przez co musieliśmy przejść.

- A teraz pani chce, żebym odnalazł pani siostrę? - zapytał Jackson.

Shirley Morrison zaśmiała się nagle, jakby powiedział coś absurdalnego.

- Boże uchron, nie! Po co miałabym szukać Michelle, skoro wszystkie znaki na niebie i ziemi świadczą o tym, że ona nie chce być odnaleziona? Nic już jej nie obchodzi. Nie chcę szukać Michelle. Chcę odnaleźć Tanyę.

Podwieczorek w ogrodzie Binky Rain. Roślinność tak tu się rozrosła, że do ogrodowego stolika bardziej pasowałyby maczeta niż ułożone w szyku bojowym sztucce; zaśniedziałe nożyki do masła i łyżeczki do dżemu, stały element herbacianej ceremonii u Binky.

- Darjeeling - obwieściła Binky, ale w dzbanku, który wniosła, był jakiś szarobury gęsty napar, który chyba nie miał nic wspólnego z herbatą i smakował jak wyciąg ze starych skarpetek. Wydawało się, że filiżanki nie były myte

od wieków. - Będziemy dzisiaj mieli gościa - oznajmiła tajemniczo, niczym wytworna hostessa w telewizyjnym talk-show. - Syn mojego bratanka, Quintus.

Boże, jak można przez całe życie nosić takie głupie imię?

- Naprawdę? - zainteresował się Jackson. Binky nigdy nie mówiła, że ma rodzinę.

- Właściwie prawie chłopaka nie znam - westchnęła Binky, machając lekceważąco ręką. - Nie łączyły mnie z bratankiem bliskie więzi, ale ten chłopak to teraz cała moja rodzina.

Czy Binky Rain kiedykolwiek łączyły z kimś bliskie więzi? Trudno sobie wyobrazić, że był kiedyś jakiś doktor Rain, że dzielił z Binky łóżko i siedział z nią przy stole w kuchni. Oczywiście nie mogła zawsze być taka stara jak dzisiaj, ale jakoś nie mieści się w głowie, że Binky mogła kiedyś być młodą i piękną panną na wydaniu, zaspokajającą seksualne potrzeby „Juliana” - Boże, Jackson, wyrzuć z głowy takie myśli! Tak się przejął niesmacznym obrazem, jaki pojawił się w jego głowie, że wzdrygnął się i przewrócił filiżankę z herbatą; właściwie było bez znaczenia, że powstała kolejna plama na obrusie, gdyż przypominał on palimpsest wcześniejszych herbacianych wypadków przy stole.

- Coś się stało, panie Brodie? - dopytywała się Binky Rain, ścierając rozlaną herbatę rąbkiem spódnicy.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, z drugiego końca ogrodu rozległ się okrzyk, niczym zawołanie łowczego, zwiastujący nadejście Quintusa. Binky użyła określenia „chłopak” i Jackson spodziewał się nastolatka, toteż nie mógł wyjść ze zdziwienia, kiedy jego oczom ukazał się niezwykle postawny mężczyzna w wieku powyżej czterdziestu lat, o szerokiej, dobrotliwej twarzy i mocno przerzedzonych włosach. Zbudowany był niczym atakujący zespółu rugby,

jednak mięśnie wydawały się tak zwiotczałe, a sam Quintus tak delikatny, że zapewne nie przeżyłby młyna. Miał na sobie drelichowe spodnie, koszulę w biało-niebieskie pasy z białym kołnierzem, różowy krawat, a przez ramię przewieszony granatowy blezer. Gdyby dało się przełamać go na pół, to zobaczyłoby się w nim wielki napis „torys” „Wychował się w Herefordshire”, szepnęła Binky Jacksonowi do ucha, jakby to miało wyjaśniać wszystko o Quintusie. Najbardziej interesujący u Quintusa, przynajmniej dla Jacksona, był po-każny plaster na nosie. Nos wydawał się zraniony tak, jakby grzmotnął go z główki ktoś, kto chciał go powstrzymać przed atakiem kolbą pistoletu.

Ale dlaczego, do diaska, ktoś, kogo w ogóle nie zna, z kim nie łączy go absolutnie nic, miałyby go zaatakować? Quintus wydawał się mocno zbity z tropu, widząc Jacksona w ogródku swojej ciotki. Natomiast Binky zignorowała fakt, że podejmuje herbatką dwóch wrogo do siebie nastawionych, pobitych mężczyzn, i gaworzyła na temat kotki Frisky.

Quintus nie robił wrażenia osoby, która jest częstym gościem starej ciotki, ale w końcu chłopak miał bardzo aktywne życie - wyprawiony w chłopięcym wieku z królestwa sióstr do szkół, by wyrósł na prawdziwego angielskiego dżentelmena - college w Clifton, Królewska Akademia Wojskowa w Sandhurst, ranga oficerska w Lansjerach Królewskich (Jacksonowi wydawało się, że rozpoznaje w jego głosie ryk znany mu z kursu oficerskiego), potem „robotą w kopalni”, a teraz jakieś ważne sprawy nieustannie zabierały mu czas w Londynie.

- W kopalni? - spytał powątpiewająco Jackson, łowiąc koci włos w herbacie.

- W Afryce - wyjaśniła Binky.

- Afryce?

- Południowej Afryce. Kopalnie diamentu. Nadzorcy czarnych.

Binky poszła do domu po dzbanek świeżo zaparzonej herbaty.

- Na pewno macie sobie dużo do powiedzenia, panie Brodie - powiedziała. - W końcu obaj byliście żołnierzami.

Jackson dawno już nie myślał o sobie jako żołnierzu, nie był pewien, czy w ogóle kiedykolwiek tak o sobie myślał.

- Który regiment? - zapytał szorstko Quintus.

- Piechota. Regiment Księcia Walii - odpowiedział lakonicznie Jackson.

- W jakiej randze?

O co tu chodzi? - zastanawiał się Jackson. O to, kto ma większego? Wzruszył ramionami.

- Szeregowiec.

- Taak... Mogłem się domyślić - stwierdził sucho Quintus.

Przeciągnął samogłoskę w słowie „tak” i cedził słowa.

Jacksonowi nie chciało się opowiadać, że choć wstąpił do wojska jako szeregowy, wyszedł jako chorąży żandarmerii wojskowej pierwszej klasy, bo nie miał ochoty bawić się z nim w licytację w stylu kto ma większego fiuta. Jacksonowi zaproponowano patent oficerski, nim zrezygnował ze służby, wiedział jednak, że nigdy nie będzie się dobrze czuł po tej drugiej stronie, odbierając w stołówce obiad razem z takimi kreaturami jak Quintus, którzy w takich jak Jackson widzieli oprychów na samym dole łańcucha pokarmowego

- Mogę pokazać tatuaże - zaproponował Jackson. Quintus jednak podziękował, i bardzo dobrze, bo Jackson

nie miał żadnych tatuaży. Shirley Morrison miała mały tatuaż, między łopatkami, czarna róża na piątym kręgu. Czy

miała na swoim ciele jeszcze inne tatuaże, w mniej widocznych miejscach?

Nagle Quintus przysunął bliżej krzesło, jakby miał zamiar wyznać coś Jacksonowi w sekrecie, i złowieszczym tonem zawarczał:

- Przejrzałem twoją grę, Brodie.

Jackson usiłował powstrzymać wybuch śmiechu. W swej wojskowej karierze przeszedł (z małym entuzjazmem) dwie wojny i niejeden taki Quintus pobrzękiwał nad nim szabelką, usiłując go wystraszyć. Sądząc po wyglądzie, Quintus nie wytrzymałby trzech rund z królikiem.

- Jaką grę ma pan na myśli, panie Rain?

Jackson nie poznał odpowiedzi na to pytanie, ponieważ w tym samym momencie jeden z bardziej męskich i perfidnych kocurów postanowił oznaczyć swoje terytorium, a na jeden ze słupów granicznych wybrał wysuniętą nogę Quintusa.

Jackson poszedł nad rzekę i znalazł trochę cienia na brzegu. Z kieszeni wyciągnął zgniecioną kanapkę, którą kupił wcześniej w sklepie Pret A Manger, i zaczął się nią dzielić ze stadkiem głodnych kaczek. Rzeką ciągnął nieprzerwany sznur płaskodennych łódek; większość pasażerów stanowili turyści. W rolę letnich flisaków wcielili się studenci albo młodzi ludzie w typie studentów, ubrani w tradycyjne pasiaste żakiety i słomkowe kapelusze - chłopcy mieli na sobie flanelowe spodnie do kostek, a dziewczęta nietwarzowe spódnice. Turyści tworzyli istną mieszankę - Japończycy, Amerykanie (w mniejszej liczbie niż kiedyś), mnóstwo trudnych do rozpoznania Europejczyków (najpewniej z Europy Wschodniej) i sporo Skandynawów, którzy w sennej atmosferze Cambridge wydawali się bardziej

egzotyczni niż Japończycy. Wszyscy robili wrażenie bardzo przejętych i podekscytowanych przejażdżką, jakby doświadczyli czegoś ważnego pierwszy raz w życiu - jakby właśnie w taki sposób miejscowi mieszkańcy spędzali swój wolny czas, leniwie pływając łódką w dół rzeki i popijając herbatkę z mlekiem przy dźwiękach zegara na wieży kościelnej w Grantchesterze wygrywającego godzinę trzecią. Kupa gówna, jeśli zacytować ojca Jacksona.

- Panie Brodie! Ju-hu, panie Brodie!

Boże, nie, tylko nie to! Czy od nich naprawdę nie można się uwolnić? Do ciężkiej cholery, płynęły łódką. W każdym razie Julia płynęła, odpychając się drągiem, a Amelia siedziała nieruchomo i spoglądała spod płóciennego kapelusza przeciwsłonecznego, który wyglądał, jakby widział lepsze czasy na głowie szanownej mamusi. Miała też okulary słoneczne i ogólnie robiła wrażenie osoby, która właśnie wyszła z kliniki chirurgii plastycznej po szczególnie śmiałym liftingu twarzy.

- Piękny dzień, prawda? - krzyknęła Julia do Jacksona. - Płyniemy do Grantchesteru na herbatkę. Niech pan wskakuje. Musi pan z nami popłynąć, panie Brodie.

- Nie. Nie muszę.

- Ależ oczywiście - zaśmiała się Julia. - Proszę wsiadać. Niech pan nie będzie takim ponurakiem.

Jackson z ciężkim westchnieniem podniósł się z trawy, pomógł przyciągnąć łódkę do brzegu i niezdarnie wszedł na pokład.

- Oho, nie jesteśmy wilkiem morskim, co panie B.? - zaśmiała się Julia.

Dlaczego są jeszcze w Cambridge? Czy kiedykolwiek wrócą do domu? Siedząca na drugim końcu łódki Amelia pozdrowiła go jakimś nieokreślonym gestem, unikając jego

spojrzenia. Ostatni raz widział ją, kiedy była załamana śmiercią psa. („Jackson, proszę... Przyjedź, jesteś mi potrzebny”) Wyglądała wtedy nie najlepiej, w starym szlafroku i z warstwą makijażu na twarzy. Nigdy wcześniej nie widział u niej makijażu. Był okropny, jakby nałożyła go w ciemności. Do tego nie spięła włosów, które opadały na czoło i twarz luźnymi kosmykami. Każda kobieta osiąga w pewnym momencie wiek, w którym jest po prostu za stara, by nosić rozpuszczone włosy, nawet jeśli jest piękna i nawet jeśli ma piękne włosy, a Amelia nie była piękna i nie miała pięknych włosów.

Jackson uznał, że najlepiej się zachowywać tak, jak gdyby tamtego wieczoru nic się nie stało. „Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie Brodie” - o co jej, do diabła, chodziło? Jakby był niewiernym kochankiem, który ją zdradził. Nigdy nie dał Amelii Land cienia powodu, by mogła sądzić, że między nimi coś jest. Czyżby się w nim podkochiwała? (Boże, nie, błagam.) Stan Jessop podkochiwał się w Laurze Wyre. Czy podkochywanie się to coś bardzo niebezpiecznego? Wydaje się takie niewinne.

- O rany, co się panu stało, panie Brodie? - Julia przypatrywała mu się z bliska. - Pan się z kimś pobił!

Amelia po raz pierwszy spojrzała na niego, ale kiedy napotkała jego wzrok, szybko odwróciła głowę.

- Fascynujące - rzuciła Julia.

- To nic takiego - powiedział Jackson. (Tylko tyle, że ktoś chciał mnie zabić.) - Jaki mamy dzisiaj dzień?

- Wtorek - odpowiedziała szybko Julia. Amelia bąknęła coś, co brzmiało raczej jak środa.

- Naprawdę? - zapytała ją zdziwiona Julia. - Psia kostka, ale te dni lecą, prawda? - (Psia kostka. Kto oprócz Julii jeszcze tak mówi?) - Zawsze myślę - odezwała się Julia -

że środy są fioletowe. - Zdawała się być w wyjątkowo znakomitym humorze. - A wtorki oczywiście żółte.

- Nie - zaproponowała Amelia. - Wtorki są zielone.

- Nie wygłupiaj się, Milly - skarciła ją Julia. - Mniejsza z tym, dzisiaj mamy fiolet, do tego wesoły i pogodny dzień, idealny na herbatę w Orchard Tea Rooms. Często tam chodziłyśmy w dzieciństwie. Przed Olivią. Prawda, Milly?

Amelia znowu zapadła w uporczywe milczenie i tylko machnęła nieznacznie ręką, jakby od niechcenia. Po raz pierwszy odkąd je poznał, ubrane były stosownie do pogody. Amelia miała na sobie luźną bawełnianą sukienkę i brzydkie sportowe sandały. Gdyby poszła do dobrego fryzjera i ubrała się w jakieś porządniejsze rzeczy, wyglądałaby o niebo atrakcyjniej. Za to na Julię miło było patrzeć. Do tego okazała się całkiem wprawnym flisakiem. Miała na sobie skąpy top, który lepiej pasowałby nastolatce, ale odsłaniał jej kształtny, twardy biceps (z całą pewnością regularnie się gimnastykowała) - w każdym razie miała rozwinięty mięsień trójgłowy w przeciwieństwie do Amelii, u której mięśnie ramion tak się kołysały, że mogłaby szybować nad koronami drzew. Mimo słońca Amelia była blada i wyglądała nieciekawie, podczas gdy skóra Julii przybrała kolor prażonych orzeszków. Patrzył, jak sprawnie odpycha się drągiem od dna rzeki z papierosem zwisającym z kącika uszminkowanych warg, i pomyślał, że właściwie fajna z niej babka, i ze zdumieniem odkrył, że Julia coraz bardziej mu się podoba i że to ona, a nie on, umie żartować na swój temat.

- Pan patrzy na moje cycki, panie Brodie.

- Ależ nie.

- Ależ tak.

Raptem Julia wydała lekki okrzyk. Jackson obrócił się, żeby zobaczyć, co tak nagle przyciągnęło jej uwagę. Z rze-

ki wychodził na brzeg mężczyzna w średnim wieku - goły jak święty turecki, chuderlawy i opalony na brąz. Nudysta? Dzisiaj nazywają się naturystami, prawda? Mężczyzna wytarł się ręcznikiem, bez skrępowania położył na brzegu rzeki i zaczął czytać książkę.

- Tam do licha! - zaśmiała się Julia. - Widzieliście? Widziałas, Milly? Czy to legalne, panie Brodie?

- Niezupełnie.

- Czyż nie byłoby cudownie - rozmarzyła się Julia - gdyby można było po prostu zrzucić ciuszki i wskoczyć do wody? Neopoganie kąpali się kiedyś nago w rozlewiskach Byrona. Nie chciałby pan tak zrobić, panie Brodie? Rozebrać się i dać nurka do rzeki, he?

Julia oblizwała górną wargę swym kocim, różowym językiem, a zniesmaczona Amelia cicho prychnęła. Jackson przypomniał sobie nagle Binky Rain, która powiedziała, że dziewczyny od Landów to „dzikuski”. Trudno było mu sobie wyobrazić, by Amelia kiedykolwiek była dzikuską, ale Julia, owszem, Julia na pewno. Pomyślał, że z Julią chętnie popływałby nago w rzece.

- Co on czyta? - zainteresowała się Julia, a Amelia, która, jak się wydawało, nawet nie rzuciła okiem w kierunku obnażonego mężczyzny, odpowiedziała:

- *Principia mathematica*.

I spojrzała znacząco na Jacksona.

- Jeszcze herbaty, panie Brodie? - zapytała Julia i nie czekając na odpowiedź, napełniła mu filiżankę. - „Mamy jeszcze do herbaty miód?”* Oczywiście, że mamy i powinniśmy

* Słynna fraza poetycka Ruperta Brooke'a (przyp. tłum.).

posmarować nim babeczki. Milly, chcesz trochę miodu do babeczki?

Przynajmniej herbata w Orchard Tea Rooms była znakomita, w przeciwieństwie do tej, którą poczęstowała go Binky Rain. Na małym palcu Julii widniała blizna; biegła dookoła niego jakby delikatna srebrna obrączka. Kiedy podnosiła filiżankę do ust, prostowała palec jak prawdziwa dama. Julia złapała spojrzenie Jacksona.

- Odcięłam go - wyjaśniła pogodnie. Amelia prychnęła.

- Przez przypadek - dodała Julia. Amelia znowu prychnęła.

- Zamienisz się w świnkę, Milly, jeśli dalej będziesz tak prychać - rzuciła Julia w stronę siostry.

Naraz Jackson zdał sobie sprawę, że wypytywał Binky Rain o siostry Land, a nigdy nie przyszło mu do głowy, aby siostry Land zapytać o Binky.

- Dobrze znacie Binky Rain? - zaczął. - Waszą sąsiadkę, sąsiadkę Victora?

Julia patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Koty - dorzucił Jackson.

-Ach... byłam kiedyś pręgowanym kotem w chórze -odpowiedziała Julia. - Ale to trwało tylko kilka tygodni, złapałam zapalenie oskrzeli. Szkoda, to było pierwszorzędne tournée.

- Nie - przerwał jej cierpliwie Jackson. - Chodzi o to, że Binky Rain trzyma w domu koty.

- Stara wiedźma - odezwała się niespodziewanie Amelia.

- Ach, ta... - przypomniała sobie Julia. - Nigdy do niej nie chodziłyśmy.

- Na początku tak - zaprzeczyła Amelia. - Ale potem przestałyśmy.

- Dlaczego? - zapytał ją Jackson, ale Amelia znowu zapadła w stan katatoniczny.

- Sylvia powiedziała, żebyśmy nie chodziły - wyjaśniła Julia i zmarszczyła brwi, jakby coś sobie przypominając. - To chyba było już po zniknięciu Olivii. Sylvia mówiła, że na ogród pani Rain padła zła klątwa i jeśli tam pójdziemy, to zamienimy się w koty. Oczywiście Sylvia zawsze była trochę dziwna. Pani Rain chyba już nie żyje, prawda? Dzisiaj miałyby z trzysta lat.

- Prawie - odparł Jackson.

Było coś niezaprzeczalnie przyjemnego w wylegiwaniu się na leżaku w cieniu drzew. Brzęczenie owadów i szmer turystów działały usypiająco i Jackson myślał tylko o tym, by zamknąć oczy i odpłynąć, jednak Julia niezmordowanie paplała coś o neopoganach, Wittgensteinie i Russellu.

- Przecież to skrajnie prawicowe snoby - zauważył Jackson.

- Niech pan wszystkiego nie psuje i niech pan nie będzie taki północny i socjalistyczny - ofuknęła go Julia.

Amelia nadal siedziała zadumana i odzywała się tylko monosylabami.

- Brooke też kiedyś biegał na golasa - powiedziała Julia. - Może nudyzm to coś typowego dla Cambridge.

- Rupert Brooke miał faszystowskie poglądy - burknęła raptem Amelia spod ronda przeciwsłonecznego kapelusza.

A Julia odpowiedziała:

- Już nie żyje, a do tego był kiepskim poetą, ma więc, na co zasłużył.

Na co Amelia powiedziała:

- Zabawny argument, jeśli to w ogóle argument... A Julia na to... Ale Jackson zapadł już w drzemkę.

Jackson wrócił pod dom Binky Rain po samochód, gdzie go zostawił. Tuż przed jego alfą stał złoty lexus, samochód (i kolor), o którym Jackson nigdy nawet nie myślał, i jakoś nie umiał się pozbyć wrażenia, że jest to samochód Quintusa. Nie miał pojęcia, o co może w tym wszystkim chodzić. Czy to rzeczywiście Quintus go napadł?

Jechał Silver Street i słuchał folkowej płyty Gillian Welch *Among- the Yearlings*. Jego muzyczny gust stawał się coraz bardziej depresyjny, jeśli to w ogóle możliwe. Jechał na spotkanie ze Steve'em Spencerem w Eagle. Miał mu co nieco do opowiedzenia na temat Nicoli, jednak jego myśli wciąż krążyły wokół Quintusa. Zamyślony spostrzegł nagle ze zgrozą, że jedzie wprost w bagażnik forda galaxie, który stał przed nim na światłach na Trumpington Street, przy ciastkarni Fitzbillies.

Przód alfa romeo o wiele bardziej ucierpiał niż ford galaxie, ale sprawy mogłyby wyglądać o wiele poważniej, gdyby wcześniej Jackson nie zaczął wytracać prędkości przed czerwonym światłem. Argument ten nie zrobił wielkiego wrażenia na kobiecie, która prowadziła forda. Wskoczyła z samochodu i natychmiast zaczęła wrzeszczeć na Jacksona, twierdząc, że świadomie stworzył zagrożenie dla jej małych dzieci. Przez tylną szybę forda łypały na niego zaciekawione oczka trzech twarzyczek. W chwili gdy przyjechała policja, kobieta stała na środku ulicy i wymownie stuknęła palcem w nalepkę „Uwaga, dziecko!” na tylnej szybie forda.

- Nie zadziałały hamulce - tłumaczył Jackson starszemu z dwóch oficerów drogówki.

- Kłamie! Kłamie jak z nut! - wściekła się kobieta.

- Cie kręcę, Jackson - jęknął policjant. - Ty wiesz, jak skołować babkę...

Po wypadku Jackson czuł się, jakby poluzowało mu się w głowie. Chory ząb nie wydawał mu się zębem, lecz raczej nożem, który wbił się w dziąsło. Wydawało mu się, że jego organizm już nie jest w stanie znieść więcej kar cielesnych.

Policjanci zbadali alkomatem wydychane przez niego powietrze, sporządzili raport z wypadku i puścili rozjuszoną właścicielkę galaxie w dalszą drogę. Następnie wezwali wóz techniczny i odholowali samochód Jacksona na policyjny parking, gdzie mechanik miał go dokładnie obejrzeć. Ów starszy policjant trzy lata temu pożyczył od Jacksona dziesięć funtów na wyścigach konnych. I wciąż mu ich nie oddał. Teraz Jackson uznał, że dług został spłacony.

- Nie zadziałały hamulce - powtórzył Jackson po raz enty.

Kolizja wytrąciła go z równowagi. Miał do czynienia z niejednym wypadkiem, czarne ślady hamowania, gwałtowne skręty na bok, ale nigdy nie był tym, który te skręty robił. Wciąż miał przed oczami obraz, jak bezradnie wpada w tył forda galaxie, przyciągany przez ostrzegawczy znak „Uwaga, dziecko!” niczym przez gigantyczny magnes.

- Myślę, że wyciekł płyn hamulcowy - powiedział mechanikowi.

- Wyciekł, i to do dna - odpowiedział mechanik. - Przez cholernie gigantyczną dziurę, którą ktoś wywiercił w zbiorniku. Coś mi mówi, że ktoś za panem nie przepada.

- O kurczę - rzucił wesoło jeden z policjantów. - Z tego się nie da zrobić kolizji drogowej.

- Dzięki.

Może już czas, by wspomnieć nazwisko Quintusa Raina pełnemu dobrych chęci śledczemu Lowtherowi, który w szpitalu spisywał jego zeznanie.

Radiowóz wysadził go przed domem. Czuł, że w oczach sąsiadów jeszcze bardziej obniża rangę swego kwartału. Dochodziła dziewiąta i z okolicznych ogrodów roznosił się ponętny zapach grilla. Nawet nie patrząc na telefon komórkowy, mógł się domyślać, że jest zapakowany wiadomościami od Steve'a Spencera, pytającego, co się z nim dzieje. Panicznie unikał rozmyślenia nad tym, czy dzień może się skończyć jeszcze gorzej, ale szybko został nagrodzony widokiem, który dawał nadzieję, że dzień może się skończyć o niebo lepiej. Na schodach przed wejściem do jego domu siedziała Shirley Morrison. W rękę trzymała dwie butelki zimnego piwa.

- Pomyślałam, że może przyda ci się pielęgniarka - przywitała go.

Później, dużo później, kiedy niebo było już jasne i rozśpiewały się ptasie chóry, i nastał czwartek (niebieski zdaniem Julii i pomarańczowy zdaniem Amelii), Jackson odwrócił głowę i spojrzał na twarz śpiącej Shirley. Usiłował sobie przypomnieć, dlaczego nie powinien był pójść z nią do łóżka. Ach tak, już wie, ponieważ jest jego klientką. Etyka zawodowa. Nieźle, Jackson. Zastanawiał się, czy będzie żałował, że przekroczył granice. Właściwie to bez znaczenia, czy była jego klientką ani czy zdawało mu się, że coś między nimi zajdzie. Oboje zboczyli ze swych orbit i wpadli na siebie. To wszystko. (Choć oczywiście miło jest myśleć, że może chodziło o coś więcej.) To było jak kataklizm, coś nadzwyczajnego, ale nie widział tu żadnej przyszłości. Ale nie to martwiło Jacksona. Martwiło go, że opowiadając mu swoją straszną historię, Shirley Morrison przez większość czasu patrzyła w górę i w prawo.

Theo

Na dziedzińcu kościoła panował niemiłosierny upał. Pot spływał mu strużkami po twarzy. Wyobrażał sobie, że w jego ciele topi się w tej chwili cały tłuszcz. Choć do kościoła Little St Mary zewsząd było blisko, to wśród nagrobków i polnych kwiatów Theo nie napotkał żadnej duszy, żywej czy martwej. Laura powiedziała mu kiedyś, że często tu przychodziła, by się uczyć, siedząc na trawie z książkami rozłożonymi dookoła. Dlatego umieścił tu ławkę z pamiątkową tabliczką: „Dla Laury, która ukochała to miejsce”, i kiedy na niej siadał, w jakiś niepojęty sposób czuł, że jest bliżej niej. Była to jedna ze stacji drogi krzyżowej Thea, jedno z miejsc, które łączyło się z Laurą. Jej szczątki spoczywały na miejskim cmentarzu przy Newmarket Road, ale dla Thea całe Cambridge było jednym wielkim relikwiarzem na jej cześć.

Ludzie rozrzucali na dziedzińcu prochy bliskich, a na spopielalej, piaszczystej ziemi rósł dywan z rumianków. Na grobie Laury, na miejskim, pozbawionym charakteru cmentarzu, Theo posadził przebiśniegi, jej ukochane kwiaty. Na cmentarzu rosły też gęsto drzewa. Theo się zastana-

wiał, czy ich korzenie odnalazły już Laurę, czy przeniknęły swymi splotami jej klatkę piersiową, czy owinęły się wokół jej stóp, zamknęły wokół dłoni jak bransoletka.

Jackson spotkał się w Londynie z Emmą. Theo miał bardzo mętne wspomnienie Emmy; pamiętał piąte przez dziesiąte, że dziewczyna związała się z jakimś mężczyzną i ostatecznie wszystko skończyło się dla niej nie najlepiej. Jackson powiedział, że Emma pracuje w BBC. Theo nigdy się nie zastanawiał, gdzie pracowałyby dzisiaj Laura, gdyby żyła. Nie ma przecież przyszłości, którą można by sobie wyobrazić. Jej życie zamknęło się między piętnastym lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku a dziewiętnastym lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego. Trzy tygodnie po śmierci nadeszły wyniki jej egzaminów wstępnych, niczym jakieś osobliwe postscriptum. Theo otworzył dużą, brązową kopertę, zaadresowaną do Laury Wyre i zobaczył, że dostała najwyższe oceny. Nie przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić na uczelnię i wycofać papiery. Toteż jesienią, w pierwszym tygodniu nowego roku akademickiego zatelefonował do niego ktoś z administracji uniwersytetu w Aberdeen. „Dzień dobry, czy mogłabym rozmawiać z panią Laurą Wyre?” a Theo odpowiedział: „Niestety nie. Nie może pani rozmawiać z Laurą Wyre” i wybuchnął płaczem.

Było mu potwornie gorąco. Ławka Laury stała przy ścianie kościoła, w miejscu wystawionym niemal przez cały dzień na słońce. Czuł, jak po jego tłustych plecach spływa ku lędzwiom strużka potu. To nie był najlepszy dzień na wizytę w tym miejscu. Theo był uczulony na prawie wszystkie rośliny, które rosły na dziedzińcu, choć uzbroił się wcześniej w okulary przeciwsłoneczne i Zyrtec. Miał nadzieję, że trochę dłużej powalczy wśród bujnej flory kościoła Little St

Mary, jednak z jego oczu i nosa bardzo szybko zaczęła płynąć wodnista wydzielina i musiał się ewakuować. Z trudem się podniósł.

- Do widzenia, kochanie, do widzenia - powiedział, ponieważ Laura była wszędzie. I nigdzie.

W parku Christs Pieces jakiś człowiek ścinał trawę, siedząc wygodnie na małej kosiarce samobieżnej. Theo niewiele widział przez łzy, które płynęły mu z oczu i toczyły się po policzkach. Chusteczka, której właściwie nie odejmował od nosa, była mokra. Ludzie zerkali na niego z zaciekawieniem, ale on się nie zatrzymywał i ciężko posuwał się dalej. Silniki autobusów na dworcu przy Drummond Street wyły jak jakieś mechaniczne bestie, a Theo przysiągłby, że wyczuwa na podniebieniu smak spalin. Kto pozwolił zbudować dworzec tak blisko terenów zielonych? Słyszał własny oddech w płucach. Brzmiał w jego uszach równie głośno jak kosiarka do trawy. Wydawało się czymś nienormalnym mieć uczulenie na lato. Jego żona, Valerie, nigdy nie miała dość cierpliwości do alergii Thea ani do jego astmy, upatrując w nich kolejną słabość charakteru. W domu nie trzymali żadnych zwierząt do czasu, gdy Laura skończyła czternaście lat i zaczęła się domagać psa. Tak bardzo, że Theo w końcu się ugiał. Pojechali do schroniska i wrócili z Makuchną. Wtedy suczka miała zaledwie kilka miesięcy; ktoś wyrzucił ją z jadącego samochodu. Jak można zrobić coś takiego? Jaki człowiek jest w stanie zadać innemu stworzeniu takie cierpienie? Laura mówiła, że otuli Makuchnę miłością i wynagrodzi jej złą przeszłość. Stopniowo Theo przyzwyczajał się do psiej sierści, w końcu nawet pozwalał psiakowi siadać na kolana i głaskał go po łebku. Także pokochał Makuchnę. Przeżyli straszne chwile,

kiedy wpadła pod samochód. Drobną zapowiedź tego, co miało nastąpić.

Theo poczuł ucisk w klatce piersiowej. Zaczął ciężko sapać. Sięgnął do kieszeni po Ventolin. Nie znalazł go tam, gdzie zawsze go trzymał. Zaczął szukać po innych kieszeniach i nagle przed oczami stanęła mu ampułka leku, którą zostawił na stoliku w przedpokoju, kiedy przekładał ją z jednej marynarki do drugiej. Serce zabiło mu w panicznym strachu. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zachwiał się i osunął na ławkę w Ogrodzie Różanym Księżnej Diany. Usiłował zachować spokój, chciał trzymać strach jak najdalej od siebie. Jasny, słoneczny dzień nagle pociemniał, przed oczami zaczęły mu tańczyć kolorowe plamki. W klatce piersiowej czuł potężniejszy ból i zaczął się zastanawiać, czy ma atak serca.

Walczył o każdy oddech. Powinien dać komuś znak, że potrzebuje pomocy, że nie jest pierwszym lepszym tłuściochem, który w upale zalewa się potem, lecz że jest tłuściochem, który umiera. Strach zaciskał się wokół jego piersi jak imadło, skręcał ją i zgniatał boleśnie. Jego uszu dochodziło okropne rżenie, które wydawał. Na pewno nikt go nie słyszy?

Zaraz przejdzie, myślał sobie, ale nie przechodziło. W tej chwili mógłby się spodziewać spokoju i zgody na wszystko. Mógłby się spodziewać, że niedostatek tlenu zdążył już przygotować go na śmierć. Ale jego ciało się opierało. Walczyło każdym swoim włóknem, każdym nerwem. Odchodząc z tego padołu, będzie walczył, czy mu się to podoba czy nie.

Przed jego oczami pojawiła się jakaś ciemna sylwetka i przesłoniła mu słońce. Pomyślał, że to na pewno Laura przyszła, by zabrać go do domu. Chciał wypowiedzieć jej imię, ale nie potrafił wydobyć słowa, nic już nie wiedział, nie mógł już oddychać. Coś do niego mówiła, ale jej słowa do-

cierały do niego jakby z podwodnych głębin. Dotknęła jego ręki, a jej palce wydały się lodowato zimne. - Czy coś się stało?

Jej słowa huczały mu w uszach jak fale, a jakaś jego część chciała odpowiedzieć: „Dziękuję, nic mi nie jest”, bo nie chciał jej martwić, ale inna część, ta mocniejsza, ta bardziej uparta, nad którą nie umiał zapanować, chwyciła łąpczywie powietrze, próbując przekazać jego rozpacz. Teraz słyszał także inne głosy. Ktoś coś mówił, ktoś wciskał mu coś w usta i po sekundzie zorientował się, że to inhalator.

Potem ciemność. I karetka, w której czuł się słabo i miał mdłości, ale maska tlenowa okazała się nadzwyczaj pomocna. Sanitariusze unieśli ją trochę, żeby mógł coś powiedzieć, i zapytał, czy miał zawał serca, a sanitariusz odpowiedział: „Nie, nie sędzę”. A potem Theo zasnął.

Obudził się w łóżku na szpitalnym oddziale. Obok leżał starszy mężczyzna podłączony do płątaniny rurek. Theo uświadomił sobie, że także jest podłączony do jakiejś aparatury. Kiedy znowu się obudził, starszego mężczyzny obok już nie było, a kiedy obudził się po raz kolejny, spostrzegł, że znajduje się na innym oddziale i że są godziny odwiedzin, ponieważ do sali wchodzili ludzie z gazetami, owocami i bielizną na zmianę w pękaty, plastikowych torbach. Theo śledził wzrokiem przechodzące osoby i naraz spostrzegł, że na krześle przy jego łóżku siada jakaś dziewczyna. Natychmiast zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze ta dziewczyna to żebraczka o kremowożółtych włosach, a po drugie to ona pomogła mu w parku Christs Pieces. Nie Laura.

Spędziła u niego następne popołudnie, siedząc ostrożnie na skraju krzesła, jakby nie ufała, że zdoła ono unieść jej ciężar, choć była przecież chuda jak patyk. Nie przyniosła mu

ani gazet, ani owoców, ani żadnych rzeczy, które przynosili do szpitala inni goście, natomiast wcisnęła mu w rękę coś małego. Kiedy otworzył dłoń, zobaczył obły kamyk, ciepły jeszcze od jej suchej, brudnej ręki, co sprawiało, że wydawał się bardzo osobistym podarkiem. Theo zastanawiał się, czy dziewczyna jest nienormalna. Był pewien, że jest na to jakieś bardziej politycznie poprawne określenie, ale nie umiał go sobie przypomnieć. Umysł falował mu jak ocean, domyślał się, że podają mu jakieś silne leki.

Nie miała ochoty na rozmowę, ale wcale mu to nie przeszkadzało, bo on też nie miał. Powiedziała mu tylko, że ma na imię Lily-Rose, a on odpowiedział: „Ładnie”, a ona uśmiechnęła się do niego nieśmiało i powiedziała: „Dziękuję, to moje własne imię”, co zabrzmiało cokolwiek dziwnie.

Podeszła pielęgniarka, by zmierzyć Theowi temperaturę. Wsunęła termometr w usta Thea i uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Myślę, że jutro tata wróci do domu. Lily-Rose odpowiedziała:

- To dobrze.

Theo nic nie powiedział, bo trzymał między zębami termometr.

Jackson przyszedł wieczorem. Theo był bardzo wzruszony, bo Jackson wydawał się szczerze o niego martwić.

- Musisz bardziej na siebie uważać, wielkoludzie - powiedział Jackson i poklepał go po dłoni.

Theo poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, od dawna nikt go nie dotykał, jeśli nie liczyć pielęgniarek i lekarzy, którzy go badali. I chłodnego dotyku dziewczyny z kremowo-żółtymi włosami. Lily-Rose. Jackson wyglądał, jakby znowu ktoś go pobił.

- Wszystko w porządku, Jackson? - zapytał z troską. Jackson spojrzał na niego z bólem i odpowiedział.

- To bardzo zależy od tego, jaka jest twoja definicja słowa „w porządku”, Theo.

Odprowadziła go do taksówki, podtrzymując pod łokieć, jakby miała utrzymać go w chwili, gdy straci równowagę, a nie wyglądała na osobę dość silną, by podtrzymać rosnący łubin. Taksówkarz i pielęgniarka pomogli Theowi ulokować się na tylnym siedzeniu auta. Pielęgniarka trzymała drzwi otwarte dla Lily-Rose. Pies Lily-Rose wskoczył do środka, ale natychmiast wyskoczył z powrotem na ulicę, gdy zorientował się, że jego pani nie wsiada. Theo chciał jej napisać swój adres i numer telefonu, ale nie miał przy sobie ani papieru, ani nic do pisania.

- Proszę, może pan napisać na tym.

Lily-Rose podała mu jakąś małą białą wizytówkę. Dopiero kiedy zapisał na rewersie swoje dane, odwrócił kartonik i spostrzegł ze zdumieniem, że to wizytówka Jacksona. Spojrzał zaskoczony na dziewczynę.

- Znasz Jacksona? - zapytał.

- Kogo? - odpowiedziała pytaniem dziewczyna, ale pielęgniarka już zamknęła drzwi i taksówka ruszyła z miejsca.

Pielęgniarka i Lily-Rose stały jeszcze chwilę na chodniku i machały na pożegnanie. Theo także im pomachał i pomyślał, jakie to nedorzeczne: kiedy wydawało się, że dziewczyna wsiądzie z nim do taksówki, serce zabiło mu z radości.

Nie było go ledwie dwa dni, a już mieszkanie wydało mu się dziwne i obce. Inhalator wciąż stał na stoliku w przedpokoju. W pokojach było duszno. Theo natychmiast otworzył okna i pomyślał o zakupie jakiejś świeczki zapachowej, dro-

giej, nie takiej, która pachnie tanią wanilią i chemicznym odświeżaczem powietrza. Wszedł na piętro do dawnego pokoju Laury, „pokoju śledczych”, jak nazywał go Jackson, i po raz pierwszy spojrzął na jego wnętrze innymi oczami. Zobaczył, jak makabryczny i przerażający może się wydawać.

Usiadł przy komputerze i przez Internet zamówił kartony do pakowania, bardzo ładne, w kwiaty. Zaplanował sobie, że wszystkie zbiory popakuje w kartony, dokładnie je opisze i poprosi Jacksona, by pomógł mu ułożyć je na strychu. Potem wszedł na stronę [tesco.com](https://www.tesco.com) i zamówił podstawowe zakupy, ale nie wchodził już na zakładkę „ulubione”, bo wiedział, że znajdzie tam tylko swoich zabójców - mrożone serniki, lody, ciastka, pełnotłuste jogurty, zapoczątkował zatem nową listę: chude mleko, owsianka, warzywa i owoce, razowy chleb, duże butelki wody Evian, i pomyślał, jaka to godna politowania lista zakupów. Wcale nie było tak, że Theo poczuł się nagle lepiej czy radośniej. Nie dostrzegł też raptem przed sobą jasnej przyszłości. Rzecz w tym, że Theo wracał myślą do chwili, jak wczepił się w swoje życie, gdy coś usiłowało mu je odebrać, jak walczył o nie w Christs Piece. Laurze nie była dana szansa, by walczyć o życie, ale jemu tak i być może było w tym jakieś ukryte znaczenie, choć nie wiedział jakie.

Chciał już skończyć zakupy, lecz pomyślał jeszcze przez chwilę i kliknął na dział żywności dla zwierząt. Zamówił sześć puszek najlepszej karmy dla psa. Na wszelki wypadek. Zapłacił i wyłączył komputer.

Potem czekał.

Caroline

Nikommu jeszcze nie powiedziała. Była w czwartym miesiącu, ale jeszcze nic nie było widać. Mocne mięśnie brzucha. Miała ultrasonografię i „wszystko jest w porządku” -nie nosiła w sobie bliźniaków ani kosmity. Położna w ośrodku okazała się typem silnego babska, starej krowy, co to niewiele mówi, a wszystko wie. Caroline się zastanawiała, czy nie skłamać, odpowiadając na pytanie o „poprzednie ciąży”, ale wiedziała, że prawda wyjdzie na jaw.

- Tak, dwadzieścia pięć lat temu, dziecko oddałam do adopcji. (Co było szczerą prawdą.) Widziała, jak położna liczy w głowie lata: dwadzieścia pięć lat temu Caroline Edith Edwards miałyby dwanaście lat. Położna bez słowa podniosła brwi, a Caroline miała ochotę rzucić krótko: „Wal się, suko” ale nie powiedziała tego, ponieważ przemawiałyby przez nią Michelle, a nie Caroline Edith Edwards.

Caroline wolałyby porozmawiać o zwiększonym ryzyku ciąży i porodzie w wieku czterdziestu trzech lat, ale mogła tylko powiedzieć: „Właściwie jestem o sześć lat starsza”. Zresztą dzieciak miał się bardzo dobrze, czuła, że jest cały ¹ zdrowy, czuła, że już mu o coś chodzi.

Próbowała sobie wyobrazić, jak zawiadamia Hannah i Jamesa o tym, że będą mieli siostrzyczkę (może braciszka, ale była pewna, że to będzie dziewczynka), i widziała ich miny pełne niesmaku i zazdrości, a potem lisie, zakonspirowane uśmiešky, gdy w ich głowach będą się już leżyły potworne plany. Caroline odruchowo położyła dłoń na brzuchu i poczuła zimną maź, której starej krowie, położnej, nie chciało się po badaniu zetrzeć. Jonathan - jak powie o tym Jonathanowi? „Kochanie, wiesz, znowu zostaniesz ojcem”, a on napuszy się jak paw, dumny, że jego nasienie raz jeszcze okazało się w pełni wartościowe, bo dla niego to nie będzie dziecko, osoba, lecz jeszcze jedna rzecz, jak nowy traktor albo gniady wałach małej Hannah do ujeżdżania, który i tak był dla niej za duży i z którego na pewno spadnie (przy odrobinie szczęścia) i skręci sobie kark. (Naprawdę nie wolno jej tak mówić, to może się obrócić przeciw jej dziecku.) Ujeżdżanie, nowy pomysł Roweny dla Hannah. „Nigdy nie jest za późno, by uczyć się kontroli”, mówiła podczas lunchu, na który zaprosiła Caroline „do swojej chatynki”, a nie na przykład „do pieprzonego dużego domu, który mi zabrałaś”. Ujeżdżanie. To takie angielskie. Takie analne. Jemima, o czym nie trzeba chyba mówić, była w tej kwestii prawdziwym ekspertem.

- Proszę, nie miej mi za złe, że chcę cię o to zapytać, ale... - Rowena przysunęła się do niej nad talerzem z resztkami gotowanego na parze łososia, którego musiał przygotować ktoś inny, ponieważ Rowena z trudem umiała znaleźć w kuchni nóż do krojenia chleba - ...Hm, sama nie wiem, jak to powiedzieć..."

Jej jasnoniebieskie, zmrużone oczy patrzyły gdzieś w dal, niczym w wizjonerskim natchnieniu, a Caroline pomyślała, że ma tego dość.

- Chcesz wiedzieć, czy zrobił mi brzuch? - pośpieszyła

z pomocą, a Rowena poprawiła się niespokojnie na krześle, słysząc z ust Caroline uliczny język. - Nie, nie zrobił. - Caroline potrafiła znakomicie kłamać.

- Na pewno?

- Na pewno. - Patrzyła, jak Rowena siłą tłumi kwitnący na jej twarzy uśmiech ulgi.

- Przeniesiemy się z kawą do ogrodu - zaproponowała po chwili Rowena.

Po raz pierwszy była na mszy w kościele Św. Anny. Po raz pierwszy słyszała, jak wygłasza kazanie. W wykrochmalonej, śnieżnobiałej, niedzielnej komży wyglądał zupełnie inaczej, a Caroline się zastanawiała, kto mu ją wyprał i wykrochmalił. Czyżby jakaś „pani”, którą hojnie wynagradzał? Nie przywoływał często imienia Boga w kazaniu, za co Caroline była mu wdzięczna. Czasem mówił trochę chaotycznie, ale generalny wydźwięk był czytelny - ludzie powinni być dla siebie lepsi. Przyjęła to ze zrozumieniem, bardzo słusznie mówi. Wszyscy zebrani parafianie, czyli w sumie dziesięciu (włącznie z Caroline), też przytakiwali głowami na znak zgody, a gdy msza dobiegła końca, każdy z każdym uściśnął sobie serdecznie dłonie, co wydało się Caroline bardzo kwakerskie. W więzieniu chodziła na wszystkie nabożeństwa, głównie dlatego, że stanowiły odmiennność w codziennej rutynie, a kapłani byli dla niej szczególnie uprzejmi i wyrozumiali, prawdopodobnie ze względu na ciężki charakter jej uczynku. Wydawało się, że im cięższa zbrodnia, tym bardziej kapłani lubili penitencjariusza. Wiadomo, zbłąkana owieczka.

Stał przed wejściem do kościoła i ścisnął dłoń wszystkim wychodzącym parafianom, a każdemu oczywiście miał do powiedzenia parę ciepłych słów. Postarała się, by wyjść jako ostatnia. Żywiła cichą nadzieję, że zaprosi ją na filiżankę

kawy, a może nawet na lunch, ale nie zaprosił, powiedział tylko: „Jak miło cię widzieć w moim kościele, Caroline”, jakby była nowo nawróconą parafianką. Poczula się absurdalnie rozczarowana. Jednak uśmiechnęła się, odpowiedziała coś niezobowiązującego i poszła pospacerować na dziedziniec, z nadzieją, że może podąży za nią, ale on zniknął we wnętrzu kościoła.

Nie kochała nikogo od czasu Keitha, a nawet on był tylko głupią miłostką nastolatki, która w normalnych okolicznościach powinna była zakończyć się spokojnym rozwodem. Dobrze było znowu kochać. Czula, że odzyskuje dzięki temu utraconą część osobowości. Oczywiście, kochała pędraka. Tanyę. Ale to była miłość innego rodzaju, fundamentalna. Zresztą wtedy nie kochała jej, nie w taki sposób, jak to sobie dziś wyobraża, nie tak, jak się od tego czasu nauczyła kochać, w ciągu tych lat nieobecności. I chociaż miłość nadeszła bardzo późno, to w dużej mierze pomogła wypełnić pustkę, jaką pozostawiły po sobie tamte lata. Miłość, która działa wstecz. Jednak Tanya jej nie odczuje. Nie będzie nigdy wiedziała o miłości, jaką czula do niej matka, chyba że opowie jej o tym Shirley („Mama kochała cię ponad wszystko, ale nie mogła przy tobie być”). Wymogła na Shirley obietnicę, że zajmie się pędrakiem. Siostrę kochała w taki sam fundamentalny sposób, w przeciwnym razie nie prosiłaby jej o to. Nowy start. Tak powiedziała Shirley: „Zabierz Tanyę, zapewnij jej nowy start, bądź dla niej matką, którą ja być nie mogę”. Może nie w tak oczywisty sposób ze względu na wiadome okoliczności. ..

- Sądziłem, że masz ładny dom, do którego możesz wrócić.

Wyglądał na nieco ubawionego. Zdjął komżę i włożył ten sam stary, szary, rozpinany sweter. Był to bardzo kobie-

cy ubiór, rozpinany sweter na czymś, co, powiedzmy sobie szczerze, przypominało długą suknię. Jakby wbrew swej woli wyobrazila sobie, jak może wyglądać pod tą czarną szatą. Ale też z wielką radością i przyjemnością uświadomiła sobie, że chociaż miała ochotę uklęknąć przed nim na tym cmentarzu i zwyczajnie obciągnąć mu druta tu i teraz, to najbardziej pragnęła tego, by móc się nim zaopiekować, by zrobić dla niego coś dobrego, usmażyć jajka z tostem i zaparzyć herbatę albo rozmasować kark, albo poczytać mu na głos coś z angielskiej klasyki. Odbiło jej, to jasne jak słońce.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

- Och, moje gratulacje. Cudownie. - Spojrzał na nią uważniej.
- Prawda?

- Tak - zaśmiała się. - To cudownie. Ale proszę jeszcze nikomu nie mówić.

- O rety! Oczywiście, że nie.

Jak mogła się zakochać w kimś, kto mówi: „O rety”? Bardzo łatwo, jak się wydaje.

Ciągle miała go na widoku. Szła za nim grzbietem wzgórza, potem zboczem w dół, do pustych zagród dla jagniąt, gdzie zatrzymał się i oparł łokciami o drewnianą furtę ogrodzenia. Na jego ramieniu sterczała krzywo strzelba. W zielonych kaloszach, w myśliwskiej kurtce, z psami wężącymi u nóg, wyglądał jak postać z kiczowatego obrazka, zawieszzonego na ścianie w jakiejś leśniczówce. O Meg i Brusie mówił „psy obronne”, ale psy nie przydawały się do niczego. Zapewne wyszedł na króliki. Jakim prawem zabija króliki? Dlaczego jego życie miałoby być więcej warte niż życie królika? Kto decyduje o tych sprawach? Odwiodła kurek. Jego głowa stanowiła doskonały cel. Z tej odległości mogła oddać strzał i trafić idealnie w tył głowy - w środek tarczy.

Roztrzaskałaby ją jak arbuza, melona albo rzepę. Pif-paf! Oczywiście nie zrobi tego. Nigdy w życiu nic nie zabiła, nawet muchy, w każdym razie nie umyślnie. Ruszył w dalszą drogę, zszedł z pola, skręcił do lasu i zniknął jej z oczu wśród drzew. Caroline spojrzała na zegarek, czas na herbatę.

Jackson

Jackson łyknął dwie tabletki przeciwbólowe, popijając paskudną kawą. W hali przylotów czekał na Nicolę i resztę załogi. Była siódma rano, cholerna godzina na to, by czekać na kogoś na lotnisku. Jeśli nieznany zamachowiec dotąd go nie zabił, to z pewnością niebawem uczyni to jego ząb.

Znużeni, nieco zdezorientowani pasażerowie opuścili samolot. Jackson nigdy nie był w Maladze. Kiedy ożenił się z Josie, namawiał ją, by każdego roku wybierali się na drogie wakacje w willach z basenami, do uroczych miejscowości, na Korsykę, Sycylię, Kretę, do Toskanii. Dziś mógł przywołać tylko kilka śródziemnomorskich wspomnień - Marlee śliską od olejku do opalania, z nadmuchanymi motylkami na ramionach taplającą się w brodziku, Josie opalającą się na wygodnym leżaku z książką w ręku, siebie skaczącego do basenu, jego ciemne ciało przecinające błękitną wodę niczym niezmordowany, ogarnięty obsesją rekin.

Obserwowanie Nicoli miało być zajęciem zastępczym, mającym odsunąć myśl, że ktoś próbuje go zabić (choć, mówiąc szczerze, o czymś takim nie sposób zapomnieć).

Teraz miał jeszcze na głowie Tanyę. Dlaczego Shirley

Morrison nie powiedziała mu całej prawdy? Walter i Ann Fletcherowie, rodzice Keitha, po morderstwie przeprowadzili się do Lowestoft i jak się zdaje, bardzo słabo wywiązywali się z obowiązku sprawowania opieki rodzicielskiej nad jedynym dzieckiem jedynego syna. Shirley mówiła, że próbowała utrzymywać kontakt z siostrzenicą, ale Fletcherowie kazali jej trzymać się od dziewczynki z daleka. „Siostra kobiety; która zamordowała ich jedynego syna...”, tłumaczyła. „Trudno im się dziwić”. W wieku dwunastu lat Tanya zaczęła uciekać z domu, a kiedy miała piętnaście lat, uciekła i już nie wróciła. „Szukałam jej wszędzie”, opowiadała Shirley, „ale jakby zapadła się pod ziemię”.

Jackson dopisał Tanyę po stronie strat swego posępnego arkusza zysków i strat, który nosił w głowie w ostatnich tygodniach. Jeśli Tanya żyje, ma dzisiaj dwadzieścia pięć lat. Olivia Land miałaby trzydzieści siedem. Laura Wyre dwadzieścia osiem. Kerry-Anne Brockley dwadzieścia sześć. Miał nadzieję, że przyszłość Tanyi trwa, że rzeczywiście ma dwadzieścia pięć lat, a jej dni toczą się spokojnie w przeciwieństwie do dni różnych Kerry-Anne, Olivii i Laur. I Niamh. Starszej siostry Jacksona, która za parę tygodni skończyłaby pięćdziesiąt lat.

W terminalu pojawiła się kilkusobowa załoga samolotu. Każdy ciągnął za sobą walizeczkę na kółkach z rzeczami osobistymi. Przemierzali hol dziarskim krokiem, stukając głośno obcasami, już po służbie, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Gdyby w tej chwili zatrzymał ich jakiś spragniony pasażer, prosząc o miniaturową buteleczkę whisky lub drugą bułkę, prawdopodobnie znokautowałiby go i zaczęli jeszcze okładać walizeczkami. W załodze oprócz pilotów były tylko stewardesy, ani jednego

stewarda. Co prawda Jackson nie spodziewał się, by Nicola miała romans ze stewardem. Nawet jeśli byłby tutaj taki, to Jackson musiałby się jeszcze upewnić, czy jest heteroseksualny. Stewardesy miały na głowie kapelusiki, jak dziewczęta ze szkoły St Trinian. Nicola szła na końcu, obok drugiego pilota. Mężczyzna wyglądał na jakieś trzydzieści lat z hakiem, przystojny (w bardzo „lotniczym” sensie), ale niewysoki, w każdym razie nieco niższy od Nicoli. Czy dotyka jej? Pierwszy pilot - starszy i korpulentniejszy od kolegi - odwrócił się i powiedział coś, a Nicola wybuchnęła śmiechem. To było coś bardziej obiecującego: Jackson nie przypominał sobie, by Nicola kiedykolwiek się śmiała.

Wyszedł za nimi z budynku, a potem na parking. Samochody Nicoli i pilota były zaparkowane obok siebie. Jackson pomyślał, że może ma to jakieś znaczenie, ale pożegnali się z wyraźną obojętnością, bez pocałunku, bez dotknięcia, bez zagadkowych spojrzeń. Ani cienia romansu. Nicola wsiadła do samochodu, zapuściła silnik i odjechała we właściwym dla siebie stylu kierowcy formuły pierwszej. Jackson pojechał za nią mniej samobójczym tempem. Na czas naprawy alfy wynajął fiata punto. Był pomarańczowy, przez co rzucał się w oczy. Auto zdecydowanie dla kobiety. Jego samochód nadal był w warsztacie policyjnym, gdzie eksperci przeprowadzali różne badania. „Taki sabotaż policja traktuje bardzo poważnie, panie Brodie”, oznajmił mu nowy śledczy (w każdym razie nowy dla Jacksona), a Jackson odpowiedział: „Słusznie”. Nie powiedział słowa o Quintusie. Nie wyobrażał sobie, by policja mogła wydedukować coś więcej niż on sam.

Poprzedniego wieczoru był u Binky, by sprawdzić, czy Quintus jeszcze u niej gości, ale nikt nie otworzył drzwi. Przed domem nie było lexusa i Jackson pomyślał, że być

może Quintus zabrał starszą panią na obiad albo na wycieczkę. Czy to prawdopodobne?

W ciągu paru minut stracił Nicolę z oczu. Kiedy podjechał pod jej dom i zatrzymał się w odpowiednim oddaleniu, ona, ubrana w dżinsy i sportową bluzę, kosiła już trawnik przed domem ręczną kosiarką, w sposób, który nieodparcie przypominał Jacksonowi bojowe nastawienie Deborah do klawiatury komputera. Albo bojowe nastawienie Josie do wszystkiego, zanim David Lavingham przeprowadził na niej lobotomię à la *Żony ze Stepford*. Nicola miała jeszcze na twarzy makijaż, który zupełnie nie pasował do zajęcia ani do domowych rzeczy, jakie miała na sobie. Język jej ciała był może rzeczywiście bardzo bojowy, ale jej twarz była nieprzeniknioną maską.

Powinien był coś przynieść dla Thea - kwiaty, owoce albo książkę - ale nie pomyślał o tym, a teraz było już za późno. W szpitalnym łóżku Theo wydawał się mniejszy. Bardziej chłopczyk bez mamy niż człowiek-góra. Jackson zastanawiał się, jak wprowadzić go w lepszy nastrój. Powiedział mu, że pojechał do Londynu zobaczyć się z Emmą, ale Theo nie wykazywał sprawą specjalnego zainteresowania, choć zapytał Jacksona, czy już się lepiej czuje i czy wszystko w porządku (paradoksalne pytanie, zważywszy na okoliczności, w jakich sam się znalazł), a Jackson odpowiedział: „To bardzo zależy od tego, jaka jest twoja definicja słowa «w porządku»”.

Największym zmartwieniem Jacksona było teraz to, że jeśli rzeczywiście złapie mordercę w żółtym swetrze (choć wydawało się to mało prawdopodobne), to nie uśmierzy bólu Thea, przeciwnie, może nawet go pogłębi, bo wreszcie Theo będzie miał „zamknięcie sprawy”, jakiego szukał. Ale Laura nadal będzie martwa.

Jackson brnął przez nagrzane szpitalne korytarze, z izby przyjąć do sali intensywnej opieki medycznej na oddziale pediatrii. Wszedł na oddział nie zatrzymywany przez nikogo. Pielęgniarka w recepcji rozpoznała go i o nic nie zapytała. Wolałby, żeby zapytała. Nie powinno się tak łatwo wchodzić do różnych miejsc.

Jackson spoglądał na Shirley zza szklanej ściany, która zdawała się przypominać lustro weneckie, bo z drugiej strony nikt go nie zauważał. Shirley Morrison miała na sobie niebieski kitel chirurgiczny. Jackson pomyślał, że nie ma dla kobiety bardziej seksownego stroju od chirurgicznego kitla. Zastanawiał się tylko, czy to jego własne spostrzeżenie, czy myśli tak co drugi facet. W takich sprawach powinno się prowadzić badania opinii publicznej. Shirley stała nad łóżeczkiem i delikatnie trzymała w dłoniach maleńkie woskowane ciało. Było podłączone do systemu kabli, rurek i monitorów i robiło wrażenie jakiejś dziwnej, kruchej istoty z kosmosu.

- Proszę chwileczkę poczekać, powiem jej, że pan jest -zagadnęła go młoda australijska pielęgniarka. (Kto, u diabła, został w Australii? Wszyscy Australijczycy są tutaj. Bóg wie dlaczego.)

Jackson zobaczył, że do Shirley podszedł jakiś lekarz, dotknął jej ramienia i coś do niej powiedział. Było w tym geście coś nieuchwytnie intymnego. Widząc, jak ona odwraca się do niego i uśmiecha, Jackson instynktownie się domyślił, że musieli ze sobą spać. Oboje patrzyli na noworodka. Czuł się jak voyeurysta. Pielęgniarka, która go rozpoznała (jak ona miała na imię? Elaine? Eileen?), stanęła obok niego i powiedziała:

- Słodkie, co?

- Słodkie? - zdziwił się Jackson, nie widząc w tej scenie nic słodkiego; kobieta, która spędziła z nim upojną noc, wy-

mienia czułe słówka z drugim kochankiem nad łóżeczkiem chorego dziecka.

- Tak naprawdę to smutne, tak mi się wydaje - powiedziała Elaine czy Eileen. - Sami nie mogą mieć dzieci.

- Oni!?! Są parą? Shirley Morrison i ten doktor? Elaine czy Eileen spojrzała na niego spode łba.

- Tak. Doktor Welch jest jej mężem. To ordynator oddziału pediatrii.

- Są małżeństwem?

- Tak, inspektorze Brodie. Czy pan prowadzi śledztwo w sprawie Shirley Morrison?

- Nie jestem inspektorem. Odszedłem z policji dwa lata temu, Eileen.

- Elaine.

- Elaine. Dlaczego miałbym prowadzić śledztwo w sprawie Shirley Morrison?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Tak pan o nią wypytuje.

- Przepraszam.

Elaine przysunęła się bliżej niego i szepnęła konfidencjonalnym tonem:

- Pan wie, prawda, że to siostra tej...

- Tak - przerwał jej Jackson. - Wiem.

Po skazaniu siostry za morderstwo Shirley Morrison nie zmieniła nazwiska. Nie zmieniła go także, gdy wyszła za mąż. W którymś momencie ich porannego otumanienia, po odurzającej nocy, zapytał ją, dlaczego nie szukała innej tożsamości. „Bo tylko ona mi została”, odpowiedziała. Jej mąż przeszedł do drugiego łóżeczka, by obejrzeć kolejnego małego kosmitę, a Shirley włożyła swoją istotkę z powrotem do jej małego statku kosmicznego.

Australijska pielęgniarka wkroczyła na salę intensywnej

opieki i powiedziała coś do ucha Shirley Morrison, która odwróciła się w kierunku szyby i, widząc Jacksona, zmarszczyła niezadowolona brwi. Jackson wzruszył ramionami, rozłożył ręce i zrobił bezradną minę. Potem podniósł prawą rękę i znacząco wskazał palec serdeczny, na którym nie było ślubnej obrączki, a potem wskazał na nią. Ona wzniosła oczy do nieba, jakby nie mogła uwierzyć, że Jackson daje jej takie bzdurne znaki. Kiwnęła ręką, żeby podszedł do drzwi. Uchyliła je lekko, jakby Jackson mógł stanowić dla niej zasadnicze zagrożenie.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś mężatką? - zapytał.

- Co to ma do rzeczy? -Ma.

- Chryste, odbiło ci? Co ty, Jackson, ostatni sprawiedliwy? To był tylko seks. I tyle.

Zamknęła mu drzwi przed nosem. Miał wcześniej złe przecucia w stosunku do niej i powinien ich posłuchać. Potrafiła doskonale kłamać, czy raczej potrafiła doskonale unikać mówienia prawdy? Co za różnica? Lubił uważać, że prawda jest obiektywna i absolutna, ale może takie przekonanie robiło z niego sztywnego moralnego faszystę.

Wychodząc, Jackson prawie wpadł na bezdomną dziewczynę o żółtych włosach, która czaiła się na korytarzu. Mamrotała coś do siebie pod nosem, jakby odmawiała różaniec. Miał ochotę powiedzieć jej „cześć”, bo w ostatnim czasie widywał ją tak często, że miał poczucie, jakby ją bardzo dobrze znał. Ale oczywiście nie odezwał się i był bardzo zaskoczony, gdy ona odezwała się pierwsza.

- Pan go zna, prawda?

- Kogo?

- Tego starego grubego dziwaka.

- Thea? - Domyślił się Jackson.
- Tak. Wyjdzie z tego?
- Ma się całkiem dobrze - odpowiedział Jackson. Dziewczyna ruszyła do wyjścia, a Jackson powiedział za nią:
 - Godziny odwiedzin jeszcze się nie skończyły. Możesz się z nim zobaczyć, jest w izbie przyjęć, przechodzi jeszcze ostatnie badania.
 - Nie, nie. Byłam u niego całe przedpołudnie. Przyszłam tu poszukać kogoś innego.
- Jackson towarzyszył jej aż do drzwi. Cała się trzęsła, choć wieczór był ciepły i przyjemny. Zapaliła papierosa.
- Och, przepraszam.
- Poczęstowała także Jacksona, a on nie odmówił.
- Jesteś za młoda, żeby tyle palić - powiedział.
- A pan za stary - odpowiedziała. - Zresztą mam dwadzieścia pięć lat, mogę już wszystko.
- Według Jacksona dziewczyna wyglądała na siedemnaście, najwyżej osiemnaście lat. Podeszła do swojego psa, którego przywiązała do ławki przed szpitalem.
- Pan jest jego przyjacielem? - zapytała.
- Thea? Tak jakby.
- Był przyjacielem Thea? Może. Był przyjacielem Amelii i Julii? Boże uchronaj. (Był?) Na pewno nie był przyjacielem Shirley Morrison, bez względu na to, co wyczyniali ostatniej nocy pod osłoną ciemności.
- Tak - powiedział w końcu. - Jestem przyjacielem Thea. Mam na imię Jackson.
- Jackson - powtórzyła, jakby chciała dobrze zapamiętać to imię.
- Wyjął z kieszeni garść swoich wizytówek.
- Jackson Brodie, prywatny detektyw.

Wręczył jej wizytówkę.

- Teraz ty mi powiedz, jak masz na imię.

- Lily-Rose - odpowiedziała.

Przyjrzał się jej uważnie, wcale nie wyglądała na ćpunkę, bardziej na ofiarę niewyspania, złego odżywiania i ogólnego zaniedbania. Wydawała się tak drobna i lekka, że mógłby ją porwać byle powiew wiatru. Jackson miał ochotę zabrać ją do najbliższej pizzerii i zobaczyć, jak wcina. Miała mały, okrągły brzusek, jak głodujące dzieci w Afryce, które można czasem oglądać w telewizji. Jackson nie był pewny, czy dziewczyna nie jest w ciąży.

- Znalazłam go w parku - wyjaśniła. - Christ jakoś tam.

- Pieces.

- Właśnie. Głupia nazwa.

- Bardzo głupia - zgodził się Jackson.

- Miał atak astmy.

- Theo mówił, że ktoś podał mu inhalator.

- To nie ja. - Lily-Rose pokręciła głową. - Jakaś kobieta.

Wszystko z nim w porządku? - zapytała jeszcze raz.

- Absolutnie - zapewnił ją Jackson i naraz zdał sobie sprawę, że mówi do niej tak, jakby była w wieku Marlee. Nie chciało mu się wierzyć, że dziewczyna ma dwadzieścia pięć lat. - Właściwie nie wszystko w porządku. Jego córka została dziesięć lat temu zamordowana - powiedział. - Theo do dzisiaj nie może dojść do siebie.

- Nic dziwnego...

Stan Jessop uczył już w innej szkole, ale wciąż mieszkał w tym samym bliźniaku z lat trzydziestych co przed dziesięcioma laty. „Stan”, imię dobre dla emeryta, ale Jessop miał raptem trzydzieści sześć lat. Kiedy zginęła Laura, skończył dwadzieścia sześć lat. Dwadzieścia sześć lat to w oczach

Jacksona młodzieniaszek - raptem rok więcej od Lily-Rose, dwa lat mniej od Emmy Drake (musi dać sobie spokój z tym liczeniem). Na podjeździe przed domem stał stary, mocno już zużyty vauxhall Vectra, z fotelikiem dla dziecka, którego podłoga zarzucona była zabawkami, papierkami po łakociach i jakimiś domowymi rupieciami. Według Emmy Drake dziesięć lat temu Stan Jessop miał jedno dziecko, córkę Ninę; dzisiaj można było pomyśleć, że ma ich całe zoo - ogródek od frontu przypominał pobojuwisko po bitwie, którą toczyły dwie armie, uzbrojone w towary z sieci sklepów „Zabawki to my”.

- Dzieciaki. - Stan Jessop wzruszył ramionami. - Co można poradzić.

Na początek można posprzątać, miał ochotę powiedzieć Jackson, ale także wzruszył tylko ramionami. Przyjął kubek słabej rozpuszczalnej kawy, który podał mu Stan, i usiadł w salonie. Na kubku spostrzegł zaschnięte ślady po strużce kawy, jakby kubek był niedomyty. Odstawił go na stolik i już z niego nie pił.

Emma Drake utrzymywała, że dziesięć lat temu Stan Jessop był bardzo „słodki”. Dzisiaj także można było powiedzieć, że otacza go jakaś chłopięca aura jasnowłosego przystojniaka.

- Badam pewne wątki sprawy Laury Wyre - wyjaśnił na początku Jackson.

- Och tak? - rzucił niby mimochodem, ale dla Jacksona jakoś mało przekonująco.

Z piętra dobiegała głośna wrzawa małych dzieci, które nie chciały jeszcze iść do łóżka, i coraz bardziej zdenerwowany głos kobiety. Wyglądało to na codzienność w tym domu.

- Trzech chłopaków - oznajmił Jessop, jakby to miało

cokolwiek wyjaśniać. - Łatwiej położyć spać horde barbarzyńców - zauważył. - Doprawdy, powinienem pomóc żonie - dodał i rozsiadł się wygodniej na kanapie. Wyglądał na człowieka, którego barbarzyńskie hordy pokonały już wieki temu. - Co z nią? - zapytał nieco rozdrażniony. - Z kim?

- Z Laurą. Znowu otwarto jej sprawę?

- Nigdy jej nie zamknięto, panie Jessop. Rozmawiałem z jej koleżankami. Niektóre twierdzą, że pan się w niej pod-kochiwał.

- Podkochiwał?

Jacksonowi zdawało się, że po twarzy Staną Jessopa przemknął cień.

- Dlatego pan do mnie przyjechał? Bo podkochiwałem się w Laurze Wyre? - zapytał.

- Zatem to prawda?

- Wie pan - westchnął, jakby to, co za chwilę miał powiedzieć, wymagało wielkiego wysiłku woli - kiedy jest się młodym, w takiej sytuacji, sprawy wymykają się czasem spod kontroli. - Sposepniał. - Wszystkie te dziewczęta, inteligentne, ładne, młode, hormony w nich buzują, nieustannie się wokół człowieka kręcą...

- To pan miał być tym dojrzałym i dorosłym.

- Ech, to małe podpuszczalskie, dają na prawo i lewo, w tym wieku każdy chłopak jest dla nich dobry. Niech mi pan nie mówi, że zachowałby się pan inaczej. Gdyby podsuwały się panu jak na tacy, to co pan by robił?

- Odmówiłbym.

- Ee tam... Daruj pan sobie te świętoszkowate brednie. Koniec końców jesteś pan facetem, i tyle. - (Jak to powiedziała Shirley? „Co ty, Jackson, ostatni sprawiedliwy?" Czyżby rzeczywiście? Miał nadzieję, że nie.) - Niech pan postawi

mężczyznę na moim miejscu, a każdy ulegnie pokusie. Pan nie jest wyjątkiem.

- Ja bym odmówił - odparł Jackson - ponieważ mam córkę. Jak pan.

Stan Jessop zerwał się z kanapy, jakby miał zamiar uderzyć Jacksona (Dlaczego nie? Bo to on pierwszy?), ale w pokoju pojawiła się jego żona i obrzuciła obu mężczyzn podejrzliwym wzrokiem. Raczej nie odpowiadała opisowi Emmy Drake, która powiedziała o niej „wysztafirowana blondyna”. Ubrana była w dżinsy i T-shirt, włosy miała krótko ostrzyżone. Emma twierdziła, że Laura świetnie się z nią rozumiała, jednak nikt nigdy nie przesłuchał Kim Jessop. (Dlaczego?) Jackson wyciągnął rękę.

- Dzień dobry, pani Jessop. Nazywam się Jackson Brodie. Sprawdzam niektóre wątki sprawy śmierci Laury Wyre.

Kobieta spojrzała na niego zdumiona.

- Czyjej śmierci?

Z samochodu Jackson zatelefonował do domu Deborah Arnold.

- Napisz, proszę, standardowe pismo do panny Morrison, w którym informujemy ją, że nie możemy dalej działać na jej rzecz.

- Słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim jak godziny pracy?

- A ty?

Rzeczywiście był małostkowy? No dobrze, Shirley jest mężatką i spała z nim, zdrada małżeńska to żadna nowość, zdarza się bez przerwy (wystarczy wskazać choćby jego żonę) - ale czy to tłumaczy złość, jaką teraz do niej czuł? Czy to tłumaczy fakt, że coś nie grało w jej historii na temat Michelle? Być może gdyby Tanya chciała odnaleźć Shirley, już

dawno by to zrobiła? Jackson nie chciał pomóc Shirley. Nie chciał widzieć Shirley na oczy. Zaczął szukać w schowku płyty Lee Ann Womack i od razu włączył piosenkę *Little past, Httle rock*. Każda piosenka country opowiadała o kobietach, które zostawiły coś za sobą - swoje miasto, swoją przeszłość, ale najczęściej swojego mężczyznę. Kiedy zostawiła go żona, Jackson skompilował sobie na komputerze płytę z piosenkami o cierpiących kobietach; wszystkie Emmylou, Lucindy i Trishe śpiewały o odjeżdżających pociągach i autobusach i odlatujących samolotach, choć najczęściej oczywiście o odjeżdżających samochodach. Jeszcze jedna hidzra.

W domu odgrzał sobie jakieś pozbawione smaku resztki w kuchence mikrofalowej. Nie było jeszcze dziewiątej, ale czuł się skonany. Na automatycznej sekretarce nagrana była tylko jedna wiadomość, od Binky. Kiedy wracał, myślał, żeby zahaczyć o jej dom i sprawdzić, co u niej słyhać, ale zabrakło mu energii. Odsłuchał wiadomość. „Panie Brodie, panie Brodie, koniecznie muszę się z panem zobaczyć, to pilne!” To wszystko, nie powiedziała nawet „do widzenia”. Oddzwonił natychmiast, ale nikt nie odbierał. W tej samej chwili, kiedy odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon i Jackson błyskawicznie podniósł ją z powrotem.

To była Amelia. W hysterii. Znowu.

- Kto zmarł tym razem, Amelio? - zapytał z przekąsem, kiedy łapała oddech. - Bo jeśli cokolwiek mniejszego od konia, to byłbym wdzięczny, gdybyś sama zajęła się tą sprawą.

Niestety, na te słowa histeria Amelii tylko się wzmogła. Jackson rozłączył rozmowę, policzył do dziesięciu i wcisnął Przycisk „redial”, by jeszcze raz połączyć się z Binky Rain. Miał złe przeczucia. (Czy kiedykolwiek miał dobre?)

- Co się stało? - zapytał zaskoczony, słysząc znowu Amelię, która zdążyła się już trochę uspokoić.

- Umarła. Stara wiedźma nie żyje.

Jackson wrócił do domu po pierwszej w nocy. Czuł się, jakby przekroczył granicę snu i znalazł się w innym miejscu, szarym i przymglonym, gdzie całą energię pożytkuje się na to, by automatyczny system nerwowy dalej pracował na jałowym biegu, bo rozum i ciało dawno już przestały funkcjonować. Właściwie wszedł na piętro na czworakach. Łóżko miał nie zasłane od czasu nocy spędzonej z Shirley Morrison. Nie był pewien, czy od tamtej nocy w ogóle spał. Miała na serdecznym palcu celtycką obrączkę. To jego wina, że nie zapytał o obrączkę. „Jesteś mężatką?”, to przecież zwyczajne, proste pytanie. Skłamałaby? Zapewne tak. Kobieta, która kocha dzieci, ale nie może mieć własnych... Czy przespała się z nim, żeby zająć w ciążę? Boże, tylko nie to. Czy jej mąż o tym wiedział? Kobieta, która kochała dzieci, która straciła kontakt z jednym, najważniejszym dzieckiem, tym, którym miała się zaopiekować. Tanya. Zdawało mu się, że coś sobie teraz przypomina, ale był tak zmęczony, że z trudem potrafił przywołać z pamięci własne imię.

Otworzył okno. W sypialni brakowało powietrza. Na zewnątrz było duszno. Jeśli jakaś burza nie przerwie tego upału, ludzie zaczną wariować. Po zniknięciu Olivii pogoda się załamała. Amelia mówiła, że Sylvia powtarzała, iż to „Bóg płacze, przejęty losem małej owieczki”. Amelia zachowywała się jeszcze dziwniej niż zwykle, roztrzęsiona plotła coś trzy po trzy o Olivii, a przecież nie znalazła ciała swojej siostry, lecz Binky Rain. Plotła trzy po trzy. Tak lubił mówić ojciec. Minał już prawie rok od śmierci staruszka. Umarł samotnie w szpitalnym łóżku. Nikogo przy nim nie było. Miał siedem-

dziesiąt pięć lat i wszystko, co można sobie w jego wieku wyobrazić; pylicę, rozedmę płuc, marskość wątroby, Jackson nie chciał stać się takim człowiekiem jak jego ojciec.

Co Binky miała mu do powiedzenia? Nigdy się już tego nie dowie, prawda? Myślał o drobnym, lekkim jak piórko ciele Binky, leżącym w miejscu, które kiedyś było jej sadem, w wysokiej trawie, mokrej od rosy, choć pod nią samą ziemia pozostała sucha jak jej stare kości. „Leżała tu od wielu godzin”, wnioskował patolog, a Jackson czuł, jak zabiło mu serce. Przejeżdżał niedaleko jej domu, myślał o tym, żeby się zatrzymać, może mógłby jej pomóc. Powinien był się włamać, przejść przez mur. Powinien był jej pomóc.

Miał zamiar zaciągnąć zasłony, kiedy coś przykuło jego wzrok. Jakiś cień przesuwiał się po murku na drugiej stronie uliczki, klucząc między malwami, który rozrastały się tutaj jak chwasty. Czarny kot. Czy gdyby Binky Rain przeszła reinkarnację, powróciłaby w drugim wcieleniu jako kot? Czarny kot? Ile czarnych kotów włóczy się po Cambridge? Setki. Jackson otworzył szerzej okno, wychylił się na ciepłe, nocne powietrze i - doprawdy, sam nie wierzył, że to robi! - cichutko zawołał na kota:

- Czarnuch!

Kot zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Jackson zbiegł ze schodów, wyszedł na ulicę i zaraz zwolnił kroku i szedł niemal na palcach, aby nie przestraszyć zwierzaka.

- Czarnuch - szepnął pieszczotliwie.

Kot miauknął i zeskoczył z murku. Jackson wziął go na ręce i poczuł, że chudzina niewiele waży. Doznał dziwnego poczucia solidarności z zabiedzonym zwierzęciem.

- No dobra, brachu - powiedział. - Chcesz zobaczyć, jak mieszkam?

W domu nie miał nic do jedzenia dla kota - w ogóle

nie miał w domu nic do jedzenia - ale miał resztkę mleka. Zaskoczył go ten niespodziewany przyływ czułości dla kota. Oczywiście, prawdopodobnie nie był to Czarnuch (zresztą, mój Boże, ktoś, kto przygarnie tego kota, przede wszystkim powinien mu zmienić imię). Kociak zapewne zareagowałby na każdy skierowany do niego głos, ale cały ten zbieg okoliczności był ponad siły Jacksona, który był już wyczerpany. Odwrócił się, żeby wrócić do domu. A dom wyleciał w powietrze. Po prostu.

Jak to śpiewał w swojej piosence Hank Williams? Że z tego świata trudno ujść z życiem?

Amelia

Amelia zauważyła, że było ich więcej. Julia była nadto zajęta flirtowaniem - „Panie Brodie to, panie Brodie tamto” - a Jackson był nadto zaprzątnięty zerkaniem na piersi Julii. Z drugiej strony, każdemu mężczyźnie byłoby trudno oprzeć się patrzeniu na piersi tak wyeksponowane. Kiedy zasugerowała kąpiel nago w rzece, oblizwała wargi! W dzieciństwie często pływały w rzece, choć Rosemary im tego zabraniała. Julia najlepiej pływała z całej trójki. Z całej czwórki. Czy Olivia umiała pływać? Amelia miała przed oczami małe, żabie ciało Olivii w niebieskim, pomarszczonym stroju kąpielowym, poruszające się w wodzie. Ale nie była pewna, czy to prawdziwe wspomnienie czy tylko wyobraźnia. Niekiedy Amelii się wydaje, że przez całe życie czeka na powrót Olivii, gdy tymczasem Sylvia rozmawia z Bogiem, a Julia się pieprzy. Czują przygnębiający smutek, gdy myślała o wszystkim tym, czego Olivii nie było dane robić, nigdy nie jeździła na rowerze, nie chodziła po drzewach, nie zdążyła pójść do szkoły, do teatru ani na koncert. Nigdy nie słuchała Mozarta i nigdy się nie zakochała. Nigdy nawet nie napisała własnego imienia. Olivia kochałaby życie. Amelia z trudem je znosiła.

„Pan patrzy na moje cycki, panie Brodie". Czasem Julia jest taką lafiryndą. Amelia pamięta, jak któregoś dnia Victor ciągnął Julię z powrotem do domu, kiedy próbowała wymknąć się na spotkanie z jakimś chłopakiem, i krzyczał do niej, że wygląda jak „ulicznica". (Z iloma mężczyznami spała Julia? Na pewno nie sposób byłoby ich zliczyć.) Victor kazał jej zmyć makijaż i lakier z paznokci. Czasami nie raczył na nie spojrzeć przez długie dni, wychodząc z gabinetu ledwie na posiłki, a czasami nie spuszczał z nich oka i zachowywał się jak jakiś pokrecony patriarcha.

Po śmierci Rosemary Victor zatrudnił jakąś kobietę do gotowania i sprzątanía. Mówiły do niej „pani Gordon" i nikt nie miał pojęcia, jak ona ma na imię. To typowe dla Victora, by zatrudnić kogoś, kto nie znosi dzieci i nie ma pojęcia o gotowaniu. Bywało, że pani Gordon przez szereg dni z rzędu podawała im tę samą herbatę. Jej szczególnie ulubionymi potrawami były przypalone kielbasy, pieczona fasola i rozgotowane ziemniaki. Victor zdawał się niczego nie zauważać. „Jedzenie to tylko paliwo", mawiał, „Nieważne, co jest na talerzu". Miały przerażające dzieciństwo.

Jackson był ostatnią osobą, którą miała ochotę oglądać. Dlaczego musiał siedzieć właśnie nad rzeką? Dlaczego akurat on? To niesprawiedliwe. (Nic nie jest sprawiedliwe.) Bogowie z niej szydzili. Nie miała najmniejszej ochoty na wyprawę do Grantchesteru. To Julia namówiła ją na przejażdżkę łódką po rzece, wdzięcząc się i przymilając, jakby Amelia była chora, ułomna albo cierpiała na agorafobię. „Chodź, Milly, nie możesz spędzić całego dnia przed telewizorem, gryząc się nie wiadomo czym". Wcale się nie gryzie, jest w depresji, na miłość boską! Ma do tego prawo. Może sobie siedzieć przed telewizorem i oglądać na National Geographic film *Zawód: pies*, może się objadać czekoladowymi ciasteczkami, może ro-

bić, co chce, bo i tak nikogo to nie obchodzi. Właściwie może siedzieć tam przez cały dzień, od *Barneya i przyjaciół* po nocne *Laseczki na dywanie*, a w międzyczasie oglądać godzinami kanał Landscape, i spałaszować całą produkcję fabryki czekoladowych ciasteczek, mogła zamienić się w opasłą, przykutą do ziemi tłuściochę, której nabrzmiałe i martwe ciało trzeba będzie wynieść z domu za pomocą dźwigu hydraulicznego - może, bo i tak nikogo to nie obchodzi. „Ależ mnie to obchodzi, Milly”. Taa, jasne.... - jak powiedzieliby jej dekarze.

Gdyby rzeczywiście Julia o niej myślała, nie flirtowałaby z Jacksonem w jej obecności. Wyobraziła sobie ich w wodzie; Julia zwinnie opływa nagie ciało Jacksona jak wydra, jej czerwone usta zamykają się na jego ustach - nie! Nie myśl

O tym, nie myśl o tym, nie myśl o tym.

Któregoś wieczoru, między kanałami Discovery zdrowie a Modą, Amelia natrafiła w telewizji na kanał religijny i znalazła tam program pod tytułem *Słowa Boga*, emitowany o północy, i obejrzała go! Żeby sprawdzić, czy Bóg ma jej coś do powiedzenia. Ale nie miał. Oczywiście, że nie miał.

„Milly, chcesz trochę miodu do babeczki?”, a teraz rozprawia o gołym Rupercie Brookeu. Czy nie może się zamknąć i przestać gadać o golasach? Bo przecież tak przyjemnie siedzieć w ukwieconym sadzie na wygodnym leżaku, wygrzewać się w ciepłe wspaniałego lata. Dlaczego nie może być sama z Jacksonem, bez Julii, dlaczego to nie Jackson dolewa jej herbaty, nie smaruje jej babeczki masłem, dlaczego Julia też musi tu siedzieć, dlaczego jej piersi wyskakują z biustonosza, gdy się do niego nachyla, dlaczego, gdy leje miód na jego babeczki, miód ścieka lepкими strużkami. A to piękny biustonosz, bielutki, koronkowy. Dlaczego Amelia nigdy nie nosiła takiej bielizny? To niesprawiedliwe.

Tamtego wieczoru zrobiła z siebie kompletną idiotkę

(„Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie Brodie”), niczym uwiedziona dziewczyna z wiktoriańskiej powieści. Z jego spojrzenia mogła wyczytać, że uważa ją za paranoiczkę. Rzeczywiście miała paranoję? Teraz była tak zażenowana, że nie potrafiła nawet na niego spojrzeć. Całe szczęście, że miała przeciwsłoneczne okulary i kapelusz. (Czy wyglądała dzięki nim choć troszkę bardziej tajemniczo i zagadkowo?) Jackson miał na swojej ślicznej twarzy ślady pobicia (oczywiście na niego spojrzała). Miałaby ochotę go pocieszyć, ująć w dłonie jego twarz i wtulić ją w swoje piersi (które były równie duże i piękne jak piersi Julii, choć tak nie sterczały). Jednak to się przecież nigdy nie wydarzy, prawda?

Widziała ich. Tych innych. Jackson i Julia sądzili, że był tylko jeden mężczyzna, ten, który czytał *Principia mathematica*. Ale ona widziała pozostałych, siedmiu, może ośmiu, wszyscy równie nadzy jak ten, który czytał *Principia mathematica*. Paru z nich skoczyło do wody, a reszta została na brzegu. Gawędzili, ułożeni wygodnie w różnych pozycjach, jakby pozowali do idyllicznej scenki pasterskiej. Byli na-turystami? Przed oczami Amelii stanęło niespodziewane wspomnienie z dzieciństwa: pływa w rzece, jej rozgrzane na słońcu ciało delikatnie zanurza się w chłodnej, przezroczystej wodzie. Nagle poczuła jakieś niepohamowane, fizyczne pragnienie, jak skurcz głodu. Dlaczego jest uwięziona" w ciężkim, niezgrabnym, obwisłym cielsku, dlaczego nie może dzisiaj mieć swego ciała z dzieciństwa? Dlaczego nie może na powrót mieć swego dzieciństwa?

Może to sytuacjoniści, artyści, którzy tworzą własne dziwaczne dzieła sztuki, obojętni na to, czy ktoś na nich patrzy czy nie. Może sekta? Sabat nudystów? Większość z nich przekroczyła już czterdziestkę, ich ciała nie miały idealnych

proporcji - rozlazłe uda, sflaczałe pośladki, siwiejące włosy łonowe, pieprzyki, sine plamki, piegi, blizny po operacjach, niektórzy pomarszczeni jak mastiff neapolitański. Byli opaleni, więc należało sądzić, że pojawiają się tu często. Potem zniknęli jak sen za załomem rzeki.

Amelia sadziła długimi krokami przed Julią, ponieważ była na nią zła. Za wszystko, ale przede wszystkim za to, że poprzedniego dnia flirtowała z Jacksonem nad rzeką. Julia podbiegała co chwilę, by dotrzymać siostrze kroku. Raptem ich uszu dobiegła melodyjka furgonetki z lodami.

- Usłysz o północy melodii wołanie - zanuciła poetycko Julia, a Amelia odparła:

- Niezbyt adekwatna analogia.

Julia jednak zareagowała na dźwięk kuranta posłusznie niczym piesek Pawłowa i natychmiast ruszyła w kierunku, skąd słyhać było kuszący śpiew lodów.

Amelia szła dalej, przez Christ's Pieces i obok Ogrodu Różanego Księżnej Diany, na który rzuciła pogardliwe spojrzenie, co za nonsens z tą całą księżną Dianą (żywą czy umarłą). Nigdzie na kuli ziemskiej nie można było znaleźć pomnika Olivii Land ani ogrodu róż ku jej pamięci, ani nawet ławki z pamiątkową tabliczką, ba, nawet nagrobka na pustym grobie. Nagle, ni stąd, ni zowąd, obok Amelii pojawiła się bezdomna dziewczyna o kanarkowo-żółtych włosach. Chwyciła ją za rękę i zaczęła ciągnąć alejką do ogrodu, a Amelia pomyślała tylko jedno: Napadnięto mnie, co za nedorzeczność, chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle, jakby zapadła się w głuchy, potworny koszmar. Podniosła z trudem głowę, żeby się rozejrzeć, żeby zobaczyć, gdzie jest Julia - Julia na pewno uratuje ją z rąk kanarkowo-włosej dziewczyny, kiedy były dziećmi, wiodła prym w bijatykach - ale

dziewczyna ciągnęła ją dalej, jakby Amelia była upartym dzieckiem. To absurd, bo zdawało się, że Amelia jest niemal dwa razy większa od porywacza. Jednak kanarkowo włosa dziewczyna była jakoś dziwnie irytująco poruszona. Poza tym była bezdomna, odpychająca, brudna (na pewno narkomanka), niewykluczone, że opóźniona w rozwoju, i Amelia po prostu bała się jej.

Pies kanarkowo-włosej biegł przy nich, podskakując wesoło niczym nieco podekscytowany współsprawca porwania. Gdyby dziewczyna choć na sekundę poluźniła uścisk, Amelia dobrowolnie oddałaby jej portmonetkę, nawet całą torebkę, cokolwiek by chciała. Pieniądze albo życie, te słowa niespodziewanie przysły jej do głowy (umysł pod wpływem stresu potrafi wyczyniać istne cuda). Dziewczyna opryszek - opryszka - rzadko się słyszy o oprychu kobiecie, prawda? Może w ogóle ich nie ma? Czy z opryszkiem jest tak samo jak z piratem albo królem złodziei - bardziej to mit niż fakt? Kim kiedyś był król złodziei? Dziewczyna opryszek nie mówiła: Pieniądze albo życie, ona mówiła to co zawsze:

- Może mi pani pomóc? - Nie. Mówiła inaczej. Mówiła: - Może mu pani pomóc? Wskazywała ręką jakiegoś grubego mężczyznę na ławce, który dyszał ciężko i głośno, śmiertelnym charkotem, tym samym co Victor, tyle tylko, że Victor biernie się poddawał dusznościom, a grubas walczył o każdy haust powietrza, machając dłońmi przed sobą, jakby garściami zagarniał tlen.

- Może mu pani pomóc? - powtórzyła kanarkowo włosa dziewczyna, ale Amelia stała jak sparaliżowana, patrząc tylko na konającego mężczyznę. Nawet gdyby od tego zależało jej życie, nie była w stanie wymyśleć w tej chwili nic, co mogłoby mu pomóc. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Na szczęście dla grubego mężczyzny nagle pojawiła się

Julia, triumfalnie dzierzżąca dwa lody w wafelkach niczym ktoś (może aktorka) niosący płonące pochodnie. Kiedy zobaczyła, co się święci, upuściła lody i ruszyła do ławki, w biegu wyciągając z torebki Ventolin w inhalatorze, który już po sekundzie przyciskała do rozwartych jak u ryby ust dyszącego mężczyzny. Po chwili wydobyła z kieszeni komórkę i podała ją Amelii, krzycząc:

- Dzwon po pogotowie! - jakby grała w serialu *Ostry dyżur*.

Amelia nie potrafiła nawet wyciągnąć ręki po telefon.

- Cholera, Milly! - warknęła Julia i podała telefon kanarkowo-włosej dziewczynie, która może była opóźniona w rozwoju, może głupia, brudna i bezdomna, może była narkomanką, ale w przeciwieństwie do Amelii, potrafiła wybrać numer 999 i uratować komuś życie.

Julia usmażyła na kolację jajka, a kiedy zjadły, zatelefonowała do szpitala i zdała Amelii relację z tego, co się dowiedziało.

- Czuje się bardzo dobrze.

- Czyżby?

- Nie obchodzi cię to?

- Nie.

Bo naprawdę jej to nie obchodziło, nie do końca, może tylko teoretycznie, ale nie emocjonalnie, bo dlaczego miałyby się przejmować kimś innym (jak miałyby się przejmować kimś innym), skoro nią nie przejmował się nikt. Julia krzyknęła: „Boże, Amelio, weź się wreszcie w garść! (czego, jak każdy wie, w żadnym razie nie powinno się mówić osobie w depresji), a Amelia wybiegła we łzach do ogrodu i upadła na trawę, i załkała głośno.

Ziemia była twarda i niewygodna, choć nagrzana upa-

łem. Amelia nagle przypomniała sobie, co czuła, kiedy spała w namiocie. Prawdę mówiąc, było to niemal dokładnie to samo miejsce, w którym stał namiot tamtej fatalnej nocy. Amelia usiadła i rozejrzała się dookoła. To tutaj spała Olivia. Przesunęła ręką po trawie, jakby cień Olivii mógł przygnieść jej źdźbła. To tutaj Olivia powiedziała: „Dobranoc, pchły na noc, Milly”, szczęśliwa i senna, tuliła w ramionach Niebieską Myszkę. Amelia patrzyła, jak zasypia, i czuła się jak ktoś mądry, dorosły i bardzo odpowiedzialny, bo to właśnie jej Rosemary pozwoliła opiekować się młodszą siostrą i tylko jej pozwoliła spać w namiocie poza domem. Z Olivia. Czy „Milly” to ostatnie słowo, które Olivia wypowiedziała w życiu? Czy były jeszcze inne słowa, zanim zapadła cisza - przerażające słowa lęku i śmiertelnego strachu, którego Amelia nigdy nie potrafiłaby, nie mogłaby sobie wyobrazić? Gdy Amelia zaczęła myśleć o strachu, jaki musiał ogarnąć Olivie, jej serce zaczęło łomotać coraz szybciej. Nie, nie myśl o tym.

Olivia była blisko, namacalnie blisko. Gdzie teraz jest? Amelia wstała gwałtownie i zakręciło jej się w głowie. Potykając się, szła przed siebie, szukając właściwego kierunku, jakby jej ciało było różdżką radiestety. Nie. Musi stanąć i nasłuchiwać. Jeśli będzie słuchać, to ją usłyszy. Nagle rzeczywiście coś usłyszała, ciche pomiaukiwanie z drugiej strony muru. Kot, nie Olivia, ale to na pewno znak. Próbowała otworzyć drewnianą furtkę w murze, odgarniając pnącza bluszczu, które ją porastały. Pociągnęła z całych sił. Stare, zarzewiałe zawiasy skrzypnęły żałośnie, bramka się otworzyła i Amelia znalazła się na alejce między ogrodami.

Kot, malutki, ni to dorosły kot, ni kociątko, stanął bojaźliwie na jej widok, ale nie uciekł. Amelia uklękła, usiłując stać się drobniejszą i miłszą (mała szansa!), wyciągnęła rękę do kota i powiedziała:

- Kici, kici, chodź, kotku, chodź.

Kot ostrożnie zaczął ku niej stąpać. Wreszcie mogła go dotknąć i pogłaskać małe, wychudzone ciało, a w końcu, po długiej, przymilnej przemowie kociak pozwolił się wziąć na rękę. Amelia przytuliła twarz do jego miękkiej sierści i zastanawiała się, czy może go zatrzymać na zawsze.

Brama po drugiej stronie alejki, prowadząca do ogrodu pani Rain, była otwarta. Kiedyś, gdy były małe, przechodziły do sąsiadki przez wyrwę w murze i ukrywały się w jej ogrodzie. Amelia od dawna nie myślała o pani Rain jako żyjącej osobie. Raz Sylvia spadła z jej buku i złamała sobie rękę.

- Zajrzymy tam na chwilę? - zapytała po cichu kotka. Tak, tu kiedyś był prawdziwy sad. Przychodziły tu na

jabłka i śliwki. Stukały do drzwi jej domu i krzyczały: „Czy jest Baba-Jaga!?” i przestraszone brały nogi za pas. Sylvia. Oczywiście to zawsze Sylvia przyciskała dzwonek u drzwi. Kat i dręczyciel. Wtedy Sylvia była tylko Sylvią, ale z perspektywy czasu Amelia widzi, że była bardzo dziwnym, silnym dzieciakiem, to przez nią zawsze wpadały w tarapaty.

Ogród był potężny, nieproporcjonalnie duży w stosunku do domu. Był zarośnięty już wtedy, gdy były małe, teraz wręcz wróciła tu dzika przyroda. Byłoby cudownie, gdyby mogła okiełznać tę dzikość. Zasadziłaby sad, zrobiła oczko wodne dla dzikiej fauny i flory, ukwiecony pas zieleni, nie gorszy od innych w Newnham.

Tutaj jeszcze silniej czuło się obecność Olivii. Oczami wyobraźni Amelia widziała ją ukrytą za drzewem, jak krasnoludek, który gdzieś ją prowadzi. Jej stopy trafiły na kępy perzu, przytulii czepnej, poparzyła ją pokrzywa, pokłuły gałęzie dzikiej róży, ale ciągnęła ją dalej jakaś niewidzialna ręka i szła naprzód, aż potknęła się i nieomal przewróciła o jakiś Pek gałązek i łachmanów porzucony pod drzewem...

- Frisky - powiedział Jackson, wskazując głową na kociaka w ramionach Amelii.

Amelia nie umiała się z nim rozstać. Policjantka odprowadziła ją do domu i zrobiła jej herbatę. (Dlaczego zawsze robi to kobieta? Zawsze?) W kuchni Victora kręciło się dużo policjantów, którzy najwidoczniej urządzili tu sobie tymczasowe centrum dowodzenia (tak to się nazywa?) Obudzona hałasem Julia zeszła na dół i zaskoczona wodziła za nimi zaspanymi oczami. Oczywiście była półnaga, miała na sobie tylko spodenki i krótki top. „Och, panie Brodie, nie możemy się tak spotykać”.

Kiedy Amelia dotknęła zwłok Binky Rain, wydały jej się one równie kruche i drobne jak kot w jej ramionach. Policja rozbiła nad ciałem namiot i oświetliła teren lampami łukowymi. Zapewne nie robiono by tego z powodu wiekowej staruszki, która zmarła w swoim ogródku ze starości, a to oznaczało, że Amelia znalazła nie tylko martwego człowieka, lecz zamordowanego człowieka. Przeszył ją zimny dreszcz i obudził kota. Zeskoczył na podłogę, a Julia zaczęła za nim chodzić, wołać „kici, kici!” potem podniosła go i przycisnęła do swoich bujnych piersi, a Amelia krzyknęła: „Na litość boską, Julio, włóż coś na siebie!” a Julia zrobiła do niej głupią minę i nie śpiesząc się, wyszła z kuchni, niosąc kota na rękach, a policjanci odprowadzali wzrokiem jej pośladki; dzięki Bogu, nie miała na sobie stringów - bez wątpienia najbardziej absurdałnej części żeńskiego ubioru, jaką człowiek wymyślił, jeśli nie liczyć oczywiście majtek bez krocza, bo tu chodziło tylko o seks...

- Amelio, napijesz się jeszcze herbaty?

Nawet Jackson traktował ją teraz z troską, jakby była pacjentką domu dla psychicznie chorych.

Świtało już prawie, a dopiero niedawno położyły się spać. Przed domem wciąż słyszała odjeżdżające i przyjeżdżające radiowozy i dźwięki radiotelefonów. Dobrze, że pokój Sylvii znajdował się od frontu, daleko od oślepiających łukowych lamp. Nawet kota nie było, bo poszedł za Julią do jej pokoju. Nie zaśnie, nigdy nie zaśnie, jeśli nie weźmie czegoś na sen. Julia trzymała w łazience swoje leki nasenne. Zawsze miała takie czy inne lekarstwa dostępne tylko na receptę, to była chyba część teatru jej życia. Amelia nie umiała bez okularów odczytać etykiety, ale, w sumie, jakie to ma znaczenie? Czy dwie wystarczą, żeby zasnąć? Cztery, żeby zasnąć głęboko? A dziesięć, dokąd zaprowadzi ją dziesięć pigułek? Są takie malutkie! Jak dla małych dzieci. Rosemary podawała im kiedyś codziennie dziecięce dawki aspiryny, nawet jeśli nic im nie dolegało. To pewnie po niej Julia ma tę słabość do leków. Rosemary miała specjalną szafkę na lekarstwa, zawsze pełną, nawet krótko przed śmiercią. A dwadzieścia? To byłby bardzo długi sen. Nic nie pomogło Rosemary, rzecz jasna, ale przecież ostatecznie nikomu nic pomoże, prawda? Trzydzieści? Może człowiek tylko chwije się na nogach? Jackson uważał, że jest śmieszna i że nigdy nie odnajdzie Olivii, a kota miała teraz Julia i nic nie było sprawiedliwe. Nikt jej nie pragnął, nawet własny ojciec nie uważał jej za dość atrakcyjną, by jej pragnąć. To niesprawiedliwe. Ani trochę. Niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe. Całą fiolkę? Niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe. Może mi pani pomóc? Nie.

Niesprawiedliwieniesprawiedliwieniesprawiedliwieniespra-wiedliwieniesprawiedliwieniesprawiedliwieniesprawiedliwienie-sprawiedliwieniesprawiedliwieniesprawiedliwe...

- Milly, Milly! Co z tobą? Milly!

Jackson

Człowiek szybko zapomina, że na północy jest zimniej. Wielka Brytania to taki mały kraj, że nikt by nie pomyślał, iż kilkaset kilometrów dalej klimat może być całkowicie odmienny. Dzień był jednak na tyle ciepły, w każdym razie dla mieszkańców tej części kraju, by usiąść w ogródku piwnym. Znajdowali się w starym zajeździe, zagubionym gdzieś w Northumbrii. Cała Northumbria to zagubione miejsce. Jackson zastanawiał się, czy nie kupić tu domu. Na pewno byłby tańszy niż w Cambridge, gdzie nie miał już nic. Budynek co prawda jeszcze stał, ale stracił w nim wszystko - ubrania, kolekcję płyt, książki, wszystkie kartony Thea z materiałami w sprawie śmierci Laury - jeśli nie w ogniu, to wskutek zalania wodą z węży strażackich. Tak, to jeden z dobrych pomysłów na to, by zacząć wszystko od nowa, by rozpocząć nowe życie: stare wysadzić w powietrze.

- Gaz? - zapytał z nadzieją w głosie oficera straży pożarnej, który prowadził dochodzenie.

- Dynamit - odparł oficer. (Krótka, męska rozmowa.) Kto może mieć dostęp do dynamitu? Oczywiście ktoś, kto pracuje w kopalni. Jackson sięgnął po portfel, zna-

lazł w nim wizytówkę śledczego Lowthera i wybrał jego numer.

- Sprawa nabiera rumieńców - powiedział i zaraz pożałował, bo zabrzmiało to jak fraza z kiepskiej powieści detektywistycznej. - Sądzę, że mamy podejrzanego. - To wcale nie zabrzmiało lepiej. - Tak na marginesie, mój dom wyleciał w powietrze - dodał; przynajmniej jest coś nowego do powiedzenia.

(- Quintus Rain... - zamyślił się śledczy Lowther. - Co to za imię?

- Piesko durne - wypalił Jackson.)

Wyniósł napoje na zewnątrz, sok pomarańczowy dla siebie, colę dla Mariée i dzin z tonikiem dla Kim Jessop, tyle tylko, że Kim Jessop nazywała się teraz Kim Strachan, bo w pewnym momencie minionych dziesięciu lat wzięła ślub i zaraz potem rozwód z „pewną szkocką kreaturą”, która nazywała się George Strachan. Teraz była właścicielką baru w Sitges i restauracji w Barcelonie i partnerką jakiegoś rosyjskiego „biznesmena”. Wciąż miała długie, jasne włosy i skórę opaloną na ciemny brąz, jak ktoś, kto uważa, że rak skóry zdarza się tylko innym ludziom (choć sądząc po kaszlu nałogowego palacza, rak skóry będzie miał konkurenta w płucach). Jak przystało na pierwszą damę rosyjskiej mafii, Kim Strachan obwieszona była taką liczbą złotych świecidełek, że wystarczyłyby dla wszystkich gości na hinduskim weselu. Nie straciła nic ze swojego północnego akcentu. Kim Strachan, wcześniej Jessop, nie miała nawet kropli południowego DNA. Jackson natychmiast poczuł do niej sympatię.

- To cud, że pan mnie znalazł - powiedziała, zaciągając^{S1?} dymem marlboro. - Przyjechałam do kraju tylko na parę tygodni, żeby zobaczyć mamę. Nie najlepiej się już trzyma. Namawiam ją, żeby się przeniosła do Hiszpanii.

Stan Jessop, nie bez ociągania, dał Jacksonowi numer telefonu komórkowego byłej żony, żaląc się przy tym posepnie, że niemal w ogóle nie widuje córki, Niny, bo ta „suka” zapisała ją do szkoły kwaków z internatem w Yorku, a Jackson pomyślał tylko, że do szkoły kwaków w Yorku można łatwiej dojechać niż do każdej szkoły w Nowej Zelandii.

Kim Strachan przebywała z rodziną na „wakacjach agroturystycznych”.

- Na owczej farmie - powiedziała. - Takie owce to piekielnie głośne stworzenia. Milczenie owiec, ha, pocałujcie mnie gdzieś.

Do swojej „rodziny”, jak się wydawało, zaliczała nie tylko Ninę i matkę, która się nie najlepiej trzyma, ale także Vladimira i niesprecyzowaną liczbę jego współpracowników, z których jeden przywiózł Kim na spotkanie i aktualnie popijał fantę dwa stoły dalej, bacznie lustrując wszystkie przechodzące osoby, jakby każda z nich była potencjalnym zamachowcem.

- Och, to misiaczek, naprawdę - powiedziała Kim ze śmiechem.

Bardzo się zmieniła od czasu, gdy mieszkała w małym bliźniaku z lat trzydziestych ze Stanem Jessopem.

Okazało się, że Kim odeszła od Staną tydzień przed morderstwem Laury Wyre. W dniu, kiedy Laura straciła życie, Kim była już z Georgeem Strachanem i stała za barem jego angielskiego pubu w Alicante. Kim nigdy nie wróciła do Cambridge. Po rozstaniu ze Stanem nie zamieniła z nim słowa przez dwa lata, ponieważ „to tłumok, jakich mało”. Kiedy więc Jackson zatelefonował do niej i wyjaśnił, że „bada niektóre wątki śmierci Laury Wyre”, Kim aż podskoczyła z wrażenia: „Jezus Maria, Laura nie żyje!? Jak to?” Jackson poczuł mocniejsze bicie serca, bo opowiadanie o kimś, kto

został zamordowany przed dziesięcioma laty, to zupełnie coś innego niż przekazywanie świeżej informacji o czyjejs śmierci. „Miała tylko dwadzieścia osiem lat” - szepnęła Kim, a Jackson westchnął, nie, wtedy miała osiemnaście lat. „Laura nie żyje już od dziesięciu lat. Niestety, została zamordowana”. Po drugiej stronie linii zapadła cisza, zakłócana tylko padającymi w tle słowami w języku rosyjskim. Jackson przypomniał sobie, jak Emma Drake wspominała, że bardzo trudno było jej dowiadywać się o śmierci Laury w czasie, gdy „dla wszystkich innych sprawa przeszła już do historii”. Można by pomyśleć, że kiedy Laura umierała, w kraju nie było żywej duszy.

- Zamordowana?

- Tak mi przykro, tak mi przykro - mówiła Kim, wyciągając plasterek cytryny z dzinu i odkładając go do popielniczki.

- Do dzisiaj nie wykryto mordercy - mówił Jackson. - Być może to nie Laura była celem ataku.

Spojrzał wzrokiem pełnym zwątpienia w kierunku Marlee. Prawdopodobnie robił wrażenie kogoś, kto opowiada treść kolejnego odcinka *Prawa i porządku* albo *Zbrodni i śledztwa*, a nie mówi nic o prawdziwym życiu. Miał taką nadzieję, miał nadzieję, że Marlee nie ogląda ani *Prawa i porządku*, ani *Zbrodni i śledztwa*, lecz *Niebieskiego Piotrusia* i powtórki *Domku na prerii*. Mówił już Marlee, że Laurę zabił zły człowiek, ponieważ czasami „coś złego przytrafia się dobrym ludziom”, a Marlee zmarszczyła brwi i powiedziała: „Theo mówił, że jego córka ma na imię Jennifer”, a Jackson odparł, że to jest jego druga córka”. Jak Jennifer się z tym czuła, będąc zawsze „drugą córką” tą, której ojciec poświęca wiele mniej uwagi niż jej zmarłej siostrze?

- Laura była miłą dziewczyną - powiedziała Kim Strachan - Na początku, kiedy się poznałyśmy, była wobec mnie trochę arogancka, ale wie pan, to chyba typowe dla osób z klasy średniej, zresztą to świadczy o osobie, prawda? Ee... właściwie, trochę świadczy, ale nie w wypadku Laury. Ona miała złote serce.

- Staram się zbadać parę wątków tej sprawy, są ludzie, których policja w ogóle nie przesłuchała - mówił Jackson. - Pracuję dla jej ojca.

- Ten grubas?

- Uhm, ten grubas.

- Theo jest bardzo fajny - odezwała się Marlee.

- Tak, Marlee, oczywiście. - Jackson spojrzał na córkę. - Słuchaj, kochanie, może pójdziesz kupić sobie jakieś chipsy, co?

Sięgnął do kieszeni po drobne, ale Kim Strachan już wyciągała z torebki portmonetkę, wyjęła z niej pięciofuntowy banknot i wręczyła go Marlee.

- Proszę, skarbie, bierz i kup sobie, co chcesz. Głupi Angole - zwróciła się do Jacksona. - Dlaczego nie mogą wprowadzić u siebie euro? Cała cholerna Europa może, a oni nie.

Kim Strachan zapaliła kolejnego papierosa, wysunęła jednego z pudełka i poczęstowała Jacksona, a kiedy ten odmówił, powiedziała:

- Boże, człowieku, przecież widzę, że łaknie pan dymu jak tlenu.

Jackson wziął papierosa.

- Nie paliłem od piętnastu lat.

- Co sprawiło, że znowu pan zaczął? Jackson wzruszył ramionami.

- Rocznicą.

- Musi być bardzo ważna - zauważyła Kim.

Jackson się zaśmiał.

- Nie, trzydziesta trzecia, to niezbyt ważna rocznica, prawda? Trzydzieści trzy lata minęły od śmierci mojej siostry.

- Przepraszam.

- Po prostu za dużo rocznic, nie wytrzymałem kolejnej. W tym roku skończyłaby pięćdziesiąt lat. W tym tygodniu. Jutro.

- Ach, no masz - powiedziała Kim Strachan, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

Papierosa przypaliła ciężką, złotą zapalniczką, na której były wygrawerowane cyrylicą jakieś słowa.

- Ejże - zauważył Jackson. - „Pozdrowienia z Moskwy”? Kim Strachan zaśmiała się głośno.

- Gorzej - odpowiedziała.

- Nie przychodzi pani do głowy nikt, kto mógłby zabić Laurę Wyre, prawda? - zapytał Jackson. - Zupełnie nikt?

- Jak mówiłam, Laura pochodziła z klasy średniej, dziewczyny z tych środowisk nie mają wielu wrogów.

Jackson wyjął fotografię żółtego swetra i podsunął ją kobiecie. Wzięła ją i przyglądała się wnikliwie przez dłuższy czas. Potem nagle zbladła.

- Jezu... - jęknęła. '

- Poznaje pani sweter?

Kim jednym łykiem wychyliła resztę dzinu, zaciągnęła się mocno papierosem, a potem zgasiła go nerwowo w popielniczce. W oczach miała łzy, ale w jej głosie przebijała złość.

- Powinnam się domyślić - powiedziała. - Powinnam się, kurwa, domyślić, że to może być on.

Pojechali do Bamburgh, gdzie zabrał Marlee na długi spacer po plaży. Nie zdjął skarpetek i butów (jak starszy pan,

jak jego ojciec), za to Marlee podwinęła wysoko kraciaste spodnie do kolan i skacząc przez fale, wbiegła do morza. Nie mieli ochoty zwiedzać zamku, choć według Jacksona miał w sobie coś z powieści o Harrym Potterze, którego Marlee początkowo uwielbiała. Zwykle Jackson nie słuchał jej nie kończącej się paplaniny o Harrym Potterze (jego dzieciństwo było pozbawione czarów i nie potrafił dostrzec w nich nic atrakcyjnego), podobnie jak nie słuchał Christiny, Justina i innych boys-bandów z młodzieńczym trądzikiem, których płyty Marlee miała przy sobie i domagała się, żeby je włączył, a nie słuchał wciąż piosenek country.

Bardziej była zainteresowana zabawą telefonem komórkowym, który kupił jej w prezencie. Miał różowy kolor, który przywodził na myśl lalkę Barbie, Marlee przez cały czas wysyłała wiadomości do koleżanek. Jackson nie potrafił sobie wyobrazić, co takie dziewczynki mogą do siebie pisać. Zamiast pójść na zamek, zjedli w samochodzie frytki i rybę na kwaśno i patrzyli na morze z przednich siedzeń samochodu (jak prawdziwi wczasowicze), a Marlee powiedziała: „Jest fajnie, tato”, a Jackson odparł: „Fajnie”.

Miał spędzić z Marlee ostatnie dwa tygodnie wakacji, ale niespodziewanie zadzwoniła do niego Josie. „Słuchaj, znajomi Davida zaoferowali nam na tydzień domek w Ardèche i pomyśleliśmy, że najlepiej by było, gdybyśmy pojechali tam tylko we dwoje”. „Żebyście się mogli pieprzyć ile wlezie pod nieobecność dziecka?” - zapytał Jackson, a Josie rzuciła słuchawką. Dopiero po dwóch kolejnych próbach udało im się nawiązać w miarę cywilizowany dialog na temat Marlee. Oczywiście, że domek we Francji mają przyjaciele Davida, któżby inny, prawda?

Jackson wytrząsnął zawartość swego opakowania z frytkami mewom za okno, w jednej chwili prowokując scenę

żywcem wyjętą z *Ptaków*, a potem odjechał jak najszybciej, by jego punto nie pokryło się ptasimi odchodami.

- Wracamy do domu?

Marlee jadła lodowego rożka, który topił się tak szybko, że dziewczynka nie nadążała z jego lizaniem i kapał na tapicerkę. Cóż, to tylko wypożyczone auto.

-Tato?

- Tak?

- Pytałam, czy wracamy do domu. -Tak. Nie.

- Do którego, tato?

Jackson znalazł obskurnie wyglądający pensjonat B&B, który mimo wszystkich swoich przywar wydawał się najlepszy w jego rodzinnym miasteczku. W oknie recepcji świecił czerwony neon „Wolne pokoje”, przez co czuł się trochę tak, jakby wprowadzał się do burdelu. Podróż trwała dłużej, niż zakładał, i prowadziła ich przez wiele przygnębiających, wyjałowionych obszarów, na których nigdy niegdyś prosperował ciężki przemysł i przy których okolice Cambridge wydawały się prawdziwym rajem.

- Nie zapomnij, córuś, oto widzisz, co Margaret Thatcher uczyniła twojemu dziedzictwu - powiedział z przekąsem Jackson do Marlee.

- Jasne, nie zapomnę - odpowiedziała Marlee, otwierając z cmoknięciem tubkę cukierków Smarties.

Pięciofuntowy banknot podarowany przez Kim Strachan został wykorzystany w stu procentach w sklepiku na stacji benzynowej.

Pensjonat prowadziła starsza kobieta o ostrych rysach twarzy, nazwiskiem Brind, która bardzo podejrzliwym

wzrokiem zmierzyła najpierw Marlee, a następnie Jacksona i poinformowała go chłodno, że nie ma już wolnych dwuosobowych pokoi z dwoma łózkami, lecz wyłącznie z łózkami małżeńskimi. Jackson się spodziewał, że kobieta wezwie gliny, gdy tylko przekroczy z Marlee próg ponurego pokoju z odpadającymi tapetami i zasłonami impregnowanymi wieloletnią wonią nikotyny. Taki pokój daje lepsze efekty niż terapia antynikotynowa. Rzuca palenie. Rzuci jutro. Najdalej pojutrze.

Następnego ranka pani Brind wnikliwie przyjrzała się Marlee, wypatrując u niej oznak niewątpliwie traumatycznych przejść. Jednak Marlee z promiennym uśmiechem na twarzy chrupała tanie płatki śniadaniowe - zapewne zakazane w domu Davida Lastinghama, gdzie królowała zdrowa żywność i wielozbożowe muesli. Po płatkach Marlee zabrała się za oślizgłe smażone jajko, podane ze sztywnym plastrem mocno podsmażonego boczku i wątlą kiełbaską o dość obscenicznym kształcie. Jackson wyobraził sobie, jak wstaje rano gdzieś na wsi we Francji, wychodzi z domu, idzie wąskimi uliczkami do piekarni po ciepłą bagietkę, a w domu zaparza sobie małe espresso ze świeżo zmielonej kawy. Na razie jednak musiał mu wystarczyć cierpki smak kawy rozpuszczalnej i dwie tabletki nurofenu, bo już skończyła mu się kodeina. Nie był już pewien, co mu bardziej dokucza, ból zęba, głowy czy skutki niespodziewanego ciosu Davida Lastinghama. To tylko ból, fizyczny ból.

- Nie powinien pan zażywać tego na pusty żołądek - odezwała się nagle pani Brind i podsunęła mu talerz z tostami.

Kiedy wsiedli do punto i ruszyli przez miasto, rozpadał się deszcz. Coś uciskało go w brzuchu, coraz mocniej, coś, co nie miało nic wspólnego ani z brzydką pogodą, ani z tanią, kwaskowatą kawą.

- Wszystko dobrze, słońko?

- Tak, tato.

Zatrzymał się przy stacji benzynowej i zatankował bak do pełna, wdychając krzepiący zapach benzyny. Przed sklepikiem stały kwiaty w plastikowych wiaderkach, ale nie było wśród nich wielkiego wyboru. Były tam jasne dalie, duże, różowe stokrotki, które wyglądały bardzo sztucznie, i mnóstwo goździków. Przypomniał sobie bolesne wyznanie jednej z klientek Thea Wyre'a: „Kupuje mi goździki, pan sobie wyobrazi, goździki to gówno, każda kobieta wie, że to gówno, ale on oczywiście nie wie!” Jackson skinął na Marlee, by wysiadła z samochodu, i poprosił ją, żeby wybrała jakieś kwiaty, a dziewczynka bez wahania wskazała na dalie. Jacksonowi dalie kojarzyły się z działkami, na których jego ojciec spędzał większość swego wolnego czasu. Mama zwykła mówić, że altana na działce jest lepiej wyposażona niż dom. Minęli te działki parę ulic wcześniej. Gdyby na najbliższym skrzyżowaniu skręcili w lewo, znaleźliby się na ulicy, na której Jackson mieszkał od dziewiątego do szesnastego roku życia. Ale nie skręcili w lewo, a Jackson ani słowem nie wspomniał córce o tej ulicy.

Nie był na tym cmentarzu od dziesięciu lat, ale doskonale wiedział, w którą stronę skierować kroki. Idealna mapa wryła się w jego pamięć już dawno temu. Był czas, kiedy przychodził tu codziennie - bardzo dawno temu, gdy nieżyjący dziś ludzie byli jedynymi, którzy go kochali.

- Tutaj jest pochowana moja mama - powiedział Marlee.

- Moja babcia? - zainteresowała się dziewczynka.

- Tak, twoja babcia.

Stała w skupieniu przed starym nagrobkiem, który po

trzydziestu trzech latach wyglądał na bardziej zniszczony przez pogodę, niż powinien, i Jackson zaczął się zastanawiać, czyjego ojciec nie zamówił dla żony zwykłego, taniego piaskowca. Niewiele teraz czuł, patrząc na nagrobek. Zauważył ze smutkiem, że nie potrafi przywołać z pamięci wielu obrazów mamy. Poszli dalej, a Marlee wyraziła żal, że tato nie zostawił na grobie babci kwiatów, ale Jackson odpowiedział: „Te kwiaty nie były dla babci, kochanie”.

Święte dziewczęta

Jackson niewiele myślał, zanim jego mama zaczęła umierać. Był małym chłopcem i robił to, co zwykle robią mali chłopcy. Był członkiem podwórkowego gangu, który miał tajną kryjówkę w nie używanym magazynie; razem bawili się nad brzegiem kanału, jeździli rowerami za miasto, rzucali gałęzie przez rzeczkę, staczali się ze zbocza, czasem zwędzili coś z marketu Woolwortha albo przekupywali starszych kolegów, żeby kupili im w kiosku paczkę papierosów, popalali, popijali cydr, w kryjówce albo na cmentarzu, na który przedostawali się pod osłoną mroku przez dziurę w murze, znaną wyłącznie im i stadku bezdomnych psów. Robił rzeczy, które u matki (a zapewne także u ojca) wywołałyby zawrót głowy, ale kiedy patrzył na to z perspektywy czasu, dochodził do wniosku, że było to zwykłe, nieszkodliwe, zdrowe dzieciństwo niemal każdego chłopaka.

Był pieszczochem rodziny. Jego siostra, Niamh, miała szesnaście lat, a brat, Francis, osiemnaście i kończył przyuczanie do zawodu spawacza w państwowych Zakładach Przemysłu Węglowego. Ojciec zawsze powtarzał synom, żeby nie szli jego śladem i trzymali się z dala od przodka. Po-

nieważ jednak górnictwo było jedynym rozwiniętym przemysłem w ich mieście, trudno było trzymać się z dala od kopalni. Jackson nigdy nie zastanawiał się poważnie nad przyszłością, ale akceptował myśl, że miałby zostać górnikiem, podobała mu się kompania wesołych kumpli, wieczory w pubach (to tak jakby dorosły gang). Ale ojciec mówił, że to robota, do której nie chciałby zmuszać nawet psa, a był to człowiek, który nie znosił psów. Wszyscy w okolicy głosowali na laburzystów, mężczyźni i kobiety, chociaż nie byli socjalistami. „Niemal każdy łaknie owoców kapitalizmu”, mawiał ojciec. Ojciec jednak, owszem, był socjalistą, typowym, szkockim, pełnym gorzkości i żalu, z pretensjami do całego świata, socjalistą, który winą za to, co złe w jego życiu, obarczał wszystko i wszystkich dookoła, zwłaszcza „kapitalistycznych bossów”.

Jackson nie miał pojęcia, czym jest kapitalizm, i nie miał ochoty się dowiadywać. Francis powiedział mu, że dzięki kapitalizmowi można kupić forda consula albo pralkę z suszarką firmy Servis dla mamy. Jedyny Jackson wiedział, że kiedy rok wcześniej rocznik Francisa, jako pierwsze pokolenie osiemnastolatków z biernym prawem wyborczym, poszedł do wyborów, Francis postawił krzyżyk przy nazwisku kandydata torysów, choć, jak sam przyznał, „nie miał żadnej szansy” na wygraną. Gdyby ojciec się o tym dowiedział, wydziedziczyłby Francisa (albo zabił), bo torysi planowali zmieść górników z powierzchni ziemi. Francis twierdził, że gównu go to obchodzi, bo ma zamiar zebrać forszę i przejechać cadillakiem przez Stany Zjednoczone, ze wschodu na zachód, zatrzymując się tylko raz: w Gracelandzie, by oddać cześć Królowi. Matka zmarła tydzień po wyborach, więc przez pewien czas nikt nie zaprzętał sobie głowy polityką, choć ojciec z uporem godnym lepszej sprawy obarczał rząd winą za to,

że jego Fidelmę pożarł rak i wypluł ją potem jak zeschlą i poźółkłą łupinę, by mogła sobie umierać pod kroplówkami morfiny na oddziale zamkniętym szpitala w Wakefield.

Ojciec był przystojnym mężczyzną, a mama była wielką, prostą kobietą, która zwykle wyglądała tak, jakby właśnie doła krowy albo zbierała torf. Ojciec mawiał: „Tę kobietę można wyciągnąć z Mayo, ale nie jesteś w stanie wyciągnąć Mayo z niej samej”. Twierdził, że to żart, ale jakoś nikogo nie śmieszył. Ojciec nigdy w życiu nie kupił swojej żonie kwiatów ani nie zaprosił jej do restauracji, ale z drugiej strony żaden mężczyzna w okolicy tego nie robił i nawet jeśli Fidel-ma czuła się źle traktowana, to nie była traktowana gorzej niż wszystkie znane jej kobiety. Niamh oczekiwała od życia czegoś więcej. Już w wieku piętnastu lat rozpoczęła naukę w college'u, gdzie zapisała się na kurs pisania na maszynie i stenografii. Ukończyła naukę z dyplomami i skrzynką świeżego mleka od wychowawcy, w nagrodę dla najlepszej uczennicy. Potem codziennie jeździła autobusem do Wakefield, gdzie pracowała jako „osobista sekretarka” szefa salonu sprzedaży samochodów. Dwa z sześciu zarobionych w tygodniu funtów oddawała matce, kolejne dwa lokowała na koncie w banku, a resztę wydawała na ubrania. Lubiała rzeczy, które ją wyróżniały, obcisłe spódnice, zapinane sweterki z angory, bliźniaki z owczej wełny, plisowane spódniczki, cienkie rajstopy i eleganckie pantofle na pięciocentymetrowym obcasie. To sprawiało, że wyglądała trochę staromodnie, nawet kiedy miała szesnaście lat. Jej wizerunku dopełniały włosy starannie upięte w gładki kok i naszyjnik ze sztucznych pereł, do którego dokupiła idealnie pasujące kolczyki. Zimą zainwestowała w tweedowy płaszcz w jodełkę, z wszywanym paskiem na guziki, a kiedy nastąpiła wiosna,

kupiła lekki, ciemnokremowy, gabardynowy prochowiec po kolana, z paskiem, w którym wyglądała, zdaniem ojca, jak francuska gwiazda filmowa. Jackson nigdy nie oglądał francuskiego filmu, więc nie wiedział, czy to prawda. Niamh miała tyle szczęścia, że nie odziedziczyła po mamie żadnych wiejskich genów i, z czym wszyscy się zgadzali, była dziewczyną „piękną w każdym calu”.

Śmiercią Fidelmy przejęła się najbardziej z nich wszystkich. Nie tyle samą śmiercią, ile umieraniem, tak długim, że kiedy matka wydała wreszcie ostatnie słabowite tchnienie, wszyscy poczuli ulgę. W tym czasie Niamh zajmowała się już w domu gotowaniem i sprzątaniami i nie przestała pracować; codziennie rano jechała w swoich ładnych rzeczach do salonu samochodowego w Wakefield. Któregoś dnia, kilka tygodni przed śmiercią mamy, weszła do pokoju braci -Francisa jak zwykle nie było w domu - usiadła na starym, małym łóżku, na które nie było tu nawet miejsca, i powiedziała: „Jackson, już nie mogę”. Jackson czytał właśnie komiks wojenny *Commando*, zastanawiał się, gdzie Francis może chować swoje papierosy, i nie mógł zrozumieć, dlaczego siostrze trzęsą się wargi, a w jej dużych, ciemnych oczach błyszczą łzy. „Musisz mi pomóc, Jackson, obiecaj, że mi pomożesz”, a on odpowiedział: „W porządku”, nie mając pojęcia, jaki cyrograf podpisuje. W taki sposób zupełnie inaczej zaczął teraz spędzać wolny czas. Odkurzał dywany i półki, obierał ziemniaki, przynosił węgiel, wywieszał pranie, chodził do marketu po zakupy, a koledzy wyśmiewali się z niego i mówili, że zmienił się w dziewczynkę. Chodzili już do szkoły średniej. Jackson wiedział, że życie się zmienia. Gdyby wtedy przyszło mu wybierać między siostrą a bandą półgłówków, wybrałby siostrę, nawet gdyby wolał być z bandą półgłówków. Bo bez względu na to, co się czuje, naj-

ważniejsza jest ta sama krew. I tego nie trzeba się uczyć. To się wie, bo tak po prostu jest. Zresztą dostawał od Niamh dziesięć szylingów tygodniowo.

To był zwykły dzień. Styczeń. Kilka miesięcy po śmierci Fidelmy i niespełna tydzień po dwunastych urodzinach Jacksona. Francis kupił mu na urodziny rower z komisju. Tak go wyremontował, że wyglądał jak nowy. Ojciec dał pięć funciaków, a Niamh kupiła mu zegarek, taki dla dorosłego mężczyzny, z rozciągającą się bransoletą, która zwisała ciężko z nadgarstka. To były fantastyczne prezenty. Jackson pomyślał, że chcą w ten sposób osłodzić mu śmierć mamy.

Ojciec wrócił z nocnej zmiany i zastał ich w kuchni. Robili sobie naprędce jakieś śniadanie i szykowali się do wyjścia z domu. O tej porze roku było ciemno, kiedy wychodzili, i było ciemno, kiedy wracali. Ale ten dzień wydawał się szczególnie ciemny, ponieważ padał deszcz, mroźny, zimowy, zacinający deszcz, który sprawiał, że chciało się płakać. Francis miał ciężkiego kaca po długim wieczorze i był w podłym humorze. Ale powiedział, że podwiezie Niamh na przystanek autobusowy. Niamh pocałowała Jacksona na pożegnanie, choć usiłował się uchylić. Fidelma zawsze dawała mu buziaka, gdy szedł do szkoły, a teraz Niamh przejęła rolę mamy. Jackson wolałby, żeby tego nie robiła, bo zostawiała na jego policzku ślad po szmince i jeśli nie udało mu się go zetrzeć w drodze do szkoły, koledzy śmiali się z niego.

Jackson pojechał do szkoły na swoim nowiutkim rowerze i był tak przemoknięty, kiedy tam dotarł, że idąc korytarzem do klasy, zostawiał za sobą kałuże.

Jackson wrócił ze szkoły, wrzucił pranie do pralki marki Servis, którą mama nie zdążyła się nacieszyć, obrał ziemnia-

ki, posiekał cebulkę, a potem wyciągnął z lodówki miękką paczkę zalatującego już nieco mielonego. Mięso leżało tuż obok pudełka z robakami na ryby, które Francis bezkarnie umieszczał w lodówce, odkąd zmarła matka. Jackson nie miałby nic przeciwko czasochłonnemu gotowaniu, gdyby dzięki temu nie musiał odrabiać lekcji. Ale Niamh stała nad nim co wieczór, pilnowała jego szkolnych zadań i ciągnęła go za ucho, gdy tylko coś zrobił źle.

Kiedy postawił ziemniaki i mięso na ogniu, zmęczony poczłapał na górę do pokoju. Ojciec jeszcze spał i nie chciał go budzić z rozmaitych powodów, ale głównie dlatego, że miał zamiar buchnąć Francisowi papierosa ze skrytki, którą odkrył w jego szafie. Stał przy szeroko otwartym oknie, żeby Francis nie wyczuł, że Jackson palił w pokoju. Zimny wiatr nawiewał na jego twarz krople deszczu. Chłód przeniknął go do szpiku kości, a mokry papieros nie chciał się dobrze palić. Włożył go pod poduszkę w swoim łóżku, z nadzieją, że przez noc wyschnie.

Jeśli Francis wracał do domu przed Niamh, a pogoda była pod psem, to wyjeżdżał po nią na przystanek autobusowy. Jednak dzisiaj, choć lało jak z cebra, padł zmęczony na fotel przy kominku, nie zdejmując nawet roboczego ubrania, i zapalił papierosa. Zalatywało' od niego metalem i węglem, wyglądał gorzej niż rano i był jeszcze bardziej poirytowany. Poprzedniego wieczoru musiał pójść w tango. „Nie powinieneś tyle pić”, zwrócił mu uwagę Jackson. „Kiedy, kurwa, zamieniłeś się w babę, Jackson?”

„Nie zdążyła na autobus, i tyle”, myślał głośno ojciec. Talerze i sztucce leżały na stole. Wahali się, czy zacząć jeść bez Niamh, czy jeszcze poczekać. W końcu Jackson powiedział: „Jedźmy. Jak wróci, odgrzeję jej porcję”. Oczywiście nigdy

wcześniej nie spóźniła się na autobus, ale ojciec powtarzał: „Zawsze musi być ten pierwszy raz”, a Francis dodawał: „Jest dorosła, może robić, co jej się, kurwa, podoba”. Teraz, kiedy nie było w domu matki, Francis przeklinał bez zahamowań.

Ziemniaki zdążyły już wyschnąć. Jackson wyjął z piekarnika jej talerz i postawił na stole, jakby to miało przyspieszyć jej powrót do domu. Ojciec już wyszedł do pracy na nocną zmianę. Od śmierci Fidelmy chodził tylko na nocki. Niamh mówiła, że to dlatego, że nie chce sam spać w łóżku, a Francis powiedział, że „przecież i tak śpi w łóżku sam”, ale Niamh się upierała, że to nie to samo: „Inaczej śpi się samemu nocą, a inaczej w ciągu dnia”. Francis wyjechał na przystanek. „Na pewno poszła z kumpelą do pubu i wróci następnym autobusem”, przekonywał Jacksona, a Jackson potakiwał: „Tak... Pewnie tak...” choć Niamh, jeśli wychodziła wieczorami, to tylko w piątki lub soboty. Francis wrócił sam. Przebiegając z samochodu do domu, przemókł do suchej nitki. Dochodziło wpół do ósmej i obu im było głupio, bo czuli, że zaczynają się denerwować. Obejrzeliby telenowelę *Coronation Street*, której szczerze nie znosili, ale pomyśleli, że będą mogli opowiedzieć Niamh, co się działo w kolejnym odcinku - kiedy wróci.

O dziesiątej wieczorem Francis bąknął, że „pojeździ po okolicy”, bo może gdzieś ją zauważy. Jakby Niamh miała sobie spacerować w rześkiej ulewie. Jackson pojechał z bratem. Bał się, że zwariuje, siedząc beczynnym w domu. Trochę pojeździli, a w końcu znowu zajechali na przystanek. Czekali na ostatni tego dnia autobus. Francis poczęstował Jacksona papierosem i zapalił go nową zapalniczką, którą dostał w prezencie od swojej dziewczyny. Francis miał mnóstwo

dziewczyn. Kiedy w oddali pokazały się światła autobusu, przebijające się przez ścianę deszczu, Jackson był pewien, absolutnie pewien, że jedzie w nim Niamh. Nie wątpił w to przez ułamek sekundy, a kiedy Niamh nie pokazała się na przystanku, wyskoczył z samochodu i biegł kilkadziesiąt metrów za odjeżdżającym autobusem, przekonany, że zasnęła i przegapiła przystanek. Wolno wrócił do brata, z głową wtuloną w dygocące ramiona. Widział, jak wycieraczki na przedniej szybie forda consula suną miarowo z jednej strony na drugą, zgarniając szerokie strugi wody, i widział za szybą trupio bladą twarz Francisa.

„Najlepiej będzie, jak pojedziemy na policję”, powiedział cicho Francis, gdy Jackson wszedł do samochodu.

Czterdzieści osiem godzin później wyciągnęli jej ciało z kanału. Wciąż miała na sobie długą do kolan, zieloną spódniczkę boucle, która kupiła sobie pod choinkę za gwiazdkowe pieniądze od ojca. Jej parasol znaleziono nieopodal przystanku autobusowego. Buty i część rzeczy, w tym tweedowy płaszcz, znaleziono nad brzegiem kanału, a jej torebka odnalazła się tydzień później przy autostradzie A636. Bluzki nie znaleziono nigdy, podobnie złotego krzyżyka na łańcuszku, który mama kupiła jej na pierwszą komunię. Policja nie wykluczyła, że łańcuszek się zerwał, a zabójca zabrał go sobie „na pamiątkę”. Jediną pamiątką, która pozostała Jacksonowi, był gliniany dzbanuszek, który dwa lata wcześniej Niamh przywiozła mu z wycieczki do Scarborough. Ten z wymalowanymi słowami: „Wszystkiego dobrego ze Scarborough”.

Ustalono z całą pewnością, że Niamh, jak każdego dnia, wsiadła do autobusu jadącego z Wakefield i wysiadła z niego na tym samym przystanku co zawsze. Potem, w trakcie

dziesięciominutowego marszu z przystanku do domu, jakiś przygodny kierowca przekonał ją (albo zmusił), by wsiadła do samochodu. Wywiózł ją nad kanał, gdzie paru mężczyzn ją zgwałciło i udusiło, choć być może kolejność zdarzeń była odwrotna. Jackson wprowadził się do pokoju Niamh w dniu, kiedy znaleziono jej ciało, i nie wyprowadził się z niego do czasu, gdy wstąpił do wojska. Przez dwa miesiące nie zmieniał pościeli w jej łóżku. Jeszcze długo potem był pewien, że wyczuwa fiołkową wodę kwiatową, którą, jakże staromodnie, Niamh lubiła skrapiać prześcieradła w czasie prasowania. Przez długi czas przechowywał filiżankę, z której tamtego dnia Niamh piła przy śniadaniu herbatę. Zawsze narzekała, że nikt nie zmywa naczyń po śniadaniu. Na brzegu filiżanki utrzymywał się ślad jej szminki, duch pocałunku. Całymi tygodniami Jackson nie mył filiżanki, aż któregoś dnia Francis spojrział na nią. Chwycił i wściekłym ruchem cisnął przez okno, na beton, gdzie roztrzaskała się w drobny mak. Jackson wiedział, że Francis czuł się winny, bo nie pojechał po nią na przystanek. Jakaś ciemna strona duszy podszeptowała Jacksonowi, że Francis ma powody, by tak się czuć. W końcu, gdyby po nią pojechał, nie leżałaby teraz półtora metra pod zimną, moką ziemią. Jej ciało byłoby ciepłe i żywe. Narzekałaby, że nikt nie zmywa naczyń, chodziłaby do pracy w chłodne zimowe poranki, a jej różowe wargi nadal by się śmiały, rozmawiały, jadły i dawały Jacksonowi buziaka, któremu tak się opierał.

Któregoś dnia, pół roku po pogrzebie, Francis podwiózł Jacksona do szkoły. Znowu lał deszcz, monsunowy letni deszcz. Francis otworzył drzwi samochodu i powiedział: "Wskakuj, brachu!" Zatrzymał się przed głównym wejściem do szkoły. Wyjął ze schowka nieotwartą paczkę papierosów

i wręczył ją Jacksonowi. „Dzięki”, wydusił z siebie zaskoczony Jackson i otworzył drzwi, by wysiąść, ale Francis przyciągnął go z powrotem do środka i uderzył mocno pięścią w ramię, aż Jackson syknął z bólu. „Wiesz, że powinienem być po nią wtedy pojechać, prawda? Wiesz o tym?” - rzucił Francis, a Jackson przytaknął: „Wiem”, choć, patrząc wstecz, rozumie, że była to błędna odpowiedź. „Wiesz, że cię kocham, smyku, prawda?” - pytał dalej Francis, a Jackson, nieco zbity z tropu, odparł: „Wiem”, zawstydzony, bo nigdy nie słyszał, by Francis używał takich słów jak „kocham”. Potem Jackson wysiadł z samochodu, bo było już późno, i w szkole rozległ się dzwonek na lekcje. W środku najnudniejszej lekcji matematyki w życiu Jackson przypomniał sobie nagle, że tego dnia przypadają siedemnaste urodziny Niamh, i tak był tym olśnieniem zszokowany, że zerwał się z ławki na równe nogi. „Dokąd to, Brodie?”, zapytał matematyk, a Jackson usiadł i bąknął tylko: „Nigdzie, proszę pana, przepraszam”, bo pomyślał, że Niamh nie żyje, Niamh nigdy już nie wróci, Niamh już nigdy nie będzie miała siedemnastu lat. Nigdy.

Kiedy wrócił ze szkoły i wszedł do domu, poczuł, jakby czegoś mu brakowało, ale dopiero kiedy zdjął szkolny mundur, zrobił sobie kanapkę i przeszedł do salonu, żeby włączyć telewizor, zobaczył ciało Francisca, wiszące na lampie imitującej stary kandelabr, która była radością i dumą Fidelmy.

Mordercy jego siostry nigdy nie odnaleziono.

Jackson

Weszli na chwilę do kościoła katolickiego i Jackson zapalił dwie świece, jedną siostrze i jedną bratu. Marlee poprosiła, żeby zapalić także świeczkę dla Fidelmy. *Passio Christi, conforta me*. Obie siostry Fidelmy także zmarły na raka - Jackson modlił się w duchu, by ten szczególny gen ominął Marlee. Ojciec Jacksona był jedynakiem, więc teraz, po jego śmierci, Marlee była jedyną krewną, jaką miał na świecie. Wydawało się mało prawdopodobne, by Jackson mógł jeszcze mieć dzieci. Jedno wystarczyło - dziewczynka w różowych dżinsach i T-shircie ozdobionym prostym przekazem: „Tylu chłopaków i tak mało czasu”. Czy ludzie, którzy projektują takie T-shirty, czy ludzie, którzy produkują takie T-shirty w rozmiarach dla ośmio- i dziesięciolatek, pomyślą kiedykolwiek, że to jest niemoralne? Oczywiście ludzie, którzy produkują te T-shirty, sami są ośmio- i dziesięcioletkami w zawszonej manufakturze gdzieś na Filipinach.

- Tato? -Hm?

- Czy możemy zapalić świeczkę mojemu chomikowi?

- Powinnaś nosić koszulkę z napisem „Tyle chomików i tak mało czasu”.

- To wcale nie jest śmieszne. Wracamy do domu?

- Jeszcze nie. Nadłożymy trochę drogi, muszę się zobaczyć z pewną panią, która nazywa się Marian Foster.

- Dlaczego?

- Bo muszę.

Jechali obwodnicą, gdy Jackson zorientował się, że coś jest nie w porządku. Gwałtowność, z jaką dopadło go to uczucie, całkowicie go zaskoczyła. W jednej chwili czuł się znakomicie - choć posiniaczony, obolały i podłamany - a w drugiej poczuł, że temperatura zaczyna mu rosnać w tempie nieprawdopodobnym. Ledwie kilka sekund później widział świat tak, jak (jak to sobie wyobrażał) widzi go mucha, a po chwili poczuł, że traci świadomość. Wszystkie drobinki opuszczającej go raptownie energii włożył w to, by zjechać na pobocze i zatrzymać pojazd - potem już nic.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że jest w szpitalu i ma przed sobą twarz Howella.

- Skąd ty tutaj? - Jacksonowi zdawało się, że mówi głosem należącym do kogoś innego.

- Wezwali mnie. Najwyraźniej jestem teraz twoim najbliższym krewnym.

- Ach tak... - powiedział słabo Jackson. - Josie już nie podobała się ta fucha.

Howell się uśmiechnął.

- Wiesz, zawsze wiedziałem, że płynie w tobie czarna krew, Jackson. Nigdy nie wyglądałeś na faceta, który porusza się z kartą dawcy narządów.

- Cóż, chyba się zmieniłem. - Jackson spróbował usiąść. - Ktoś dybie na moje życie, Howell.

Wydawało się, że Howell uznał to za znakomity dowcip. Kiedy przestał się śmiać, powiedział:

- Nie rób z siebie paranoika, Jackson. To zatrucie krwi. Miałeś chory ząb, za który powinieneś być się zabrać.

Nagle Jackson się wystraszył: o czym pomyślał?

- Gdzie ona jest? Gdzie Marlee? Nic jej się nie stało?

- Wszystko w porządku, nie gorączkuj się tak.

- Ale, Howell, gdzie ona jest?

- Na owczej farmie - odpowiedział Howell.

Jackson nie wiedział, dlaczego Marlee dała policjantom numer telefonu Kim Strachan - przypuszczał, że przejrzała jego notes z adresami i uznała, że tej osobie może najbardziej zaufać. Być może dlatego, że Kim dała jej pięć funtów (to byłoby podobne do Marlee). Czy to Marlee wezwała policję i ambulans? Czy telefon na pogotowie był pierwszym, jaki wykonała ze swojej różowej komórki a la lalka Barbie? Co by się stało, gdyby nie udało się zatrzymać samochodu? Gdyby wjechał w nich rozpędzony tir na poboczu? Domyślał się, że na owczej farmie jego córka będzie całkowicie bezpieczna, na odludziu, w otoczeniu rosyjskich gangsterów.

- Jak długo tu jestem? - zapytał Howella.

- Trzy dni.

- Trzy dni, Boże, Josie jutro wraca, muszę odwiedzić Marlee do Cambridge.

- Nie wiedziałem, że taki z ciebie pantoflarz, Jackson. Jackson udał, że nie usłyszał tej uwagi.

- Josie zabiera Marlee do Nowej Zelandii.

- Wiem - odparł Howell. - To tylko rok, minie jak z bicza trząśł, zobaczysz.

- Nie, nie na rok. Przenoszą się tam na zawsze.

- Nie, Jackson. - Howell był trochę zdziwiony. - Jadą tylko na rok. Zapytaj Marlee.

- Ty pieprzona suko! - krzyczał Jackson. - Ten twój wał jedzie do Nowej Zelandii tylko na rok, tak? Powiedziałaś mi, że przenosicie się na dobre!

Josie burknęła coś niewyraźnie po drugiej stronie słuchawki - jej głos miał leniwy, gardłowy tembr, charakterystyczny dla niej krótko po orgazmie. Gdyby Josie nie była w Ardeche, a on w szpitalu gdzieś na południu Doncaster, zamordowałyby ją z całą pewnością. Siedział na ławce w szpitalnym parku, uwiązany do kroplówki. Wiele osób rzucało mu badawcze spojrzenia. Ściszył głos.

- Dlaczego, Josie? Dlaczego tak mnie okłamałaś?

- Bo ci wtedy odbiło, Jackson. Daj już z tym spokój - dodała. - Mnie też daj już spokój.

Jackson miał cholerną ochotę na papierosa. Jego język natrafił na szczerbę. Ząb został usunięty razem z korzeniem przez wezwanego pilnie stomatologa, kiedy Jackson był nieprzytomny. Sharon będzie na pewno rozżalona, kiedy się dowie, że odebrano jej przyjemność torturowania go. Spojrzał przez przypadek na swoje odbicie w szybie. Wyglądał jak ofiara wojny ze starego filmu dokumentalnego.

Wybrał jeszcze jeden numer w telefonie.

- Theo?

- Jackson! - Theo był bliski szczęścia. - Gdzie jesteś?

- W szpitalu.

- Znowu?

- Tak, znowu...

Jackson wyszedł ze szpitala na własną prośbę, wbrew zaleceniom lekarzy. Ostatecznie udobruchała ich obietnica Howella, że osobiście zawiezie Jacksona do Northumbrii po Marlee, a potem odwiezie ich do domu w Cambridge.

- Chryste, Jackson - jęknął Howell, z trudem wciskając swoje cielsko za kierownicę punto. - Co się dzieje, zamieniłeś się w panienkę?

- Mogło być gorzej - odparł sucho Jackson. - Chcesz, to mogę prowadzić.

- Nie. Nie możesz. - Howell poszperał w płytach Jacksona. - Rany, wciąż słuchasz tego gówna?

- Owszem.

Howell z ciężkim westchnieniem rzucił Trishę, Lucindę, Emmylou i pozostałe cierpiące panie na tylne siedzenie i włączył należącą do Marlee płytę Christiny Aguilery. Kiedy zaczęli jej słuchać po raz trzeci, jechali już autostradą A1 i znowu znajdowali się na kompletnym bezludziu.

- Nie musisz z nami dalej jechać - powiedział Jackson.

- Muszę, jestem twoim przyjacielem. Zresztą przydadzą mi się małe wakacje, trochę kultury, miasto gotyckich wież i tak dalej...

- Chyba masz na myśli Oksford.

- E... na jedno wychodzi - odparł Howell. - Więc kto dybie na twoje życie?

- Jakiś facet w złotym lexusie.

- W takim razie to chyba ten, który jedzie za nami, co? - stwierdził Howell, zerkając we wsteczne lusterko.

Jackson spróbował się odwrócić, żeby spojrzeć za siebie, ale szyja jakoś odmawiała mu posłuszeństwa. Howell odczytał na głos numer rejestracyjny lexusa.

- Ten - potwierdził Jackson i sięgnął po telefon. - Nie

zjeżdżaj z głównej drogi - polecił Howellowi, który w tym momencie ostro skręcił w zjazd z autostrady.

- Dlaczego nie? - zapytał Howell. - Wywiedziemy lexusa na wiejską dróżkę, w ustronne, miłe miejsce i tam się porachujemy z koleśkiem.

- Porachujemy? - zapytał Jackson. - Znacząco, sprzątniemy go?

- No, nie miałem na myśli tak drastycznych rozwiązań, ale jeśli chcesz, jasne, czemu nie?

- Nie. Nie chcę. Wszystko ma być zgodnie z regulaminem. Zawiadomię gliny. Jest już wystawiony nakaz aresztowania tego faceta.

- Boże, z ciebie ale nudny glina, Jackson.

- Tak, jestem nudnym gliną, do tego pantofiarzem, zamieniłem się w panienkę i poruszam się z kartą dawcy narządów. Wiesz, to się nazywa syndrom wieku średniego.

Lexus niemal przykleił się do ich tylnego zderzaka. Jackson przekrzywił wsteczne lusterko, by lepiej widzieć Quintusa. Na jego gogusiowatej pyzatej twarzy malowała się wściekłość. Jackson nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego zrobił temu człowiekowi, że ten ściga go z taką dziką zajadłością.

Gdzieś w oddali usłyszeli odgłos policyjnych syren. Jackson nie rozłączał się z oficerem dyżurnym w centrali, ale niełatwo było mu na bieżąco podawać swoje położenie. Jechali jakąś wąską drogą, jeszcze węższą przez rosnący po obu jej stronach gęsty żywopłot. Howell prowadził tak, jakby grał na komputerze w GTA. Weszli w ostry zakręt i nagle znaleźli się maska w maskę z mercedesem SL500 kabrioletem, który pędził z podobną prędkością. Jackson zamknął oczy i instynktownie zasłonił się rękami, ale jakimś cudem kobieta prowadząca mercedesa zdążyła odbić w lewo, Howell zdołał skręcić kierownicą w lewo - Jackson czuł się tak, jakby

jechali po torze śmierci w lunaparku - minęli się dosłownie o włos. Mercedes odjechał.

- Kuurwa... - wyrwało się Howellowi. - Ale laska, ale jazda, ale bryka...

- Jezu - jęknął tylko Jackson, patrząc na swoje dłonie, które potwornie się trzęsły.

Wydawało się, że lexus zniknął z pola widzenia. Howell zatrzymał punto i ostrożnie wycofał z powrotem do zakrętu i jeszcze dalej, za zakręt. Dźwięk policyjnych syren narastał. Lexusowi udało się minąć rozpędzonego mercedesa, ale nie wyrobił na zakręcie. Ugrzązł w bujnym żywopłocie, niczym owad w pajęczej sieci. Było widać, jak Quintus szamocze się w środku z zablokowanymi drzwiami.

Na drodze pojawiło się kilka przypadkowych samochodów, a zaraz za nimi cywilny samochód policyjny. Pojazdy hamowały gwałtownie, obracając się bokiem. Dramatyzm sytuacji i poziom adrenaliny podniósł jeszcze bardziej lądujący helikopter. Jackson wiedział, że chłopcy uwielbiają takie akcje. To coś więcej niż codzienna rutyna, więcej niż mandat za przekroczenie prędkości, więcej niż beznadzieja wypadków drogowych.

Howell z Jacksonem wysiedli z samochodu i podeszli do lexusa.

- Tak swoją drogą, dlaczego on chce cię zabić? - zapytał zaciekawiony Howell.

- Cholera wie. - Jackson wzruszył ramionami. - Zapytajmy go.

- Kiedy zobaczysz się z mamą, lepiej się nie chwal, że znasz fajne rosyjskie słówka - Jackson instruował Marlee.

- Dlaczego? - zapytała Marlee.

- Bo... - Jackson zmarszczył brwi, myśląc o wszystkich

rzeczach, o których nie chciałby, żeby Josie się dowiedziała. - Bo lepiej nie. Dobrze, słonko?

Spojrzała na niego powątpiewająco. Jackson wsunął jej w dłoń dziesięciofuntowy banknot.

- Spasiba - szepnęła dziewczynka.

Kiedy Jackson zatelefonował ze szpitala do Thea, ten powiedział mu, że zamieszkała u niego Lily-Rose, dziewczyna o żółtych włosach. Jackson nie wiedział, co o tym myśleć, ale ponieważ nie była to jego sprawa, postanowił wcale nie myśleć na ten temat. Zresztą w ogóle nie chciał za dużo myśleć. Od myślenia autentycznie bolał go mózg. „To dobrze”, odpowiedział w końcu i miał nadzieję, że to rzeczywiście dobrze.

Powiedział też, że wyśle mu pocztą pewne nazwisko. To nazwisko. To, którego szukał przez ostatnie dziesięć lat, a które podała mu Kim Strachan. Oczywiście to n i e musi być nazwisko mężczyzny, który zabił Laurę (niewinny, dopóki wina nie zostanie udowodniona - czy wierzył w tę formułę? Nie). Jackson wiedział, że powinien zawiadomić prokuraturę o swoich podejrzeniach, ale tą batalią dowodził Theo i wyłącznie od niego zależało, co z tym dalej zrobić.

Napisał nazwisko i adres na pocztówce, którą kupił na stacji niedaleko rzeźby *Anioł Północy*. Na pocztówce była jedna z tych sztucznie wyglądających stokrotek, które położył na grobie Niamh. Może to nowy gatunek kwiatu. Nakleił znaczek i Marlee pobiegła w podskokach do skrzynki, bo wciąż była na tyle mała, by cieszyć się wrzucaniem przesyłek do skrzynki na listy. Być może za rok wróci znudzona nadmiarem wrażeń i zupełnie zubożniała na listy i na skrzynki. Za dwanaście długich miesięcy z pewnością nie będzie tą samą Marlee: będzie miała inną skórę i inne włosy, wyrośnie z butów i rzeczy, które ma na sobie, przyswoi sobie nowy dziecię-

cy żargon (nowozelandzki) i być może nie będzie już lubić Harry'ego Pottera. Ale nadal będzie Marlee. Tyle że inną.

Jackson wysadził Marlee przed domem Davida Lastinghama. Josie zlustrowała go beznamiętnym wzrokiem.

- Wyglądasz okropnie, Jackson.

- Dzięki.

Odwrócił się, by odejść, ale Marlee rzuciła się za nim biegiem i złapała go przy samej furtce. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno się do niego przytuliła.

- Daswidanija, tato - szepnęła mu w ucho.

Jackson wrócił do tego, co zostało z jego domu. Okopcony budynek zalatywał sadzą i zgnilizną, jakby uwolniły się drzewiące w murach zarodniki starych chorób. Rozgarnął nogą żużel, który grubą warstwą zalegał podłogę pomieszczenia, które jeszcze niedawno było jego salonem. Zastanawiał się, co się stało z prochami Victora; nigdzie nie było śladu po urnie. Z prochu w proch. Spostrzegł kawałek glinianego dzbanuska z życzeniami - widać było jeszcze litery „go ze Scar”. Upuścił go w rumowisko. Kiedy już zmierzał do wyjścia, coś przykuło jego uwagę. Przykucnął, by lepiej przyjrzeć się znalezisku. Czyjaś niebieska ręka, okryta popiołem, sterczała w powietrzu, Wyglądało to tak, jakby przysypana ofiara trzęsienia ziemi błagała o pomoc.

Jackson chwycił za rękę i wyciągnął z popiołów Niebieską Myszkę.

Inspektor Marian Foster właśnie przeprowadziła się do Filey po przejściu na emeryturę. Kiedy Jackson stanął z Marlee u jej drzwi, mozolnie rozpakowywała stojące w kuchni kartonowe pudła. Jackson zatelefonował do niej z samocho-

du, uprzedzając o wizycie, a ona wydawała się bardzo zadowolona, że ktoś zakłóci jej rytm dnia - jakby już zdawała sobie sprawę z tego, że zagrzebanie się w małym nadmorskim miasteczku nie jest najlepszym sposobem na spędzenie ostatnich, beczynnych lat życia.

- Sądziłam, że trafię tu na coś, co wymaga silnej ręki, jakiś komitet mieszkańców - powiedziała, śmiejąc się - że zrobię wreszcie dyplom w Oksfordzie na kursach wieczorowych Westchnęła. - Będzie cholernie źle, prawda, inspektorze?

- Och, nie wiem, proszę pani - odparł Jackson. - Na pewno pani przywyknie...

Choć myślał usilnie, nie przychodziły mu do głowy bardziej optymistyczne słowa. Widział aż nadto dobrze własną niedaleką przyszłość.

Marian Foster na pierwszy rzut oka rozpoznała w Mariée nałogowego miłośnika łakoci, więc posadziła ją przed telewizorem, postawiła przed nią puszkę coca-coli i talerz ciasteczek czekoladowych. Dla siebie i Jacksona zaparzyła dzbanek diabelsko mocnej herbaty.

- Zmiękło nam podniebienie, hm? - rzuciła z ironią, widząc, jak Jackson krzywi się przy pierwszym łyku. - Cóż, nie zapominaj, miły panie, że znowu jesteś w Yorkshire.

- Trudno zapomnieć.

- A zatem - raptem przeszła do rzeczy - Olivia Land? Cóż mogę powiedzieć. Byłam wtedy tylko konstabłem, babą, którą można było poniewierać. Przesłuchiwałam Landówny, ale nie wydaje mi się, bym dzisiaj mogła powiedzieć coś nowego.

- Sam nie wiem... - Jackson zastanawiał się przez chwilę. - Może jakieś wrażenia, odczucia, instynkt? Cokolwiek. Może powie mi pani, co zrobiłaby inaczej, gdyby samodzielnie prowadziła śledztwo.

- I gdybym wiedziała już wszystko, co wiem dzisiaj o świecie? - Westchnęła ciężko. - Przyjrzałabym się bliżej ojcu. Bardzo poważnie podejrzewałabym molestowanie w rodzinie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Coś było nie tak z tą najstarszą, Sylvią. Coś ukrywała, nie wszystko chciała powiedzieć. Wystarczyło przycisnąć ją do muru, a traciła wątek. I była taka... nie wiem... taka dziwna.

Dziwna to samo powiedziała o Sylvii Binky Rain.

- Ich ojciec to był kawał zimnego drania - ciągnęła Foster. - Wyzuty z uczuć i apodyktyczny. Reszta domu to jakiś kompletny chaos... ta matka, te dwie córki. Nie pamiętam, jak miały na imię.

- Amelia i Julia.

- Oczywiście. Amelia i Julia. Chce pan wiedzieć, co naprawdę o tym myślę?

- Jak najbardziej.

- Myślę, że to zrobił ojciec. Myślę, że Olivię zabił Victor Land.

Jackson wyciągnął z kieszeni główny dowód w sprawie i położył na kuchennym stole Marian Foster. Jej oczy napełniły się łzami. Przez moment nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

- Niebieska Myszka - powiedziała w końcu cicho. - Po tylu latach. Gdzie pan ją znalazł?

Jeśli chodzi o Sylvię, widok Niebieskiej Myszkki wcale jej nie zdziwił. Jackson odniósł wrażenie, że wręcz czekała, kiedy

pojawi się u niej drugi raz. I wcale jej nie interesowało, gdzie Jackson znalazł maskotkę. Owszem, powiedział jej, ale sama nie zapytała. Czy to pytanie nie powinno paść naj-

pierw? To było pierwsze pytanie Marian Foster: „Gdzie pan ją znalazł?”

Jester zamerdał ogonem na widok Jacksona. Jednak Sylvia, widząc go po drugiej stronie kraty, nie była już tak uradowana. Spojrzała na niego krzywo i zapytała burkliwie:

- Czego pan chce?

Jackson pomyślał, że przez ten ułamek chwili ma przed sobą inną Sywzię, tę „dziwną”, tę mniej uduchowioną. Czuł, jak z wolna słabnie działanie tabletek przeciwbólowych. Miał ochotę zdjąć głowę z karku i odłożyć ją gdzieś na bok, żeby sobie odpoczęła. Jak zacząć rozmowę? Nabrał powietrza głęboko w płuca i spojrzał w muliste oczy Sylvii.

- Siostró Mario Łukaszo - zaczął. - Sylvio. Zmrużyła powieki, słysząc swoje prawdziwe imię, ale jej wzrok nie stracił nic ze swej ostrości.

- Sylvio, potraktuj mnie, proszę, jak księdza w konfesjonale. Wszystko, co powiesz, pozostanie między nami. Powiedz prawdę, Sylvio, tylko o to cię proszę. - Bo przecież o nic innego nie chodziło, czyż nie? - Powiedz, co naprawdę stało się z Olivią.

Musiał z całych sił pchnąć furtkę, by ją otworzyć. Czuł się jak intruz. W końcu przecież był intruzem. Na gałęzi jednej z jabłoni w ogrodzie Binky Rain wisiał jeszcze naderwany strzęp taśmy policyjnej. Ale tej taśmy nie zawieszono, aby oznaczyć miejsce zbrodni. Binky zmarła bowiem z przyczyn naturalnych. „Po prostu starość”, powiedział Jacksonowi patolog. Jackson doszedł do wniosku, że jeśli to prawda, to Binky Rain odniosła triumf. Miał nadzieję, że Marlee też umrze staro, w jakimś ogrodzie pod kwitnącą jabłonią, kiedy Jacksona dawno już nie będzie na świecie.

Miejsce przypominało rezerwat dzikiej przyrody. Spod

okapu raz po raz wylatywały nietoperze, jakaś ropucha, człapiąc niezgrabnie, usiłowała zejść mu z drogi, a kiedy torował sobie przejście do narożnika przez chaszczę i cierniste krzewy, o mały włos nie nadepnął na malutkiego jeża, choć szeroki snop światła policyjnej latarki oświetlał ogród. Gęste jeżyny okazały się niemal nie do przebrnięcia. Jackson zrozumiał, jak łatwo tu coś przeoczyć. Coś istotnego. Był pewien, że nie wystarczy odgarnąć trochę trawy i zgniłych liści. Właściwie nie spodziewał się, że coś znajdzie. Nawet nie ze względu na dziką przyrodę - trudno wejść do takiego ogrodu i nie spotkać lisa - ale ze względu na to, że rzadko się zdarza, by znaleźć coś cennego, czego się szuka od bardzo, bardzo dawna.

W narożniku, powiedziała Sylwia, za jabłonią, za dużym bukiem. Jackson nie potrafił odróżnić buku od klonu, w ogóle nie znał się na drzewach, ruszył więc wzdłuż muru i doszedł do ostrego zakrętu - doszedł do wniosku, że to musi być ten narożnik.

Jackson zaczął rozkopywać ziemię rękami, praca cholernie brudna i mało efektywna, jednak szpadel wydawał się w tym przypadku zbyt brutalny. Właściwie nie kopał, lecz wybierał ziemię. Delikatnie. Gleba była sucha i skamieniała, musiał wydrapywać ją palcami. Kiedy znalazł pierwszy ślad, było już całkiem ciemno. Jego ramiona i twarz pokryły się czarnym pyłem. Wciąż myślał o Niamh, o tych dwóch dniach, kiedy szukali jej z Francisem w cuchnących kontenerach, w kopcach śmieci, w każdym zakamarku każdego kawałka pustkowia, aż poczuł się jak dzikie zwierzę, stworzenie, które wykracza poza normalne więzy społeczne, poza granice swej społeczności. Przyglądał się, jak policjanci sondują bosakami dno kanału, i widział, jak wyciągają z wody ciało jego siostry, ociekające błotem i mułem. Pamięć-

tał, że pierwszym uczuciem, jakiego doznał - zanim zalały go dalsze, o wiele bardziej skomplikowane i niezrozumiałe uczucia - było uczucie bezmiernej ulgi, że ją znaleźli, że nie pozostanie tam na wieki, na zawsze.

Sylvia powiedziała, że ciało Olivii po prostu zostawiono mniej więcej tam, gdzie umarła, przykryto je tylko trawą i gałęziami. Każdy centymetr tego ogrodu powinien zostać wtedy przeszukany przez brygadę posuwających się na czworakach policjantów - tak zrobiłby Jackson. Trzeba zawsze bardzo dokładnie przeczesać najbliższy teren. Przypomniał sobie Binky, która opowiadała, jak zobaczyła policjantów i wyrzuciła ich z ogrodu. Wystarczyło więc, by stara baba krzyknęła, by kazała się wynosić, i oni się potulnie wynieśli? Olivia przez cały czas tutaj leżała, cierpliwie czekając, aż ktoś się pojawi i odnajdzie ją. Jackson pomyślał o Victo-rze, jak przykrywa ciało swojej najmłodszej córki zielskiem i chwastami, jakby nic nie była warta, potem zostawia ją w obcym miejscu, jeszcze ciepłą. Nie zabiera jej do domu, myślał o Victorze, który wrócił potem do łóżka, zamknąwszy tylne drzwi na klucz i pozostawiwszy w namiocie Amelię, by odkryła zniknięcie siostry. O Victorze, który przez trzydzieści cztery lata trzymał w szufladzie swego biurka Niebieską Myszkę, prawdę. Dziewczynki Landów często bawiły się w ogrodzie Binky, ale potem Sylvia nakazała im trzymać się od niego z dala. Bo wiedziała, że tam jest Olivia.

Najpierw znalazł obojczyk. Potem coś, co przypominało kość łokciową. Przestał rozgrzebywać ziemię i poświecił uważnie latarką. Wreszcie wypatrzył mały, blady księżyc czaszki. Jackson wyciągnął telefon i zadzwonił na posterunek w Parkside.

Przykucnął i przyjrzał się uważnie obojczykowi, deli-

katnie oczyściwszy go z ziemi, jak archeolog, który znalazł coś bardzo rzadkiego i wyjątkowego - bo przecież tak było. Obojczyk był drobny i kruchy, jakby należał do szkieletu małego zwierzęcia, królika albo zająca, jakby był to obojczyk jakiegoś ptaka. Jackson pocałował go z czcią. Wiedział doskonale, że to najświętsza relikwia, jaką przyszło mu znaleźć. Zaczął padać deszcz. Jackson nie pamiętał, kiedy ostatni raz padało. *Aqua jateris Christi, lava me.* Jackson zapłakał. Nie nad Niamh, nie nad Laurą Wyre czy Kerry-Anne Brockley, czy nad inną z zaginionych młodych dziewcząt, ale nad tą małą dziewczynką z kraciastymi kokardami we włosach, dziewczynką, która tuliła kiedyś do siebie Niebieską Myszkę i kazała jej się uśmiechać do aparatu.

Jackson usadowił się wygodnie w fotelu klasy ekonomicznej, rząd 20, miejsce przy oknie. Stać go było na klasę biznesową, ale nie miał zamiaru rozpoczynać nowego życia od trwonienia pieniędzy. Rodzony syn własnego ojca, można powiedzieć.

Był bogaty. Niespodziewanie bogaty. Absurdalnie bogaty. Binky uczyniła go jedynym spadkobiercą posiadłości i całego swojego majątku - dwóch milionów funtów w obligacjach i akcjach, schowanych w sejfie bankowym, z których przez wszystkie te lata nie wydała ani grosza, jeśli nie liczyć karmy dla kotów. „Mojemu przyjacielowi, panu Jacksonowi Brodiemu, za uprzejmość”. Rozplakał się, kiedy notariusz Binky czytał na głos jej ostatnią wolę. Płakał, bo przecież nie był wobec niej jakoś szczególnie uprzejmy, płakał, bo nie miała lepszego przyjaciela, płakał, bo umarła w samotności i nikt nie trzymał jej za rękę. Płakał, bo zamieniał się w kobietę.

Dwa miliony, pod warunkiem że zaopiekuje się kotami. Czy to znaczy, że potomstwem także? Czy będzie musiał już

zawsze zajmować się kotami po Binky Rain, po wsze czasy, aż do śmierci, a potem będzie musiała opiekować się nimi Marlee i jej dzieci? Przede wszystkim musi je wysterylizować. Wiedział, że nie zasłużył na ten spadek. To trochę tak, jakby trafił szóstkę na loterii, nie wykupując wcześniej kuponu. Ale z drugiej strony kto zasłużył? Na pewno nie Quintus, jej jedyny krewny. Quintus, który kiedy tylko się dowiedział, że ciocia zapisze wszystko Jacksonowi, usiłował go zabić, aby usunąć rywala do spadku. Quintus, który prawdopodobnie zabiłby także ciocię, gdyby ta go nie uprzedziła, umierając w spokoju, pod jabłonią, z powodu podeszłego wieku.

Początkowo Jackson martwił się, że są to brudne pieniądze, zyski z kopalni diamentów, ciągnięte z katorżniczej pracy czarnych górników. Brudna forsa. Myślał już, żeby przekazać wszystko Howellowi. „Bo jestem czarny?” - pytał zbaraniały Howell, patrząc na niego, jakby wyrosła mu druga głowa. „Powiem krótko, pojebało cię” Jackson w końcu doszedł do wniosku, że to przesada, by symbolem nikczemnej historii wyzysku kolonialnego czynić jednego Howella. Przy kuchennym stole w domu Victora Howell i Julia grali w karty, popijając dzin z tonikiem. Julia uderzyła dnem pustej szklanki o stół i krzyknęła do Howella: „Dawaj kartę”. Z żadnym z nich dwojga Jackson nigdy w życiu nie stanąłby w pijackie szranki.

Jako że dom Jacksona w Cambridge właściwie już nie istniał, Jackson i Howell zamieszkali w hotelu Garden House. Co prawda Julia zaoferowała im nocleg, ale Jackson nie mógł znieść myśli, że miałyby spać w starym, wyziębionym domu Victora, w pokoju, który jako ostatnia zajmowała jedna z sióstr Land.

To on powiedział Julii. Zawiózł ją do policyjnej kostnicy, by mogła zobaczyć delikatne, zajęcze kostki. („Wbrew prze-

pisom, Jackson". Sądowy patolog kręcił głową z dezaprobatą.) Wiedział, że Julia jest silną osobą, że bez hysterii spojrzy na malutki szkielet, jaki pozostał po Olivii. Wyciągnęła dłoń w kierunku siostry, ale patolog ją powstrzymał: „Proszę nie dotykać, droga pani. Potem będzie pani mogła jej dotknąć”, i Julia cofnęła dłoń i położyła ją na swoim sercu, jakby bardzo ją zabolalo, i powiedziała tylko: „Och...”, tak bardzo cicho, a Jackson pomyślał, że nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo smutne może być takie jedno króciutkie słowo.

Jackson przedstawił własną wersję zdarzeń - wyszedł na spacer z psem, zwierzak zaczął nagle intensywniej wodzić nosem po ziemi i wbiegł do ogrodu Binky, gdzie, warcząc okropnie, zaczął rozgrzebywać kopczyk liści i starych gałęzi, a kiedy Jackson poszedł za nim, żeby sprawdzić, co się dzieje, spostrzegł kawałek szkieletu Olivii. „Gdzie jest pies, inspektorze?” zapytał go policjant jeszcze na miejscu zdarzenia. Jackson wzruszył ramionami: „Uciekł”, a potem nie omieszkał dodać: „Proszę się do mnie zwracać «panie Brodle», nie jestem już inspektorem”. O wizycie w klasztorze nie wspomniał nikomu, ani policji, ani Julii. Słusznie czy nie, ale wyczuwał, że jeśli Sylvia zechce powiedzieć całą prawdę, to sama to zrobi. Obiecał, że dotrzyma tajemnicy spowiedzi. Dał słowo. „Wygląda na tragiczny wypadek”, powiedział policjantowi. „Ach, ta biurokracja, sztywne policyjne procedury, trzydzieści cztery lata, co tu można teraz zrobić?”

Howell dolał dzinu sobie i Julii.

- Może pan do nas dołączy, panie B.? - zapytała Julia. - Zagramy w trójkę w kanastę, nauczę pana.

- Możemy spróbować, może wygramy co nieco z twojego ogromnego i niezasłużonego majątku - dodał Howell.

Jackson się wymówił.

- Stara miągwa - rzucił Howell.

Może mógłby pomóc Howellowi otworzyć jakiś interes? Część pieniędzy mógłby zainwestować w obligacje dla Marlee. Trochę mógłby podarować Lily-Rose. Odwiedził niedawno Thea, widział na kominku pocztówkę z różową stokrotką. Żaden z nich nie poruszył tego tematu. Lily-Rose zaparzyła im herbaty, usiedli w ogrodzie, pili i jedli upieczony przez Thea biszkopt z dżemem według przepisu Victorii. „Dobry, nie?” chwaliła Lily-Rose.

Część pieniędzy przeznaczyłyby na cele dobroczynne, choćby po to, by zbawić swoją duszę. Szybko się okazało, że pieniądze nie pochodzą z zysków kopalni diamentów. Bardzo dawno temu jeden z przodków Binky Rain zainwestował w amerykańskie koleje, zatem pieniądze zostały uzyskane z krwi i potu katorżniczej pracy kogoś, kto budował trans-amerykańską kolej żelazną (Chińczycy? Irlandczycy?), co również nie wydawało się szczególnie etycznym źródłem zarobku, jak sądził Jackson, ale cóż zrobić?

Które instytucje dobroczynne wesprzeć? Jest ich tak wiele. Pomyślał, że zapyta Amelię. Dobrze by było, gdyby i jej coś skapnęło. „Ostatnio za dużo spadło na jej biedną głowę, wzięła jakieś pigułki, no... trochę za dużo, właściwie to aktualnie odpoczywa w szpitalu” - tłumaczyła mu Julia.

- Chcesz powiedzieć, że próbowała się zabić? - domyślił się Jackson

Julia zmarszczyła brwi w namyśle

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziała w końcu.

- Coś w tym rodzaju?

Zaproponował, że odbierze Amelię ze szpitala. Była na jakichś proszkach i niechętnie się odzywała. Kiedy zajechali pod dom przy Owlstone Road, Julia czekała na ganku z czarnym kotem na rękach, jeszcze niedawno zna-

nym jako Czarnuch, i wręczyła go Amelii - prezent na powitanie.

- Ma na imię Szczęściarz - zakomunikowała Julia. Tymczasem kotka Frisky - kiedyś zagubiona, teraz odnaleziona - zabawiała się, próbując wspiąć się po nodze Jacksona.

Obserwując, jak Amelia zatapia twarz w miękkim czarnym futerku Szczęściarza, Jackson uświadomił sobie, że Amelia byłaby znakomitą gospodynią włości Binky Rain.

- Co o tym sądzisz? - zapytał później Julię. - O dom Binky trzeba będzie zadbać, to oczywiste, a Amelia mogłaby tam mieszkać i zajęłaby się kotami.

- Och, i ocaliłaby także ogród - przyklasnęła zadowolona Julia. - To by jej się bardzo podobało. Wspaniały pomysł, panie Brodie.

Jackson nie pomyślał o ogrodzie.

- Myślisz, że to dobry pomysł? Z tym ogrodem? - zapytał. - Ze względu na Olivie? Całe lata tam leżała.

Nie powiedzieli jeszcze Amelii o odnalezieniu szczątków Olivii. Julia stwierdziła, że musi poczekać na „odpowiedni moment”, a kiedy Jackson stwierdził, że nigdy nie będzie odpowiedniego momentu, Julia odpowiedziała, że wie o tym.

- Wydaje mi się, że to bardzo dobry pomysł - mówiła. - To byłoby nawet właściwe.

Odwróciła głowę na poduszce, by na niego spojrzeć - ponieważ rozmowę na temat przyszłości Amelii prowadzili w łóżku - i posłała mu rozanielony uśmiech. Przeciągnęła się leniwie i popieściła stopą jego łydkę.

- Och, panie Brodie - powiedziała. - Kto by pomyślał, że będzie tak cudownie?

Dobre pytanie, pomyślał Jackson.

- Może spróbuj jednak mówić mi po imieniu.

- Och, nie - pokręciła stanowczo głową. - Sto razy bardziej wolę mówić „panie Brodie...”

Kiedy samolot przygotowywał się do startu, Jackson studiował uważnie foldery agencji obrotu nieruchomościami. Sympatyczny *château*, niezbyt okazały, koło Minervois (zamków we Francji jest mrowie), trzynastowieczna plebania w wiosce na południe od Tuluzy i *maison de maître* w miasteczku koło Narbonne. Nie znaczyło to, że zdecydował już, w której części Francji zamieszka, ale od czegoś trzeba zacząć. Pomyślał, że mógłby pojeździć po Francji i obejrzeć różne domy - ma przecież czas. Firmę sprzedał Deborah Arnold. Gdyby była choć troszkę sympatyczniejszą osobą, mogłaby liczyć na mały rabat. Jackson przymknął powieki i zaczął rozmyślać o Francji.

- Czy podać panu coś do picia?

Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą zawodowo uprzejmą, obojętną twarz Nicoli Spencer. Uśmiechała się do niego beznamiętnie i powtórzyła pytanie. Aby przedłużyć spotkanie, poprosił o mały sok pomarańczowy. Z jednej strony wiedział wszystko o Nicoli Spencer, ale z drugiej strony nie wiedział o niej nic. Do soku podała mu paczuszkę precelków i przeszła do następnego pasażera. Jackson patrzył za nią, jak popycha barek i jak obcisła spódnica uniformu opina jej jędrne pośladki. Przeszła go myśl, żeby śledzić ją po wylądowaniu we Francji - trochę z ciekawości, ale także z obowiązku służbowego, bo to była nadal nie załatwiona sprawa. Jednak po korowodach przy wypełnianiu formularzy w punkcie wynajmu samochodów na lotnisku w Tuluzie zupełnie stracił na to ochotę.

Caroline

„Co chcesz na urodziny?" - zapytał Jonathan, a ona odpowiedziała: „Mercedesa SL500", żartem oczywiście, a on zapytał: „Jaki kolor?", na co odpowiedziała: „srebrny", i wal się (to już tylko pomyślała), jeśli nie znajdzie się na alejce przed domem, obwiązany wielką różową wstążką, wart nie mniej niż siedemdziesiąt tysięcy funtów. Jonathan musiał jednak być bardziej nadziany, niż jej się zdawało. Nie miała pojęcia, ile pieniędzy naprawdę ma na koncie. Nie chciała jego pieniędzy, nie chciała nawet tego samochodu, naprawdę. Ale kiedy już go dostała, bardzo go polubiła. Dwuosobowy - nie ma z tyłu miejsca na bachory ani psy. „Boże", jęknęła Rowena, widząc auto przed domem. Zdumiewające, ile znaczenia można zawrzeć w jednym dwusylabowym słowie.

Może ten samochód to prezent pożegnalny? Może już snuje plany następnego ożenku? Nie opuszczała jej pewność, że ma kogoś w Londynie. Byłaby zdziwiona, gdyby było inaczej. Faceci jak Jonathan zawsze mają kochanki. Nigdy się jednak z nimi nie żenią. To ona powinna była zostać jego kochanką, swoim temperamentem i charakterem o wiele bardziej pasuje do roli kochanki niż żony.

Nadal nikt nie wiedział o dziecku, bezpiecznym w jej łonie. Powoli dojrzewiała w niej decyzja. Znów była gotowa zrzucić skórę i obrosnąć nową. Musi stąd uciec, zanim na dobre owładnie nią inercja, zanim ktoś ją tu odnajdzie. Zanim Weaverowie postanowią zatrzymać ją za wszelką cenę, gdy dowiedzą się o dziecku. Na pewno będą chcieli położyć na nim swoje łapy. Szkoda, wielka szkoda, bo naprawdę kochała swoją szkołę i pracę, ale są przecież inne szkoły, gdzie też znajdzie się praca. Kiedy człowiek już się na coś zdecyduje, wszystko jest możliwe. Dziecko (rzecz jasna) zabierze z sobą, daleko stąd, bo nie będzie to dla niego dobre środowisko, nie daj Bóg wyrośnie na dzieciaka, który w środy mówi tylko po francusku i nie rozumie, co to jest miłość. Umierała z miłości do tego dziecka. Było to uczucie, którego nikt w tym domu nie potrafiłby zrozumieć. Był czas, kiedy sama nie umiała pojąć miłości i wynikł z tego potworny chaos. „Traktuj mnie, jakbym nie żyła”, powiedziała do Shirley, ale nie spodziewała się, że rzeczywiście tak zrobi. Tymczasem nie było nic, żadnych wizyt, żadnych listów, żadnych podarków urodzinowych; ani słowa, nic. Miesiącami czekała na Shirley w dni widzeń, liczyła na to, że zjawi się z Tanyą na rękach („Popatrz, to jest mamusia!”), że będzie przekonywać beznadziejnych rodziców („Musicie się zobaczyć z Michelle, musicie”), ale nie. Listy pozostawały bez odpowiedzi, podobnie jej nadzieje, aż w końcu zaczęła myśleć, że tak musi być, że tak może jest najlepiej, niech żyją dalej własnym życiem, niech się od niej uwolnią, bo czy kiedykolwiek zrobiła dla nich coś dobrego? Nie kochała ludzi, których miała obowiązek kochać, a za coś takiego płaci się wysoką cenę, wcześniej czy później.

Kiedy się odchodzi, nie wolno zostawiać śladów. Pakuje się tylko podstawowe rzeczy i wychodzi z domu. Jak gdyby nigdy nic, jakby jechało się do Leeds na zakupy (ale zabiera się piękny samochód). Nie zostawia się żadnych dowodów, nie zostawia się odcisków palców na trzonku zakrwawionej siekiery. Po to, żeby osłonić innych. Tym razem pędraka, nowego pędraka zabierze ze sobą. Obdarzy go taką miłością, że codziennie będzie promieniał ze szczęścia, a ona nareszcie dostąpi stanu łaski.

Będzie musiała przestać wieść życie, które jest tylko kolejną wariacją sielanki. Tym razem będzie musiała pomyśleć o czymś zupełnie innym. Prawdopodobnie wyjedzie za granicę, do Włoch albo do Francji. Oczywiście nigdy człowiek nie odejdzie wystarczająco daleko - Chiny, Patagonia - nie ma bowiem miejsca, które byłoby dostatecznie daleko. Cała sztuka polega jednak na tym, by ruszyć i iść. Cała sztuka polega na tym, by zabrać ze sobą pędraka. I jedno jest pewne: nie ma odwrotu.

Postanowiła dać mu szansę, by pojechał razem z nią, tylko jedną jedyną szansę. Będzie tym wstrząśnięty, zapewne z nią nie pojedzie, ale będzie miał możliwość, będzie miał wybór.

Jechał na rowerze (Boże, te staromodne zapinki, które ściągały u dołu nogawki jego tanich czarnych spodni) i obejrzał się, słysząc nadjeżdżający samochód. Miała opuszczony dach i kiedy się zrównali, zatrzymała auto, a on zeskoczył z roweru i zaśmiał się.

- To naprawdę niezła fura, pani Weaver - powiedział, kiwając z uznaniem głową, niczym sprzedawca w komisie samochodowym.

- Absolutnie, pastorze - odpowiedziała.

Klepnęła znacząco siedzenie obok siebie i zapytała:

- Ma pan ochotę na przejażdżkę?

On rozłożył bezradnie ręce i wskazał swój rower, ale po chwili powiedział:

- A... co mi tam. - I położył rower w wysokiej przydrożnej trawie.

Ale kiedy położył rękę na klamce, ona nagle pochyliła się ku niemu i patrząc mu w oczy, zrobiła ruch ręką, jakby chciała go zatrzymać.

- Muszę jednak uprzedzić, że mam zamiar odjechać i już nigdy tutaj nie wracać, a kiedy ruszę, będę jechać bardzo szybko...

Patrzył na nią uważnie.

- Pani nie żartuje, prawda?

Pomyślała, że bardzo się jej podoba, gdy wygląda na takiego zafrasowanego chłopczyka, waży jej słowa i zastanawia się nad właściwą odpowiedzią.

Zapуściła silnik.

- Liczę do dziesięciu...

Wszystko z obowiązku, nic z miłości

Michelle sądziła, że już wcześniej bywała wściekła. Ale tak wściekła nie była jeszcze nigdy. Czowała się jak wulkan z zatkanym kraterem, który nie może się pozbyć wrzącej zawartości. Jak to się nazywało? Magma? Lawa? Do jasnej cholery, nie potrafiła zapamiętać najprostszych słów. „Amnezja poporodowa”, gdzieś o tym czytała, jeśli to jednak amnezja, to wybitnie selektywna, prawda? Nie pozwalała bowiem zapomnieć o beznadziei i nędzy, i o tym, że jest nieszczęśliwa. Dzisiaj szło jej nawet dobrze, ale tylko do tej chwili - wszystko miała pod kontrolą, wszystko grało idealnie i wtedy, głupio i bezmyślnie, wlaź z hukiem do domu i zbudził dziecko.

Michelle z całych sił ciągnęła za siekierę, ale ta tkwiła niewzruszenie w pieńku niczym jakiś zafajdany Ekskalibur. Ogarnęła ją taka furia, że nie słyszała nawet, jak nadeszła Shirley, a kiedy się odwróciła i ją zobaczyła, aż podskoczyła ze strachu.

- Jezu, ale mnie przestraszyłaś.

Na ułamek sekundy, bardzo mały ułamek, zapomniała, że jest nieziemsko wściekła, ale zaraz usłyszała płacz dziecka w domu - chyba cała okolica słyszy ryk tego bacho-

ra - i wszystko znowu zaczęło w niej kipieć, i wiedziała, że tym razem nie zapobiegnie erupcji, że będzie potworny wybuch. Krakatau. O proszę, tyle jeszcze pamięta.

- Wyglądasz, jakbyś chciała tą siekierą kogoś ukatrupić - zaśmiała się Shirley.

- Bo chcę - odpowiedziała Michelle przez zaciśnięte wargi.

Wpadła do środka przez tylne drzwi, oszalały wiking, a kiedy Keith ją zobaczył, parsknął śmiechem i oboje z Shirley, cholera jasna, śmiali się z niej, jakby żadne z jej słów nie miało znaczenia, jak gdyby sama nie brała serio swoich słów, i uniosła siekiere, wysoko, choć niezdarnie, bo nie umiała wyczuć jej punktu ciężkości, i cisnęła nią w kierunku Keitha. Ale to był dziewczęcy rzut. Siekiera odbiła się od czegoś i spadła z hałasem na podłogę, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Keith stanął osłupiały, a potem wpadł w szal, w jeszcze większą wściekłość niż Michelle. Najpierw sądziła, że to z powodu siekiery, choć leżała kilometry od niego, ale po chwili zorientowała się, że Keith wykrzykuje coś o Tanyi.

- Mogłaś w nią trafić, mogłaś jej coś zrobić!

- Nie bądź śmieszny. Siekiera spadała daleko od niej -odparła. On wrzasnął.

- Ty zwariowana pieprzona suko! Daleko, niedaleko, to bez znaczenia!

Nagle się wystraszyła nie na żarty, ponieważ zobaczyła, że Keith stracił panowanie nad sobą, że w niczym siebie nie przypomina, i zobaczyła, jak robi krok w kierunku siekiery, ale sekundę później siekiera znajdowała się już w rękach Shirley i Shirley nie rzuciła nią jak dziewczynka, uniosła ją po prostu nad głowę i spuściła jej ostrze prosto na głowę Keitha. I natychmiast wszystko ucichło, nawet pędrak.

Shirley przechodziła kurs pierwszej pomocy w towarzystwie dobroczynnym St John Ambulance, ale nie trzeba było kończyć żadnych kursów, żeby wiedzieć, że Keithowi nic już nie pomoże. Michelle osunęła się na podłogę. Siedziała, obejmując się rękami, jakby miała na sobie niewidzialny kaftan bezpieczeństwa. Kołysała się w przód i tył, do jej uszu docierał dziwny, ostry dźwięk, a po chwili zdała sobie sprawę, że ów dźwięk wydobywa się z jej ust.

- Przestań - powiedziała Shirley.

Ale Michelle nie umiała powstrzymać tego dźwięku, więc Shirley złapała ją za koszulę i podniosła na nogi.

- Zamknij się, Michelle, zamknij się! - wrzasnęła.

Ale Michelle nie mogła przestać i Shirley uderzyła ją z całych sił w twarz.

Szok był tak ogromny, że Michelle myślała, iż przestała na chwilę oddychać, i chciała tylko zwinąć się w kłębek i zniknąć.

- Właśnie zrujnowałaś życie nam obu, nie mówiąc o Tanyi - powiedziała Shirley.

A co z Keithem, pomyślała jeszcze Michelle, ale wiedziała, że Shirley ma rację, bo w gruncie rzeczy to wszystko jej wina.

Podniosła się więc z podłogi - czuła sztywność w członkach jak stara kobieta - podniosła siekierę, która na szczęście nie utknęła w jego głowie, za co można było być jej wdzięcznym, wytarła starannie trzonek o dzinsy i ujęła go w dłonie w kilku miejscach.

- Jedź stąd - powiedziała do Shirley.

Tanya stała oparta o krawędź kojca i nagle, jakby ktoś ukłuł ją szpilką, znowu zaczęła niemiłosiernie płakać. Shirley wzięła małą na ręce i próbowała ją uciszyć, ale zdawało się, że to dziecko nigdy już nie umilknie.

- Jedź, Shirley, jedź już - prosiła ją Michelle. - Proszę. Shirley ostrożnie postawiła dziecko na podłodze.

- Obiecuję, że się nią zajmę - powiedziała.

- Wiem - odpowiedziała Michelle. - Zabierz Tanyę, zapewnij jej nowy start, bądź dla niej matką, którą ja być nie mogę.

Bo jeśli mogła komuś w świecie ufać, to tylko siostrze.

- Dobrze - odpowiedziała Shirley. Można by pomyśleć, że robi to wszystko nie pierwszy raz, taka była opanowana i racjonalna. - Dobrze, teraz zawiadomię policję i powiem im, że zastałam cię w takiej pozycji, w jakiej siedzisz, dobrze? Dobrze, Michelle?

- Dobrze.

Potem Shirley podniosła słuchawkę i wykręciła 999, a kiedy operator odebrał, podniosła tak histeryczny krzyk, że można by wziąć ją za najlepszą aktorkę świata. W końcu uciszyła się, odłożyła słuchawkę i obie czekały w milczeniu na przyjazd radiowozu. Pędrak zasnął na podłodze. Było zimno. Michelle miała ochotę posprzątać trochę przed przyjazdem policji, ale brakowało jej sił i energii. Wreszcie usłyszały wycie policyjnej syreny, potem drugiej, a wreszcie chrzęst opon na szutrowej drodze przed domem. Michelle powiedziała do Shirley:

- Nigdy nie jadłaś mojego czekoladowego ciasta.

Theo

Pofarbowała włosy na uderzający różowy kolor, który kojarzył mu się z flamingami. W tym różu było jej znacznie lepiej niż w kremowej żółci. Po prostu wyglądała zdrowiej. Zresztą była zdrowsza. Co tydzień musiała przybierać co najmniej kilogram, ale trudno się temu dziwić, skoro Theo karmił ją, mając w głowie tylko ten jeden cel, typowy dla rodzica tuczącego swą pociechę: tosty z fasolką, na noc odżywka, makaron z serem, bekon, kiełbaski, ziemniaki puree, banany, czereśnie i brzoskwinie -nie lubiła jabłek. Theo też ich nie lubił. Laura lubiła jabłka. Lily-Rose nie była Laurą. Theo doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Sam jadł tyle co kot napłakał, więcej radości sprawiało mu patrzenie, jak je Lily-Rose. Na pierwszy rzut oka nikt by nie pomyślał, że dziewczyna może mieć taki apetyt, jadła za dwóch, jakby chciała nadrobić lata niedojadania.

Spała w pokoju Laury, a pies warował przy jej łóżku. Theo ⁿie podchodził do psa, bo Lily-Rose bała się, że sierść spowoduje u niego kolejny atak astmy. Theo też się tego obawiał, ale opowiedział jej o Makuchnie, o tym, że szybko się

do niej przyzwyczał i że właściwie doszedł do przekonania, że człowiek może się do wszystkiego przyzwycząć.

- Tak - odpowiedziała. - Też tak myślę. Oglądali album ze zdjęciami Makuchny. I Laury.

- Jest ładna - powiedziała Lily-Rose, a Theo był wdzięczny, że nie użyła czasu przeszłego, bo to zawsze bolało.

Nie powiedział Jenny, że Lily-Rose z nim mieszka. Mógł sobie wyobrazić, co starsza córka miałaby mu do powiedzenia.

Dostał pocztówkę od Jacksona. Z różową stokrotką na zdjęciu, tak samo różową jak włosy Lily-Rose. Postawił pocztówkę na kominku, obok zdjęcia Makuchny, gdy była jeszcze szczeniakiem. Jakoś dziwnie Theo utożsamiał Makuchnę z Lily-Rose; małe, porzucone istoty, z którymi życie źle się obeszło i które miały nowe, kwiatowe imiona. Lily-Rose powiedziała mu, że przybrała nowe imię, bo chciała być nową osobą, chciała zacząć wszystko „na nowo”.

Lily-Rose była wytworem mocno zaburzonego życia rodzinnego i potrzebna jej była fachowa opieka. Miała na swoim koncie ucieczki z domu, narkotyki, drobne kradzieże, nawet prostytutkę, choć teraz wydawała się czysta jak łza. Jej matka zamordowała jej ojca i dziewczyna była wychowywana przez dziadków, którzy, jak się okazało, nie byli wiele lepsi od jej rodziców (Theo podejrzewał molestowanie seksualne). Jej życie było równie nierealistyczne jak program telewizyjny - film dokumentalny albo kiepska opera mydlana. Mimo wszystko robiła wrażenie szczęśliwej, bawiła się z psem w ogrodzie, zajadała lody, czytała czasopisma. Uwielbiała, gdy Theo budził ją rano filiżanką posłodzonej herbaty i tostem z masłem. Wiezorami (co może wydawać się dziwne) zabierali się do układania dużego puzzla.

- Taka z nas popieprzona para pensjonariuszy domu starców - mówiła, ale z sympatią.

Wcale nie chciał jej ratować, nie chciał jej zatrzymać czy zmieniać, choć robił wszystko, żeby tak się działo, i dalej tak będzie robił, jeśli ona dalej będzie tego chciała. Nie robił jednej rzeczy, nie martwił się o nią. Przydarzyło jej się tyle złego, że wydawała się odporna na zniszczenia i zaimpregnowana na zło. Sam fakt, że może jej przywrócić dzieciństwo, napawał go radością. Kiedy nadejdzie czas, życie Lily-Rose potoczy się dalej, a on będzie umiał dać sobie z tym radę.

Zwykły dzień

To, co przydarzyło jej się z panem Jessopem, było strasznie głupie. (Wciąż powtarzał, żeby mówiła mu „Stan” ale nie potrafiła, to brzmiało niestosownie, przecież był nauczycielem.) Głupie i śmieszne, bo wcale nie czuła się jakoś specjalnie przez niego zauważona. Parę razy odwiedzała go Christina, także Josh, a przed rokiem zaprosił na grilla całą grupę, z którą miał biologię. Wtedy pierwszy raz była u niego w domu. Grilla popsuła rześista ulewa, więc Jessop pojechał do marketu i kupił mnóstwo produktów do kanapek, które Laura robiła potem w kuchni razem z Kim. Zawsze mówiła do niej „Kim”, nigdy „pani Jessop”. Wydawało jej się, że Kim jest zła z powodu takiej liczby niespodziewanych gości - parę tygodni wcześniej urodziła im się córeczka, więc właściwie trudno się dziwić. Kim miała tyle samo lat co Jenny, ale trudno byłoby znaleźć na świecie dwie tak różniące się od siebie istoty.

Przygotowały kanapki z szynką, tanią i niezbyt świeżą (z plastikowej folii, dla wegetarian). Kim smarowała rozpuszczającą się margaryną gąbczasty, biały chleb, a Laura patrzyła na to i myślała: Ohyda... Potem besztła siebie w duchu

za taki mieszczański snobizm. Tata miał bzika na punkcie zdrowego żywienia - dla córek zawsze miał w domu pyszne, gotowane w domu obiady, pełnoziarnisty chleb, mnóstwo świeżych owoców i warzyw (Bóg raczy wiedzieć, co za szajs jadł sam, gdy miał sposobność). Oczywiście mało zamożnych ludzi nie stać na te wszystkie dobre rzeczy, ale w końcu Jessopom nie wiodło się tak źle. Nauczyciele bez przerwy burczeli na temat niskich płac, ale wcale nie byli biedni. Choć, szczerze mówiąc, Josh miał rację, twierdząc, że Kim to „biały margines”, i to w sumie dziwne, że pan Jessop się z nią związał i zamieszkał w norze, gdzie nieustannie zajeżdżało kwaśnym mlekiem i brudnymi pieluchami.

Na nogach miała czerwone buty na wysokich obcasach, obuwie, którego raczej trudno oczekiwać u młodej matki (i żony nauczyciela). Włosy miała utlenione, niemal białe, w stylu klasycznej „głupiej blondynki”, a kolor ten sprawiał, że jej cera wyglądała niezdrowo. Pan Jessop był jej zupełnie podporządkowany, kontrolowała go mrugnięciem oka. W klasie pan Jessop był zupełnie inny (choć nie aż tak, żeby zwracać się do niego per „Stan”). W klasie pan Jessop był dowcipny i cyniczny i zawsze miał do powiedzenia coś krytycznego o szkole. W niczym nie przypominał innych nauczycieli nauk ścisłych, już bardziej mógłby być podobny do nauczycieli angielskiego. U siebie w domu był o wiele mniej interesujący, a mogłoby się zdawać, że powinno być odwrotnie.

Kiedy Kim zeszła z Niną na dół, dziewczęta gruchały nad niemowlakiem. Nawet chłopcy wyrażali zainteresowanie, jakby dziewczynka była naukową nowinką. („Czy ona umie już patrzeć w jedno miejsce?” „Czy ona panią rozpoznaje?”) Tylko Laura nie czuła najmniejszego zainteresowania dzieckiem. Wiedziała, że to się zmieni, kiedy urodzi własne. Jednak cudze dzieci w ogóle jej nie wzruszały. Kim nie karmi-

ła piersią. Zapytała o to jedna z dziewcząt, Andi, a Kim odpowiedziała ze wstrętem: „Ależ skąd!” jakby nie mogła sobie wyobrazić nic bardziej nienaturalnego, a Josh i Laura wymienili znaczące spojrzenia i z trudem powstrzymali śmiech.

- Oczywiście nie jestem tak wykształcona jak wielu z was - mówiła Kim, kiedy myły wspólnie w kuchni naczynia i kiedy zdążyły już zawrzeć coś w rodzaju sojuszu.

Pan Jessop kupił skrzynkę piwa i parę kartoników wina, więc wszyscy w salonie byli już nieco wstawieni, w tym kretyńskim, hałaśliwym stylu. Jednak Kim i Laura nie piły. Laura, ponieważ była na antybiotykach w związku z infekcją ucha, a Kim z powodu niemowlaka.

- Nie mogę pozwolić, żeby mi rozum przyćmiło - powiedziała Kim i zaśmiała się przy tym wesoło, a Josh szepnął do Laury. „Jeśli ma jakiś rozum...”, ale Laura udawała, że nie słyszy, bo widziała, jak pan Jessop na nich patrzy, i bała się, że wie, o kim mówią.

Kim pochodziła z Newcastle i mówiła z akcentem, który wydawał się całkowicie obcy. Fakt, że była z prowincji, budził w nich nawet pewien lęk. Laura wyobrażała sobie, że północ zamieszkują zahartowane, bezduszne i cholernie racjonalne kobiety, z którymi nikt nie ma ochoty zadzierać.

- Rzuciłam szkołę, kiedy miałam szesnaście lat - opowiadała Laurze. - Poszłam jeszcze na rok do collegeu, skoro pytasz, na zajęcia dla sekretarek...

-Tak?

Laura nie słuchała uważnie Kim, bo polerowała kuchenny blat, choć nie było na nim widać ani jednej plamy. Bo trzeba powiedzieć, że Kim, może szmirowata i nierozgarnięta, umiała utrzymywać czystość. W jej domu aż lśniło, a to bardzo by się podobało tacie. Jakże byłoby cudownie, gdyby

krótco przed jej wyjazdem na uczelnię (absolutnie nie wcześniej) tato poznał jakąś naprawdę miłą i dobrą kobietę (nie taką Kim), dojrzałą, może być nawet trochę bez gustu, byleby potrafiła mu stworzyć dom, docenić jego zalety i dać mu wiele, wiele szczęścia. Zaslugiwał na to, by być szczęśliwy. A kiedy ona wyjedzie na studia, tata będzie miał złamane serce, choć nie da tego po sobie poznać. Może nie złamane serce (w każdym razie nie będzie się tak czuł, jak ona po stracie Makuchny), ale na pewno będzie mu strasznie smutno, bo tak długo mieszkali razem, tylko we dwoje, a on żył właściwie tylko dla niej. Dlatego wybrała Aberdeen, bo było daleko. Musiała się wyrwać daleko, żeby zacząć być sobą. Dopóki będzie przy ojcu, będzie tylko dzieckiem.

Nie będzie taka jak Jenny. Jenny nie była w porządku, nigdy nie telefonowała ani nie pisała. Zawsze to tato inicjował kontakt. Zupełnie jakby jej nie zależało na ojcu. Kiedy Laura wyjedzie, będzie do niego systematycznie dzwonić. Kupiła już sobie dwa zestawy pocztówek (z dowcipami i z małymi zwierzątkami), które miała zamiar regularnie mu wysyłać. Kochała go najbardziej na świecie. Dlatego zgodziła się na pracę w jego kancelarii, choćby tylko na parę tygodni. Potem zniknie, pomknie ku przyszłości jak strzała. Nie mogła się tego doczekać.

Po tamtym dniu, dniu, w którym nie było grilla, Laura zaczęła się opiekować ich dzieckiem. Najwyraźniej to Kim zasugerowała panu Jessopowi takie rozwiązanie, zatem musiała ją polubić (choć to nic pewnego). Pan Jessop zaproponował jej to któregoś dnia po zajęciach, a ona odpowiedziała: „Hm, no dobrze, ale ja nic nie wiem o dzieciach”, a on na to: „Ależ my również, Lauro”.

Zwykle namawiała Emmę, by razem z nią opiekowała się

córką Jessopów, bo Emma знаła się na dzieciach jak mało kto. Kochała je bardzo, co miało swój paradoksalny i dość smutny kontekst, ponieważ Emma przeszła już raz aborcję i strasznie to przeżywała. Należała jednak do ludzi, którzy zawsze noszą na twarzy radosny uśmiech, dlatego Laura tak ją lubiła. Najczęściej u Jessopów plotkowały i odrabiały wspólnie zadania domowe. Czasem zbierały się na odwagę i zaglądały do szafy Kim, co samo w sobie stanowiło dobrą lekcję życia. Jednak nie czuły się dobrze w ich sypialni, ponieważ, zapewne w przeciwieństwie do innych par małżeńskich, nader łatwo można było sobie wyobrazić, jak Kim i pan Jessop uprawiają seks - co było bardzo krępujące.

Ojcu powiedziała, że jest dziewicą, bo wiedziała, że to właśnie chciałyby usłyszeć, a w tym wypadku kłamstwo nikomu nie szkodziło, przeciwnie, było nawet uczynkiem miłosiernym. Ponadto niewiele mijala się z prawdą, bo spała jak dotąd tylko z czterema chłopakami, a jednym z nich był Josh, który właściwie się nie liczył, bo razem chodzili do szkoły podstawowej, a poznali się jeszcze w piaskownicy i oboje doszli do wniosku, że to doskonały pomysł, by wspólnie mieć za sobą ten cały „pierwszy raz”, bo tak będzie bezpieczniej i sympatyczniej, nawet jeśli dość dziwnie - po prostu lepiej. Lepiej na pewno niż w wypadku Emmy, która miała swój „pierwszy raz” z dużo starszym, żonatym mężczyzną (w jego samochodzie, Boże jedyny!), albo niż w wypadku biednej Christiny, którą zgwałcił na imprezie jakiś dureń, podawszy jej wcześniej w drinku usypiające proszki.

Zrobili to w pokoju Josha, do którego rodzice nigdy nie wchodzili. Ojciec i matka Josha należeli do osób liberalnych i luzacko nastawionych do życia. Dawali Joshowi wolną rękę już od dwunastego roku życia (to doprawdy niesamowite, że Josh wyrósł na całkiem przyzwoitego chłopaka). Rodzice

siedzieli na dole przed telewizorem i oglądali film przyrodniczy o wielorybach.

Początkowo wszystko wydawało się śmieszne i nie mogli przestać chichotać, potem zrobiło się poważnie, bo niczym studenci anatomii zgłębiali tajniki swoich ciał, a potem zaczęli prowadzić grę wstępną według skrętnie wyczytanych zasad podręcznikowych, ale raptem się zatracili, nie wiadomo nawet, kiedy znaleźli się na podłodze, jak pieski, i całe szczęście, że telewizor był nastawiony głośno, bo Laura słyszała własne krzyki, jakby docierały z daleka, od obcej osoby, a potem, kiedy leżeli na podłodze, zszokowani falą, jaka nimi zawładnęła, słyszeli tylko śpiew wielorybów i równocześnie zaczęli się śmiać, bo dotarło do nich, że rodzice mimo wszystko musieli ich słyszeć, ale nawet jeśli, to nigdy nie wspomnieli o tym słowem. „Trochę nas to zaskoczyło, prawda, panno Wyre?” - zauważył Josh, a ona zapytała: „Można prosić o jeszcze?” - na co Josh odparł: „Boże, kobieto, daj mi choć minutę”.

Kiedy ojciec po nią przyjechał, zapytał zaraz: „Dobrze się czujesz? Jesteś rozpalona”, a Laura odpowiedziała: „Niewykluczone, że coś złapałam”. W domu Theo zrobił jej herbatę z miodem i cytryną, a ona usiadła na łóżku, w piżamie z Puchatkiem, objęła Thea, przytuliła się do niego i powiedziała: „Dziękuję ci, Najlepszy na Świecie Tato”, z nadzieją, że nie wyczuje zapachu nasienia Josha. Mieli wtedy czternaście lat, zrobili to jeszcze kilka razy i Laura wiedziała, że Josh się w niej zakochał, ale czuła wdzięczność, że był na tyle delikatny, by nigdy jej o tym nie powiedzieć.

Parokrotnie odwiedziła Jessopów towarzysko, kiedy nie opiekowała się Niną. Z upływem czasu bardzo polubiła Kim. Iako jej przyjaciółka bardziej czuła się kobietą, a mniej

dziewczyną. Któregoś dnia po kolacji, na którą był (ciężki) stek i frytki, Kim wyskubała Laurze brwi i zrobiła manicure. Najczęściej Laura odwiedzała ją w sobotnie popołudnia, kiedy Staną nie było w domu. Siadały w ogrodzie, rozmawiały, a mała Nina raczkowała wokół nich na trawniku. W soboty Stan grał w drużynie amatorskiej w piłkę nożną. „Chłopom trzeba dać się wyhasać”, mówiła Kim, jakby instruowała, co robić, gdy ma się w domu nieznośnego pieska. Właśnie wtedy po raz pierwszy zetknęła się ze Stuartem Lappinem. Kosił trawę po drugiej stronie płotu. Kiedy skończył, wychylił głowę zza ogrodzenia i zaproponował, że po sąsiedzku może też skosić trawę u Jessopów, a Kim, nie przerywając piłowania paznokci, odpowiedziała głośno: „Nie, Stuart. Dziękuję”, nie podnosząc w jego stronę oczu. Taka odpowiedź wydała się Laurze trochę niegrzeczna i na pocieszenie posłała Stuartowi nieśmiały uśmiech.

„Nie znoszę go”, syknęła Kim, kiedy sąsiad zniknął. „Ciągle się przymila, aż ciarki chodzą po plecach, dawno skończył trzydzieści lat, a mieszka z mamusią, żalosne”, a Laura zauważyła: „Wygląda na nieszkodliwego”, na co Kim odpowiedziała: „Takich najbardziej się wystrzegaj”.

Ostatni raz odwiedziła ich dom krótko przed egzaminem końcowym. Pan Jessop zaproponował jej powtórzenie materiału u niego w domu. Laura nie dostrzegła w tym nic niestosownego, bo nieraz pomagał w ten sposób innym uczniom. Była rozczarowana, że nie ma Kim. „Och, zabrała Ninę do swojej mamy”, mruknął od niechcienia, jakby nie obchodziło go, co robi jego żona. Na stole w jadalni leżało parę podręczników i blok papieru, ale Laura nie zdążyła nawet usiąść, gdy pan Jessop zaczął się do niej dobierać. Zaszedł ją od tyłu, chwycił w pasie i próbował całować po karku, a z jego ust za-

latywało alkoholem, co było obrzydliwe. Laura wpadła w furję, co on sobie myśli, to nieetyczne! Dźgnęła go łokciem w brzuch i krzyknęła, żeby ją natychmiast puścił, ale pan Jessop nie zwalniał uścisku i powiedział: „Och, Lauro, daj spokój, robiłaś to z połową chłopaków z klasy, teraz przyszedł czas na prawdziwego mężczyznę, sama wiesz, że chcesz”. Kanalia! Pieprzona kanalia! Spróbowała nastąpić obcasem na jego stopę, jak uczono ją na zajęciach z samoobrony, ale nie było to łatwe, ponieważ wciąż mocno ją trzymał i przyciskał do siebie. Kiedy dotarło do niej, że mu się nie wyrwie, ogarnął ją paniczny strach. Jessop obrócił ją do siebie, by pocałować ją w usta, i jednocześnie sięgnął do jej krocza, całe szczęście, że miała na sobie dzinsy. Ten ruch jednak osłabił jego żelazny uścisk. Laura zdołała odchylić się na tyle, by wpakować mu palec w oko. Potem uciekła.

Powtarzali z Joshem materiał na dziedzińcu kościoła Little St Mary. Było gorąco i zaczęli trochę figlować. Mało kto zaglądał na kościelny dziedziniec, więc czuli się ośmieleni. Jednak naraz usłyszeli za sobą gwałtowny szmer liści, jakby jakieś zwierzę torowało sobie drogę przez bujną roślinność. I potem nagle zza nagrobka wychynęła ku nim twarz mężczyzny. Laura pisnęła przeraźliwie, bardzo dziewczęco, a Josh zachował się mężnie, choć dzinsy miał opuszczone do kostek, i krzyknął do faceta, żeby spadał, a wtedy oboje zanieśli się śmiechem i padli na ziemię. Laurze wydawało się przez chwilę, że mężczyzna wyglądał znajomo. Dopiero parę tygodni później, kiedy zamówił u niej w barze małe piwo z lemoniadą, uświadomiła sobie, że był to sąsiad Jessopów, ten od kosiarki. Nie pamiętała jednak jego imienia. Na szczęście wydawało się, że w ogóle jej nie poznał.

W tym czasie wszyscy gdzieś zniknęli: Christina wyjecha-

ła na rok uczyć w szkole w Tanzanii, Ayshea całe lato spędzała we Francji, Joanna i Pansy objeżdżały Europę pociągiem, Emma była w Peru (Emma, Boże kochany!), a Josh pracował jako opiekun na jakimś obozie gdzieś w Michigan. Czowała się, jakby została sama. Umówili się na spotkanie przed pawilonem Hobbsa w Parker's Piece po dziesięciu latach, ale czy to w ogóle realne? Pan Jessop próbował jeszcze zorganizować „pożegnalne party” swojej klasy, ale jakoś nikt nie miał czasu. Zresztą Laura i tak by nie poszła. Od czasu, gdy ją napastował, nie widziała się z nim ani razu. Tata, człowiek anielskiego serca, pytał ją: „Nie masz ochoty wybrać się w jakąś podróż, Lauro?”, chociaż sama myślała, że miałyby mieszkać gdzieś za granicą, skąd nie mógłby co wieczór przywozić jej do domu samochodem, była dla niego piekielną męką.

Następnym razem wpadła na niego, kiedy wychodziła z księgarni Heffers. Odruchowo powiedziała „Dzień dobry”, bardzo obojętnie, żeby nie wyglądało tak, jakby miała ochotę wdać się z nim w dłuższą konwersację. Dzień później na wycieraczce przed jej domem pojawił się ten pluszowy miś, nawet nie skojarzyła tych dwóch wydarzeń, w każdym razie nie świadomie. Brzydki różowy miś z głupio wybałuszonymi oczami, z których źle patrzyło, zupełnie inny od tych słodkich tradycyjnych misiów, które Laura kolekcjonowała i układała na swoim łóżku. Miś na wycieraczce należał do tego rodzaju rzeczy, które ktoś pozbawiony gustu kupuje komuś, o kim wie tylko tyle, że je zbiera.

Na jeden dzień wyjechała do Londynu (powoli zaczynała nienawidzić przyjaciół i znajomych za to, że na całe lato wyjechali z Cambridge). Wpadła do British Museum, kupiła sobie parę ciuszków, jednak chodzenie samej po Londynie nie było zabawne. Nie widziała, jak wsiadał do jej pociągu na

Kings Cross, ale dziesięć minut po tym, jak pociąg ruszył ze stacji, zobaczyła, że wchodzi do jej wagonu, rozglądając się po pasażerach - była pewna, że to jej szuka, chociaż kiedy ją spostrzegł, udał zaskoczenie. Na całe szczęście, obok niej nie było wolnych miejsc. Kiedy jednak, dojeżdżając do Cambridge, ustawiła się przy wyjściu, on przeszedł przez cały wagon i stanął tuż za nią. I po raz pierwszy przemówił: „Pani wysiada?“, co było cholernie głupkowskim pytaniem, bo przecież było widać, że wysiada, ale odpowiedziała uprzejmie: „Tak”. Potem, kiedy znaleźli się na peronie, podszedł i zapytał: „Czy mogę panią podwieźć do domu? Na parkingu mam samochód”, a ona odpowiedziała: „Nie, dziękuję, czeka na mnie *ojciec*” i szybko się oddaliła. Wtedy przypomniała sobie, że ma na imię Stuart. Kim miała rację, facet był żaloszny. Nie mogła już odwiedzać Kim, bo to oznaczałoby spotkanie z panem Jessopem. Dzwoniła do niej kilka razy, ale zawsze odbierał pan Jessop, a ona nic nie mówiła, tylko odkładała słuchawkę. Ostatnim razem wściekł się i krzyknął do telefonu: „Kim, to ty!? Gdzie, kurwa, jesteś?!”, doszła więc do wniosku, że między Jessopami nie dzieje się najlepiej.

Przyszedł w ostatni wieczór jej pracy w pubie, usiadł w kącie i przez całą godzinę sączył małą szklankę piwa z lemoniadą. Kiedy w końcu zebrał się wyjścia, podszedł do niej i powiedział: „Nie wiem, dlaczego mnie ignorujesz”, a ona zdziwiona odparła: „Nie wiem, o czym pan mówi”, a on na to: „Dobrze wiesz, że łączy nas coś wielkiego, nie możesz zaprzeczyć”, a ona wpadła we wściekłość (na miłość boską, ten facet to kompletny świr!), bo, owszem, było jej go trochę żal, ale teraz nieproszony włazi z butami w jej prywatne życie - jak pan Jessop - powiedziała więc: „Proszę pana, proszę umie zostawić w spokoju, mój ojciec jest prawnikiem i jeśli

nie przestanie mnie pan nachodzić, będzie pan miał poważne kłopoty", ale on odparł: „Twój ojciec nie jest w stanie zabić naszej miłości", po czym wyniósł się chyłkiem z baru, a szef podszedł do Laury i zapytał: „Wszystko w porządku?" a ona odpowiedziała: „Tak, wypił jednego za dużo i tyle". Oczywiście nigdy nie powiedziała o nim ojcu, bo zamartwiłby się na śmierć. Zresztą Stuart Lappin był naprawdę nieszkodliwy. Kompletny świr, ale nieszkodliwy.

Dobłą stroną pracy w barze było to, że Laura miała wolny cały dzień, bo pracowała wieczorami. Z kolei praca w biurze przez całe lato to prawdziwa mordęga. Za to tata był szczęśliwy, choć denerwował się, że pierwszego dnia w pracy musi jechać w jakiejś sprawie do Peterborough, zamiast być z nią.

Wymusiła na nim obietnicę, że do stacji pójdzie pieszo, ponieważ po wizycie u lekarza zaczął (podobno) nową kurację odchudzającą.

„Nie zapomnij inhalatora, tato", przypomniała mu, kiedy wychodził z domu, a on poklepał się znacząco po kieszeni, upewniając ją, że go ma. „Cheryl ci wszystko pokaże. Wrócę przed lunchem, może wyjdziemy coś zjeść?" - zapytał, a ona odpowiedziała: „Bardzo dobry pomysł, tato". Potem odprowadziła go do drzwi i pocałowała w policzek. „Kocham cię, tato", powiedziała na pożegnanie, a on odparł: „Ja ciebie też, moje słonko". Długo patrzyła za nim, jak idzie ulicą, bo ogarnęło ją jakieś niepokojące uczucie, że już go nie zobaczy, ale kiedy doszedł do rogu i odwrócił się w jej kierunku, radośnie pomachała do niego ręką, bo nie chciała, żeby wiedział, że się o niego martwi, bo przecież tata martwił się za hich oboje.

Patrzyła za nim, aż znikł za rogiem. Czowała, jak jej serce napęlnia się niepokojem, i pomyślała, czy kiedykolwiek jesz-

cze spotka kogoś, kogo kochałaby tak bardzo jak swojego ojca. Potem posprzątała ze stołu po śniadaniu, włożyła brudne naczynia do zmywarki i zrobiła szybko porządek, żeby było czysto i ładnie, kiedy wieczorem wrócą razem do domu.

Amelia

Koniec z dekarzami, koniec z różnymi Craigami, Garymi, Darrylami, koniec z Philipem i jego wściekle ujadającym pekińczykiem. Koniec z Oksfordem. Koniec ze starą Amelią. Czas na nowe życie, na nową osobę.

Spodziewała się dzikiej orgii, ale to było zwykłe przyjęcie z grillem, jak zapowiadali („Och, przyjdź koniecznie!"), a głównym tematem rozmów był kłopot ze znalezieniem uczciwego hydraulika i metody zwalczania ślimaków obzerających ostróżki. („Miedziana taśma jest dobra", rzuciła Amelia, wzbudzając powszechne zainteresowanie: „Naprawdę? Niesamowite!") Normalne przyjęcie, z tą tylko różnicą, że wszyscy byli nadzy.

Kiedy przyjechała nad rzekę (dość przerażona i czując, że ma na sobie za dużo ciuchów), Cooper podszedł do niej wolnym krokiem (przedstawił się: „Cooper Lock, swego czasu profesor historii w Cambridge, dziś nicpoń jakich mało"), jądra kołysały mu się w tę i we w tę, i wyciągnął rękę: „Amelio, cudownie, że przyszłaś", a Jean („Jean Stanton, prawniczka, alpinistka, sekretarz lokalnej komórki Partii Konserwatywnej) podbiegła do niej w podskokach, uśmiechnięta, jej

małe piersi falowały, i powiedziała: „Świetnie, że jesteś. Słuchajcie, to jest Amelia, bardzo interesująca osoba”.

Potem kąpała się z nimi nago w rzece i przypomniała sobie, jak pływała w dzieciństwie, i było zupełnie tak samo, tyle tylko, że między jej ciałem a wodą nie było kostiumu i czuła, jak wodorosty oplatają jej nogi niczym delikatne, mokre wstęgi. Potem jedli kielbaski i steki z grilla i pili południowoafrykańskie chardonnay, a jeszcze później, kiedy już zapadł zmierzch, Amelia leżała obok Jean w jej masywnym sosnowym dwuosobowym łożu, na pomalowanym na biało poddaszu, przy zapachowych świecach dobrej marki Diptyque, koszt jednej wystarczyłby na całoroczne utrzymanie całej rodziny w Bangladeszu. Ale Amelii udało się nie przejmować tym faktem, nie przejęła się także tym, że Jean jest sekretarzem lokalnego oddziału Partii Konserwatywnej (choć oczywiście polityka nie mogła nie znaleźć się wśród tematów ich rozmów), i Amelia nie przejmowała się już tym wszystkim ani wieloma innymi rzeczami, bo chociaż Jean zbliżała się do pięćdziesiątki, to miała wciąż jędrne, gibkie i opalone na brązowo ciało, które muskało delikatnie jej blade i wiotkie ciało (czuła się jak zamknięty w skorupie stwór morski), a kiedy Jean powiedziała: „Jesteś smakowita jak wielki, soczysty arbuz”, stara Amelia z wyższością prychnęłaby tylko drwiąco, ale nowa Amelia pisnęła przejmująco, jak spłoszony ptak, bo Jean lizała jej wargi sromowe jak kot wylizuje mleko z miski („Och, mów na nią cipa, Amelio, nie wstydz się”) i obdarowała ją właśnie pierwszym w życiu orgazmem.

To śmieszne, bo wcześniej rzeczywiście chciała umrzeć, a teraz rzeczywiście chciała żyć. Po prostu. I naprawdę nie miała już o co prosić. Ma ogromny ogród, którym musi

się zająć, ma kotów tyle, że więcej nie mogłaby wykarmić, i ma za sobą pierwszy orgazm. Czyżby istotnie była lesbijką? Wciąż pragnęła Jacksona. „W dzisiejszych czasach każdy jest bi”, mówiła nonszalancko Jean. Tak bardzo chciałyby choć raz zaszokować Julię. („Jean, to Julia, moja siostra. Julio, to Jean, moja kochanka. Henry? Och, wiesz, w dzisiejszych czasach każdy jest bi, Julio, nie wiesz o tym?” Ha!) Jednak dla Julii musi być miłsza, to w końcu jej siostra.

Nie były pewne, co zrobić z Ohwią. Nie chciały kremować jej szczątków, stracić tej resztki, która im pozostała. Z drugiej strony tyle czasu przeleżała zagrzebana samotnie w ciemnościach, że wydawało się niewłaściwe, by chować ją z powrotem w ziemi. Gdyby nie kłóciło się to z normami społecznymi (zapewne także z prawem), to Amelia wystawiłaby jej kości na widoku, w czymś w rodzaju relikwiarza czy małej świątyni. Koniec końców pochowały ją w białej trumience w grobie rodzinnym, koło Annabelle, dziecka „po namyśle”, na trumnie Rosemary. Amelia i Julia chlipały przez cały pogrzeb. Fotoreporterzy lokalnej prasy usiłowali pstryknąć parę fotek („Zaginione przed laty dziecko wreszcie spoczywa w pokoju”), jednak ciemnoskóry, wielki jak góra przyjaciel Jacksona powiedział im, co o tym myśli. W Amelii Ho-well budził jednocześnie strach i pożądanie (potwierdzając tym samym, jak myślała, jej biseksualną naturę) i był, rzecz jasna, o wiele bardziej politycznie poprawny od Jean. Jackson - zupełny dziwak - pojawił się na cmentarzu w towarzystwie kanarkowo-włosej bezdomnej dziewczyny, która nie była już wcale bezdomna, a włosy miała różowe. „Dlaczego?”, zapytała Amelia, a Jackson odpowiedział: „Dlaczego nie?” a Amelia na to: „Dlatego...” ale w tym momencie podeszła Julia i odciągnęła siostrę.

Czy po odnalezieniu Olivii czuła się lepiej? Teraz, kiedy wiedziała, że Olivia wyszła z namiotu i zbłądziła? Wyszła, gdy była pod jej opieką? Amelia zasnęła, a jej siostrzyczka wyszła, zbłądziła i umarła? Czy to nie jej wina? Po pogrzebie podszedł do niej Jackson. „Muszę niestety złamać tajemnicę spowiedzi”, powiedział, jakby był księdzem. Byłby bardzo dobrym księdzem. Jackson jako ksiądz, co za nęcący obrazek, w bardzo przewrotnym, perwersyjnym sensie. „Powiem ci, co się stało”, oznajmił, „I będziesz musiała sama zdecydować, co z tym dalej zrobić”. Nie powiedział Julii, ale powiedział j ej. Wreszcie ma swój sekret.

Olivia zatem będzie miała grób, a ona będzie miała ogród. Amelia zapełni ogród Binky Rain różami, Duchesse d'Angoulême, Félicité Parmentiers, Eglantyne i Gertrudę Je-kyll, i bladymi rozetkami Boule de Neige, i delikatną Perditą, wszystko dla ich utraconej dziewczynki.

Historia nr 1 1970

Rodzinny grób

Było gorąco. Za gorąco, żeby spać. Do pokoju przez cienkie, letnie zasłony wpadało światło ulicznej latarni niczym dodatkowe, mdlawe słońce. Wciąż bolała ją głowa, jakby opinała ją ciasno ciężka obręcz. Może tak czuje się koronę cierniową? Na pewno Bóg każe jej cierpieć nie bez powodu. Czy to kara? Zrobiła coś złego? Coś gorszego niż zwykle? Co prawda uderzyła dziś Julię, ale czy to pierwszy raz? Wczoraj do łóżka Amelii włożyła pokrzywę, ale Amelia zadziera nosa i zasłużyła sobie na to. Aha, była dziś okropna dla mamy, ale mama nie pozostała jej dłużna.

Z szafki w łazience Sylvia wzięła opakowanie aspiryny i wydobyła z niej trzy tabletki. W szafce zawsze było dużo różnych opakowań, butelek i fiolek z lekarstwami; niektóre zdawały się tu leżeć od początku świata. Mama lubiła lekarstwa bardziej niż swoje dzieci.

Wskazówki na dużym, podświetlanym budziku przy łóżku mamy wskazywały drugą w nocy. Sylvia zdjęła z półki nad łóżkiem latarkę Ever Ready. Ojciec chrapał jak wieprz. Właściwie był świnia, wielką matematyczną świnia. Miał na sobie pidżamę w pasy, a mama wełnianą koszulę nocną

z falbanką wokół szyi. Rodzice leżeli odkryci, z rozrzuconymi w różne strony nogami i rękami, jakby spadli na łóżko z nieba. Gdyby była włamywaczem i mordercą, mogłaby bez trudu ich zabić, w ich własnym łóżku, i nawet nie zauważyliby, co się stało - mogłaby ich zakłuć albo zastrzelić, albo posiekać na kawałki siekierą i nic nie mogliby zrobić.

Sylvia lubiła włóczyć się nocą po domu, to był jej sekret, tajemne życie, o którym nikt nie wiedział. To czyniło ją wszechwładną, pozwalało poznać sekrety innych. Weszła do pokoju Julii. To wręcz niemożliwe, by zakłócić jej sen. Julię można zepchnąć na podłogę i skakać po niej, a ona się nie zbudzi. Można położyć jej na twarzy poduszkę i spokojnie udusić i nie będzie miała pojęcia, co się dzieje. Była mokra od potu i taka gorąca, że nie można było zbliżyć do niej dłoni, i słychać było, jak jej głęboki, głośny oddech wydobywa się ciężko z płuc.

Do Sylvii dotarło raptem, że łóżko Amelii jest puste. Gdzie ona jest? Czy Amelia także ma tajemne nocne życie? Nie, nie Amelia. Jej brakowało inicjatywy (nowe słowo Sylvii), by mieć w życiu tajemnice. Czyżby spała z Olivią? Sylvia pośpieszyła do pokoju najmłodszej siostry i ze zdumieniem odkryła, że łóżko Olivii także jest puste. Połowa sióstr zniknęła. Chyba nie porwali ich kosmici? Jeżeli kosmici istnieją, a Sylvia podejrzewała, że istnieją - Bóg z pewnością ich stworzył, ponieważ Bóg stworzył przecież wszystko, czyż nie? Może jednak nie stworzył wszystkiego, lecz tylko materię naszej Galaktyki? Jeśli istnieją inne światy, to zapewne stworzyli je inni bogowie, „tamtejsi”, z kosmosu. Czy to nie bluźnierstwo?

Nie było niestety nikogo, z kim mogłaby omówić te zawikłane kwestie teologiczne. Nie wolno jej było chodzić do kościoła. Tata nie wierzył w Boga (ani w kosmitów), a ka-

techeta w szkole powiedział jej, że powinna „dać spokój i przestać tyle myśleć”. Wyobraźmy sobie Jezusa, który mówi: „Daj spokój, nie myśl tyle nade mną”. Bóg bez wątpienia posłałby katechetę wprost do piekła. Życie jest takie trudne, gdy wychowuje cię zdeklarowany ateista, który jest matematyczną świnią, i matka, której wszystko jest obojętne, a do ciebie przemawia Bóg. Nie wiedziała tylu rzeczy - ale weźmy Joannę d'Arc, francuska wieśniaczka, zupełny nieuk, ale udało jej się, tymczasem Sylvia nie była ani nieukiem, ani wieśniaczką. Kiedy Bóg przemówił do Sylvii, zaczęła czytać Biblię, wieczorem i nocą, pod kołdrą, oświetlając kartki swoją niezastąpioną latarką Ever Ready. Biblia w żaden sposób nie odnosiła się bezpośrednio do życia Sylvii. To czyniło ją arcyciekawą.

Sylvia usiłowała przypomnieć sobie, o której wczoraj kładły się spać, ale pamiętała ten wieczór jak przez mgłę. Zrobiło się jej niedobrze od upału i słońca i poszła spać wcześniej od innych. Czy kiedy odwróciła się do ściany i zasnęła, mama pozwoliła Amelii i Olivii spać w namiocie? Naprawdę? Przez całe lato (właściwie nie wiadomo z jakiego powodu) niewzruszenie zabraniała im spać w namiocie poza domem.

Sylvia zeszła wolno na dół, omijając dwa stopnie, w których głośno skrzypiały deski. Tylne drzwi do domu nie były zamknięte na klucz, każdy mógł bez przeszkód wejść do środka i popełnić wspomniane już wcześniej morderstwo na całej słodko śpiącej rodzinie. To jasne, że drzwi nie były zamknięte, bo Amelia i Olivia spały w ogrodzie. Niebawem zacznie świtać, Sylvia słyszała już pierwsze trele jakiegoś samotnego ptaszka. Trawa w ogródku była mokra. Skąd tyle rosy po tak suchym dniu? Musi coś poczytać na ten temat. Zaczęła iść przez trawnik, ostrożnie i wolno stawiając kroki, na wypadek gdyby nastąpiła raptem na jakieś pełzające,

ślimakowate ciało innego nocnego stworzenia, także wiodącego tajemny żywot.

Podniosła połą wejścia do namiotu i wsunęła głowę do środka. Tak, są obie! Co za bezczelność! Z jakiej racji Amelii przypadła nagroda spania w namiocie, i to nie tylko spania w namiocie, ale spania w nim z Olivią i Rascalem? To niesprawiedliwe. Sylvia jest najstarsza i to ona powinna spać w namiocie. Rascal wy dostał się spod koca Olivii, podszedł do Sylvii, merdając ogonkiem, i liznął ją po nosie.

Leżały w bezruchu na plecach, martwe dla świata, niczym dwa trupy. Sylvia potrząsnęła stopą Amelii, ale ta w ogóle nie zareagowała. Wcisnęła się do namiotu między siostry. W środku było potwornie parno i gorąco. Dość gorąco, by udusić się na śmierć. Jakie miejsce jest najbardziej gorące na ziemi? Pustynia Atakama? Dolina Śmierci w Ameryce? Jakieś miejsce w Mongolii? Ale one przecież nie są martwe, prawda? Uszczypnęła Amelię w nos, a Amelia mruknęła coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Powinna zabrać Oliwię z tego ukropu. Czarna dziura Kalkuty, ludzie, którzy tam umierali, wcale nie umierali z braku powietrza, lecz po prostu od upału - powszechny błąd. Błędne myślenie. Błędna koncepcja. Koncepcja, słowo doskonałe. Antykoncepcja. Dziecko „po namyśle” - to jest dopiero antykoncepcja, a raczej jej brak. Ha! Doprawdy, mama powinna przestać rodzić, to jest po prostu nikczemne. Może mama jest w sekrecie katoliczką? To byłoby cudowne, mogłyby prowadzić długie, konspiracyjne rozmowy na temat tajemnicy Pana, ceremonii, Marii Dziewicy. Ciekawe, ani Maria Dziewica, ani Jezus Chrystus nie przemówili do Sylvii. Co prawda nie sądziła, by Jezus Chrystus rzeczywiście przemawiał do ludzi. Joanna d'Arc to co innego, Joanna d'Arc to potworna gaduła.

Sylvia potarła ucho Olivii. Rosemary opowiadała kiedyś,

że w ten sposób wybudzano ze snu pacjentów w szpitalu, gdy pracowała jako pielęgniarka. Olivia poruszyła się, mruknęła coś i bezradnie znowu zapadła w sen. Sylvia szepnęła jej imię i Olivia z wysiłkiem podniosła powieki. Wciąż była oszołomiona snem, ale kiedy Sylvia powiedziała szeptem: „Wstań i chodź ze mną”, Olivia, na czworakach, posłusznie wyszła z namiotu za Sylvia, trzymając w dłoni różowe paputki z pyszczkiem królika. „Zostaw kaptcie”, powiedziała Sylvia, „Zobaczysz, jak miło poczuć pod stopami mokrą trawę”, ale Olivia potrząsnęła głową i włożyła kaptcie na nogi. „Musisz się nauczyć buntować”, mówiła dalej Sylvia. „Nie zawsze trzeba robić to, co każe mama albo tata, zwłaszcza tata”, a po chwili dodała: „Z jednym wyjątkiem. Mnie powinnaś słuchać”. Chciała jeszcze dodać: „Bo Bóg do mnie przemówił”, ale Olivia nie rozumiałaby, o co chodzi. Nikt by nie rozumiał. Oczywiście poza Bogiem. I poza Joanną d'Arc.

Pierwszy raz Bóg przemówił do niej, kiedy siedziała przy samej bandzie na meczu hokeja. Sylvia, pomysłowa pra-woskrzydłowa, została odesłana na ławkę kar za uderzenie przeciwniczki kijem w okolice kostki (chodzi przecież o to, żeby wygrać, prawda?). Siedziała posepna i gryzła z wściekłości wargi, gdy raptem usłyszała blisko siebie głos: „Sylvio”. Ale kiedy się rozejrzała, nikogo w pobliżu nie zobaczyła, poza Sandrą Lees, dziewczyną, która mówiła z piszczącym akcentem Cambridge, więc jeżeli Sandra Lees nie była brzu-chomówcą lub nie zamieniła się w faceta, to nie mogła to być ona. Sylvia doszła do wniosku, że musiało jej się przesłyszeć, ale ten sam głos znowu, bardzo wyraźnie, wypowiedział jej imię - głęboki, słodki, mocny głos, głos, który skąpał ją w kojącym ciepłe, i tym razem Sylvia bardzo cicho, z powodu Sandry Lees, odpowiedziała: „Słucham?”, a głos powiedział: „Zostałaś wybrana”, a Sylvia zapytała: „Czy jesteś Bogiem?”

i usłyszała odpowiedź: „Tak”. Trudno chyba otrzymać bardziej wyrazisty przekaz, prawda? Czasem czuła się tak przemieniona przez święte światło, że po prostu mdlała. Uwielbiała tę chwilę, uwielbiała, gdy traciła panowanie nad wszystkim, nad swoim ciałem i umysłem. Raz (może więcej niż raz) zemdląca w gabinecie taty - zrobiło się jej czarno przed oczami i upadła na podłogę niczym umęczona święta. Tato chlusnął jej w twarz szklanką wody i powiedział, żeby się opamiętała.

„Chodź, chodź, pobawimy się”, szepnęła Sylvia do Olivii, która szła za nią jak lunaticzka i kwiliła płaczliwie: „Nie, nie”, i w niczym nie przypominała zwykłej, uśmiechniętej i zgodnej Olivii. „Jest noc...”, protestowała. „I co z tego?” odparła Sylvia i chwyciła ją mocno za rękę. Kiedy były na środku trawnika, Olivia nagle krzyknęła: „Niebieska Myszka!” a Sylvia powiedziała niecierpliwie: „No, idź po nią, tylko wracaj szybko”. Olivia wpełzła na czworakach do namiotu, a po chwili wygramoliła się z niego, trzymając pod pachą maskotkę. Za nią wybiegł Rascal, płacząc się wesoło wokół jej nóżek.

Joanna d'Arc przemówiła do niej pierwszy raz, kiedy Sylvia siedziała na grubym konarze buku w ogrodzie Binky Rain. Joanna d'Arc mówiła jej wprost do ucha, dokładnie i wyraźnie, jakby siedziała obok niej. Śmieszne było to, że po każdej takiej rozmowie Sylvia nie potrafiła powtórzyć, co Joanna d'Arc jej mówiła, i miała nawet wrażenie, że w ogóle do niej nie mówiła lecz śpiewała, jak jakieś ptaszysko siedzące wysoko na drzewie.

Bóg ją wybrał, zauważył ją, ale dlaczego? Miała prowadzić wielką armię do bitwy, a potem spłonąć na stosie w Płomieniach oczyszczenia, jak Joanna d'Arc? By zostać

męczennicą? Świętą? Sacra? Od łacińskiego *sacer*, co znaczy „święty”, *ifacere*, co znaczy „czynić”. Uczyniona świętą. Była niezwykła. Była święta. Była wyjątkowa. Wiedziała oczywiście, że nikt w to nie uwierzy, ale powiedziała o tym Amelii, a Amelia rzuciła tylko: „Głupia jesteś”. Amelia nie miała krzty wyobraźni, była taka nudna. Próbowwała powiedzieć mamie, która akurat piekła placek i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wirujące łopatki robota kuchennego marki Kenwood. Sylvia powiedziała: „Przemówił do mnie Bóg”, a mama odparła: „To dobrze, dziecko”, a Sylvia poczekała chwilę i powiedziała: „Julię pożarł tygrys!” a mama zapytała tylko: „Naprawdę?”, tym samym sennym, nieobecnym głosem, i Sylvia wyszła z kuchni.

Ale Bóg nie przestawał do niej przemawiać. Przemawiał do niej zza chmur i zza krzewów, przemawiał w chwili, gdy zapadała wieczorem w sen, i przemawiał nad ranem, gdy się budziła. Przemawiał do niej w autobusie, podczas kąpieli (przed Bogiem nie musiała się wstydzic nagości), przemawiał, kiedy siedziała w klasie i kiedy siedziała przy stole w kuchni. Przemawiał do niej za każdym razem, kiedy wchodziła do gabinetu Victora. To tam, kiedy cierpiała, powiedział do niej: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”. Bo przecież wciąż była dzieckiem.

„Nie!” zaprotestowała rozbudzona już Olivia i zaczęła wrywać się Sylvii. „Cii... wszystko w porządku”, przekonywała ją Sylvia, pchając drewnianą furtkę do ogrodu Bin-ky Rain. „Nieeee...”, jęczała Olivia, zapierając się nogami, ale w porównaniu z Sylwią siły w niej było tyle co u małego kotka. „Wiedźma”, szepnęła z przestachem Olivia. „Nie bądź głupiutka”, mówiła Sylvia, „Pani Rain wcale nie jest wiedźmą, to tylko taka nasza zabawa”. Sylvia nie była pewna, czy

sama wierzy w to, co mówi. Ale czy Bóg stworzyłby świat, w którym jest miejsce dla wiedźm? Co w takim razie z duchami? Czy w Biblii występują jakieś duchy? Musiała teraz z całych sił ciągnąć Ołivię. Chciała zabrać ją na konar buku, chciała ją pokazać Joannie d'Arc, pokazać jej, jaką Olivia jest czystą i niewinną istotką, jak mały Jezusek. Nie wiedziała co prawda, jak wciągnie siostrę na drzewo, a wydawało się raczej niemożliwe, by weszła tam sama. Olivia zaczęła płakać. Sylvia zaczęła się denerwować. Stara wiedźma może je usłyszeć. „Uspokój się, Olivia!” - powiedziała ostro stanowczym głosem i mocniej pociągnęła siostrzyczkę w kierunku drzewa. Nie miała zamiaru jej skrzywdzić, naprawdę nie miała zamiaru zrobić jej nic złego, ale Olivia zaczęła głośno płakać i robić potworny hałas (co było do niej niepodobne, absolutnie), a Sylvia syknęła: „Przestań!” ale Olivia nie chciała przestać, więc Sylvia zatkała jej usta ręką. Potem trzymała dłoń na jej ustach najdłużej jak mogła, aż w końcu Olivia ucichła.

Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie. Ofiara. Sylvia myślała, że zostanie świętą męczennicą, ponieważ wybrał ją Bóg. Ale okazało się, że to Olivia jest przeznaczona Bogu jako ofiara. Jak Izaak, tyle że, rzecz jasna, Izaak nie stracił życia, prawda? Olivia była teraz święta. Czysta i święta. Czysta, święta i bezpieczna. Nikt już jej nie tknie. Nie będzie musiała przychodzić do gabinetu ojca, nie będzie musiała dławić się jego smrodliwym członkiem, nie poczuje na ciele jego wielkich łap, które by ją kalowały i bezcześciły. Sylvia spojrzała na małe ciało leżące w wysokiej trawie i nie wiedziała, co dalej począć. Jediną osobą, jaka jej przychodziła do głowy, był tata. Tak. Pójdzie po tatę. Tata będzie wiedział, co zrobić.

I Julia powiedziała

Au revoir tristesse. Jackson jechał z opuszczonym dachem. Z głośników stereo płynęła głośno muzyka Dixie Chicks. Odebrał je z lotniska w Montpellier. Obie ubrane były stosownie do kabrioletu; na głowach szyfonowe chusty, na nosach ciemne okulary. Julia wyglądała jak gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych. Amelia nie. Julia mówiła mu wcześniej przez telefon, że Amelia jest ostatnio w lepszym nastroju. Jeśli jednak była to prawda, to najwyraźniej Amelia postanowiła zachować ją tylko dla siebie, bo siedziała z tyłu jego nowo kupionego bmw M3, zręcząc i marudząc na każde słowo Julii. Jackson pożałował, że nie zdecydował się na sportowy model dwuosobowego bmw Z8, wówczas Amelię można byłoby zamknąć w bagażniku.

- Papierosa? - zaproponowała Julia.
- Nie. Rzuciłem - odpowiedział Jackson.
- Dobra robota, panie B. - pochwaliła go Julia. Wjechali do Montpellier, gdzie było bardzo gorąco i gdzie zatrzymali się w kawiarence na rynku, by zamówić lody w srebrzystych pucharkach - *glaces artisanales*. Julia złożyła

zamówienie, a Jackson był pod wrażeniem, jak biegle włada francuskim.

- Kiedyś była francuskim pudelkiem - burknęła Amelia (ledwie słyszalnie).

- Przestań zrzędzić, Milly. - Julia westchnęła. - Jesteśmy *en vacances*.

- Ty zawsze jesteś na wakacjach - odparła Amelia z przekąsem.

- Wiesz, przychodzą mi do głowy znacznie gorsze sposoby umilania sobie życia - odcięła się Julia.

Jackson zastanawiał się, czy jest zakochany w Julii. Niebo pociemniało nagle, przybierając kolor granatowych węgielek z Agen, w dali błysnęło, zadudnił grzmot i na markizę przy ich stoliku spadły pierwsze, ciężkie krople nadciągającej ulewy. Julia wzruszyła do Jacksona ramionami (na francuską modłę) i powiedziała:

- *C'est la vie*, panie Brodie, *c'est la vie*.